

Tajny Kardynał

Grace Tom



calibre 0.9.43

TAJNY

KARDYNAŁ

CHIFENG, CHINY 17 SIERPANIA

To CZYŃCIE NA MOJĄ PAMIĄTKĘ...

Yin Daoming odchylił nieznacznie głowę i uniósł kielich w stronę niebios. Była to wprawdzie tylko zwykła szklanka, on jednak trzymał ją z taką czcią, jakby naczynie odlano ze szczerego złota. W szkle pojawiło się jego odbicie - poważnego mężczyzny o przystojnej, gładko ogolonej twarzy. Wiele młodych kobiet z rodzinnej wioski nieopodal Szanghaju uważało go za świetnego kandydata na męża i wszystkie musiały być rozczarowane, gdy poszedł za głosem powołania i został katolickim księdzem. W swej skromności Yin przyrównywał się właśnie do takiej szklanki: był prostym naczyniem Bożej łaski, narzędziem, dzięki któremu jego lud mógł wielbić swego Pana.

Szklanka, wypełniona mieszanką wody i wina, pobłyskiwała tajemniczo w blasku ustawionych na prowizorycznym ołtarzu świec. W czasie tego rodzaju tajnych mszy jako wino mszalne musiało przeważnie służyć kilka uncji *baijiu* - niemal dziewięćdziesięcioprocentowego, warzonego na miejscu trunku. W różanej cieczy, jak się zdawało, nie zaszła żadna fizyczna zmiana, ale Yin był całkowicie pewien, że właśnie wydarzył się cud Przemienienia i że trzyma teraz w dłoniach naczynie z krwią Chrystusa.

Przybliżył szklankę do ust i wypił niewielki łyk. Nawet silnie rozcieńczona *baijiu* paliła mu gardło niczym płynny ogień. Będąc jeszcze seminarzystą, Yin zapytał kiedyś biskupa, czy używanie w czasie sakra-

mentu tak silnego alkoholu nie jest przypadkiem świętokradztwem.

Biskup zapewnił go, że chociaż Watykan rzeczywiście mógłby uznać picie *baijiu* w trakcie mszy za odstępstwo od ortodoksji, to przecież nie miałby nic przeciw kolorytowi lokalnemu, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę prześladowania, jakie stały się udziałem Kościoła w komunistycznych Chinach. Rzymskokatolicka mniejszość najliczniejszego narodu świata musiała tam walczyć o byt i jej przedstawiciele mieli bardzo prosty wybór: przystosują się albo zginą.

Tańczące na ścianach pomieszczenia cienie były odbiciem wrogości panującej w zewnętrznym świecie. Mniej więcej tak właśnie żyli pierwsi chrześcijanie, jeszcze pod rządami pogańskiego Rzymu. Yin odprawiał mszę w domu licznej rodziny, której trzydziestu trzech członków klęczało wokół niskiego drewnianego stołu służącego za ołtarz. Wydawało się, że najmłodsza z nich wszystkich dziewczynka - ledwie niemowlę - zapomniała już o krótkotrwałej traumie, jaką z pewnością był dla niej chrzest, bo z zadowoleniem wpijała się w sutek matki.

Bracia, siostry i kuzyni dziewczynki czekali cierpliwie, aż Yin udzieli komunii starszym. Ponieważ rodzina nieczęsto mogła brać udział w mszy, kapłan starał się z całych sił, by każda część rytuału była dla jej uczestników niezapomnianym przeżyciem, wartym ponoszonego ryzyka.

Dla większości katolików na świecie najważniejsza kościelna ceremonia wiąże się tylko z jednym zagrożeniem: jeżeli człowiek nie uczestniczy w niej regularnie, może ponieść uszczerbek na duszy. Ryzyko, z jakim

musiała się mierzyć trzódka Yina, było o wiele bardziej bezpośrednio.

Rząd w Pekinie uważał udział w nielegalnej mszy za wyraz lojalności wobec wrogiego państwa, nad którym Chiny nie mają żadnej władzy.

Wiernych mógł za to czekać cały szereg nieprzyjemności: od grózb, poprzez więzienie, aż po - w szczególnych wypadkach - karę śmierci.

Tylko najstarsi ze zgromadzonych pamiętali czasy, gdy chiński Kościół katolicki mógł praktykować swoją religię otwarcie. Ich dzieci i wnuki uczyły się katechizmu z szeptów dorosłych i ukrywały wiarę za zasłoną oficjalnie usankcjonowanego ateizmu. Na wsi ludzie nie mieli zamiaru spełniać zachcianek władców z dalekiego Pekinu i nie porzucili wyznania przodków. Ale nie zachowywali się też w sposób, który mógłby przyciągnąć uwagę i wywołać gniew rządzących, Chiń-

scy katolicy zeszli do podziemia i uginali się niczym wierzby na wietrze, ale nie dawali się złamać.

Po rozdeleniu chleba Eucharystii Yin przystąpił do dzielenia się winem, powtarzając tym samym rytuał zapoczątkowany przez Jezusa i jego uczniów w czasie Paschy w wigilię Ukrzyżowania. Ta prosta czynność połączyła Yina i zgromadzonych wiernych w akcie komunii z miliardem rzymskich katolików na całym świecie oraz z samym Wszechmogącym.

Yinowi zdarzało się modlić w przepięknych kościołach, ale nigdy nie czuł większej bliskości ze Stwórcą niż teraz, gdy z garstką wyznawców na przekór wszelkim przeciwnościom czepiał się rozpaczliwie wiary. To właśnie troszcząc się o tę zagubioną trzódkę, Yin wypełniał swoje powołanie jako kapłan i stawał się, używając słów świętego Franciszka z Asyżu, narzędziem Chrystusowego pokoju.

•To jest krew Chrystusa - powiedział uroczystym tonem, podając kielich małemu chłopcu, który właśnie osiągnął wiek, gdy po raz pierwszy mógł przyjąć komunię.

•Amen - odpowiedział chłopiec, pochylając z szacunkiem głowę, ale ledwie zamoczył usta w palącej cieczy. Yin stłumił uśmiech.

Kiedy zabierał malcowi kielich, usłyszał nagle metaliczny dźwięk - szcęknięcie otwieranego zamka potężnych drzwi. Znał go doskonale, choć pochodził on z zupełnie innej rzeczywistości.

- Pobudka, dziadzie! - warknął czyjś głos.

Pomieszczenie zalała jasność i scena udzielania sakramentu nagle zniknęła, wymazana sprzed oczu Yina przez brutalne wtargnięcie strażnika. W jednej chwili tajna msza zapadła się znowu w odmętach pamięci skrywającej najcenniejsze skarby kapłana.

Yin siedział wyprostowany na środku gołej betonowej celi o powierzchni dwóch metrów kwadratowych. Miał skrzyżowane nogi i pogodną twarz, a dłonie położył na kolanach, przez co przypominał posązek Buddy. Z lśniącej czarnej czupryny, którą mógł się szczycić w czasach młodości, zostały mu tylko nędzne resztki, układające się w posiwiałe z wiekiem i z powodu ciężkich przeżyć, postrzępione kosmyki. Jeszcze jaśniejsza była jego skóra - blada i o nieco upiornym odcieniu, którego nabył przez kilkadziesiąt lat spędzonych z dala od ciepłego dotyku słońca.

Łączność ze światem zewnętrznym zapewniały kapłanowi tylko grube stalowe drzwi i niewielki otwór wentylacyjny. W zakratowanym wgłębieniu w suficie tkwiła samotna brudna żarówka - od trzydziestu lat jedyne źródło światła, jakie docierało do oczu Yina. Już od dawna nie potrafił odróżniać dni od nocy, nie liczył też upływu tygodni, miesięcy czy lat. Pozbawianie więźniów poczucia czasu było jedną z technik stosowanych przeciw więźniom takim jak Yin.

- Powiedziałem: pobudka!

Strażnik podkreślił wagę swych słów, uderzając Yina w brzuch czubkiem pałki elektrycznej. Starzec poczuł eksplozję bólu i natychmiast z jego płuc uleciało całe powietrze. Rzucił się do tyłu, starając się nie uderzyć głową w podłogę.

•Wcale nie śpię, synu - powiedział łagodnie, ciągle dysząc. Powoli odzyskiwał oddech.

•Wolałbym być pomiotem wiejskiego wieprza i najpaskudniejszej z jego loch niż twoim synem! - wrzasnął strażnik. - Wstawaj!

Yin pomasował brzuch i zmrużył oczy, ponieważ z korytarza wlewało się do celi ostre światło. Jego prześladowca był tylko ciemną sylwetką w drzwiach. Za jego plecami stało jednak jeszcze kilku strażników.

Chiński sąd skazał Yina na śmierć za rozliczne zbrodnie przeciwko państwu, ale ze względów politycznych ciągle nie wykonano wyroku.

Władze uważały go za człowieka o ogromnej charyzmie i obdarzonego głęboką osobistą wiarą, co nie pozwalało trzymać go w jednym miejscu z

innymi więźniami, to bowiem mogłoby grozić, że obca religia zacznie się szerzyć wśród skazanych niczym plaga. Dlatego właśnie w odróżnieniu od innych nieszczęśników przebywających w *laogai*- chińskich gułagach - Yin nie dostał szansy na przemyślenie własnych błędów w ramach wspaniałomyślnego rządowego programu ciężkiej pracy i reedukacji.

Zamiast tego został skazany na wieloletnie odosobnienie, tylko sporadycznie przerywane przez bicie i przesłuchania.

Yin wiedział, że od ostatniego przesłuchania minęło wiele tygodni, może nawet miesięcy. Za każdym razem zadawano mu te same pytania, a on zawsze udzielał tej samej odpowiedzi. W ostatnich latach na wypełnione biciem sesje zabierano go zresztą rzadziej niż zaraz po uwięzieniu - wynikały one teraz raczej z biurokratycznej rutyny niż z autentycznej chęci nawrócenia więźnia. Po wielu latach systematycz-

10

nych wysiłków rząd chiński, jak się zdaje, zaakceptował fakt, iż podziemny biskup Szanghaju prędzej umrze, niż wyrzeknie się papieża lub Kościoła rzymskokatolickiego.

Wstał i czekał na kolejne polecenie.

- Wyłazić! - wrzasnął strażnik.

Kapłan ruszył za wycofującym się z celi mężczyzną. Spędził tyle czasu w pogrążonej w mroku więziennej klitce, że światło na korytarzu zapiekło go w oczy niczym słońce w samo południe. Czterech strażników wpatrywało się w niego z obrzydzeniem.

- Skuć go! - rozkazał dowódca.

Yin stanął w dobrze sobie znanej pozycji: szeroko rozstawił stopy, a ręce wyciągnął po bokach ciała. Dwaj strażnicy owinęli mu ciasno wokół szczupłej talii gruby skórzany pas. Zwisały z niego cztery zakończone obręczami kajdan łańcuchy. Kiedy wgryzły mu się w kostki i nadgarstki, Yin nawet się nie skrzywił - wiedział doskonale, że sprowokowałby tylko strażników do bicia. Żyły na rękach zaczęły mu silnie pulsować, dłonie zdrętwiały.

Dowódca sprawdził więzy, choć wiedział, że nie jest to konieczne. Yin przez wszystkie lata spędzone w więzieniu ani razu nie sprzeciwił się strażnikom. Stanowił zagrożenie tylko dla siebie samego, i to wyłącznie z powodu własnego uporu. Strażnik zadowolony, że więzień jest odpowiednio skrepowany, dał sygnał eskorcie. Ruszyli przed siebie.

Szli korytarzem. Yin starał się trzymać głowę pochyloną, a oczy utkwione w podłogę. Zabronione były nawet najdrobniejsze gesty - nie mógł skinąć głową ani spojrzeć na kogokolwiek - a naruszenie zakazu mogło się skończyć poważnymi cięgami, o czym świadczyło chociażby źle zrosnięte złamanie w jego lewym ramieniu. Oczy Yina stopniowo przyzwyczajały się do światła. Na każdy krok strażników potrzebował dwóch.

„Idź przed siebie, po prostu idź przed siebie” -myślał, licząc kroki.

Strażnicy zatrzymali się. Zabrzmiało szczęknięcie, znamionujące zwolnienie elektrycznego zamka w drzwiach blokujących wyjście ze skrzydła dla niebezpiecznych więźniów. Ciężkie stalowe wrota otworzyły się i niewielka procesja ruszyła dalej.

„Już prawie na miejscu, już prawie na miejscu”.

I wtedy coś zobaczył - błysniecie, niewielki kwadracik światła na podłodze. Odwrócił głowę trochę w prawo i zerknął do góry. Małeńkie okno - okratowane i zabezpieczone brudną, wypełnioną drutem szybą, ale zawsze okno, a za nim zewnętrzny świat. Był środek dnia, niebo wydawało się jasne i błękitne.

W tym samym momencie na plecy Yina opadła cienka plastikowa laska i biskup upadł na kolana. Drugi cios trafił go w ramię, powalając na podłogę.

- Wystarczy! - rozkazał dowódca. - Postawcie go.

Strażnik, który przed chwilą uderzył Yina, złapał go za ramię i pociągnął z całej siły, niemal wrywając mu kość ze stawu. Biskup poczuł oślepiający ból, ale podniósł się, a gdy oprawca puścił jego rękę, kość wróciła na miejsce.

Ruszyli dalej betonowym korytarzem. Cichy szelest sandałów Yina prawie całkowicie zagłuszały ciężkie stąpania strażników. Więzień znał trasę na pamięć, choć tylko w jedną stronę - rzadko się zdarzało, by wracał z przesłuchania przytomny.

Okazało się jednak, że strażnicy minęli drzwi korytarza prowadzącego do pokojów przesłuchań. Yin poczuł mieszaninę ulgi i przerażenia. Tym razem zmierzali gdzie indziej.

„Panie!” - modlił się w duchu. „Bądź wola Twoja, ja zawsze pozostanę Twym sługą”.

Strażnicy wprowadzili go do części więzienia, której w ogóle sobie nie

przypominał. Nagle otworzyły się jakieś drzwi i Yin poczuł na twarzy powiew wiatru. Powietrze zapachniało zupełnie inaczej niż w więzieniu wypełnionym odorem gnijącego brudu i ludzkiego potu, w nieskończoność wprawianym w ruch przez zdezelowane wentylatory. Wiatr był niczym szept niebios. Yin wyczuł delikatny aromat stepu w środku lata i słodki zapach powietrza tuż po oczyszczającym deszczu. „Więc wreszcie się mną zmęczyli” - pomyślał.

Przychodził mu do głowy tylko jeden powód, dla którego strażnicy mogli go wyprowadzić na zewnątrz: za chwilę miał dostać kulę w tył głowy. Zaczął się rozkoszować każdym kolejnym wdechem świeżego powietrza, tak jakby miał być jego ostatnim.

- Stać! - wrzasnął dowódca.

12

Yin nadal trzymał głowę pochyloną i był pogrążony w modlitwie.

Odgłos chrzęszczących na żwirze kroków - długich kroków znamionujących wysokiego mężczyznę - wyrwał go z medytacji.

- Więzień, według rozkazu! -zawołał z szacunkiem dowódca strażników.

Yin usłyszał szelest papieru i kątem oka zauważył teczkę z aktami, trzymaną przez rzeczywiście wysokiego mężczyznę ubranego nie w mundur, ale w ciemnoszary garnitur. Na stopach człowiek ten miał czarne skórzane buty i z wyglądu przypominał biznesmena.

- Pokażcie mi jego twarz - rozkazał.

Jeden ze strażników złapał Yina za włosy i odchylił mu głowę. Oczy

więznia przebiegły szybko po doskonale skrojonej, eleganckiej marynarce oraz szerokich ramionach mężczyzny. Nieznajomy miał pociągłą twarz o ostrych rysach: wydawało się, że jego skóra z trudem została naciągnięta na kości i mięśnie. Kruczoczarne włosy zaczesywał do tyłu - przypominały lśniącą skorupę, tak gęstą, że mimo porannego wiatru nie odstawał od niej nawet pojedynczy włos. Cienka linia ust nie zdradzała żadnych emocji. Yin domyślił się, że nieznajomy może mieć jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Był jeszcze dzieckiem, kiedy on sam trafił do więzienia w Chifengu.

Nagle ich wzrok spotkał się i starego księdza przeszedł dreszcz. Liu Shing-Li taksował skazańca oczami tak nienaturalnie czarnymi, że niemożnością wydawało się odróżnienie tęczówki od źrenic. Wciągały wszystko w swą niezglębioną ciemność, niczego przy tym nie zdradzając.

Yin zawsze wyobrażał sobie piekło nie jako ocean nie dających się ugasić płomieni, ale jako stan całkowitego oderwania od Boga. To właśnie zobaczył w oczach Liu.

- Umyjcie go - rozkazał Liu. - Niech włoży jakiś nowy drelich.

Szmaty, które ma na sobie, spalcie.

Dowódca strażników skinął głową i wydał swoim ludziom polecenia.

Podprowadzili Yina do wiaty z flotą więziennych samochodów, gdzie zdarli z niego wytarte ubranie i przykuli go do stalowego słupka, ręce krępując wysoko nad głową. W obolałe ciało biskupa uderzyły dwa silne strumienie wody. Strażnicy zaśmiewali się, celując nimi w twarz i genitalia. Yin dusił się, pluł krwią i wodą, a jego płuca gwałtownie

domagały się powietrza.

13

Po chwili oprawcy zaatakowali jego członki szczotkami używanymi do czyszczenia karetek więziennych, obcierając mu skórę do krwi. Yin dygotał na całym ciele, jednocześnie odrętwiałym i rozpalonym od silnie żrących środków czyszczących.

- Przytrzymajcie go - wrzasnął jeden ze strażników, wyciągając nóż.

Czyjeś ręce brutalnie złapały Yina za głowę i w jego twarz zaczęło się wgryzać ostrze, wyrywając kępki wieloletniego zarostu. Po wychudzonym ciele biskupa spływała zaprawiona krwią woda. Strażnik, walcząc z wężem Yina, odciął mu kawałek skóry z nosa. Ranę natychmiast wypełniła świeża krew.

Oprawcy przez chwilę odcinali Yinowi postrzępione włosy, odrzucając je na ziemię całymi garściami, po czym znowu skierowali na niego strumień z węża, kończąc robotę. Następnie wytarli go jakimś szorstkim materiałem i rzucili mu nowy więzienny drelich, którego sztywny i twardy dotyk poczuł po chwili na poranionej skórze.

Wreszcie nałożyli mu na nowo więzy i zaprowadzili do Liu. Gdy ten skinął głową, przekazali Yina żołnierzom, którzy załadowali go na tył opancerzonej więziennej karetki. Przy bocznych ścianach pozbawionej okien paki do podłogi przykręcone były ławki. Yin usiadł tam, gdzie mu kazano.

Żołnierze przykuli kajdany do wystających z podłogi pętli, a Liu podpisał jakieś papiery, przejmując tym samym odpowiedzialność za

więźnia, po czym zwolnił strażników. Po chwili włożył okulary przeciwsłoneczne, wsiadł od strony pasażera do ciemnoszarego osobowego audi i dał kierowcy sygnał do odjazdu. Mieli przed sobą długą drogę do Pekinu.

STALOWA SKRZYNKA NA KÓŁKACH, w której umieszczono Yina, oddalała się coraz bardziej od Chifengu. Pilnujący go czterej strażnicy nie rozmawiali ani z nim, ani ze sobą nawzajem. Wydawało się, że przypomnieli sobie o nim tylko raz, w czasie skromnego posiłku i krótkiego postoju na wyjście za potrzebą. Yin zdawał sobie sprawę, że brak zainteresowania jego osobą częściowo wiąże się z przypisanym mu statusem więźnia

14

i wroga publicznego - w ich oczach nie był już nawet człowiekiem. Ale równie ważne było to, że przełożeni żołnierzy obawiali się jak ognia jego wiary. Biskup Szanghaju był bardzo niebezpiecznym ładunkiem. Yin nie żywił nienawiści do prostych żołnierzy - raczej współczuł im, bo przez niego znaleźli się w dosyć kłopotliwym położeniu. Żeby uchronić ich przed karą, przez całą drogę milczał i modlił się za nich.

Krótko po zachodzie słońca oba samochody dotarły do obrzeży Pekinu. W nowoczesnej, tętniącej życiem metropolii, zamieszkaney przez blisko trzynaście milionów osób, zniszczona i wyludniona dzielnica wydawała się czymś nienaturalnym. Żołnierze, którzy pilnowali odcinających do niej dostęp blokad drogowych, rzucili okiem na papiery Liu i pozwolili im przejechać.

Długa podróż z Chifengu zakończyła się kilka skrzyżowań dalej przy

podjeździe prowadzącym na tyły niewielkiego teatru. Ceglany budynek pochodził jeszcze z epoki imperialnej, a czas nie oszczędził się z nim łaskawie. Po obu stronach drzwi, które jako jedyny element wyposażenia teatru sprawiały wrażenie nowych i solidnych, stali uzbrojeni po zęby żołnierze. Do audi podszedł jeden z oficerów i otworzył drzwi od strony pasażera.

•Wszystko gotowe? - zapytał Liu, wychodząc z samochodu i nie odpowiadając na salut żołnierza.

•Według rozkazów.

Liu skinął z zadowoleniem głową.

•Wprowadzić więźnia do środka.

•Wyprowadzić więźnia! - krzyknął oficer.

Kierowca otworzył niewielkie okienko między kabiną a paką karetki.

Żołnierze spojrzeli na niego wyczekująco. Biskup, jak się wydawało, nie zwracał na nic uwagi i przez cały czas był pogrążony w modlitwie.

- Wyłazić! - wrzasnął przez okienko kierowca.

Żołnierze wypięli kajdany i zmusili Yina, żeby stanął prosto. Dwóch z nich zeszło z ciężarówki i pomogło go wyprowadzić. Kapłan spojrzął w pekińskie niebo; przez mglistą wieczorną poświatę przebijało się zaledwie kilkanaście gwiazd.

Z karetki wyszli pozostali żołnierze i zaprowadzili Yina na zaplecze teatru. Powietrze w budynku było duszne, przesycone odorem

pleśni. Biskup wyczuł w nim jednak coś jeszcze - ostry zapach potu i

strachu.

Liu podszedł do więźnia. Był od niego o wiele wyższy.

- Patrz na mnie! - rozkazał.

Yin uniósł głowę i spojrzał w puste oczy Liu.

- Gzy to prawda, że człowiek, któremu oddajesz cześć jako bogu, przyrównał siebie do pasterza, a swoich wyznawców do owiec, które musi prowadzić?

-Tak.

•Przypomina więc pod tym względem Mao Zedonga, nieprawdaż?

•Jezus Chrystus był dobrym pasterzem i oddałby życie za swoją trzodę.

Nie można powiedzieć tego samego o Mao.

•Być może, ale od czasu kiedy trafiłeś do więzienia, Chiny się zmieniły. Jeszcze dziś wieczorem możesz wyjść z tego budynku jako wolny człowiek i biskup Szanghaju.

•A jaką cenę będę musiał zapłacić za wolność, którą mi proponujesz? - zapytał spokojnie Yin.

•Mówisz jak jezuita. Ceną jest współpraca. Rząd nie kwestionuje twojej religii, a tylko podległość waszego Kościoła zagranicznemu przywódcy. Wyrzeknij się publicznie związków z Watykanem i ogłoś chińskim katolikiem, a będziesz wolny.

•Jestem biskupem rzymskokatolickim. Jeżeli wyprę się Ojca Świętego, nie będę już ani biskupem, ani katolikiem. Możecie mi uciąć głowę, ale nigdy nie uda wam się zdjąć ze mnie moich obowiązków.

•Ale co to za biskup bez trzody?

- Ja jestem dobrym pasterzem - zacytował Yin - i znam owce

moje, a moje Mnie znają.*

- Rozumiem. A nie jesteś ciekawy, po co cię tutaj przywiozłem?

-Już mi to powiedziałeś. Zakładam, że zgromadziłeś tutaj jakichś ludzi, żeby wysłuchali mojej publicznej deklaracji.

- Rzeczywiście - powiedział Liu, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. - W teatrze jest ponad pięćset twoich owieczek. Czekają na swojego pasterza. Ich życie jest w twoich rękach.

* Ewangelia wg św. Jana 10:14 za Biblią Tysiąclecia. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

16

Yin odwrócił dłonie.

- Moje ręce są puste. Wszelkie życie pochodzi od Boga.

Liu musiał przyznać z niechęcią, że odczuwa pewien szacunek dla siły

i determinacji Yina. Na szczęście przypomniał sobie zasadę, że

rozumienie przeciwnika jest jednym ze sposobów na jego pokonanie.

Odwrócił się od biskupa i skinął ręką na dowodzącego akcją oficera.

Chwilę później kilku żołnierzy przyprowadziło na zaplecze

pięcioosobową rodzinę.

Najstarszy z mężczyzn rozpoznał Yina i natychmiast opadł na kolana.

- Wasza Ekscelencjo - powiedział z nabożną czcią w głosie, po

czym ucałował jego dłoni.

Żołnierz uderzył mężczyznę pistoletem, zanim ten zdążył odebrać od

biskupa błogosławieństwo, i nieszczęśnik zwałił się na podłogę. Jego

wnuczka - na oko dziesięcioletnia dziewczynka - wyrwała się z rąk rodziców i popędziła mu na pomoc. Również ją powalił cios żołnierza.

- Wystarczy - rozkazał Liu.

Żołnierz, który zaatakował starca i dziewczynkę, cofnął się i schował pistolet do kabury. Mężczyzna zaczął kołysać płaczącą wnuczkę, po której długich czarnych włosach spływała krew.

- Klęknijcie przed swoim biskupem, owieczki - rozkazał Liu.

Troje stojących ciągle dorosłych - mężczyzna, jego żona i matka

- uklękło przed Yinem. Liu podszedł do nich od tyłu, zabierając po drodze żołnierzowi pistolet z lufą zabezpieczoną tłumikiem. Zatrzymał się i bez cienia wahania zastrzelił wszystkich członków trójpoko-leniowej rodziny podziemnych katolików. Yin zmusił się, by patrzeć na całą tę scenę szeroko otwartymi oczami - chłonał ją z przerażeniem, płacząc i w duchu modląc się za piątkę męczenników. Liu schował broń i odwrócił się znowu do Yina.

- A ja twierdzę, że masz w rękach bardzo dużo.

- Jak się nazywasz? - zapytał cicho Yin, nie mogąc ciągle oderwać wzroku od zakrwawionych ciał.

Liu przyjrzał się przerażonemu biskupowi i wyczuł, że udało mu się dotrzeć do więźnia.

- Liu Shing-Li.

17

•Będę się za ciebie modlił, Liu Shing-Li.

•Lepiej się módl, żeby udało ci się dziś wieczór trafniej dobierać

słowa.

Liu zostawił Yina przy ciałach zamordowanej rodziny. Ze sceny dobiegał wzmocniony przez kolumny głos, wzywający zgromadzonych na widowni ludzi, by wyrzekli się obcego Kościoła rzymskokatolickiego i praktykowali chrześcijaństwo przy pełnej aprobacie rządu jako członkowie Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich. Yin nie zwracał uwagi na wylewającą się z kolumn propagandę i rozważał w duchu nauki Chrystusa, zastanawiając się, co Jezus zrobiłby w jego sytuacji.

Nie miał pojęcia, ile minęło czasu, gdy wrócił wreszcie Liu. Żołnierze zdjęli biskupowi z rąk i nóg kajdany. Poczł nagłe mrowienie w kończynach, w których z powrotem zaczęła krążyć krew. Odruchowo zaczął rozcierać nadgarstki.

- Już czas - powiedział lodowatym tonem Liu.

Kiedy żołnierze prowadzili Yina w stronę prawej kulisy, słyszał, że zgromadzonym na widowni ludziom ktoś ogłasza jego nazwisko. Jakiś stojący w ostrym strumieniu światła uśmiechnięty ksiądz gestem przywołał go do siebie.

Yin niepewnie wystąpił krok naprzód, po czym zatrzymał się, ale żołnierze po obu jego stronach nawet nie drgnęli. Szybko zorientował się, że ma wejść na scenę sam, że towarzystwo czterech strażników zepsułoby podniosły nastrój chwili. Gdy tylko wkroczył w strumień światła, na widowni rozległ się przyciszony pomruk.

Ksiądz podszedł szybko do kulisy, pokłonił się głęboko i ucałował dłoń biskupa. Oczy wszystkich zwróciły się w stronę Yina, który poczuł nagle

cały ciężar tego, co miało za chwilę nastąpić. W zniszczonym teatrze zgromadzono setki wiernych - mężów i żon, dzieci i starców, zwykłych ludzi, których z Yinem łączyły więzy wspólnej religii.

„Panie, wiesz, że gotów jestem umrzeć za wiarę” - modlił się Yin - „ale czy mogę tego samego żądać od tych niewinnych ludzi? Czy popełnię grzech, jeśli zrobię coś, co może doprowadzić do ich śmierci?”

Ksiądz zaprowadził Yina do ustawionego na środku sceny mikrofonu.

Pomruk na widowni ustąpił ciszy, którą przerywało tylko kwilenie niemowlęcia. Yin spojrział na przerażone, zbolące twarze. Niektórzy wierni przeżegnali się, inni stali tylko z rękami złożonymi jak do modlitwy i z oczami utkwionymi w człowieka, który kilkadziesiąt lat wcześniej zniknął w *laogai*. Oczekiwali od niego czegoś, czego nawet nie byłiby w stanie wyartykułować, doświadczenia duchowości, o jaką nigdy by siebie nawet nie podejrzewali. Yin wciągnął głęboko w płuca powietrze, czując, że Duch Święty napełnia go siłą.

- Niech żyje Chrystus Król! - zawołał. Jego głos zadudnił w głośnikach niczym grom. - Niech żyje papież!

Zgromadzeni jak jeden mąż zerwali się na nogi.

- Niech żyje Chrystus Król! Niech żyje biskup Yin!

Tłum skandował bez końca te słowa, a w potężniejącym z każdą sekundą okrzyku można było wyczuć coraz większą pewność. W tej pełnej rozpaczli chwili wiara Yina i wiara jego trzody nabrała mocy, jaką mógł jej nadać tylko Duch Święty. Reżimowi księża stali skonsternowani, ponieważ swoimi dwoma prostymi zdaniami Yin porwał ludzi bardziej,

niż którykolwiek z nich mógł się spodziewać.

- Wyłączyć prąd! - rozkazał Liu, czując, że sytuacja wymyka się spod kontroli. - I zabrać go stamtąd!

Teatr pogrążył się w ciemnościach, a żołnierze porwali Yina ze sceny i wyprowadzili tylnymi drzwiami, zamykając je za sobą na łańcuch.

Kiedy już ostatni żołnierz opuścił budynek, Liu rozkazał:

- Zamknąć teatr!

- Jeszcze nie! - zaprotestował dowodzący oficer. - Tam są ludzie z PSKCh!

- Nikogo dzisiaj nie nawrócili. Spalić wszystkich!

Usłyszawszy rozkaz, żołnierze szybko wycofali się do przygotowanej wcześniej bezpiecznej strefy. Karetka ruszyła w ślad za samochodem Liu i po chwili zaparkowała na ulicy niemal przy jego zderzaku. Liu wyskoczył z wozu i uderzył wściekle pięścią w karoserię ciężarówki.

- Dawać mi go tutaj! - rzucił.

Żołnierze na wpół wywlekli ze środka skutego kajdankami biskupa.

- Ty hipokryto! Ty śmieciu! - wrzasnął Liu, wbijając wściekły wzrok w Yina. - Zaprowadziłeś swoją cenną trzódkę prosto w objęcia śmierci!

19

- Nie chcę niczyjej śmierci. Ani ich, ani mojej. Ale życie bez wiary i bez nadziei jest o wiele bardziej przerażające niż śmierć.

- Wydałeś na nich wyrok!

- Nie, ja tylko zadbałem, żeby zrozumieli, jaki mają wybór.

Z kilku punktów we wnętrzu budynku wystrzeliły w górę płomienie - to pirotechnicy odpalili bomby zapalające. Ogień nabierał mocy i zaczynał huczeć, ale nagle nad nieszczęsny teatr wzniosła się druga fala - fala ludzkich głosów.

- Słyszysz ich? - zawołał Liu. - Swoim ostatnim tchnieniem przeklinają ciebie i twojego nieistniejącego boga!

Yin zignorował uwagę Liu i wsłuchał się w odległe głosy. Usłyszał jednak nie krzyki, ale znaną sobie doskonale melodię.

•Oni śpiewają - powiedział z niedowierzaniem jeden z żołnierzy.

•Co? - warknął przez zaciśnięte zęby Liu.

Z szalejącego w budynku pożaru wydobywała się pieśń, do której dołączały kolejne głosy umierających. Yin, spokorniały w obliczu takiego wyznania wiary, również zaczął śpiewać.

- *Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam* - po płynął z jego ust strumień słów, choć w sercu Yin powtarzał słowa: „Ty jesteś Piotr, czyli Skąła, i na tej Skale zbuduję Kościół mój”.*

Liu uderzył biskupa w brzuch, żeby go uciszyć. Yin zatoczył się i upadł, ale nie przestał śpiewać.

- Zabierzcie mi go z oczu i wrzucie z powrotem do tej dziury w Chifengu - rozkazał Liu.

Kiedy karetka więzienna odjechała, wyciągnął komórkę.

- Tian, bezpośredni - powiedział.

Aparat skojarzył komendę głosową z odpowiednim cyfrowym plikiem i wybrał bezpośredni numer do ministra bezpieczeństwa państwowego.

Ten odebrał niemal natychmiast - czekał na to połączenie.

•Nie udało się złamać Yin Daominga? - zapytał głosem tak spokojnym, jakby chodziło o pogodę.

•Nie - odpowiedział Liu.

•Rozumiem.

* Ewangelia wg św. Mateusza 16, 18 za Biblią Tysiąclecia.

•**20** Słyszę, że nie jest pan zdziwiony, panie ministrze. Tian westchnął.

•W ogóle.

•To uparty głupiec.

•Yin? W żadnym razie - odpowiedział Tian. - Popełniasz błąd, nie doceniając go. A co z pożarem?

•Przenosi się na sąsiednie budynki. Zapewniono mnie, że do rana z całego kwartału pozostaną tylko zgliszcza.

Kiedy Liu mówił, zapadł się dach teatru i dobiegająca ze środka pieśń wreszcie ucichła.

- Doskonale. A zatem wracamy do planu oczyszczenia dzielnicy.

W ramach przygotowań do igrzysk olimpijskich Pekin został poddany rewitalizacji, której skala mogła się równać chyba tylko odbudowie Londynu po wielkim pożarze z 1666 roku. Ponieważ termin był naglący, a prestiż państwa zagrożony, władze usuwały wszystkich i wszystko, co tylko psuło wrażenie piękna i harmonii stolicy.

•Powinien był pan zezwolić na egzekucję - powiedział Liu.

•Yin nigdy nie bał się utraty własnego życia. Nic byś w ten sposób nie

wskórał.

- Nie mówiłem, że chcę coś wskórać.
- Pamiętaj, że żywy więzień to o wiele mniejszy kłopot niż martwy męczennik.

Liu zauważył, że zbliża się do niego oficer dowodzący akcją. Miał bardzo zakłopotany wyraz twarzy. Zatrzymał się w odległości kilku metrów i czekał, aż przełożony pozwoli mu do siebie podejść.

•Chwileczkę, panie ministrze - powiedział Liu do telefonu, po czym przykrył dłonią mikrofon. - Tak, kapitanie?

•Nasi technicy wykryli krótką transmisję nadaną z teatru.

•Jakiego rodzaju transmisję?

•Połączenie z Internetem za pomocą komórki, konkretnie transfer pliku.

•Czy moje instrukcje co do przeszukania tych ludzi nie były jasne, kapitanie? - zapytał Liu.

•Pański rozkaz był całkowicie jasny.

•Ale mimo to ktoś zdołał przemycić telefon komórkowy. Czy pańskim technikom udało się przechwycić ten plik?

21

•Nie, ale właśnie śledzą pakiet danych, żeby określić adresata.

Opóźnienie, które narzucamy na przepływ międzynarodowych e-maili, pozwoli nam przejąć plik, zanim przekroczy granicę. Jeżeli zaś odbiorca znajduje się na terenie Chin, usuniemy dane z serwera, zanim zostaną skopiowane. Aparat telefoniczny jest w tej chwili poza

zasięgiem sieci, najprawdopodobniej uległ zniszczeniu, ale gdy był jeszcze aktywny, nasi technicy wydobyli z niego wszystkie informacje przechowywane przez użytkownika na karcie SIM. Mogą okazać się przydatne.

- Czy pańscy technicy wiedzą, co to w ogóle była za transmisja?
- W oparciu o kilka przechwyconych pakietów można stwierdzić, że mamy do czynienia z krótkim plikiem wideo z rejestracją tego, co stało się w teatrze.
- Kapitanie, błąd, którego dopuścił się pan w procedurach bezpieczeństwa, jest niewybaczalny, i jeżeli nie uda się panu szybko przechwycić tego pliku, skutki dla pana osobiście będą katastrofalne. Proszę mnie o wszystkim informować na bieżąco.

Kapitan skinął głową, odwrócił się na pięcie i odmaszerował. Gdy oddalił się na odpowiednią odległość, Liu przycisnął znowu telefon do ucha.

- Przepraszam, że musiał pan czekać, panie ministrze - powiedział spokojnie - ale właśnie dowiedziałem się, że sprawy przybrały bardzo niesprzyjający obrót.

RZYM

10 PAŹDZIERNIKA

„I POMYŚLEĆ, ŻE WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ WŁAŚNIE TUTAJ”

- pomyślał Liu, wpatrując się w główne wejście do pałacu Barberinich w samym sercu Rzymu. Chociaż nie spał od wieków, poczuł nagle, że jego zmęczenie ustępuje miejsca podnieceniu. Zdobycz była już blisko.

Siedział na tylnym fotelu ciemnoniebieskiej alfy romeo 166 i przez przyciemniane szyby obserwował, jak pierwsze promienie słońca atakują cienie zalegające na wąskich ulicach dzielnicy Ludovisi. W ciągu kilku tygodni po pożarze teatru Pekin najbardziej obawiał się tego, że nagle we wszystkich światowych serwisach pojawi się Yin Daoming, deklarujący przywiązanie do Watykanu, oraz relacja z wydarzeń, które nastąpiły później. Masakra na placu Tiananmen była niczym w porównaniu z bezsensownym spalaniem pięciuset Chińczyków. Zadaniem Liu było dopilnować, żeby ten polityczny i wizerunkowy koszmar nigdy się nie urzeczywistnił.

Po pożarze Liu był pewien, że przekłety plik wideo szybko przedostanie się do Internetu. Oczywiście Pekin natychmiast by ogłosił, że to fałszywka, lecz i tak szkód nie dałoby się już naprawić. W każdym razie podziemni katolicy, których przesłuchał, zgadzali się co do jednego: jeżeli ofiara pięciuset męczenników miała zyskać jakiegokolwiek znaczenie, świat musiał się o niej dowiedzieć z Watykanu.

Taktyka trzymania pliku z dala od Internetu początkowo chroniła

niewielką grupę spiskowców, ale dzięki niej Liu zyskał czas na prze-

prowadzenie poszukiwań, a Pekin - na przedsięwzięcie odpowiednich środków obronnych. Poza uruchomieniem programu filtrowania informacji na ogromną skalę, który niemal zdławił przepływ danych w chińskim Internecie, najlepsi hakerzy pracujący dla Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego przeprowadzili frontalny atak na Watykan, zalewając jego serwery taką ilością danych, że Stolica Apostolska musiała się na pewien czas pożegnać z dostępem do sieci.

Pozbawieni Internetu spiskowcy mieli tylko dwie możliwości. Mogli wysłać CD-ROM do Watykanu zwykłą pocztą - tyle że w epoce, kiedy przesyłki od nieznanymi nadawców oraz pliki niewiadomego pochodzenia traktowane są z ogromną podejrzliwością, musieli się poważnie liczyć z tym, że służby watykańskie zaraz po otrzymaniu wyrzucą taką płytkę do kosza. Druga opcja polegała na wykorzystaniu najstarszego rodzaju broni w historii szpiegostwa: kuriera.

Na przednie kubełkowe fotele alfy wskoczyło dwóch śniadych Włochów, będących na usługach jednego z najważniejszych partnerów Chin w lukratywnym handlu bronią i heroiną. Ich kompani zajęli strategiczne pozycje wewnątrz i na zewnątrz pałacu mieszczącego hotel oraz na wszystkich ulicach prowadzących do Watykanu. Na tylnym siedzeniu obok Liu usiadł mężczyzna o kamiennej twarzy- Chin. Był on zaufanym pośrednikiem między chińskim rządem a włoską mafią, a jego biegła znajomość obu języków zapewniała Liu i Włochom odpowiednio szybką i precyzyjną komunikację.

Ich zwierzyną była niejaka Hwong Yi Jie - kobieta sukcesu, producentka markowej odzieży z prowincji Zhejiang, odwiedzająca właśnie w Europie swoich tutejszych klientów z branży mody. Hwong uosabiała typ obywatela, który w oczach Pekinu miał zasadnicze znaczenie dla przyszłości kraju. Przez całe dwadzieścia dziewięć lat życia ani razu nie wzbudziła zainteresowania Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, lecz zmieniło się to przed kilkoma dniami, gdy mężczyzna podejrzany o odebranie pliku wideo po paru dniach bezustannego przesłuchiwania załamał się i wskazał Hwong jako członkinię podziemnego Kościoła katolickiego oraz swoją współpracowniczkę. Liu, dowiedziawszy się, że właśnie ona ma w czasie pobytu w Wiecznym Mieście przekazać plik przedstawicielowi Watykanu, natychmiast wyruszył do Rzymu, gdzie pojawił się zaledwie kilka godzin przed

Hwong. Wieczorem kobieta zameldowała się w hotelu, zamówiła do pokoju kolację i poszła spać.

- Jest w foyer - powiedział Chin, tłumacząc meldunek, który odebrał przez słuchawkę w uchu. - Według recepcji nikt do niej nie dzwonił, ona też z nikim się nie kontaktowała.

Nagle Hwong energicznym ruchem otworzyła drzwi hotelu i wybiegła na zewnątrz. Miała na sobie buty do joggingu oraz kolorową koszulkę z długimi rękawami i logo hongkońskiego maratonu. Długie czarne włosy związała w kucyk. Wokół szczupłej talii owinęła sobie pasek z niewielką torebką, w której zmieściła butelkę z wodą, a do lewego rękawa przyczepiła iPoda. Przez kilka minut rozciągała się, opierając się o mur budynku, po czym wyruszyła na poranną przebieżkę.

>- Przeszukać jej pokój - powiedział Liu, nie odrywając wzroku od oddalającej się pięknej kobiety.

Chin przekazał rozkaz ludziom w hotelu, a kierowca wrzucił bieg i ruszył powoli za Hwong. Do nagonki dołączyły jeszcze dwa samochody, które miały zmieniać się co kilka skrzyżowań w celu uniknięcia zdemaskowania.

Hwong minęła kilka krętych i wąskich uliczek, po czym pobiegła na północ wzdłuż Via delie Quattro Fontane. Utrzymywała umiarkowane tempo, rozgrzewając się i powoli łapiąc rytm. Po jakimś kilometrze zatrzymała się na Piazza di Spagna przy fontannie z łódką Berniniego.

Napiła się wody i szybko zmierzyła sobie puls. Po chwili zaatakowała z

pasją Schody Hiszpańskie i zdawało się, że kieruje się w stronę obelisku Sallustiano oraz kościoła Sant'Andrea delie Fratte. Jednakże na ich szczycie odwróciła się i zbiegła luźnym krokiem po stopniach, pozwalając odpocząć nogom i wyrównując oddech. Powtórzyła ćwiczenie jeszcze pięciokrotnie, po czym ruszyła dalej wzdłuż Viale Trinita dei Monti w stronę Piazza del Popolo.

KAPSUŁKI PARACETAMOLU ZAGRZECHOTAŁY niczym suszone fasolki w marakasie. Ich twarda powlekana powierzchnia uderzyła w ściankę poręcznej podręcznej buteleczki, której niewielkie rozmiary okazały się dla Nolana Kilkenny'ego zdecydowanie kłopotliwe, gdy przetrząsał kolejne zapięte na zamek bądź rzepy przegródki kosmetyczki zwi-
sającej z tyłu drzwi łazienki. W czynności tej bynajmniej nie pomagał mu wywołany potężnym kacem ból głowy, przy którym to, że w ogóle pamiętał o ukrytych gdzieś w bagażu tabletkach, należało uznać właściwie za cud. Czarna saszetka ze starannie dobranym zestawem przyborów toaletowych była prezentem od żony i w zamyśle miała zastąpić obszarpany worek, którego używał przez szesnaście lat dorosłego kawalerskiego żywota. „Do kosza ze starym... Kocham Cię, Kelsey” - przeczytał na bileciku wetkniętym do przybornika, kiedy mu go dawała. Dziesięć miesięcy później karteczka ciągle tam tkwiła. W końcu znalazł nienaruszoną ciągle buteleczkę. Odkleił gwałtownym ruchem grubego plastikowego paska zabezpieczającego, rwąc go niemal na strzępy, odkręcił dziecioodporne wieczko i szybko połknął dwie tabletki, popijając je łykiem zimnej wody i modląc się, żeby zaczęły działać jak

najprędzej.

Nie był to ani jego pierwszy kac w życiu, ani najgorszy - przeżył kilka pamiętnych wieczorów tuż po ukończeniu szkoły średniej, a także później, gdy służył jako oficer w Navy SEAL, czyli tak zwanym Komandzie Foki. Zapamiętał zwłaszcza imprezę po pewnej udanej akcji porwania przywódcy terrorystów, który jakby nigdy nic urządził się wygodnie w Iranie. Po takich popijawach z kumplami czy towarzyszami broni poranki były naprawdę bolesne. Kilkenny rzadko pił, a kiedy już się na to decydował przy różnych okazjach, starał się ograniczać do kilku łyków. Mimo to poprzedniego wieczoru po kolacji w pobliskiej *ristorante* wlał w siebie ogromną ilość czerwonego wina, a co gorsza, pił sam.

„Co ja tu do cholery, robię?”

Odbicie w lustrze odzwierciedlało jego podły nastrój, a myśl o podjętej wieczorem daremnej próbie zalania robaka litrami chianti sprawiła, że jednocześnie zrobiło mu się niedobrze i poczuł wściekłość na siebie samego. Znał ludzi, którzy stale znieczulali się alkoholem i narkotykami, mając ku temu o wiele mniej ważne powody od niego, lecz on przecież obiecał sobie, że utrata wiary i nadziei nie doprowadzi go na dno.

Starł z ust warstewkę zaschniętej śliny, spryskał wodą twarz i głowę, a na koniec przyglądał postrzępione kępkę swoich rudych włosów.

26

Pokój był mały, ale wygodny, a co najważniejsze, hotel leżał w odległości krótkiego spaceru od Watykanu, gdzie Kilkenny spędzał ostatnio większość czasu. Przyjechał do Rzymu na polecenie swojego ojca. Miał

pracować z jego najlepszym przyjacielem, kardynałem Malachym

Donoherem, bibliotekarzem Świętego Kościoła Rzymskiego.

Zadanie Kilkenny'ego polegało na usprawnieniu przepływu informacji między Biblioteką Watykańską a Papieską Akademią Nauk - dwiema jednostkami, poprzez które Kościół starał się dotrzymać kroku nowinkom w dziedzinie nauki i technologii, pielęgnując zarazem wiedzę gromadzoną przez poprzednie tysiąclecie. Donoher był zdania, że jeśli akademia i biblioteka połączą siły, będą w stanie pomóc papieżowi wypracować o wiele wyrazistsze poglądy na związane z postępem cywilizacyjnym problemy moralne czy etyczne, dostarczając mu przy tym szerokiej historycznej perspektywy. W ten sposób kościelne instytucje będą mogły służyć Ojcu Świętemu mądrą radą, zwłaszcza w kwestiach, w których nauka i wiara wydają się sobie wzajemnie przeczyć.

Oficjalnym powodem, dla którego zaproponowano Kilkenny'emu funkcję watykańskiego konsultanta, była jego biegłość w dziedzinie zarządzania informacją - i jako specjalista w tej dziedzinie dostał w miarę proste zadanie z obietnicą skromnego honorarium. Jednakże sam zainteresowany podejrzewał, że Donoher ukartował to z jego ojcem i że błahe zlecenie było wyłącznie pretekstem mającym go zmusić do wyjazdu z pustego domu w Ann Arbor, gdzie każdy kąt przypominał mu o tym wszystkim, co właśnie stracił. Kilkenny po śmierci żony i nienarodzonego dziecka zagrzebał się na dwa miesiące w pracy, ale przez cały czas był pogrążony w żałobie. Liczyła się dla niego tylko terażniejszość - przyszłość została całkowicie przesłonięta przez tragedię, która go

spotkała.

Doceniał intencje stojące za zaproszeniem do współpracy, choć powierzone mu zadanie nie było w stanie w pełni zaabsorbować jego umysłu. Z nowymi, fascynującymi wyzwaniami miał do czynienia w swojej prawdziwej pracy w spółce MARC, czyli Michigan Applied Research Consortium, należącej do jego ojca i działającej w branży venture capital. Zarządzał w niej transferem najnowszej technologii z akademickich laboratoriów badawczych do świata handlu - można powiedzieć, że był handlarzem własnością intelektualną, aczkolwiek w jego wypadku chodziło o dość niezwykle aktywa. Kilkenny specjalizował się w najbardziej zaawansowanych dziedzinach: badaniach nad energią kwantową komórek czy dziwnymi organizmami ukrytymi przez całe eony w ciemnych wodach pod wielokilometrową skorupą arktycznego lodu. Był strażnikiem, a nawet akuszerem innowacji, które mogły zmienić bieg świata. Jego praca była pasjonująca i bardzo dobrze płatna, ale od czasu do czasu również niebezpieczna.

Ponieważ wiązała się także z ciągłym podróżowaniem, kilkutygodniowy pobyt w Rzymie nie był dla Kilkenny'ego niczym niezwykłym. Ale nawet on musiał przyznać, że w Watykanie pracuje się zupełnie inaczej niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie, co zresztą bez wątplenia wzięli pod uwagę jego ojciec i Donoher.

W szafie wisiało kilka toreb z nowymi ubraniami, a pod nimi stały dwa pudełka z eleganckimi butami. Kilkenny przed dwoma tygodniami przyjechał do Rzymu w dzinsach, tenisówkach i irlandzkiej koszulce do

gry w rugby. Miał przy sobie tylko aktówkę i bagaż podręczny. Walizka z resztą jego ubrań gdzieś się zawieruszyła. Kiedy okazało się, że jej odzyskanie jest równie prawdopodobne jak wydobyć żołnierza z obozu jenieckiego wroga, postanowił wykorzystać okazję i uzupełnić garderobę u kilku najlepszych rzymskich krawców.

Osuszył twarz, przebrał się z bokserek, w których spędził noc, w szorty do biegania oraz koszulkę i zaczął rozgrzewkę. Pokryta piegami skóra przydawała nieco chłopięcego uroku temu mierzącemu prawie dwa metry wzrostu mężczyźnie. Kilkenny utrzymywał się w formie, dbając jednak przede wszystkim o wytrzymałość, a nie o siłę czy szybkość. Zawiązał wokół talii pasek z torbą, wyciągnął z szafy parę butów do biegania, po czym usiadł na brzegu podwójnego łóżka, żeby je włożyć. Obok na stoliku nocnym leżała biografia Marka Twaina, czarny wodoodporny zegarek oraz niewielka potrójna ramka.

Sięgając po zegarek, przyglądał się przez chwilę kobiecie na zdjęciu w środkowej części. Zrobił je w lipcu, gdy spędzał z żoną wakacje w Harbor Springs w stanie Michigan. Kelsey brnęła po kolana w wodzie nad brzegiem zatoki Little Traverse. Spoglądała na swój brzuch, na którym położyła obie dłonie, tak jakby chciała ukołysać rozwijające się w nim życie. Była wtedy w połowie piątego miesiąca i ciągle

zachwycała się swoimi matczynymi kształtami. Kilkenny doskonale pamiętał tę chwilę, pamiętał zdziwiony wyraz twarzy żony, gdy ich dziecko nagle się poruszyło. Zawołała go i przycisnęła jego dłoń do miejsca, w którym wyczuła ruch.

W ramkę z lewej strony wetknięta była pojedyncza kartka cienkiego szarego papieru, na której były odbite na czarno odciski stóp nie większe niż czubek kciuka Kilkenny'ego. Był to jedyny ślad, jaki jego syn Toby zostawił na świecie - poza tym, który odcisnął w sercu swego ojca. Prawa ramka zawierała pomniejszoną kopię klepsydry z informacją o sierpniowym pogrzebie żony i syna Kilkenny'ego.

- Ciągle śnię o tobie i mnie na plaży, o tym, że bawimy się tam z Tobym - powiedział do żony, zakładając zegarek. - Tak bardzo za wami tęsknię.

Zabrał klucz, wyciągnął z minibaru butelkę wody i wybiegł z pokoju.

KIEDY HWONG DOTARŁA DO PIAZZA DEL POPOLO, W jej torebce przy pasku rozdzwoniła się melodyjnie komórka. Kobieta wcisnęła w iPo-dzie pauzę i odebrała telefon.

- Hwong - przedstawiła się ostrożnie.

- *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum* - odpowiedział jej męski głos, starannie wypowiadając każdą sylabę pierwszego wersu starej łacińskiej modlitwy.

- *Benedicta tu in mulieribus...* - Głos Hwong zadrżał nieco, gdy wyrecytowała drugi wers, czyli odzew na wypowiedziane przez jej waty-

kański kontakt hasło. - *Et benedictus fructus ventris tui, Iesus.*

- Śledzą cię?

Mężczyzna mówił po angielsku z przyjemnym irlandzkim zaśpiewem.

- Tak - odparła.

- Wiem, że to, o co cię poproszono, jest bardzo niebezpieczne -

przyznał bez ogródek mężczyzna.

- Ale ktoś to musi zrobić - stwierdziła Hwong.

- Za chwilę przez Ponte Cavour będzie przebiegał mężczyzna. W

telefonie masz jego zdjęcie.

- Nie rozumiem.

- Nigdy nie jesteście sami, moje dziecko.

Rozmówca rozłączył się. Hwong zauważyła na ekranie telefonu zdjęcie biegnącego mężczyzny. Był gładko ogolony, miał jasnorude włosy i wyglądało na to, że jest mniej więcej w jej wieku. Hwong skasowała zdjęcie, schowała telefon i pobiegła dalej, kierując się przez Via Luisa di Savoia w stronę Tybru. Kiedy dotarła do Ponte Regina Margherita, skręciła na południe w malowniczą, wysadzaną drzewami *lungotevere*, wijącą się wzdłuż brzegu rzeki.

Mijając Ołtarz Pokoju i mauzoleum Augusta, zauważyła biegnącego przez Ponte Cavour mężczyznę, który skręcał właśnie na południe w *lungoteuere*. Przyspieszyła, chcąc zmniejszyć dzielący ich dystans.

Mężczyzna był od niej wyższy o głowę. Trzymał się prosto, jego ruchy były zdecydowane i oszczędne, a kroki wydłużone. Hwong dogoniła go, ale był tak zatopiony w myślach, że nawet jej nie zauważył. Jej wzrok przykuł błysk metalu na jego lewej dłoni - prosta, złota obrączka na palcu serdecznym.

- Przepraszam - zaczepiła go uprzejmie. - Mówi pan po angielsku?

Zaskoczony Kilkenny odwrócił głowę i zauważył ze zdziwieniem biegnącą obok niego piękną i młodą kobietę.

- Odkąd pamiętam - odpowiedział ostrożnie. - Dlaczego pani pyta?

- Mówię trochę po włosku i francusku, ale lepiej radzę sobie z an-

gielskim. A pan nie wygląda na Włocha ani Francuza.

Kilkenny ze śmiechem skinął głową. Hwong zauważyła ciepły błysk w jego zielonych oczach.

•Znajomość trzech języków obcych robi wrażenie, ale przypuszczam,

że zna pani jeszcze jeden. Skąd pani pochodzi?

•Z Chin. Mieszkam w mieście Hangzhou.

•To niedaleko Szanghaju, prawda?

•Tak, na południe od Szanghaju.

•A co panią sprowadza do Rzymu?

•Interesy. A pana?

•To samo.

•Daleko pan dzisiaj biegnie? - zapytała Hwong.

- Zależy, co pani rozumie przez „daleko”. Ale skoro bez problemu trzyma pani moje tempo, podejrzewam, że zasługuje pani na swoją koszulkę. Jaki miała pani wynik?
- Trzy godziny i osiemnaście minut.
- To lepiej niż ja - przyznał Kilkenny. - Moja dzisiejsza trasa będzie dla pani za łatwa. Jakies dziesięć kilometrów, chociaż na końcu jest dosyć strome wzgórze. Dołączy pani?
- Tak - z radością zgodziła się Hwong. - Pierwszy raz jestem w Rzymie, a nie lubię biegać sama.
- Ja się do tego na nowo przyzwyczajam. Gdzie się pani zatrzymała?
- W hotelu niedaleko Schodów Hiszpańskich.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

- W takim razie musimy do tego dodać jeszcze dwa kilometry. A jak u pani z czasem?
- Mam spotkanie w południe.
- No to zdąży pani bez problemu - obiecał Kilkenny. - Jak się pani nazywa?
- Hwong Yi Jie.
- Miło mi panią poznać, panno Hwong. Jestem Nolan Kilkenny.

BIEGLI WZDŁUŻ *I. UNGOTEVERE*. Trasa nie była trudna, zwłaszcza dla zaprawionych biegaczy, ale za to obfitowała w malownicze widoki.

Hwong schowała słuchawki, żeby mogli rozmawiać, a Kilkenny wziął na siebie rolę przewodnika, wskazując co bardziej interesujące mijane po

drodze atrakcje. Za plecami biegnący Liu dowodził obławą, tak koordynując ruchy trzech samochodów, żeby zawsze co najmniej jeden z nich przez cały czas trzymał się blisko zwierzyny.

•Przeszukaliśmy pokój - zameldował telefonicznie któryś z przebywających w hotelu Włochów. - Laptop i palmtop są czyste, nie znaleźliśmy też nigdzie żadnych przenośnych dysków. Sejf był otwarty i pusty, nie zostawiła też niczego na biurku. Musi mieć przy sobie to, czego szukasz.

•Czy ktoś oprócz ciebie i twoich ludzi wchodził do jej pokoju? - zapytał Liu.

31

-No.

- W takim razie wycofajcie się z hotelu i czekajcie na rozkazy.

Kierowca Liu ciągle trzymał się biegnących, którzy właśnie skręcili na Ponte Aventino. Po chwili znaleźli się na prawym brzegu Tybru w dzielnicy Trastevere.

•Kobieta ma to ze sobą - Liu poinformował China. - Powiedz swoim ludziom, żeby byli gotowi. Przejmą ją na mój rozkaz.

•A co z tym gościem, który z nią biegnie? - zapytał jeden z Włochów.

•Jeżeli wejdzie wam w drogę - odparł Liu - zabijcie go.

•Jeżeli chce pan ją zatrzymać w jakimś odludnym miejscu - zaproponował kierowca - najlepsze do tego będzie wzgórze Gianicolo.

Passeggiata, na którą wbiegają, prowadzi właśnie tam. Jest ranek, na *piazzale* będzie tylko paru turystów podziwiających wschód słońca.

Liu spojrział na wznoszące się przed nimi zalesione wzniesienie.

- Jedziemy za nimi na górę. Tam ją zgarniemy.

KILKENNY PRZYSPIESZYŁ, prowadząc Hwong przez ostre zakręty Via Garibaldi.

- To jest San Pietro in Montorio - wyjaśnił, gdy coraz bardziej zdyszani mijali kościół i klasztor z końca piętnastego wieku. - Zbudowano go, ponieważ według miejscowej tradycji to tutaj Neron kazał ukrzyżować świętego Piotra. W rzeczywistości Apostoł zginął na Wzgórzu Watykańskim, niedaleko innego kościoła pod jego wezwaniem. Tam z przodu widać barokową Fontana dell'Acqua Paola. Miejscowi nazywają ją *Fontanone*, czyli naprawdę dużą fontanną.

Hwong roześmiała się z jego żartu.

•Dlaczego ją zbudowali?

•Według tablicy w środku, miała uczcić odbudowę akweduktu Trajana, zakończoną na początku siedemnastego wieku. Antyczni Rzymianie budowali łuki triumfalne, żeby uwiecznić wojenne zwycięstwa. Ich potomkom wystarczała do szczęścia czysta woda pitna.

Przy fontannie skręcili ostro w prawo. Musieli wyteńczyć siły, ponieważ kiedy wbiegli na Passeggiata del Gianicolo, droga zaczęła się coraz

ostrzej piąć w górę. Miejską zabudowę nagle wyparły bujnie rozrośnięte drzewa i starannie utrzymane połacie zieleni. Ponieważ nie mijali żadnych nowych budynków, Kilkenny zamilkł, co zresztą w tym momencie zupełnie mu odpowiadało. Wbiegali na strome rzymskie Mons Aureus - Wzgórze Złota - w takim tempie, że musiał oszczędzać oddech.

Tuż przed szczytem droga wyrównała się i rozlała w szeroki plac - taras widokowy. Na jego wschodnim krańcu przy niskim murku stało kilka grupek turystów. Po zachodniej stronie widać było fragment antycznych murów, zbudowanych przez cesarza Aureliana w III wieku w celu zapewnienia ochrony stolicy imperium. Biegący wzdłuż pierścienia kamiennych słupków ciężki żelazny łańcuch wyznaczał na środku tarasu okrągłą wysepkę. Kilkenny i Hwong podbiegli do niej, zatrzymując się tuż przy cokole ogromnego konnego pomnika. Bohaterska postać Giuseppe Garibaldiego górowała nad nimi w miejscu, z którego w 1849 roku charyzmatyczny bojownik dowodził obroną Rzymu przed Francuzami.

Kiedy udało im się już nieco uspokoić oddechy, oboje pociągnęli po łyku wody ze swoich butelek. Kilkenny wskazał ręką na wschód.

- Oto nagroda za zdobycie wzgórza, panno Hwong.

Rzym lśnił w porannym słońcu. Rozłożone na falistych wzgórzach miasto wyglądało olśniewająco. Tyber błyszczał jak żywe srebro, wijąc się między starodawnymi pagórkami, na których wznosiły się teraz ulice i budynki. Każde z zamieszkujących miasto pokoleń starało się odcisnąć na

nim swoje znamię w postaci kolejnych pomników i kopuł, pałaców i dzwonnicy. Niektóre z nich należały do najbardziej rozpoznawalnych na świecie.

Hwong wytarła z czoła pot i dalej chłonęła wspaniały widok.

- Już teraz jest pięknie - dodał Kilkenny. - Proszę sobie wyobrazić widok miasta o zachodzie słońca.

Przeczytał o tym punkcie widokowym, gdy przygotowywał się do wyjazdu do Rzymu, i chociaż nie podzielał romantycznego zauroczenia wschodami i zachodami słońca, natychmiast pomyślał, że Kelsey chciałaby stanąć w tym miejscu razem z nim. Co rano wbiegał więc na wzgórze, zatrzymując się na jego szczycie, żeby podziwiać przez chwilę widok i wspominać żonę. Poprzedniego wieczoru przed kolacją po raz pierwszy pojawił się tam o zachodzie słońca.

Nagle na *piazzak* wjechały trzy rozpędzone alfy. Chince, kiedy zobaczyła samochody, serce zabiło gwałtownie, a ona sama poczuła nagle zastrzyk adrenaliny. Musiała uciekać lub walczyć. Butelka z wodą wypadła jej z rozdygotanych palców.

- Boże, dopomóż mi! -jęknęła.
- Słucham? - zapytał Kilkenny, zatopiony w myślach.
- Mam coś dla papieża - odpowiedziała Hwong, dotykając przypiętego do rękawa iPod'a. - Dowód wielkiej tragedii. Mój rząd nie chce, żeby świat dowiedział się o jego zbrodni.

Na chodniku zapiszczały opony. Pierwszy samochód skręcił ostro w lewo, blokując drogę z przodu pomnika. Drugi zatrzymał się tuż przed Kilkennym i Hwong, a trzeci pędził, żeby zamknąć pułapkę z prawej.

Dwaj mężczyźni z pierwszej alfy, obaj w czarnych kominiarkach, przeskoczyli przez łańcuch. W tym samym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi drugiego wozu.

- Biegnij! - krzyknął Kilkenny, odpychając Hwong jak najdalej od nadbiegających w ich stronę czterech mężczyzn. - Do lasu!

Kiedy okrążali pomnik, od granitu odbiła się rykoszetem kula. Kilku turystów wrzasnęło. Trzeci samochód zatrzymał się, odcinając im drogę ucieczki, i wyskoczyło z niego jeszcze dwóch mężczyzn. Obaj trzymali w dłoniach pistolety. Kilkenny szybko ocenił sytuację i zorientował się, że tamci mają przewagę liczebną i są uzbrojeni, a on i dziewczyna znaleźli się na prawie zupełnie otwartej przestrzeni. Choć minęło kilka lat, odkąd

służył w Navy SEAL, szkolenie, jakie tam przeszedł, pozwoliło mu działać instynktownie.

Miał tylko jedną broń - butelkę. Rzucił nią z całej siły w najbliższego napastnika. Mężczyzna oberwał prosto w twarz, a Kilkenny szybko skoczył w jego stronę. Rzucił się w bok, złapał bandziora za prawy nadgarstek i wykręcił go, aż poczuł, że łokieć stawia opór. Szybkim ciosem dłoni wyłamał z trzaskiem staw i broń mężczyzny wylądowała na chodniku. Wykorzystując siłę rozpędu przeciwnika, okręcił go wokół jego złamanej ręki i uderzył nim w drugiego napastnika.

Obaj mężczyźni zwalili się na kupę. Pierwszy z nich, padając, uderzył głową w bruk i stracił przytomność. Hwong biegła prosto w stronę ścieżek prowadzących do lasu. Kilkenny odwrócił się, by popędzić za nią, najpierw jednak podniósł szybko z ziemi pistolet i opróżnił jego

magazynek, celując w kolejną parę bandytów. Strzały utkwiły w cokole pomnika, ale zmusiły mężczyzn do szukania schronienia za kamienną rzeźbą.

Wybiegłszy z cienia rzucanego przez Garibaldiego, Kilkenny zobaczył, że dwóch napastników z pierwszego samochodu ściga Hwong. Jeden z nich krzyczał coś do niej wściekle po chińsku, a gdy zrozumiał, że nie jest w stanie zbliżyć się do uciekającej kobiety, stanął w miejscu, starannie wycelował z pistoletu i wystrzelił. Kula trafiła Hwong między łopatki. Chinka wyrzuciła w górę ręce. Wydawało się, że chce coś złapać. Nagle ugięły się pod nią kolana i upadła na ziemię jak ranny ptak.

Kilkenny ruszył wściekle na strzelca i sekundę później zderzył się z nim, powalając go na chodnik. Ciągle jeszcze dymiący pistolet poszybował przez plac i wylądował tuż obok grupki przerażonych turystów.

Amerykanin pochylił się i zdarł mężczyźnie z głowy kominiarkę.

Liu szybko pozbierał się po ataku i wbił w Kilkenny'ego czarne jak węgiel oczy. Nagle wykonał gwałtowny ruch, wbijając z całej siły czubek łokcia w klatkę piersiową napastnika. Z płuc Kilkenny'ego uleciało całe powietrze. Zabrakło mu tchu, a w tym samym momencie Liu trzasnął go pięścią w czoło i niemal od razu przebiegł mu kłykciami po twarzy, po czym złapał w garść grube pasmo włosów i przekręcił dłoń. Kilkenny padł na ziemię. Liu uderzył go kantem dłoni w bok szyi, niemal pozbawiając przytomności.

Natychmiast odepchnął Amerykanina na bok i zerwał się na równe

nogi. W oddali usłyszał ryk syren.

- Mam! - krzyknął jeden z pracujących dla niego Włochów, unosząc w mięsistych dłoniach iPoda i telefon komórkowy Hwong.

Nie czekając na rozkaz, pozostali wrzucili dwóch swoich rannych do najbliższego samochodu. Liu zastanawiał się przez sekundę, czy nie wykończyć Amerykanina, ale szybko doszedł do wniosku, że przecież dostał to, czego szukał, i że lepiej nie ryzykować starcia ze zbliżającą się policją.

Po chwili wszystkie trzy alfy opuściły taras widokowy. Kilkenny zdołał jakoś wstać i zataczając się, podszedł do miejsca, w którym upadła na chodnik Hwong. Z niewielkiej rany na jej plecach sączyła się krew.

Koszulka zdążyła nią już nasiąknąć. Dziewczyna żyła, choć jej oddech był płytki i urywany. Kilkenny wziął ją za rękę, ale nawet nie próbował jej podnieść.

•Wytrzymaj - szepnął.

•Zabrali go? - zapytała Hwong, wskazując słabym gestem na rękaw.

Opaska z iPodem zniknęła.

-Tak.

Na jej twarzy ku zdumieniu Kilkenny'ego pojawił się wyraz ulgi.

- Niech żyje Chrystus Król - powiedziała cicho. - Niech żyje pa pież.

WATYKAN

KILKENNY, UBRANY W JEDEN ZE SWOICH NOWYCH

GARNITURÓW,

wyszedł ze wschodniego skrzydła Casiny - szesnastowiecznej letniej rezydencji papieża Piusa IV - i pokonawszy kilka stopni, znalazł się na dziedzińcu pokrytym geometrycznym wzorem ułożonym z jasnego i ciemnego marmuru. Eliptyczny kształt placu wyznaczał niski mur, którego owal przełamywały po obu końcach dwie łukowato sklepione bramy, a wzdłuż krótszej osi portyki wspierające dwa pawilony Casiny.

Budowniczo wie dziedzińca zaprojektowali go jako antyczne nimfeum, przyozdabiając całą sielankową przestrzeń mnóstwem renesansowych, bogato zdobionych posągów i reliefów, które przedstawiały jeźdźców na plujących wodą delfinach.

Willa stała w samym środku przepięknych o tej porze roku ogrodów watykańskich. Za bramą na lewo od Kilkenny'ego w wieczornym słońcu połyskiwała biała marmurowa kopuła Bazyliki Świętego Piotra. Kardynał Donoher z ciepłym uśmiechem na rumianej twarzy wolnym krokiem wyszedł spod południowego łuku. Ubrany był w tradycyjną czarną sutannę i wykończony purpurowym lamowaniem i guzikami mucet, wokół pasa miał owiniętą szeroką szarfę tego samego koloru, a na jego przyozdobionej skąpymi kosmykami siwych włosów głowie spoczywała piuska. Donoher otrzymał ją z rąk obecnego papieża, gdy został mianowany kardynałem, a purpurowe detale jego stroju były właśnie

oznaką piastowania wysokiego stanowiska księcia Kościoła. Na

piersi nosił zawieszony na złotym łańcuszku krzyż pektoralny, który ojciec Kilkenny'ego dał mu w prezencie w dniu konsekrowania go na biskupa.

Na połączonym krucyfiksie wytłoczony był obraz zmartwychwstałego Chrystusa w szatach liturgicznych.

Donoher dostrzegł siniaki na twarzy Kilkenny'ego i nagle spoważniał.

- Widzę, że masz za sobą ciężki poranek.
- Jakoś przeżyję.
- Niestety, od policjantów wiem, że nie można powiedzieć tego samego o tej młodej kobiecie.

Kilkenny ponuro skinął głową.

- Na razie nie mają pojęcia, kim byli napastnicy, ale jestem pewien, że prawda w końcu wyjdzie na jaw. - Donoher spojrział na zegarek. - Lepiej się pospieszmy.

Kilkenny ruszył za kardynałem, który utykając lekko, skierował się w stronę łuku prowadzącego do bazyliki.

- Coś nie tak z kolanami?

Donoher potaknął.

- Mój lekarz twierdzi, że powinienem wymienić sobie te trzeszczące, od wieków nieoliwione stawy. Według niego między moimi kośćmi zostało bardzo niewiele chrząstki, ale co tam. To cena za radość, którą sprawiał mi futbol. No i oczywiście wina twojego ojca.

•Nie rozumiem?...

•Po tym jak moja rodzina wyemigrowała z Irlandii i przybyła do

Corktown w Detroit, został moim pierwszym przyjacielem. To on pokazał mi, na czym polega amerykański futbol. Gdyby nie zachęcił mnie do trenowania razem z nim w drużynie szkoły Catholic Central, pewnie do dziś mógłbym krzesać hołubce.

- Ale ojciec nie narzeka na kolana - zaprotestował Kilkenny.
- Bo nigdy nie grał na linii ataku i dał sobie spokój jeszcze przed wyjazdem do college'u. A mnie wystarczyły cztery lata w Notre Dame, żebym teraz zawsze wiedział, kiedy zapowiada się na zmianę pogody.
- Dlatego właśnie wolę biegać i pływać.

Po drodze Kilkenny błądził wzrokiem po przepięknych kompozycjach kwiatowych, wyłapując najróżniejsze szczegóły idealnie zaprojektowanego ogrodu, starannie pielęgnowanego od wielu stuleci. Punkty

widokowe zręcznie rozplanowano w takich miejscach, by osiągnąć jak najbardziej zachwycający efekt. Przyroda i myśl człowieka stapały się w harmoniczną całość, tak jakby miały przypominać, że stworzenie było aktem jednocześnie fizycznej i duchowej natury.

- Czy ktokolwiek jest w stanie znudzić się pracą w takim miejscu? - zapytał nagle Kilkenny.

Donoher zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Raczej nie. Byłeś jeszcze dzieckiem, kiedy zacząłem tutaj pracować, a mimo to wciąż co dzień odkrywam coś nowego. To zdaje się Michał Anioł powiedział: „Nie lekceważcie drobiazgów. One decydują o doskonałości, a doskonałość to już nie drobiazg”. Dociekliwy umysł nigdy się nie nudzi. A skoro już jesteśmy przy dociekliwych umysłach, jak idzie praca nad moim projektem?

Kilkenny spróbował w myślach ubrać w słowa odpowiedź na pytanie Donohera, lecz w końcu doszedł do wniosku, że trudno jest oddzielić człowieka od jego urzędu.

•Nieźle - rzekł w końcu, balansując na cienkiej linii między szczerością a uprzejmością.

•Twój entuzjazm jest powalający.

•Nie zrozum mnie źle...

•Ale... ? - wtrącił Donoher.

•Ale masz tutaj mnóstwo bardzo inteligentnych ludzi i trudno mi zrozumieć, w czym tak naprawdę mogę ci pomóc. Szczerze mówiąc,

całe to zlecenie wygląda mi tylko na pretekst, żeby wyrwać mnie z

Ann Arbor.

Mówiąc, Kilkenny przyglądał się uważnie twarzy kardynała. Spodziewał się dostrzec na niej rozczarowanie, ale dostojnik tylko się uśmiechnął.

- Nie dałeś się nabrać, co?

Kilkenny pokręcił głową.

- W pewnym sensie masz rację - przyznał Donoher. - Rzeczywi

ście, nie sprowadziłem cię tutaj, żebyś mi porządkował książki na regałach. Tyle że nie chodziło mi również o to, żeby cię pocieszyć w bólu.

Nie mów o tym ojcu, ale potrzebuję twojej pomocy w pewnej bardzo ważnej sprawie i jeżeli skorzystasz również pod względem osobistym, potraktuję to jako małą premię.

- Dzisiejsza premia była raczej mało zachęcająca.
 - Trudno zaprzeczyć, ale moim zdaniem powinieneś nosić te rany z równą dumą jak te, którymi naznaczone jest twoje serce. Zaryzykowałeś życie dla obcej kobiety, co wiele mówi zarówno o twoim charakterze, jak i związku z Kelsey.
 - Obie nie żyją - przypomniał Kilkenny.
 - Ale w ostatnich chwilach życia nie były same. Ty byłeś z nimi. Choć twoje małżeństwo okazało się bardzo krótkie, ciągle dziękuję Bogu za te czternaście miesięcy, które spędziliście jako mąż i żona.
 - Osiem miesięcy - poprawił go Kilkenny. - Pobraliśmy się w styczniu.
 - Owszem, odnowiliście śluby w styczniu, ale pobraliście się już w czerwcu. Wiem o tym, ponieważ udzieliłem waszemu związkowi księżowskiego błogosławieństwa. Choć muszę przyznać, że wasza nagła ucieczka była dla mnie dosyć zaskakująca.
 - Kelsey przez cały czas była przeciwna temu pomysłowi. Aż do tragedii Shenzhou 1...
- Donoher skinął głową. Śmierć w płomieniach trzech chińskich astronautów była tematem dnia w światowych mediach, a Kilkenny był zaangażowany w sprawę.
- Gdyby w czasie jej misji doszło do najgorszego - kontynuował Kilkenny - chciała umrzeć jako moja żona.
 - Błyskotliwy fizyk, odważna astronautka, utalentowana sportsmenka i nauczycielka, najdroższa córka i siostra, ukochana żona i naj-

dzielniejsza z matek - zacytował Donoher własną mowę pogrzebową.

- W dodatku łagodna i pełna dobroci. Nie zastanawiasz się czasem, czy naprawdę zasługiwałaś na taką kobietę?

•Jestem pewien, że nie - odparł natychmiast Kilkenny.

Niecały miesiąc po tym jak została wystrzelona na orbitę, Kelsey nieoczekiwanie powiedziała mu przez bezpieczne połączenie, że spodziewa się dziecka. Ich radość była równie wielka, jak przerażenie pracowników NASA, którzy nagle musieli zmierzyć się z koszmarem opieki nad ciężarną na orbicie. Wszystko to nie trwało jednak długo. Jakiś tydzień później Kelsey poroniła. Zakończyła misję zgodnie z planem i wróciła do domu. Powtórzyli więc ceremonię, której tym razem nie trzymali w sekrecie, i ponowili wysiłki w celu założenia ro-

dżiny. Kelsey zaszła w ciążę po raz drugi równie szybko jak za pierwszym razem, ale wkrótce potem zapadła na chorobę, która skończyła się śmiercią i jej, i dziecka. Znali się z Kilkennym od dzieciństwa i byli przyjaciółmi na długo przed tym, zanim się w sobie zakochali. Kelsey od zawsze była mu nieodłączną towarzyszką życia i teraz codziennie musiał uczyć się radzić sobie bez niej.

- No dobrze - przerwał wreszcie milczenie. - W czym mogę ci pomóc?

DONOHER ZAPROWADZIŁ KILKENNY'EGO DO BOCZNEGO WEJŚCIA

nieopodal Kaplicy Sykstyńskiej. Strażnicy z Gwardii Szwajcarskiej w cywilu pozwolili im przejść, tak że już po chwili wspinali się po schodach na najwyższe piętro Pałacu Apostolskiego. W apartamentach papieża przywitał ich wysoki, szczupły mężczyzna. Osobisty sekretarz Ojca Świętego ubrany był podobnie jak Donoher, tyle że detale jego stroju były amarantowe.

- Księżę kardynale - przywitał się z szacunkiem arcybiskup Sikora.
- Miło cię znowu widzieć, księżę arcybiskupie - odpowiedział Donoher.
- Towarzyszy mi dzisiaj pan Kilkenny.
- Księżę arcybiskupie - ukłonił się Kilkenny.
- Jak czuje się dzisiaj Jego Świątobliwość? - zapytał Donoher.
- Trochę lepiej. Czeka na was w kaplicy Redemptoris Mater. Tędy, proszę.

Arcybiskup zaprowadził ich przez drugą z loggii Bramantego do szesnastowiecznej papieskiej kaplicy poświęconej Matce Odkupiciela. Powstała ona na zlecenie papieża Grzegorza XIII i początkowo nazywano ją kaplicą Matyldy. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku poddano ją gruntownej przebudowie i wtedy zyskała obecny kształt. Kilkenny ze zdumieniem przekroczył próg oddzielający czysto renesansowy korytarz od kaplicy przypominającej wyglądem prawo-

sławny kościół pielgrzymkowy. Jej ściany zdobiły oszałamiająco piękne mozaiki ze scenami z Nowego Testamentu, wyraźnie nawiązującymi do bizantyjskiej tradycji ikonograficznej. Na ścianie za marmurowym ołtarzem przedstawiono wizję Nowego Jeruzalem, a na suficie biały krzyż i Pantokratora. Choć kaplica została oddana do użytku zaledwie przed kilkoma laty, przepęłniała ją aura ponadczasowości.

W otoczeniu całego tego piękna siedział pogrążony w modlitwie papież Leon XIV. Papieski tron przytwierdzony był na stałe do tylnej ściany kaplicy, podobnie jak pulpit i ołtarz. Sikora gestem kazał gościom zaczekać przy drzwiach, po czym podszedł do papieża. Ukląkł u stóp tronu, nachylił się w stronę Ojca Świętego i szepnął mu coś. Kilkenny zauważył, że papież kiwa głową. Arcybiskup skinął im, że mogą podejść. Człowiek, do którego się zbliżali, został wybrany na Stolicę Piotrowa, gdy Kilkenny był jeszcze dzieckiem, toteż Amerykanin nie pamiętał żadnego innego papieża. W czasie długiego pontyfikatu wiek i choroby podkopały młodzieńczy wigor głowy Kościoła. Jego ramiona były mocno przygarbione, a ciało wydawało się zapadać w sobie, tak jakby pod koniec życia chciało wrócić do rozmiarów z czasów narodzin. Papież spojrzał na gości i wyciągnął w ich stronę drżącą dłoń.

- Wasza Świątobliwość - powiedział Donoher z głęboką czcią w głosie, po czym ukląkł i ucałował pierścień papieża.

Kilkenny powtórzył jego gest. Papież poprosił, żeby usiedli, przysunęli więc do papieskiego tronu dwa krzesła. Sikora opuścił kaplicę, zamykając

za sobą drzwi.

- Przepraszam, że przeszkodziliśmy Waszej Świątobliwości w modlitwie

- zaczął Donoher, ale papież uciszył go nieznacznym ruchem dłoni.

- Sprawa, którą musimy omówić, od jakiegoś czasu zajmuje poczesne

miejsce w moich modlitwach. Więc to o tym młodym człowieku

rozmawialiśmy?

- Tak jest - odpowiedział Donoher.

Papież przyjrzał się Kilkenny'emu. Amerykanina uderzyło, jak bardzo

intensywny i jasny jest jego wzrok. Wiedzące ciało Ojca Świętego

skrywało ducha i intelekt, który nie stracił nic ze swojej żywotności.

- Kaplicę tę, panie Kilkenny, podarowali mi kardynałowie. Potra

fię w niej znaleźć spokój. Wie pan, co symbolizuje jej wnętrze?

- Nie, Wasza Świątobliwość, nie wiem.

- Jej projektantów zainspirowało kazanie jezuita Tomasa Špidlka -

wyjaśnił papież. - Jego głównym motywem było stwierdzenie, iż Kościół w trzecim tysiącleciu powinien oddychać dwojgiem płuc, Wschodu i Zachodu. To miejsce oddycha właśnie w ten sposób i symbolizuje jedność Kościoła katolickiego.

- Kaplica jest wspaniała.

Papież skinął głową.

- Zaprosiłem pana do niej, ponieważ chciałbym, żeby pan coś tu tam zobaczył.

Wskazał dłonią mozaikę na ścianie za swoimi plecami. Widoczny na niej obraz natychmiast rozbudził uśpione wspomnienia Kilkenny'ego z czasów, gdy w szkole średniej uczęszczał na lekcje religii. Mozaika przedstawiała paruzję - powtórne przyjście Chrystusa, równoznaczne ze spełnieniem obietnicy zmartwychwstania.

•Widzi pan mężczyznę i kobietę tuż przy końcu ściany, którzy prowadzą procesję wiernych? - zapytał papież.

•Tak - odparł Kilkenny. - Kim oni są?

•To Maria, matka Jezusa, której poświęcona jest ta kaplica, oraz święty Jan Chrzciciel. Niech pan jednak przyjrzy się uważniej ludziom, których przywracają do życia.

Kilkenny wstał, podszedł do mozaiki i skupił wzrok na procesji, starając się odgadnąć, kto też zasłużył sobie na przywilej wprowadzenia

do królestwa niebieskiego osobiście przez dwie najbliższe Jezusowi osoby.

Wśród zmartwychwstałych była postać w szarym pasiaku, ofiara hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Kilkenny przypomniał sobie, że w czasie drugiej wojny światowej papież i jego koledzy z seminarium ukrywali w Krakowie przed nazistami polskich Żydów, i to zaledwie w odległości kilkudziesięciu kilometrów od obozu w Auschwitz.

- To męczennicy - powiedział. - Ludzie, którzy umarli za wiarę.

- Tak. Męczennicy wszystkich epok, w tym ofiary nazizmu, komunizmu i islamskich fanatyków religijnych. Chciałem, żeby pan ich zobaczył, ponieważ i dziś ciągle pojawiają się nowi męczennicy. A teraz proszę usiąść, porozmawiamy.

Kilkenny wrócił do krzesła i usiadł obok kardynała.

- Proszę mu opowiedzieć o pożarze - powiedział papież do Do-nohera.
- Przypuszczam, że słyszałeś o pożarze teatru w Pekinie w sierpniu tego roku?

Kilkenny potwierdził skinieniem.

- Budynek zamienił się w śmiertelną pułapkę dla widzów, bo wszystkie wyjścia były zablokowane. Potworny wypadek.
- To nie był wypadek - wyjaśnił Donoher. - A prawie wszystkie ofiary należały do Kościoła rzymskokatolickiego.

Papież pochylił głowę.

- Ponad pięciuset męczenników.
- W oczach rządzących Chińską Republiką Ludową chrześcijaństwo i demokracja stanowią największe zagrożenie dla ich uprzywilejowanej pozycji - kontynuował Donoher. - Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku komuniści zdobyli władzę nad krajem, początkowo chcieli w ogóle wykorzenić religię. Ponieważ im się to nie udało, postanowili objąć ścisłą kontrolą wszelkie praktyki religijne, wszelkie nauki, jakich mogli wysłuchiwać wierni. Przed tamtejszymi katolikami został postawiony wybór: albo będą wyznawali swą wiarę pod dyktando Kościoła lojalnego w stosunku do państwa, albo zejść do podziemia, ryzykując w najlepszym wypadku prześladowania. Przez ostatnie dwadzieścia lat podejmowaliśmy wiele wysiłków w celu polepszenia relacji między Pekinem a Stolicą Apostolską, lecz nasze działania okazały się nieskuteczne. Katolicyzm

obrzędki rzymskiego nadal pozostaje w Chinach nielegalny, a okrucieństwo, z jakim traktuje się naszych chińskich braci, nie może się równać z niczym, czego Kościół doświadczył od czasów wczesnego chrześcijaństwa.

- Pobicia, gwałty, wtrącanie do więzienia, egzekucje. - Głos papieża zadrżał, gdy recytował tę litanię grzechów. - To wojna tych, którzy wierzą, z bezbożnymi.

- Prześladowania ze względów religijnych to dla przedstawicieli wielu wyznań w Chinach chleb powszedni - dodał Donoher. - Zaś powodem, dla którego tak wielu chińskich katolików pozostaje przy swojej wierze, jest postawa biskupa Szanghaju Yina Daominga.

- Nigdy o nim nie słyszałem - wyznał Kilkenny.

45

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Donoher. - Biskup Yin jest właściwie nieznanymi poza Chinami, poza tym został wtrącony do więzienia wkrótce po tym, jak przyszedł na świat. Yin urodził się w czasie wojny w katolickiej rodzinie, a po przejęciu władzy przez komunistów kształcił się na księdza w tajemnicy. Jako podziemny kapłan odegrał kluczową rolę w podtrzymywaniu społeczności katolików w czasie Rewolucji Kulturalnej. Dzięki swoim zasługom został mianowany biskupem i natychmiast znalazł się na celowniku Pekinu. Gdy rządowa sieć zaczęła się wokół niego zacieśniać, zaoferowano mu możliwość ucieczki z Chin. Yin odmówił opuszczenia swoich wiernych i w końcu został aresztowany oraz osadzony w więzieniu.

Był w teatrze tego samego wieczora, kiedy wybuchł pożar. Władze wprowadziły go na scenę i zażądały, by wyrzekł się Jego Świątobliwości i Kościoła rzymskokatolickiego.

- Domyślałam się, że odmówił.

- Można powiedzieć, że pierwsze kazanie, jakie wygłosił od niemal trzydziestu lat, było zwięzłym streszczeniem jego poglądów w tym względzie - wyjaśnił z podziwem Donoher. - „Niech żyje Chrystus Król. Niech żyje papież”.

- Hwong wypowiedziała przed śmiercią te same słowa.

- Za to wyznanie wiary ona i wielu innych chińskich katolików gotowych jest zginąć. W Chinach pozostało czterdziestu biskupów lojalnych w stosunku do Rzymu. Wszyscy przebywają w więzieniach, aresztach domowych lub się ukrywają. Niektórzy zniknęli bez śladu.

Paradoksalnie, wielu biskupów Kościoła oficjalnego przed przyjęciem święceń zwróciło się do papieża z prośbą o błogosławieństwo i uzyskało je. Zagmatwane stosunki między Kościołem a państwem w Chinach to po prostu jeden wielki koszmar.

W czasie opowieści Donohera papież był pogrążony w modlitwie. Gdy kardynał skończył, Ojciec Święty otworzył oczy i położył dłoń na ramieniu Kilkenny'ego.

- Chciałbym się teraz z panem podzielić dwiema bardzo ważnymi tajemnicami. Czy mogę panu zaufać, że zachowa je pan we własnym sercu?

- Oczywiście, Wasza Świątobliwość - zapewnił poważnym tonem

Kilkenny.

46 Poczul, że dłoń na jego ramieniu zaciska się, i pomyślał, że uścisk papieża jest zadziwiająco silny. Ojciec Święty spojrział na niego swoimi stalowobłękitnymi oczami. Kilkenny dostrzegł w nich cały wewnętrzny ogień, który rozpalał tego świętego człowieka.

- Kardynał Donoher wie wszystko o Kościele w Chinach i w innych zakątkach świata, ponieważ należy to do jego obowiązków. Jest szefem watykańskich służb wywiadowczych. - Papież przerwał na chwilę, żeby wziąć oddech i pozwolić Kilkenny'emu oswoić się z przekazaną mu informacją. - Niewiele osób zostało dopuszczonych do tej pierwszej tajemnicy, a treść drugiej aż do tej chwili znałem tylko ja. Yin Daoming jest kardynałem Kościoła rzymskokatolickiego. - Papież położył drugą dłoń na swoim sercu. - Ponad dwadzieścia lat temu mianowałem go kardynałem *in pectore*.

- Nolanie - powiedział śmiertelnie poważnym tonem Donoher. -Jego Świątobliwość okazał nam najwyższe zaufanie, zdradzając tę tajemnicę. Możesz być pewny, że gdyby dowiedział się o niej Pekin, los Yina byłby przesądzony.

- Nie narażę kardynała Yina - przyrzekł Kilkenny, nie odrywając wzroku od oczu Ojca Świętego.

- Wyjawiłem panu to wszystko, żeby mógł pan zrozumieć, jak ważne jest to, o co zostanie pan poproszony, a także dlaczego z tą trudną do spełnienia prośbą zwracam się do pana osobiście.

- Co mam zrobić? - zapytał bez wahania Kilkenny.

- Wola Kościoła katolickiego jest, by Yin Daoming był wolny.

Chciałbym, żeby dopomógł pan kardynałowi Donoherowi uczynić kardynała Yina znów wolnym człowiekiem.

- Znajdę sposób, Wasza Świątobliwość.

Papież uśmiechnął się, tak jakby brzemię, które dźwigał na swych barkach, nagle stało się nieco lżejsze. Odsunął dłoń i spojrzał na Donohera.

- Mam jeszcze jedną sprawę do omówienia, kardynale. Nasz brat w Chrystusie, kardynał Mizzi, w grudniu będzie obchodził osiemdziesiąte urodziny. Dobrze służył Kościołowi, ale czuję, że nadszedł czas, by zwolnić go z odpowiedzialności związanej z jego stanowiskiem.

- To smutny dzień dla Kościoła - zgodził się Donoher - ale nasz brat rzeczywiście zasłużył na odpoczynek.

- Od tej chwili ty jesteś nowym kamerlingiem, kardynale.

Kamerlingiem... Jeżeli Kilkenny się nie mylił, jako kamerling

Donoher miałby objąć władzę w Watykanie po śmierci papieża aż do

momentu wyłonienia jego następcy. Ten mający za sobą długą tradycję

urząd niegdyś wiązał się z ogromną władzą, choć obecnie był w znacznym

stopniu honorowy. Na pewno jednak poważnie podnosił pozycję

Donohera w hierarchii politycznej Watykanu.

- Wasza Świątobliwość... - zaprotestował kardynał.

Papież podniósł dłoń, uciszając Donohera.

- Rozumiem twoją chęć, by zachowywać pozory i nie okazywać

na zewnątrz swej władzy, ale na pierwszym miejscu należy stawiać

potrzeby Kościoła.

Donoher skinął głową, akceptując decyzję papieża.

- Będę się modlił, aby Bóg pozwolił mi okazać się godnym tak

wielkiego zaufania.

Po SPOTKANIU z PAPIEŻEM DONOHER zaprowadził Kilkenny'ego z powrotem do

swojego biura, gdzie mogli porozmawiać bez przeszkód. Kardynał

zamówił skromny posiłek i zaproponował rodakowi vernor-sa, którego

wyjął z lodówki.

•Można to dostać w Rzymie? - zdziwił się Kilkenny, otwierając puszkę

piwa imbirowego, dystrybuowanego głównie w Michigan.

•Kardynał z Detroit troszczy się o moją spizarkę - wyjaśnił Donoher,

rozsiadając się w starym skórzanym fotelu i wskazując Kilkenny'emu

kanapę. - Podejrzewam, że masz do mnie kilka pytań.

- Watykański wywiad?

Donoher się roześmiał.

- Brzmi trochę groźnie, ale w sumie to nic takiego. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że wielu autorów powieści sensacyjnych oraz wyznawców spiskowej teorii dziejów nie zgodziłoby się z tym stwierdzeniem, lecz prawda jest taka, że na rozkazy papieża bynajmniej nie czeka najpotężniejsza organizacja szpiegowska na świecie. Owszem, kiedyś, jeszcze w czasach państwa kościelnego, Ojciec Święty miał swoich żołnierzy i szpiegów, ale od ponad stu lat już ich nie potrzebu-

je. Kiedy zostałem mianowany na swój urząd, wywiad watykański był tylko małą, niedofinansowaną i cierpiącą na braki kadrowe komórką w ramach kościelnej administracji. Papież Leon wyznaczył mi zadanie stworzenia od podstaw nowoczesnej instytucji, której zadaniem jest skuteczne gromadzenie i analiza informacji.

- Czyli jesteś szefem wywiadu papieża?

- W żadnym razie - powiedział Donoher i znowu się roześmiał. -

Przypominamy raczej *think tank* niż katolickie CIA i dlatego właśnie tutaj jesteś. Jeszcze jako komandos cieszyłeś się sławą osoby, która potrafi zorganizować coś takiego, o co prosi nas Jego Świątobliwość.

A skoro już o tym mowa, mam coś dla ciebie.

Donoher wyjął z kieszeni w sutannie niewielkiego pendrive'a.

- Co to jest? - zapytał Kilkenny, biorąc od niego urządzenie.

- Owoc ofiary złożonej dziś rano przez pannę Hwong.

- Ale przecież ci faceci zabrali jej wszystko, co miała przy sobie.

- Owszem, i wrócili do Pekinu przekonani, że ani Watykan, ani reszta świata nie dowie się, co tak naprawdę wydarzyło się w tamtym teatrze. Trzymasz w ręku nagranie tej tragedii, ale i coś znacznie więcej. Modlę się, żeby dzięki temu udało ci się uwolnić Yina.

Kilkenny poczuł, że nagle zaschło mu w gardle.

- Wykorzystałeś ją. Była dla ciebie tylko przynętą.

Donoher powoli skinął głową.

- Boję się nad jej śmiercią równie mocno jak ty, a może i bardziej, z

powodu roli, jaką odegrałem w tej sprawie. Decyzja należała jednak do niej. Wiedziała, że jeśli ma wypaść przekonująco, musi podjąć ryzyko.

- Czy ja też byłem częścią przedstawienia?

- Pomyślałem o tobie dopiero w ostatniej chwili. Wiedziałem, że Hwong naraża się na śmiertelne niebezpieczeństwo i byłem pewien, że zostanie zaatakowana już rano w czasie joggingu. Zadbałem, żebyście się spotkali, mając nadzieję, iż zwiększę w ten sposób jej szanse na przeżycie. Przepraszam, że bez twojej wiedzy naraziłem cię na ryzyko, ale było to absolutnie konieczne.

Kilkenny wpatrywał się w pendrive'a, zastanawiając się, czy jakakolwiek informacja może być tak cenna, by dotarcie do niej warte było ludzkiego życia.

- Skoro możemy teraz udowodnić, co tak naprawdę wydarzyło się w teatrze, dlaczego nie ogłosimy tego światu i za pomocą międzynarodowych nacisków nie wymusimy na władzach, żeby zwolniły kardynała z więzienia?
- Dzięki plikowi możemy obarczyć rząd w Pekinie winą za to, co się stało, ale nie łudźmy się, że w ten sposób jakoś na niego wpłyniemy - wyjaśnił Donoher. - Po masakrze na placu Tiananmen świat zapłonął oburzeniem, a mimo to chińskie władze wcale się nie przejęły. Tym razem również się nie ugną. Lepiej więc nie zdradzajmy się i zachowujmy tak, jakbyśmy nie znali prawdy. Świat dowie się o wszystkim, kiedy Yin będzie już wolny.

12 PAŹDZIERNIKA

KILKENNY UWAŻNIE PRZYGLĄDAŁ SIĘ HOLOGRAFICZNEMU OBRAZOWI GMACHU.
Budynek

przypominał długi, niemal pozbawiony okien blok betonu, a skrzydło, w

którym mieścił się oddział dla niebezpiecznych więźniów, stanowiło

zaledwie niewielką część dużego kompleksu zamieszkanego przez

skazańców. Większość więzienia Chifeng zajmowała cegielnia, w której

zmuszano osadzonych do potwornie ciężkiej pracy fizycznej, zdaniem

władz będącej jedyną metodą zreformowania niepokornych umysłów.

- Promień dwustu metrów - powiedział Kilkenny.

Komputer sterujący natychmiast zareagował na komendę głosową i

zmienił skalę, ukazując pozostałe budynki więzienia oraz część ota-

czającego je krajobrazu. Ten konkretny *laogai* położony był na terenach

zielonych na północ od miasta, z którym dzielił nazwę. W piecach

wytwórni, znanej również pod nazwą Xinsheng, powstawała niemal

połowa cegieł wykorzystywanych w półmilionowym Chifengu.

Model, który wyrastał z szerokiego na niecałe dwa metry stołu, za-

dziwiająco szczegółowo odtwarzał różne elementy więziennego kom-

pleksu. Od topografii okolicy aż po zawiasy drzwi i wyłączniki światła - w

komputerowej symulacji zostały uwzględnione wszystkie detale, jakie

tylko udało się pozyskać dzięki planom architektonicznym, zdjęciom

satelitarnym, a nawet wspomnieniom więźniów. Kilkenny mógł oglądać

więzienie w dzień lub w nocy, analizować grafik patroli

i dostaw, a także obserwować, jak stopniowo rosną w magazynach stopy cegieł po to tylko, by w każdy czwartek zniknąć w przepastnych paszczach wagonów towarowych.

Przebrnąwszy przez wszystkie informacje zgromadzone przez ludzi Donohera w Chinach, Kilkenny doszedł do wniosku, że brakuje mu tylko dwóch rzeczy: nie znał dokładnej lokalizacji celi Yina i nie miał jego aktualnego zdjęcia. Z dwóch fotografii, którymi dysponował, jedna została zrobiona na początku lat pięćdziesiątych, gdy biskup był młodym człowiekiem, a druga pozostawiała wiele do życzenia pod względem jakości, będąc tylko ziarnistym obrazem uzyskanym z nagrania pożaru w pekińskim teatrze.

Kilkenny stał oparty o stół holograficzny, przyciskając dłonie do grubej, pokrytej gumą stalowej obręczy otaczającej podstawę komory obrazowej, i zastanawiał się, w jaki sposób można by się przedrzeć przez strażników pilnujących dostępu do *laogai*. Obok, przy konsoli kilku wieloekranowych komputerów Mac Pro, siedział Bill Grinelli, przyjaciel Kilkenny'ego i etatowy guru komputerowy MARC. Grin w jednej dłoni trzymał filiżankę cappuccino, a drugą przebiegał po klawiaturze, odprawiając jakieś komputerowe czary-mary.

Na ksywkę Grina, czyli wyszczerzonego, Bill zasłużył sobie dzięki niezwykle lotnemu umysłowi oraz szelmowskiemu poczuciu humoru i szczyił się przezwiskiem niczym medalem. Chociaż był o kilka lat starszy od Kilkenny'ego, ciągle podchodził do życia z młodzieńczym

entuzjazmem właściwym dla studenta pierwszego roku college[^]. Resztę włosów zawiązywał z tyłu w brązowo-siwy kucyk, a wokół swego firmowego uśmiechu wyhodował kozią bródkę, tworzącą szpic, który bardzo lubił gładzić. Na ramieniu nosił tatuaż: psotnego elfa, siedzącego okrakiem na sierpie księżycy i rozrzucającego wokół siebie czarodziejski proszek.

Kilkenny bez większych problemów przekonał przyjaciela, by dołączył do zespołu mającego uwolnić Yin Daominga. Wystarczyło, że Grin obejrzał wideo z pożaru w Pekinie, i natychmiast zarezerwował bilet na najbliższy lot do Rzymu. Przyznał, że poczuł ukłucie zazdrości na wieść o prywatnej audiencji Kilkenny'ego u papieża, choć gdyby miał zdefiniować swoją postawę religijną, pewnie określiliby samego siebie jako kogoś między niepraktykującym katolikiem a agnostykiem. W każdym razie obaj przyjaciele podzielili między siebie obowiązki: Kilkenny miał opracować plan operacji, a Grin zająć się kwestiami technicznymi.

Wprawdzie Grin był nieco rozczarowany, kiedy stwierdził, że siedziba wywiadu watykańskiego nie znajduje się w żadnym z historycznych budynków należących do małego państwa, okazało się jednak, że brak zapierających dech w piersiach widoków i renesansowej aury w pełni rekompensuje fachowość i zapał do pracy watykańskich analityków oraz jakość narzędzi, które Kościół oddał im do dyspozycji. Centrala umieszczona w podziemiach budynku watykańskiego Studio del Mosaico, określanych przez jej pracowników jako katakumby, była z jednej strony

stylowa, z drugiej nowoczesna, a Kilkenny'emu i Grinowi zapewniono odpowiednią przestrzeń i wszelki sprzęt niezbędny do wykonania zadania.

•Jak ci idzie? - zapytał Kilkenny.

•Pohasałem sobie trochę po sieci komputerowej *laogai* i jej łączach z centralą w Pekinie, jestem więc prawie pewien, że dam radę trochę ich zająć, gdy twoja ekipa wejdzie do środka. A jeżeli Dono-her dostarczy mi kilku gości, którzy mówią po chińsku jak prawdziwi Chińczycy, to zrobię im taki burdel w jednostkach ratowniczych, że nie pozberają się przez następny chiński rok. Prosiłeś o zasłonę dymną. Nie ma sprawy.

•Przynajmniej jeden z nas ma się czym pochwalić.

•A ty ciągle walisz głową w mur? - zapytał Grin.

•Mogę ci nawet pokazać kilka guzów. Tak naprawdę da się to zrobić na dwa sposoby: twardy i miękki. Twardy oznacza paskudną strzelaninę i mnóstwo trupów. Żeby przeprowadzić na tak dużym terenie skuteczną akcję i porwać stamtąd więźnia, generalnie potrzebowalibyśmy kilku plutonów chińskich ochotników, wyszkolonych na komandosów. No i jest jeszcze parę drobiazgów, takich jak przeszmuglowanie w tajemnicy całej armii uzbrojonych ludzi czy wydostanie stamtąd Yina w jednym kawałku po rozpętaniu na miejscu piekła.

- Czy twoim zdaniem papież nie będzie miał nic przeciwko zabiciu kilku, no, może kilkunastu żołnierzy, żeby wydobyć Yina z więzienia?

•Jego stanowisko w kwestii wojen nie zmienia się od lat - odpo-

wiedział Kilkenny. - Możemy więc z góry przyjąć, że zawetuje każdy plan, w którym pojawi się wyrażenie „zakładane straty w szeregach wroga”.

- No a ten miękki sposób?

- Bawię się ciągle z systemem ich regularnych dostaw, ale problem polega właśnie na tym, że są regularne. Ten sam koleś każdego tygodnia przyjeżdża tam o tej samej porze tą samą ciężarówką. Gość zna strażników, strażnicy znają gościa.

- I jeżeli cokolwiek się zmieni, rozbudzona zostanie legendarna czujność chińskich strażników...

- Tę bestię z pewnością da się pokonać jakimś miękkim sposobem, ale konieczne jest znalezienie słabego punktu, który moglibyśmy wykorzystać... - Kilkenny nie dokończył i wbił wzrok w otaczający *laogai* step. - Gdyby tylko udało się wywieźć Yina kilkaset metrów za ogrodzenie, szanse na wydostanie go stamtąd wzrosłyby nagle do sześćdziesięciu procent. I rosłyby dalej z każdym pokonanym przez oddział kilometrem.

- Skoro regularne dostawy stanowią problem, to może pomyśleć o jakiejś nieregularnej? - zapytał Grin. - No dobra, znają gościa, który przywozi im ryż i pałeczki oraz tego, który zabiera cegły, tak?

-Tak.

- A co z transportem więźniów?

- To też jest zaplanowane - wyjaśnił Kilkenny.

- Chyba jednak nie do końca. Z tego co wiemy, ostatnia wycieczka Yina

była zaskoczeniem dla wszystkich.

Do Kilkenny'ego, który czytał wcześniej raport, nagle dotarło, że Grin ma rację. Podróż Yina do Pekinu i z powrotem nie była rutynowym transferem więźnia, ale wyjątkowym wydarzeniem. Natychmiast zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zorganizować akcję, dzięki której wjazd na teren więzienia i wyjazd nie wzbudziłyby niczyich podejrzeń.

- Widziałeś „Troję” ? - zapytał Kilkenny.

•Film czy przedmieścia Detroit? - Grin z kamienną twarzą odpowiedział pytaniem.

•Film. - Kilkenny nie zwrócił uwagi na zaczepkę.

54

•Książka była lepsza, ale czytałem ją tylko w oryginale, po grecku - stwierdził Grin bez cienia pyszałkowatości w głosie.

•Trojanie wpuścili zmajstrowanego przez Achajów konia, ponieważ myśleli, że to propozycja pokoju. Musimy wymyślić dla tych koleśków z więzienia coś, co przełkną bez zadawania pytań. To jedyny sposób.

13 PAŹDZIERNIKA

TRZY DNI PO SWOJEJ PIERWSZEJ AUDIENCJI KILKENNY PONOWNIE znalazł się w kaplicy Redemptoris Mater, tym razem w towarzystwie nie tylko Donohera, ale i Grina. Arcybiskup Sikora zapowiedział ich, po czym na znak papieża dyskretnie się wycofał. Już przed rozpoczęciem audiencji przygotowano trzy krzesła, które ustawiono w półkolu przed papieskim tronem.

- Proszę usiąść tutaj - powiedział papież do Kilkenny'ego, wskazując mu środkowe krzesło.

Kilkenny usiadł. Miejsce na prawo od niego zajął Grin, a na ostatnim krześle spoczął Donoher. Papież przez chwilę przyglądał się gościom, po czym skupił wzrok na Kilkennym.

•Kardynał Donoher twierdzi, że znalazł pan sposób na uwolnienie biskupa Yina. Proszę mi opowiedzieć o swoim pomysśle.

•Mój plan, Wasza Świątobliwość - zaczął Kilkenny - opiera się na jednym prostym założeniu: Pekin nie wypuści biskupa Yina z więzienia aż do jego śmierci. Władzom wydaje się obecnie wystarczać, że spędzi on resztę swoich dni w celi, ale biskup został skazany za swoje wykroczenia na karę najwyższą. W ramach chińskiego systemu sądowego rzadko dokonuje się egzekucji skazanych zaraz po ogłoszeniu wyroku. Władze dają nieszczęśnikom szansę na poprawę przez lata ciężkiej pracy. Jeżeli po takim okresie próbnym sąd uzna, że nastąpił pewien postęp, kara śmierci zostaje zamieniona na

dożywotnie wię-

S6

zienie. Jeżeli nie, dochodzi do egzekucji. Ponieważ jak dotąd nikt nawet nie próbował reformować biskupa Yina, jego wyrok śmierci ciągle obowiązuje. Więzień w jego sytuacji może być stracony każdej chwili. To tylko kwestia podpisania jednego czy dwóch papierków.

- Rozumiem, że proponuje pan podstęp - zareagował żywo pa-
pież.

•Tak, Wasza Świątobliwość. Papież uśmiechnął się
kospiracyjnie.

•Proszę kontynuować.

•Do niedawna w Chinach egzekucje wykonywano, po prostu strzelając
skazańcowi w tył głowy. Ale władze, pragnąc usprawnić system i
nadać mu znamiona humanitaryzmu, zaczęły ostatnio stosować
zastrzyki trucizny - wyjaśnił Kilkenny. - Ponieważ jednak większość
chińskich więzień nie dysponuje sprzętem do wykonania tego rodzaju
egzekucji, zorganizowano tam całą flotę przenośnych cel śmierci,
przewożonych na ciężarówkach. Proponuję, by zmontować właśnie
taką ciężarówkę, wjechać nią prosto do więzienia Chifeng i przedsta-
wić jego władzom nakaz egzekucji Yin Daominga. Biskup zostanie
wprowadzony do ciężarówki, rzekomo stracony, a potem wywieziony
z kraju.

•A co z Pekinem? - zapytał papież. - Władze nie zorientują się, że
egzekucja była zainscenizowana?

•W końcu tak. Ale parafrazując stare irlandzkie błogosławieństwo, „niechaj Yin będzie po drugiej stronie granicy na dwie godziny przed tym, zanim Chińczycy dowiedzą się, że wcale nie jest trupem". Jak w każdej biurokracji, obieg dokumentów zajmuje tam jakiś czas. Liczę na to, że uda nam się go jeszcze wydłużyć. Mój współpracownik, pan Grinelli, wymyślił kilka sztuczek, dzięki którym Pekin pozostanie przez jakiś czas ślepy i nie zorientuje się, co właśnie się wydarzyło w Chifengu.

•Czy to prawda? - zapytał Grina papież.

•Wprawdzie w ostatnich latach Chiny wydały mnóstwo pieniędzy na systemy komunikacyjne najnowszej generacji, ale nie kupiły niczego, czego nie potrafiłbym ukołysać do snu.

•Zrobimy wszystko, żeby ochronić Yina oraz ludzi, których po niego wyślemy - obiecał Kilkenny.

57

Papież pochylił głowę i zastanawiał się przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał na Donohera.

•A co ty o tym myślisz, kardynale? - zapytał.

•Wasza Świątobliwość, uważam, że ten plan może się powieść. Jest prosty, a jego realizacja zakłada użycie raczej przebiegłości niż przemocy. Możliwe, że kiedy Pekin zda sobie sprawę, co się dzieje, biskup Yin będzie już w Rzymie.

Papież przyjął opinię Donohera skinieniem głowy, po czym wsunął prawą dłoń w lewy rękaw szaty i wyciągnął złożony na trzy części

dokument.

- Przewidując, że zrobicie to, o co was prosiłem, przygotowałem list, w którym wyrażam zgodę na przeprowadzenie misji. Jest spisany moją ręką i opatrzony papieską pieczęcią.

Papież przekazał dokument Donoherowi, po czym spojrzał znowu na Kilkenny'ego. W kąciku jego ust pojawił się szelmowski uśmiezek, a oczy zaiśniły ciepłym blaskiem. Uniósł palec wskazujący i poglądał nim Amerykaninowi.

- Kiedy się okrada smoka, dobrze być już daleko, gdy bestia się zbudzi.

14 PAŹDZIERNIKA

PAPIEŻ SIEDZIAŁ W MILCZENIU W KAPLICY REDEMPTORIS MATER, powoli przesuwając w dłoniach gładkie paciorki starego różańca. Od czasu do czasu przerywał modlitwę, zwracając myśli w stronę Niepokalanego Serca Maryi. Wierzył, że to interwencja Matki Najświętszej ocaliła mu życie, gdy na początku pontyfikatu dosięgła go kula zamachowca.

Modlił się jak co dzień przez całe długie życie, oddając się wierze, która pomogła mu przetrwać lata cierpień oraz przez ponad ćwierćwiecze dźwigać brzemień następcy świętego Piotra, który zresztą spoczywał nieopodal pod ołtarzem bazyliki. Wiedział, że pewnego dnia również jego ciało zostanie złożone do krypty, dołączając do kości tych wszystkich, którzy piastowali przed nim urząd biskupa Rzymu.

W czasie modlitwy usłyszał nagle jakiś daleki dźwięk, przywodzący na myśl falę rozbijającą się o brzeg. Pomyślał, że to tylko ruch uliczny gdzieś na zewnątrz, i wrócił do modłów. Ale fale nadal atakowały plażę, a każda z nich była głośniejsza i silniejsza, aż wreszcie szum wody całkowicie pochłonął papieża. I nagle nastała cisza.

-Jędrek! - zawołał cicho znajomy głos.

Usłyszawszy zdrobnienie, którym nazywali go tylko członkowie rodziny i przyjaciele, Ojciec Święty przerwał modlitwę. Wyczuł w powietrzu łagodny zapach kwiatów - taki, jaki unosi się w ogrodzie na wiosnę.

- Jędrek! - wyraźniej powtórzył głos. Zdawał się pełen przejęcia

i doskonale znamy, choć rodem z odległej przeszłości.

Papież podniósł wzrok i zobaczył kobietę o jasnych włosach i niebieskich oczach, ubraną w prostą sukienkę. Stała przy ołtarzu, a powietrze wokół niej zalała nagle eteryczna poświata. Kobieta była młoda i piękna, dokładnie taka, jaką ją zapamiętał.

- Mamusia! - powiedział papież Leon, a jego głos aż załamał się z radości. Ostatni raz widział ją miesiąc przed swoimi dziesiątymi urodzinami. - Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Zawsze byłam przy tobie, mój synu. Twoja długa podróż właśnie się skończyła. Podaj mi rękę.

Papież poczuł, że jego starcze ciało nabiera energii, której mu brakowało w ostatnich latach życia. Wstał i wyprostował się. Zrobił pierwszy krok, potem drugi - oba pewne i zdecydowane. Spojrzał na siebie. Jego ręce znowu należały do młodego mężczyzny, a na szczupłe ciało miał narzuconą czarną sutannę. Mimo tego, jak dziwnie ułożyła się ścieżka jego życia, która zawiodła go ze starego drewnianego kościoła na polskiej wsi aż do dumnych komnat Watykanu, Andrzej Bojnaro-wicz zawsze uważał się tylko za prostego księdza.

Młody duchowny odwrócił się i zobaczył dawnego siebie - a właściwie poczwarę, pustą niczym grób Chrystusa po Jego zmartwychwstaniu.

Oblicze martwego papieża zdobiła radość, wymalowana widokiem matki.

- Chodźmy, Jędrzek - powiedziała z uczuciem kobieta. - Czas ruszać w drogę.

Andrzej Bojnarowicz po raz pierwszy od czasów, kiedy był małym chłopcem, wziął matkę za rękę. Poczł jej ciepłó i miłóść i podążył za nią w stronę światła.

ARCYBISKUP SIKORA WSZEDŁ DO KAPLICY, ŻEBY PRZYGOTOWAĆ papieża do porannej narady z kardynałem przewodniczącym watykańskiej Komisji Pontyfikalnej. Miał ze sobą palmtopa z wpisanymi do kalendarza spotkaniami, czasem umówionymi z wielomiesięcznym wyprzedzeniem.

- Wasza Świątobliwość - powiedział, podchodząc do Leona XIV.

Brak odpowiedzi nie zdziwił go; papież modlił się i sypiał naprawdę głęboko. Sikora okrążył fotel i nagle zauważył wyraz twarzy Ojca Świętego. Palmtop upadł na podłogę.

- Jędre! - zawołał odruchowo Sikora.

Przyłożył siedzącemu do szyi dwa palce. Skóra była zimna w dotyku, arcybiskup nie wyczuł też pulsu. Podniósł z podłogi palmtopa i dziękując Bogu, że urządzenie ciągle działa, wystukał na klawiaturze numer do osobistego lekarza papieża.

DONOHER WSZEDŁ DO APARTAMENTÓW PAPIESKICH i udał się prosto do sypialni.

Tuż za nim podążali prałaci, sekretarz i kanclerz Kamery Apostolskiej oraz mistrz papieskich ceremonii liturgicznych - wszyscy ci, których obecność była niezbędna, żeby oficjalnie stwierdzić śmierć papieża. Ciało Ojca Świętego leżało na wznak, ubrane w śnieżnobiałą

61

sutannę. Donoher natychmiast zauważył na jego twarzy błogosławiony spokój. Papież miał lekką śmierć.

Przy łożu stali arcybiskup Sikora, osobisty lekarz papieża oraz kilku członków jego świty.

• Wasza Eminencjo - przywitał się Sikora i podszedł do Donohe-ra,

żeby ucałować kardynalski pierścień.

• Michale, proszę - zachnął się kardynał. Nie miał zamiaru przejmować

się w takim momencie protokołem. - Znalazłeś go w kaplicy?

Sikora skinął głową, po czym wręczył Donoherowi aksamitny wo-

reczek z najważniejszymi papieskimi pieczęciami.

• Powinniśmy się modlić, żeby każdy z nas mógł spotkać się z Bogiem

w miejscu, które przynosi tak wielki spokój. - Donoher spojrział na

lekarza. - Czy ustalił już pan czas i przyczynę zgonu Ojca Świętego?

• Tyle tylko, że Jego Świątobliwość zmarł między szóstą a siódmą

wieczorem. Odbarwienia na czole sugerują, że przyczyną śmierci był

rozległy wylew krwi do mózgu. Zgon nastąpił niemal natychmiast.

Donoher przytrzymał rękę lekarza w obu swoich dłoniach.

• Doktorze, pan i pańscy ludzie zasłużyli na moją dozonną

wdzięczność za to, co zrobiliście, by złagodzić jego cierpienia w

ostatnich latach. Zawsze będę się za was modlił.

• *Grazie, Wasza Eminencjo, grazie.*

Lekarz i Sikora odsunęli się od łoża, dołączając do osób, które weszły

do sypialni razem z Donoherem. Kardynał musiał teraz wypełnić swój

pierwszy obowiązek jako kamerling. Podszedł do ciała Ojca Świętego i

głaszcząc po policzku swego przyjaciela, zmówił krótką modlitwę. Po

chwili odwrócił się do zgromadzonych w pokoju.

- Od czasów średniowiecza aż do ubiegłego wieku - powiedział

uroczystym tonem - kardynał kamerling stwierdzał śmierć papieża,

uderzając trzy razy w jego czoło srebrnym młoteczkiem. Po każdym uderzeniu wzywał papieża po imieniu i pytał go, czy jest martwy.

„*Universi Dominici Gregis*” nie wspomina jednak o tym starodawnym rytuale, a zatem nie widzę potrzeby, by kalać dalej ciało tego wielkiego człowieka. Stwierdzam niniejszym, że papież Leon XIV naprawdę nie żyje.

Uniósł z ogromnym szacunkiem prawą dłoń papieża i zdjął z jego palca złoty pierścień Rybaka. Przypomniawszy sobie w tym momencie o liście, który papież wręczył mu poprzedniego dnia - był to prawdopodobnie ostatni dokument przypieczętowany tym sygnetem. Włożył pierścień do woreczka z pieczęciami. W czasie pierwszego spotkania z obecnymi w Watykanie kardynałami miał złamać te symbole władzy papieskiej.

Odwrócił się do kanclerza Kamery Apostolskiej.

- Czy ma pan świadectwo zgonu?

T- Mam, Wasza Eminencjo.

Donoher wziął od niego oprawioną w skórę teczkę i gestem zaprosił lekarza do gabinetu papieża. W teczce znajdował się arkusz białego pergaminu, na którym zapisano po łacinie oficjalne orzeczenie śmierci Jego Świątobliwości. Donoher i lekarz złożyli poniżej podpisy i tym samym rytuał został dopełniony.

Stawiając zawijas przy literce „r” swojego nazwiska, Donoher poczuł, jak ogromny ciężar wiąże się z jego nowym urzędem. W tej chwili na jego barkach spoczął święty obowiązek ochrony Stolicy Apostolskiej i

administrowania wszelkimi jej dobrami i doczesnymi prawami. Aż do wyboru nowego papieża kardynał kamerling miał pozostać najpotężniejszym człowiekiem w całym Kościele rzymskokatolickim.

- Mogą już zacząć przygotowywać ciało - zakomunikował Sikora.

- Doktorze, czy widzi pan potrzebę dalszych badań? - zapytał

Donoher.

Po śmierci poprzedniego papieża, którego pontyfikat trwał zaledwie trzydzieści trzy dni, pojawiły się pewne kontrowersje. Ci, którzy rozsiewali plotki, że Ojciec Święty mógł zostać zamordowany, wskazywali na pośpiech, z jakim zabalsamowano ciało zmarłego, na dowód, iż Watykan ma coś do ukrycia. Gdyby prawda o słabym zdrowiu papieża była szerzej znana kolegium kardynałów, nigdy nie zostałby wybrany.

•Przyczyna śmierci papieża jest oczywista - zawyrokował lekarz.

•W takim razie zezwalam, by przygotować jego ciało do wiecznego odpoczynku.

Po tym jak zabrano ciało, Donoher wyprosił wszystkich z sypialni oraz gabinetu i zabezpieczył oba pomieszczenia. Mieszkający w tej części pałacu członkowie osobistej świty zmarłego papieża mogli po-

63

zostać w swoich pokojach aż do pogrzebu. Później cały pałac miał stać pusty aż do wyboru nowego papieża.

Donoher energicznym krokiem opuścił papieskie apartamenty.

Następne tygodnie miały należeć do najcięższych w całym jego życiu - lista obowiązków i zadań kamerlinga była ogromna.

Otworzył klapkę telefonu komórkowego i zadzwonił do kardynała wikariusza Rzymu. Po uzyskaniu od Donohera oficjalnego potwierdzenia, to on miał wziąć na siebie smutny obowiązek wygłoszenia jeszcze tego samego wieczoru specjalnego oświadczenia. Plotka o śmierci papieża rozeszła się już po mieście i pod murami Watykanu stały ekipy agencji informacyjnych z całego świata.

Po drodze do swojego gabinetu Donoher zatelefonował w jeszcze jedno miejsce - tym razem do kardynała archiprezbitra bazyliki watykańskiej, który miał rozpocząć przygotowania do pogrzebu papieża. Ka merling wyciągnął teczkę otrzymaną od swego poprzednika i przebiegł wzrokiem listę zadań, które musiał natychmiast wykonać. Przez całe życie Donoher nie dorobił się nawet mieszkania. W ciągu następnych kilku godzin miał wziąć w posiadanie Pałac Apostolski oraz rezydencje na Lateranie i w Castel Gandolfo.

„No i jest jeszcze” - przypomniał sobie - „sprawa Yin Daominga”.

15 PAŹDZIERNIKA

NASTĘPNEGO RANKA O ŚMIERCI PAPIEŻA WIEDZIAŁ JUŻ CAŁY ŚWIAT. Kilkenny i Grin

usłyszeli o wszystkim minionego wieczoru przy kolacji. Na ekranie

telewizora postawionego na stoliku w kącie niewielkiej restauracji pojawił

się nagle kardynał wikariusz i właścicielka restauracji wybuchnęła

płaczem. Kobieta nie mogła się uspokoić - jak miliony innych katolików

głęboko odczuła stratę charyzmatycznego przywódcy, który tak długo stał

na czele Kościoła. Żałoba z powodu śmierci papieża okryła całunem

Rzym, każąc nagle zwolnić przeważnie zagonionemu Wiecznemu Miastu.

Teraz Kilkenny siedział przygarbiony przy stole obrazowym. Położył

dłonie na jego brzegu i oparł o nie policzek. Wpatrywał się w holo-

graficzne odbicie korytarzy i pokojów skrzydła, w którym uwięziony był

Yin. Przez niemal przezroczyste świetlne ściany widział wyraźnie układ

rur i przewodów oplatających cele, ale nie potrafił skupić się na szczegó-

łach. Morderstwo Hwong i męczeńska śmierć chińskich katolików nadal

wzbudzały w nim gniew, a przecież jego umysł ciągle jeszcze nie zdołał

pogodzić się z niedawnym odejściem żony i syna. W dodatku człowiek, w

którego intencji modlił się w każdą niedzielę, odkąd tylko sięgał pamięcią,

człowiek, którego spotkał tylko dwa razy, ale którego wewnętrzna siła

wywarła na nim ogromne wrażenie - człowiek ten nie żył.

Żeby dotrzeć tego ranka do bramy Petriano, Kilkenny i Grin musieli

przedzierać się powoli przez tłum, który wylał się szeroko poza

granice placu Świętego Piotra i szczelnie wypełnił ulice wokół Watykanu.

Nieważne było, że nikt nie mógł nic zobaczyć - dla zgromadzonych ludzi liczyło się tylko to, że byli tam w takiej chwili.

Posępny nastrój tłumu przypominał Kilkenny'emu widok stadionu

Michigan po kilku bolesnych porażkach, gdy tysiące wyczerpanych

emocjonalnie kibiców wlokło się noga za nogą do domów, mając

świadomość ostatecznie pogrzebanych szans na zwycięstwo w sezonie.

Zdawał sobie sprawę, że to nie najlepsza analogia, ale przecież był za

młody, żeby pamiętać takie wydarzenia, jak zabójstwo prezydenta

Kennedy'ego czy Martina Luthera Kinga, i po prostu trudno mu było do

czegokolwiek porównać żałobę, która opanowała tak ogromne tłumy.

Nawet w odciętych od zewnętrznego świata katakumbach panował

przygnębiający nastrój.

Zabuczał magnetyczny zamek i otworzyły się drzwi. Kilkenny i Grin

obejrzeni się. Do pokoju wszedł Donoher. Wyglądał tak, jakby nie spał

przez całą noc, a z jego twarzy można było wyczytać, że nie spodziewa się

w najbliższym czasie nadrobić zaległości.

- Proszę - powiedział Kilkenny, podsuwając mu krzesło. - Wolę

nawet nie myśleć o tym, przez co przechodzisz.

Donoher skinął z wdzięcznością głową i usiadł, wzdychając ciężko.

•Jestem głową Kościoła rzymskokatolickiego zaledwie od kilku

godzin, a już mam zamiar ogłosić na samym wstępie konklawe, że nie

życzę sobie zostać papieżem i przyrzekam wszystko, co najgorsze,

temu kardynałowi, który ośmieli się na mnie zagłosować.

- Aż tak źle? - zapytał Kilkenny.

- Nie będę cię zarzucał szczegółami, powiem tylko, że nigdy nie nosiłem tak ciężkiego krzyża. Ale mimo wszystkich moich bieżących obowiązków ani przez chwilę o was nie zapomniałem. Jak myślicie, uda wam się szybko wprowadzić plan w życie?

- Najtrudniejsze jest szkolenie. Ludzie, których tam wyślę, muszą się bardzo dobrze poznać, a na to potrzeba czasu - powiedział Kilkenny, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Sześć tygodni, może miesiąc, jeżeli naprawdę się przyłożymy.

- Obawiam się, że to za długo - oświadczył Donoher. - Śmierć papieża sprawiła, że zegar zaczął tykać.

66

- Jaki zegar? - zapytał Grin.

- Za piętnaście dni - wyjaśnił Donoher - kardynałowie elektorzy zgromadzą się na konklawe i wybiorą następnego papieża.

- A co my mamy z tym wspólnego? - zdziwił się Grin, nie widząc związku.

- Przeprowadzenie tej akcji zlecił mi papież Leon - zaczął tłumaczyć Donoher. - Dopóki żył, mieliśmy jego błogosławieństwo. Wraz z jego śmiercią odpowiedzialność za wszelkie doczesne sprawy związane z Kościołem spadła na mnie, jako kamerlinga. Ponieważ w kwestii biskupa Yina jestem tego samego zdania co zmarły papież, możemy kontynuować misję.

Kilkenny natychmiast zrozumiał, na czym polega dylemat Do-nohera.

- Ale jesteś szefem tylko do momentu wyboru nowego papieża.

- Czyli być może zaledwie przez piętnaście dni - powiedział kardynał. -

A jeżeli nowemu papieżowi nie spodoba się nasz pomysł, będzie po akcji.

-1 po Yinie - dodał Grin.

Kilkenny wpatrzył się w model więzienia, wyobrażając sobie ciemną, ciasną celę, w której kilkadziesiąt lat życia Yina zamieniło się w czystą udrękę. niesprawiedliwość, jaką było wtrącenie biskupa do lochu, wyprowadzała Kilkenny'ego z równowagi i podsycala jego pragnienie, by znaleźć sposób na uwolnienie kapłana. W porównaniu z nowotworem, który zabrał mu żonę i dziecko, ściany więzienia Chifeng wydawały się łatwiejszym przeciwnikiem. Mając opracowany plan, Kilkenny nie potrafił pogodzić się z tym, że niespodziewana śmierć papieża być może skazała Yina na spędzenie reszty życia w tym betonowym klocku.

- Piętnaście dni - warknął przez zaciśnięte zęby. W myślach gorączkowo próbował zmieścić poszczególne etapy planu w tym zdecydowanie za krótkim czasie.

- Piętnaście dni to najgorsza z możliwości - dookreślił Donoher. - Jeżeli w czasie konklawe dojdzie do impasu, ten czas trochę się wydłuży.

- O ile? - zapytał Grin.

- Maksymalnie o trzydzieści głosowań, czyli kolejne dwa tygodnie.

Potem Konstytucja Apostolska zezwala na zmianę zasad wyboru. Zamiast próbować osiągnąć większość dwóch trzecich głosów, elektorzy

mogą się opowiedzieć za absolutną większością lub za dogrywką między dwoma kandydatami, którzy w ostatnim głosowaniu uzyskali największe poparcie. Zasada ta ułatwia bardziej kompromisowemu kandydatowi skupienie wokół siebie odpowiedniej liczby zwolenników, przełamanie impasu i wygranie wyborów.

- Mimo to nie możemy liczyć na impas - powiedział Kilkenny.

- Musimy uwolnić Yina w ciągu pierwszych piętnastu dni.

•Przecież przed chwilą powiedziałeś, że potrzebujesz co najmniej miesiąca przygotowań - stwierdził Donoher. - W jaki sposób chcesz teraz zakończyć akcję w ciągu dwóch tygodni?

•Wykorzystując ludzi, którzy są wyszkoleni do tego typu roboty

- odparł Kilkenny.

•Najemnicy? - zapytał pełnym niedowierzania głosem kardynał.

•Ochotnicy - poprawił Kilkenny. - Jednostki specjalne i CIA. Tyle że będziemy potrzebować zgody na ich wykorzystanie. Powierzę własne życie wyłącznie komuś, komu bezgranicznie ufam.

Kilkenny mówił z oczami wbitymi ciągle w hologram więzienia

Chifeng. Komputerowo wygenerowany obraz rzucał upiorną poświatę na jego twarz, z której jednak zniknął już wyraz skupienia, rysy mu zelżały, wyrażając nadspodziewany spokój.

- Chyba nie masz zamiaru jechać do Chin? - przeraził się Donoher.

Kilkenny wzruszył ramionami.

•Tylko wtedy akcja się powiedzie. Grin zajmie się kwestiami

technicznymi bez mnie.

- Nie po to cię tutaj ściągałem - zaprotestował Donoher. - Twój ojciec nigdy mi tego nie wybaczy.

- A ja nie mógłbym wybaczyć samemu sobie, gdybym pozwolił Yinowi nadal gnić w więzieniu, wiedząc jednocześnie, że mogłem go stamtąd wyciągnąć. Doceniam twoją troskę o uczucia mojego ojca, ale ta misja nie różni się zbyt od tego, co robiłem jako komandos. Powinien to zrozumieć.

- Jest jeszcze szansa, że nowy papież zaaprobuje twój plan - dodał Donoher niemal błagalnym tonem.

68

- Postawiłbyś na to życie Yina? - zapytał Kilkenny.

Donoher przebiegł szybko w myślach *stepapabili* - kardynałów uważanych za faworytów w wyborach. Wszyscy byli dobrymi, głęboko religijnymi ludźmi, ale żaden z nich nie miał w sobie płomiennej determinacji zmarłego papieża. Większość, jeżeli nie wszyscy, uznałaby plan uwolnienia Yina za zbyt ryzykowny i stwierdziłaby, że może zostać uznany za prowokację.

- Nie - poddał się.

Kilkenny wstał i spojrzał na Donohera.

- Mamy więc prosty wybór: teraz albo nigdy.

- Myślę, że nie moglibyśmy lepiej uczcić pamięci papieża Leona - oświadczył Donoher - niż spełniając jego ostatnią prośbę.

DONOHER SIEDZIAŁ W KATAKUMBACH W DOSKONALE OŚWIETLONEJ sali konferencyjnej. Był sam. Na stole przed nim leżało w kilku stosach mnóstwo teczek, w których opisano różne czynności, jakie musiał podjąć Watykan przed zbliżającym się pogrzebem papieża i mającym po nim nastąpić konklawe. Po tym jak Leon XIV mianował Donohe-ra kamerlingiem, jego poprzednik, kardynał Mizzi, przekazał mu segregator, w którym przez lata przygotowań do tego właśnie dnia zgromadził wszelkie istotne informacje. Były tam między innymi kopie listów poprzednich kamerlingów, opisujących swoje doświadczenia z dawnych okresów interregnum. Donoher cieszył się, że może oprzeć się na mądrości ludzi wcześniej dźwigających ciężar, który spoczywał teraz na jego barkach.

Nagle zabuczał stojący na środku stołu konferencyjnego trójkątny głośnik. Donoher spojrzał na identyfikator dzwoniącego. Była to jego asystentka, siostra Debora.

- Tak, siostrze?
- Księżę kardynale, mamy połączenie wideo, o które ksiądz prosił.
- Dziękuję.

Kiedy Donoher odkładał na bok czytaną właśnie teczkę, na zajmującym sporą część przeciwległej ściany płaskim ekranie zamigotał obraz kontrolny z logo Stolicy Apostolskiej. Nieruchomy obraz wkrótce zniknął, a na jego miejsce pojawił się widok innej podziemnej sali

konferencyjnej, oddalonej od Watykanu o tysiące kilometrów. Na kardyнала patrzyło dwóch mężczyzn. Obaj byli szczupli i wysportowani jak na swój wiek. Ten po lewej miał całkowicie siwe włosy, u jego towarzysza siwizna widoczna była jedynie na skroniach. Ubrani byli w doskonale skrojone garnitury, a w klapie marynarki każdy miał wbitą szpilkę z amerykańską flagą. Donoher znał osobiście siwowłosego polityka; to dzięki dyrektorowi CIA udało mu się zaaranżować rozmowę. Bez problemu rozpoznał też człowieka siedzącego obok Jacksona Barnetta, choć rozmawiał z nim po raz pierwszy w życiu.

- Księżę kardynale - przywitał się prezydent. W jego głosie było wyraźnie słycać wiejski akcent z zachodniego Teksasu. - Na samym początku chciałbym złożyć najszczersze kondolencje swoje i narodu amerykańskiego z powodu śmierci papieża Leona. Miałem zaszczyt spotkać się z nim kilka razy i czerpać natchnienie z jego mądrości. Ojciec Święty był człowiekiem głębokiej wiary i miłosierdzia, obdarzonym ogromnym autorytetem, jednym z największych spośród wszystkich przywódców światowej sceny. Będzie nam go brakowało.

- W rzeczy samej, panie prezydencie, w rzeczy samej. Dziękuję panu za te uprzejme słowa.

- Uprzejme słowa przychodzą łatwo, jeśli są szczere. Dyrektor Barnett poinformował mnie, że chciałby ksiądz z nami omówić pewną delikatną kwestię.

- Zgadza się, panie prezydencie. Czy zna pan sprawę Yin Daomin-ga,

rzymskokatolickiego biskupa Szanghaju?

- Chiński dysydent - przypomniał sobie prezydent. - Od kilkudziesięciu lat siedzi w więzieniu za to tylko, że jest duchownym. Ma u nas w Stanach jakąś rodzinę, konkretnie w Connecticut. Razem z jednym z tamtejszych senatorów starałem się nakłonić Pekin do jego zwolnienia, ale rozmowy na ten temat do niczego nie doprowadziły.
- Mamy podobne doświadczenia - powiedział Donoher. - W sierpniu rząd chiński zamordował około pięciuset własnych obywateli, bezskutecznie próbując zmusić biskupa Yina do publicznego wyparcia się Kościoła rzymskokatolickiego i papieża. Tuż po tym incydencie Jego Świątobliwość polecił mi znaleźć sposób, by bez zgody władz uwolnić biskupa Yina.
- Pachnie mi to trochę małym skokiem na duże więzienie - zażartował cierpko prezydent.

71

- Tak, panie prezydencie. Opracowaliśmy plan, jak bez użycia siły uwolnić biskupa Yina. Tuż przed śmiercią papież Leon zezwolił na rozpoczęcie tej misji.
- Czy to dlatego Nolan Kilkenny jest teraz w Rzymie? - zapytał Barnett. Donoher skinął głową.
- Potrzebowałem osoby tak doświadczonej jak on, żeby przeanalizować problem i stwierdzić, czy nasz cel w ogóle jest osiągalny.
- Kilkenny - zamyślił się prezydent. Po chwili spojrzał na Barnet-ta. - Ten sam, który dorwał tych koleśki stojących za atakiem na waha-

dłowiec Liberty i tę chińską rakieta?

- Shenzhou 7, panie prezydencie - podpowiedział Barnett. - Owszem, dżentelmen współpracujący z kardynałem Donoherem to ta sama osoba, którą zapamiętał pan dzięki tamtemu incydentowi.
- Łebski gość - roześmiał się prezydent. - Wykonał kawał dobrej roboty, której zawdzięczamy odwilż w stosunkach z Chinami. Żadne trzęsienie ziemi, jasne, ale napięcie na pewno zelżało. Szkoda, że w tym temacie musimy trzymać buzię na kłódkę. Moim zdaniem Chińczycy wiszą Kilkenny'emu medal.
- To co proponujecie, rozwścieczy Pekin - powiedział do Dono-hera Barnett.
- Samo istnienie, mimo wszelkich przeciwności, Kościoła rzymskokatolickiego w Chinach rozwściecza Pekin. Uwalniając biskupa Yina, Stolica Apostolska nie ma nic do stracenia.
- Ale Stany Zjednoczone mogą stracić bardzo dużo, gdyby się okazało, że jesteśmy jakoś zamieszani w tę sprawę - zauważył Barnett.
- Eminencjo, jeżeli macie plan, który waszym zdaniem może wypalić, dlaczego zwracacie się z tym do nas? - zapytał prezydent. - Musicie przecież zdawać sobie sprawę, że choćby cień podejrzenia o zaangażowanie z naszej strony będzie się wiązał z poważnymi konsekwencjami pod względem politycznym.
- Śmierć papieża sprawiła, że czas zaczął działać przeciwko nam. W ciągu zaledwie piętnastu dni Kościół może mieć nowego papieża i wtedy dyrektywy przekazane mi przez Leona XIV najprawdopodobniej

zostaną anulowane. W tak krótkim czasie nie jesteśmy w stanie wyszkolić naszych własnych ludzi, przetransportować ich na miejsce i uwolnić biskupa.

- A skąd pewność, że nowy papież nie będzie chciał dokończyć tego, co zaczął Leon XIV?

- Panie prezydencie, pan chyba najlepiej zdaje sobie sprawę, jak trudno podejmuje się decyzje, które mogą narazić na szwank życie wielu ludzi. Papież Leon przez lata zastanawiał się, co zrobić w sprawie biskupa Yina, i dopiero po sierpniowej tragedii jego cierpliwość się wyczerpała. Obawiam się, że nowy papież, niezależnie od tego kto nim zostanie, również może potrzebować kilku lat, by dojść do podobnych wniosków. Tyle że biskup Yin prawdopodobnie tego nie doczeka.

- Czego wam trzeba? - zapytał prezydent.

- Wsparcia logistycznego i ludzi. Kilkenny chce osobiście poprowadzić akcję. Ma zamiar zebrać grupę ochotników, którym zapewnilibyśmy nowe tożsamości, ukrywając w ten sposób ich powiązania ze Stanami Zjednoczonymi.

-Jednostki specjalne - wyjaśnił Barnett. - Kilkenny służył w Navy SEAL i ciągle ma tam kontakty, na przykład z admirałem Dawso-nem.

- Myślałem, że plan Watykanu nie zakłada uciekania się do przemocy - zdziwił się prezydent.

- Bo nie zakłada, panie prezydencie - stwierdził Donoher. - Jeżeli wszystko odbędzie się bez komplikacji, Pekin w niczym się nie

zorientuje jeszcze długo po wywiezieniu biskupa z kraju przez Kilkenny'ego i jego ludzi.

•Ale jeżeli coś pójdzie nie tak, kilku doskonale wyszkolonych amerykańskich komandosów może zginąć lub dostać się do niewoli na terenie Chin. - Barnett pokręcił głową. - Panie prezydencie, to bardzo ryzykowny plan.

•Czy dobrze rozumiem, że ten cały skok był ostatnim życzeniem papieża Leona XIV? - zapytał prezydent.

- Owszem - odparł Donoher.

Prezydent zamyślił się głęboko.

- Uwolnienie biskupa Yina - powiedział po chwili - z pewnością może mieć ogromne znaczenie symboliczne, ale najważniejsze jest to, że zwykła ludzka przyzwoitość nakazuje pomóc bliźniemu w potrzebie. Jeśli nawet wkurzymy Pekin, cóż, jakoś sobie z tym poradzimy. Jackson, będziesz moimi oczami w tej operacji. Chcę, żebyś pomógł

kardynałowi Donoherowi, ale zadbaj też o to, żebyśmy w razie czego mieli zapewniony przynajmniej jakiś listek figowy i mogli się wszystkiego wyprzeć.

- Tak jest, panie prezydencie - odpowiedział Barnett.

- Księżę kardynale, życzę szczęścia przy tym szlachetnym przedsięwzięciu. Może uda nam się przez chwilę pogadać w Rzymie po pogrzebie. Papież Leon pozostawił po sobie wspaniałe dzieło.

- Nie mogę się doczekać, panie prezydencie.

LANGLEY, STAN WIRGINIA

Jackson Barnett wcisnął w windzie przycisk szóstego piętra. Czynność tę powtarzał w życiu tyle razy, że nie wymagała od niego udziału świadomości - i całe szczęście, ponieważ musiał zastanowić się nad bardzo trudnym problemem. Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej wiedział doskonale, że akcje, jakie kierowana przez niego instytucja podejmowała na terytoriach państw wrogo nastawionych do Stanów Zjednoczonych, wiążą się z ogromnym ryzykiem dla zaangażowanych w nie ludzi. A nic nie zasmucało Barnetta bardziej niż myśl o konieczności zwoływania w przestronnym hallu siedziby agencji kolejnego ponurego apelu, w czasie którego na białej marmurowej ścianie rzeźbiono nową czarną gwiazdę. Każda z nich symbolizowała agenta CIA, który zginął na służbie.

Drzwi windy otworzyły się i Barnett energicznym krokiem ruszył w stronę dyrektorskiego gabinetu.

•Połączenie gotowe? - zapytał, podchodząc do biurka swej asystentki, Sally Kirsch.

•Czekają na pana - odpowiedziała Kirsch.

Barnett wszedł do gabinetu i spojrzał na wiszący na ścianie płaski prostokątny ekran. Kiedy tylko znalazł się w polu widzenia umocowanej powyżej kamery, widoczne na monitorze osoby natychmiast przerwały rozmowę. Po prawej stronie podzielonego na pół ekranu widać było Kilkenny'ego, siedzącego prawdopodobnie w tej samej sali kon-

ferencyjnej, z której kilka godzin wcześniej łączył się z prezydentem Donoher. Ubrany w bluzę i dzinsy wyglądał na zmęczonego i trochę sfatygowanego, choć Barnett w ciągu minionych lat kilka razy widział go w o wiele gorszym stanie.

Obok Kilkenny'ego - wirtualnie, bo w rzeczywistości w sali konferencyjnej MARC w Ann Arbor w stanie Michigan - siedziała piękna młoda kobieta o długich czarnych włosach i migdałowych oczach. Roxanne Tao miała na sobie idealnie skrojony, szyty na miarę kostium.

Barnett wiedział, że jest ona profesjonalistką i wkłada wiele wysiłku w to, by wyglądać i zachowywać się odpowiednio do swojej roli. W klapę zakietu miała wpięty złoty znaczek w kształcie chińskiej litery oznaczającej słowo *Qi* - nazwę należącej do CIA spółki z branży venture capital, którą kobieta reprezentowała w Ann Arbor.

•Dzień dobry, Roxanne - powiedział Barnett ciepłym barytonem, zdradzającym jego południowokarolińskie korzenie. - Mam nadzieję, że to zwołane naprędce spotkanie nie zakłóciło ci zbyt mocno grafiku.

•Na szczęście nie miałam w planach niczego, czego nie dałoby się przełożyć - odpowiedziała Tao.

•Dobry wieczór, Nolan.

Kilkenny odpowiedział na oszczędne powitanie dyrektora skinieniem głowy, po czym wypił łyk dietetycznej coli. Barnett odłożył na biurko aktówkę, ale nie usiadł. Zanim rozpoczął długą i imponującą karierę w agencji, pracował jako prokurator i nawet po wielu latach lepiej myślało

mu się na stojąco.

•Czy Nolan zapoznał cię już ze szczegółami swojego najnowszego projektu? - zapytał Tao Barnett.

•Nie, dopiero zaczęliśmy. W Rzymie nastał chyba teraz trochę wariacki okres.

•Bez wątpienia przy tej misji mamy do czynienia z elementem szaleństwa.

Kiedy Barnett mówił, Kilkenny przyglądał mu się z zainteresowaniem.

Donoher ostrzegł go, że łagodnie mówiąc, dyrektor odniósł się do pomysłu uwolnienia Yina mało entuzjastycznie.

- Właśnie wracam z Białego Domu - kontynuował Barnett, pa-
trząc ciągle na Tao - gdzie ucieliśmy sobie z prezydentem bardzo in-
teresującą pogawędkę z kardynałem Donoherem. Być może wiesz, że to
on odpowiada za zatrudnienie Nolana na stanowisku konsultanta
Watykanu. Po śmierci papieża kardynał Donoher zarządza tymczasowo
Stolicą Apostolską. Rozmawialiśmy na temat pewnego rzymsko-
katolickiego biskupa oraz chińskiego dysydenta, niejakiego Yin Da-
ominga. Słyszałaś o biskupie Yinie?

•Dla wielu osób w Chinach biskup Yin to bohater, człowiek ogromnej
odwagi i honoru - odpowiedziała Tao. - Wtrącenia go do więzienia nie
można nazwać inaczej niż zbrodnią.

•Muszę ze wstydem przyznać, że jeszcze kilka dni temu nic nie
wiedziałem o biskupie Yinie - wyjaśnił Kilkenny.

•Wcale mnie to nie dziwi - stwierdziła Tao. - Poza Chinami jest

właściwie nieznany, a i tam jego nazwisko wymienia się tylko w najgłębszej tajemnicy.

•Nolan, czy mógłbyś oświecić nieco Roxanne i opisać jej, nad czym pracujesz na zlecenie Watykanu? - zapytał Barnett.

•Mam wyciągnąć biskupa Yina z Chin i chciałbym cię prosić o pomoc.

•Oczywiście - odparła Tao. - Co mogę dla ciebie zrobić?

•Spędziłaś w Chinach sporo czasu, a ja potrzebuję kogoś doświadczonego. Muszę również zdobyć tam kilka rzeczy, a ty pewnie nadal masz na miejscu kilka kontaktów: ludzi, którym możesz zaufać. Ich również potrzebuję. A kiedy już znajdziemy się na miejscu, mam dla ciebie do odegrania życiową rolę.

-Jestem pewien, że Nolan nie prosiłby cię, żebyś wróciła do Chin, gdyby tylko miał cień pojęcia, z jakim ryzykiem wiązałoby się to dla ciebie osobiście i dla powodzenia całej misji - wyjaśnił Barnett, patrząc na Tao. - Jako że zostałem zobowiązany do udzielenia potajemnego wsparcia temu przedsięwzięciu, czuję się w obowiązku ujawnić, na czym tak naprawdę polegała twoja dawna praca w Chinach. - Przeniósł wzrok na Kilkenny'ego. - Dysponujesz już odpowiednimi uprawnieniami do dostępu do tego rodzaju informacji, Nolan, i powinieneś o wszystkim wiedzieć. Opowiedz mu, Roxanne.

Tao zaczęła zbierać myśli, a Barnett opadł na brązowy skórzany fotel, pamiętając, by przez cały czas znajdować się w polu widzenia kamery.

- Zanim pojawiłam się w Ann Arbor, przez osiem lat pracowałam jako tajna agentka CIA w Pekinie. Byłam, używając szpiegowskiego żargonu, nielegalną. Nie miałam odpowiednich dokumentów, im munitetu dyplomatycznego ani amerykańskiego obywatelstwa. Gdyby mnie schwytano, zostałabym osądzona za szpiegostwo i po długim przesłuchaniu stracona. Tak wtedy wyglądało moje życie. Przez osiem lat byłam rodowitą Chinką. W tym czasie zorganizowałam siatkę agentów operujących w różnych rządowych ministerstwach i przedsiębiorstwach. Moi ludzie zdobyli ogromną ilość informacji wywiadowczych na temat działań i zamiarów rządu, dzięki którym udało nam się nawet rozpracować działającą w Stanach siatkę chińskich szpiegów. W Chinach ułożyłam sobie również życie osobiste i nawiązałam mnóstwo znajomości z ludźmi, którzy nie mieli nic wspólnego z moją pracą. Zakochałam się i zaręczyłam. Mieliśmy wziąć ślub. Stałam się osobą, którą miałam udawać; żyłam swoją rolą tak, jakbym się dla niej urodziła, tak jakby Roxanne Tao z Kalifornii była postacią fikcyjną, a Chen Mei Yue z Pekinu osobą z krwi i kości. Drżąc ze strachu na myśl, że w każdej chwili mogę zostać aresztowana, w niczym nie różniłam się od większości zwykłych Chińczyków. Oni przez tysiące lat żyli w swego rodzaju paranoi, narzuconej im przez kolejnych władców. Prawie cały ostatni rok pobytu w Chinach spędziłam w ukryciu. Zostałam zdemaskowana, moje życie w Pekinie legło w gruzach. Ludzie, których wciągnęłam do współpracy, zostali aresztowani i straceni.

Niektórzy poświęcili się, żeby umożliwić mi ucieczkę. Kilku agentów zostało w Chinach. Przyczaili się i z przerażeniem czekają, aż usłyszą pukanie do drzwi.

Kilkenny uważnie przyglądał się opowiadającej o swoich przeżyciach Tao, wyczuwając w niej z jednej strony ból, a z drugiej ulgę. W myśl zasad obowiązujących w CIA musiała wymazać z pamięci osiem lat swego życia, trzymać prawdę o sobie w tajemnicy, tak jakby w tym czasie w ogóle nic się nie wydarzyło - stłumić wspomnienia czegoś, co właściwie nigdy nie należało do niej i do czego nigdy nie będzie mogła się nawet przyznać.

- Okazało się, że to sukces, który odniosła w Chinach Roxanne, umożliwił rozpracowanie jej siatki - dodał Barnett. - Chińczycy wie dzieli, że coś wisi w powietrzu, choć nie byli w stanie określić, co się tak

naprawdę dzieje. Wykorzystali więc znane sobie doskonale nauki Sun Tsu i znaleźli tutaj w Langley szpiega wewnętrznego, którego sowicie wynagrodzili w zamian za uzyskane informacje. Najśmieszniejsze, że kariera rzeczonego osobnika jako kreta skończyła się tak szybko, że nie był w stanie wydać nawet ułamka nieuczciwie zarobionych pieniędzy. Niestety nie udało mu się narobić naprawdę ogromnych szkód. Chen Mei Yue została ujawniona jako szpieg Stanów Zjednoczonych. Chińczycy mają jej fotografię, odciski palców, prawdopodobnie nawet wzór DNA, ponieważ uciekła ze swojego mieszkania kilka chwil przed pojawieniem się w nim policji, zostawiając tam dosłownie wszystko. Chen jest poszukiwanym zbiegiem, a Chińczycy nie zrezygnowali z prób dostania jej w swoje łapska. Kiedy więc prosisz Roxanne o powrót do Chin, to jakbyś zachęcał ją do popełnienia samobójstwa.

- Mimo to pojedę - stwierdziła Tao.

- Nie mogę cię o to prosić - zaprotestował Kilkenny.

- Ale nie możesz mnie również prosić, żebym się wycofała - wyjaśniła

Tao. - Nie teraz, kiedy już wiem, do czego zmierzasz. Mój wyjazd może się wiązać z poważnym ryzykiem, ale o ile bardziej ryzykowne byłoby, gdybyś pojechał beze mnie?

- Roxanne - powiedział Barnett. - Ostrzegam cię, nie wracaj do Chin.

- Przecież wybieram się tam w otoczeniu urodzonych morderców -

dodał Kilkenny. - Dużych chłopców, którzy wiedzą, co robić, gdy jak mawiają, *merde* wpadnie w *ventilateur électrique*. Nie musisz jechać.

•Owszem, muszę.

•Dlaczego? - zapytał łagodnie Kilkenny.

•Mój narzeczony był podziemnym katolikiem. Choć byłam szpiegiem, okazało się, że Ming przez lata ukrywał coś przede mną. Początkowo chronił w ten sposób samego siebie, ale gdy się do siebie zbliżyliśmy, utrzymywał swoje wyznanie w tajemnicy ze względu na mnie. W końcu wyjawiliśmy sobie wzajemnie sekrety. Mieliśmy zamiar prosić księdza o pobłogosławienie naszego związku. Zostałam wychowana jako chrześcijanka, ale nigdy nie byłam religijna, aż do momentu gdy zakochałam się w tym mężczyźnie. Kiedy zostałam zdemaskowana, Ming ukrył mnie w gminie podziemnych katolików. Mógł ocalić samego siebie, nawet go do tego zachęcałam, lecz ostatecznie zginął, żeby

mnie chronić. Od Minga i jego przyjaciół, którzy przygarnęli mnie, gdy musiałam uciekać, nauczyłam się jednego: jak ważna jest lojalność, którą przejawiają wobec siebie nawzajem. Zapytałam kiedyś Minga, dlaczego są gotowi wspierać się aż do tego stopnia, a on odpowiedział mi, że za sprawą biskupa Yina. Yin został ze swoimi wiernymi, chociaż mógł uciec. Żył tak, jak nauczał. Ming wziął przykład z niego i dzięki jego poświęceniu ciągle żyję. - Gdy Tao przedzierała się przez trudne wspomnienia, w jej oczach pojawiły się łzy. - W każdym innym wypadku zgodziłabym się z wami, że mój powrót do Chin wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem, ale gdy chodzi o Minga i jego przyjaciół, którzy ocalili mi życie, po prostu muszę to zrobić.

Kiedy mówiła, Kilkenny wspominał, jakim wsparciem była dla niego tuż po śmierci żony i syna. Rodzina i przyjaciele obdarzyli go oczywiście serdecznym współczuciem, ale z perspektywy czasu musiał przyznać, że tylko Tao wydawała się rozumieć, jak głęboki jest jego żal i gniew. Zdał sobie sprawę, że to co interpretował wcześniej jako trudne do przecenienia zrozumienie, było śladem po ranie, której podobnie jak on nie potrafiła wyleczyć.

- Widzę, że nie uda mi się przemówić ci do rozsądku - poddał się

Barnett - a skoro tak, musimy zrobić wszystko, żeby Chińczycy nie powitali starej znajomej fajerwerkami.

CORONADO, KALIFORNIA 16

PAŹDZIERNIKA

MAX GATES STAŁ NA WYDMIE I OBSERWOWAŁ ROZGRYWAJĄCĄ SIĘ poniżej jatkę.

Był mężczyzną krępy i barczystym, a szerokich przedramion

pozazdrościłby mu sam Popeye. Miał na sobie bojowy mundur we wzór

ułatwiający kamuflaż na zalesionych terenach, a nogawki spodni wpuścił

w czarne wojskowe buty typu Bates 924/922. Starszy bosman sztabowy

stracił swą rudobrazową czuprynę, zanim jeszcze zdążyła ją przyprószyć

siwizna, ale braki na czubku głowy kompensowała z nawiązką para

krzaczastych brwi oraz gęste, podwinięte do góry wąsiska.

Wieczornym powietrzem wstrząsnęła seria eksplozji i odgłosy ognia

karabinowego. Na wąskim pasku plaży rozciągającym się wzdłuż

wybrzeża Pacyfiku wojna trwała w najlepsze. Powietrze było gęste od

dymu i wypełniał je ostry zapach kordytu, doskonale znany bosmanowi

Gatesowi, doświadczonemu doradcy wojskowemu odpowiedzialnemu za

szkolenie rekrutów na potrzeby elitarnych jednostek.

Bosman stał obok kapitana Hunleya, oficera dowodzącego, mającego

za sobą tyle samo lat służby co Gates. Obaj byli weteranami i z ich

ogromnego doświadczenia w dosyć specyficznym obszarze sztuki wo-

jennej armia korzystała teraz, by szkolić kolejne pokolenia sił specjalnych

Marynarki Wojennej.

Na plaży poniżej instruktorzy służący pod komendą Hunleya i Ga-tesa

detonowali symulatory ognia artyleryjskiego i granatów, ostrzeli-

wali okolicę seriami z karabinów maszynowych M60 i wykrzykiwali kolejne rozkazy w stronę rocznika coraz bardziej zdeorientowanych rekrutów. Pompki, brzuszki, wykopy, padnij, powstań - instruktorzy przeprowadzali podopiecznych przez całą serię morderczych ćwiczeń, jednocześnie atakując młodych mężczyzn lodowatym strumieniem wody z węży pożarniczych. Każdy centymetr przemoczonych ciał rekrutów pokrywał piasek, który wgryzał się im głęboko w ubrania, wypełniając nawet najtrudniej dostępne szczeliny.

- Wygląda na to, że tydzień piekła rozpoczął się na dobre, bosmanie - powiedział Hunley.

- Tak, chłopaki wzięły się za wiercenie dziurek w naszych świeżutkich pączusiach - zgodził się Gates.

Zimno, wilgoć, głód, wyczerpanie - przez następne pięć dni rekruci mieli doświadczyć tych czterech rodzajów wrażeń w bardziej ekstremalnych dawkach, niż kiedykolwiek byli sobie w stanie wyobrazić.

Instruktorzy zaś przez cały czas mieli krzykiem, poganianiem, przymlaniem i pochlebstwami zachęcać ich do rezygnacji.

- Do przodu! - wrzasnął bosman Portage.

Na jego rozkaz pokryta piaskiem siedmioosobowa załoga łodzi dała nura w lodowatą falę. Jeden z mężczyzn pozostał trochę w tyle za kolegami i bosman natychmiast obrał go sobie za obiekt ataków.

- Za wolny jesteś, bananie! Masz piasek w gaciach?

Gates i Hunley nie usłyszeli niepewnej odpowiedzi rekruta, którego

bosman zagonił zaraz z powrotem do wody.

- Wygląda na to, że Portage znalazł dzisiaj swojego pierwszego dzwonnika - zawołał Gates, starając się przekrzyczeć wrzawę.

Załoga stała po kolana w wodzie. Mężczyźni trzymali się pod łokcie, tworząc zwarty łańcuch. Na skraju morza stał Portage, który na zmianę atakował dygoczących rekrutów seriami z M60 i czułymi słówkami zachęty.

- Dalej, embriony, będziecie siedzieć po dupska w wodzie tak długo, aż któryś spasuje! - darł się. - No, który pierwszy? Wystarczy mi jeden! Czeka na ciebie gorący prysznic i suche łóżko, kochasiu!

Młody porucznik, jedyny oficer wśród przemoczonych członków załogi łodzi, próbował przedrzeć się głosem przez przekomarzan-ki Portage'a i zachęcić towarzyszy do wytrwania. Nagłe załamała się

nad nimi ogromna fala, odrywając jednego z rekrutów od reszty. Wydostał się z trudem na brzeg i ciężkim krokiem podszedł do mosiężnego dzwona okrętowego, zawieszzonego na drewnianym szkielecie. Zadzwoił trzy razy, sygnalizując tym samym, że się poddaje. Został zabrany do koszar.

- No to zostało nam czterdziestu ośmiu - powiedział zupełnie nieporuszony Gates.

Rocznik przechodził właśnie czwarty tydzień szkolenia PAP - Podstawowego Ataku Podwodnego - i dwie trzecie jego początkowego stanu zdążyło już odpaść. Zazwyczaj zaledwie jedna czwarta kandydatów kończyła sześciotygodniowy kurs i zdobywała prawo do noszenia na mundurze odznaki sił specjalnych.

Wbrew pozorom zasadniczym celem tygodnia piekła nie było jednak niszczenie ludzi, ale raczej udowodnienie im, że ich ciało może znieść dziesięciokrotnie więcej, niż mogłoby się wydawać. Trening uczył również znaczenia pracy zespołowej, ponieważ żaden z żołnierzy, który chciałby zachowywać się jak indywidualista, nie był w stanie wytrzymać PAP-u. Rekruci, którzy odrobili te dwie lekcje, mieli szansę przez krew, pot i łzy dosłużyć się wreszcie miana pełnoprawnego członka Komanda Foki.

•Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał Hunley.

•Jeszcze dzisiaj - odpowiedział Gates. - Jak tylko załatwię parę spraw.

Powiniennem wrócić pod koniec miesiąca. Chłopaki znają zasady.

Hunley skinął głową. Rano otrzymał dziwny zaszyfrowany rozkaz, na

którego podstawie musiał tymczasowo zwolnić Gatesa z zaplanowanych w harmonogramie zajęć. Oczywiście umierał z ciekawości, na jaką misję wysyłano bosmana, ale gdy tylko rozkaz został potwierdzony przez naczelnego dowódcę, zorientował się, że nie powinien zadawać zbędnych pytań.

- Powodzenia, bosmanie!

Gates zasalutował, po czym wskoczył za kierownicę humvee i ruszył w stronę swojego biura w głównej bazie. Było już po północy i ciemność panowała w całym kompleksie budynków, z wyjątkiem obszarów pilnowanych przez wartowników. Bosman zaparkował na swoim miejscu, wytrząsnął z butów piasek i wszedł do budynku dla instruk-

torów. Znalazłszy się w swoim biurze, wystukał hasło na klawiaturze komputera i zalogował się do sieci bazy. Rzucił okiem na nowe wiadomości w skrzynce odbiorczej. Z satysfakcją przeczytał odpowiedzi od kolegów rozsianych po różnych oddziałach amerykańskich sił specjalnych. Otworzywszy zabezpieczony program do komunikacji audio/wideo, wprowadził do komputera watykański adres Kilkenny'ego. Natychmiast uzyskał internetowe połączenie. Na ekranie wyskoczyło okienko, w którym pojawiło się wnętrze pomieszczenia roboczego w katakumbach.

-W samą porę, bosmanie! - uśmiechnął się Kilkenny.

•Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Tyle że u mnie ci, którzy nie śpią, modlą się właśnie, by dotrzeć do rana z dupą w tradycyjnym miejscu.

•No tak, tydzień piekła - westchnął tęsknie Kilkenny. - Ciągłe z rozrzewnieniem wspominam kolację na poligonie, lunch z pudełka i brnięcie po kolana w tym obrzydliwym szambie, kiedy nasi kochani instruktorzy odpalali granaty dymne i wrzucali nam do wody M80. Opuściłeś już trochę nowym rekrutom?

•Oczywiście, że nie, do ciężkiej cholery. Skoro musieliśmy przez to przechodzić ty i ja, im też to nie zaszkodzi.

•Miło to słyszeć. A jak idzie zbieranie ekipy na mój wypad?

•Każdy ze speców, do którego wysłałem maila, zapisał się na wy-cieczkę - odpowiedział Gates, nazywając „specami” członków elitar-

nych jednostek sił specjalnych. - W południe będziemy mieli gotową listę. To niesamowite, ilu chłopaków zgłosiło się na ochotnika, nawet nie wiedząc, na co się piszą.

- Pewnie chodzi o twoje przeurocze towarzystwo.

- Albo o to, że chcą zobaczyć, jak pewna zręczliwa stara foka po raz ostatni przed emeryturą parady w płetwach - poprawił Kilken-ny'ego Gates, powoli rozciągając samogłoski, co zdradzało jego oklahomskie pochodzenie. - Pamiętasz nasz ostatni wypad?

- Haiti? Jasne, fajnie było. Zakład, że po takim safari nawet admirał Hopwood uśmiechał się do nas z nieba?

- Każdy dzień, w którym uratujesz paru zakładników i wyślesz do diabła worek parującej ciepłej kupy... No właśnie, to jest dopiero dzień!

•Dobrze będzie po tej właśnie akcji odwiesić pletwy, Max. Jakieś pomysły w kwestii planu? - zapytał Kilkenny.

•Kilka. Sześć, może siedem lat temu mieliśmy małą przygodę z Nocnymi Łowcami. Pamiętasz te fajowskie ultralekkie, jakimi się zabawiali? BAT-y?

Kilkenny doskonale pamiętał pewien nocny lot, w czasie którego pilot 160. Pułku Lotniczego Operacji Specjalnych robił wszystko co w jego mocy, żeby pasażerowie z marynarki wojennej zwrócili obiady. Gates odplacił delikwentowi małym niezaplanowanym treningiem przekrojowym.

- Boże Ale Trzęsie? - zadumał się Kilkenny, przypominając sobie używane przez kolegów nieoficjalne rozwinięcie skrótu. - Myślisz, że możemy ich użyć?

-Trochę nad nimi popracowali od czasów wersji 1.0.0, którą mieliśmy przyjemność się zabawiać. Rzuć okiem na najnowszy model.

Gates załadował animację, która po krótkiej chwili pojawiła się w okienku na ekranie Kilkenny'ego. Nowy BAT przybrał kształt odkrytego, przypominającego pastylkę kadłuba wykonanego z zakrzywionych rurek i mieścił czworo pasażerów, sadzanych parami. Kadłub spoczywał na dwóch płozach jak w helikopterze, ale na tym kończyło się podobieństwo. Z wysmukłego, metrowej długości silnika turbinowego, umocowanego na grzbiecie kadłuba ponad oboma rzędami siedzeń, wyrastały rurkowate witki. Ciągnęły się nieprzerwanie niczym arterie dostarczające energię z

elektrowni. Najbardziej charakterystyczną cechą całego pojazdu były jego skrzydła - para obciągniętych materiałem szkieletów z widocznymi żebrami i wyłobionymi wzdłuż tylnych krawędzi półokrągłymi ząbkami, przez co przypominały kończyny nietoperza, od którego cały samolocik zaczerpnął nazwę.

- Wygląda jak spełnienie marzeń Batmana - zawyrokował Kilkenny.
- Nie jest to może myśliwiec, ale fruwa jak sukinsyn. Potrafi gwałtownie zmieniać kierunek, wisieć w powietrzu i wykonywać ruchy, które wydają się właściwie nienaturalne. Myślę, że mając trzy takie, możemy przeskoczyć przez granicę mongolską i dotrzeć na obrzeża Chifengu w ciągu zaledwie kilku godzin. Zaoszczędzi to nam przyjem-

ności kilkudniowej przeprawy tam i z powrotem. Wolałbym wykorzystać ten czas, żeby popatrzeć sobie trochę na samo więzienie.

- Z tego co pamiętam, BAT-y służyły głównie do skoków na krótki dystans.

- No i właściwie niewiele się pod tym względem zmieniło. Ta bestyjka jest teraz całkowicie elektryczna, zasilana przez ogniwo paliwowe.

Uwzględniając ilość soczku, jaki musi wypić, żeby wznieść się w powietrze, można nią pojechać na wycieczkę nie dłuższą niż kilkaset kilometrów w obie strony.

- Ale my wybieramy się o wiele dalej.

- Wiem, na szczęście fazę testów przechodzą właśnie prototypy z lepszą wkładką, będące w stanie pokonać większe odległości.

- O ile większe?

- Jeszcze nie wiadomo. W tych nowych BAT-ach ogniwo paliwowe zastąpiono radioizotopowym generatorem termoelektrycznym. - Gates każdą sylabę wypowiedział bardzo wyraźnie, tak jakby czytał na głos ulotkę ze specyfikacją. - W skrócie RITEG. To chyba to samo, czym napędza się satelity.

- Max, to atomówka!

- Chrzaniisz! Pewnie dlatego twierdzą, że dzięki RITEG-owi to coś działa jak króliczek z baterią Energizer. W każdym razie myślę, że z trzema BAT-ami robota pójdzie nam całkiem nieźle, a mam trzech pilotów, którzy aż przebierają nóżkami, żeby wreszcie móc się spraw-

dzić poza piaskownicą. A najlepsze jest to, że te maszynki ciągle jeszcze nie zostały wciągnięte na wyposażenie Wuja Sama. Sprzęt w żadnym razie nie jest więc trefny.

Kilkenny jeszcze raz odtworzył w komputerze animację.

- Przylot i odlot rozwiązałyby sporo problemów logistycznych. Trefne czy nie, warto pamiętać, że nie wolno nam zostawić tam żadnej z tych zabawek.

- Jasne. Chłopaki z Boeinga, którzy odpicowali te bryki, mogliby się trochę wkurzyć.

- Czy ty właśnie użyłeś w zdaniu stwierdzenia „odpicować brykę”?

- Dokładnie. „Odpicuj mi brykę” to mój ulubiony program. Zaraz po „Monster Garage” i „Pogromcach mitów”. Od czasów „Domu nie do poznania” telewizja nie pokazała jeszcze niczego lepszego.

86

Kilkenny roześmiał się.

- Wyślij mi po prostu pełną specyfikację BAT-ów. Skoro mamy je wykorzystać, musimy wymyślić, jak je przemycić do Mongolii i z powrotem.

13

WATYKAN

17 PAŹDZIERNIKA

- MACIE OCHOTĘ NA KIELISZEK WINA? - ZAPYTAŁ

DONOHR,

wchodząc do centrali w katakumbach. - Wkrótce powinna również dotrzeć kolacja.

Grin oderwał od monitorów zmęczone, choć ciągle tryskające inteligencją oczy.

- Popijam zazwyczaj tylko z przyjaciółmi, ale jeżeli w ręku księdza kardynała rzeczywiście widzę włoskie czerwone, to nie wyobrażam sobie lepszego przyjaciela.

Kilkenny zrobił trochę miejsca na stole i kardynał postawił na nim trzy kieliszki, które nappełnił całą zawartością butelki Castello di Fonterutoli Chianti Classico Riserva. Wino było niemal czarne, a gdy Grin wciągnął do nosa jego bukiet, wyczuł ślady dymu, różnych owoców, lukrecji i drewna.

•Małeństwo chwilę spoczywało w piwniczce - powiedział z aprobatą.

•Muszę przyznać, że lata spędzone we Włoszech nieco mnie ucivilizowały - stwierdził Donoher.

Kilkenny przytrzymał przez chwilę kieliszek, wpatrując się w jego zawartość. Po raz pierwszy od tygodnia miał znów pić alkohol, ale w końcu uznał, że jeśli butelkę podzieli się na trzy osoby, prawdopodobieństwo kaca jest raczej niewielkie. Każdy z mężczyzn zatrzymał pierwszy łyk w ustach, pozwalając, by złożony, wspaniały smak drażnił

przez chwilę kubki smakowe.

- Na czym więc stoimy? - zapytał Donoher.
 - Poza kilkoma drobnymi szczegółami jesteśmy gotowi - odparł Kilkenny. - Grin wymyślił nawet kryptonim dla naszej tajnej operacji.
 - Naprawdę? Jaki?
 - Operacja Rolling Stone - ogłosił informatyk.
- Donoher spojrzał na Kilkenny'ego.
- Chcesz mi powiedzieć, że ochrzciliście naszą świętą misję nazwą jakiegoś hedonistycznego rockandrollowego zespołu?
 - Tak naprawdę to aluzja do kamienia zamykającego wejście do grobu Chrystusa aż do poranka wielkanocnego, gdy został odtoczony - wyjaśnił Grin. - Podobnie jak Chrystus, Yin został pogrzebany w więzieniu Chifeng, a my mamy zamiar odtoczyć kamień i go uwolnić.
 - A, biblijna aluzja - stwierdził sceptycznym tonem Donoher.
 - Grin zaklina się, że nazwa nie ma nic wspólnego z kilkoma megabajtami utworów Stonesów, które wpakował sobie do iPoda - zaręczył Kilkenny.
 - Boże uchovej! - Donoher podniósł kieliszek. - A zatem zgoda. Za sukces operacji Rolling Stone!
 - Za sukces! - dołączyli Kilkenny i Grin, stukając się kieliszkami z kamerlingiem.

Kilkenny delectował się przez chwilę smakiem wina, czując, jak powoli zaczyna działać jego magia. Razem z Grinem pracował w katakumbach praktycznie przez cały czas od śmierci papieża. Podejrzewał, że

to samo można było powiedzieć o Donoherze.

-Jak wyglądają sprawy na powierzchni? - zapytał.

- Osiągnąłem punkt, w którym znalazłby się każdy, kto by musiał przygotować w ciągu zaledwie dwóch tygodni pogrzeb głowy państwa i nowe wybory, ale jakoś daję radę. Mimo całego zamieszania w myślach i modlitwach nieustannie pamiętam o tym, czego obaj próbujecie dokonać. Jeżeli Bóg pozwoli, wykonacie zadanie, zanim uniesie się biały dym.

•Skoro już mowa o wyborach - powiedział Grin - to szperałem trochę w necie i zajrzałem na stronkę irlandzkiego bukmachera Pad-dy'egt> Powera. Można u niego postawić na najważniejszych kardynałów.

Przy pięciu podaje jednocyfrowe kursy.

• *Papabili* - wyjaśnił Donoher z teatralną, włoską emfazą. - Niebezpiecznie jest udać się na wybory papieża, jeżeli wcześniej wymie-

niano cię jako faworyta. Mamy takie stare powiedzenie, że wielu już wchodziło na konklawe jako papieża, a wychodziło jako kardynałowie.

Mam nadzieję, że nic nie postawiłeś.

- Nie zajmuję się hazardem - odparł Grin. - Wyrzucanie pieniędzy w

błoto to moim zdaniem nie najlepszy sposób spędzania czasu.

- Czy to grzech stawiać na wybór papieża? - zapytał Kilkenny.

- Nie, ale taki zakład byłby czymś niesmacznym. Chociaż gdybym uprawiał hazard, to stawiając na któregokolwiek z pierwszej piątki, nie miałbym się czego obawiać. Każdy z nich byłby dobrym papieżem.

- A kto twoim zdaniem byłby najlepszy?

- Każdy *z papabili* ma swoje wady i zalety. Jeżeli potraktować poważnie popularny pogląd, że Kościół nie dokonuje dwóch odważnych posunięć pod rząd, to oczywistym faworytem staje się kardynał

Magni. Jest jedynym Włochem wśród *papabili*, a zatem może liczyć na to, że natychmiast zdobędzie jakieś siedemnaście procent głosów.

Jest również bardzo konserwatywny i lubiany przez Opus Dei.

- Czy to ci sami goście, o których było w „Kodzie Leonarda da Vinci”?

- zapytał Grin.

Donoher skinął głową.

- Poza tym ma sześćdziesiąt dziewięć lat, więc jego pontyfikat

prawdopodobnie nie trwałby tak długo, jak papieża Leona. Magni to

bezpieczny wybór. Jeżeli jednak europejscy kardynałowie nie zdecy-

dują się na niego, najpewniej wesprą Ryffa. Jest powszechnie szanowanym teologiem zajmującym się moralnością, człowiekiem ulepionym z tej samej gliny co papież Leon, a to czyni go bardzo mocnym kandydatem. Jednakże pochodzi z Europy Środkowej, przez co w pewien sposób za bardzo przypomina poprzednika, ale i tak jego największą wadą jest wiek.

- Za stary? - zapytał Kilkenny.
- Za młody. Ma dopiero pięćdziesiąt siedem lat i cieszy się doskonałym zdrowiem. Ktoś taki mógłby być papieżem przez bardzo długi czas.
- A co z pozostałymi trzema?
- Cóż, teraz właśnie robi się ciekawie - z cierpkim uśmiechem zauważył Donoher. - W ostatnim stuleciu społeczność Kościoła ogromnie się zmieniła i tę rewolucję znakomicie odzwierciedlają kardynałowie

mianowani przez papieża Leona. Dzięki temu po raz pierwszy szansę na objęcie Stolicy Piotrowej mają kandydaci z krajów Trzeciego Świata.

Fascynującym wyborem byłby Escalante z Hondurasu. Fajny facet, medialny i wspaniale radzący sobie z tłumami. Ogłoszenie go papieżem stałoby się najbardziej spektakularnym wydarzeniem w historii Ameryki Łacińskiej, odkąd fale wyrzuciły tam na brzeg Kolumba. No i jest jeszcze kardynał Velu z Bombaju.

- Indie? - zdziwił się Kilkenny. - Nie wiedziałem, że tam są katolicy.

-Jakieś dwadzieścia milionów, a obecność Kościoła w Indiach sięga czasów Tomasza Apostoła. Ponieważ Velu spędził również mnóstwo czasu w Watykanie, jest tutaj doskonale ustosunkowany. Uważa się go za konserwatywnego teologa, włada doskonale kilkunastoma językami i ma świetny kontakt z Afryką i Azją Południowo-Wschodnią. No i jest w odpowiednim wieku: ani za stary, ani za młody, choć jako konserwatysta może mieć problem ze zdobyciem głosów umiarkowanych kardynałów, którzy będą się bali za nim opowiedzieć. Ostatnim z piątki jest Oromo z Sudanu. Bardzo bystry gość i świetnie ustosunkowany w świecie islamu. To on zorganizował pierwszą wizytę papieża w meczecie. Wybór Sudańczyka mógłby przyczynić się do budowy mostów między w ogromnej mierze judeochrześcijańskim Zachodem a muzułmańskimi krajami Afryki, Bliskiego Wschodu i Azji. W Afryce mieszka ponad sto dwadzieścia milionów katolików i jest to jeden z niewielu regionów świata, w którym wzrasta liczba powołań kapłańskich.

•A jakie są minusy tej kandydatury? - zainteresował się Grin.

•To zależy od stronnictwa. Dla niektórych kardynałów jest bardziej konserwatywny niż Velu. Inni mogą sprzeciwiać się jego wyborowi, twierdząc, że Kościół katolicki w Afryce jest zbyt młody, zwłaszcza w porównaniu z tym w Ameryce Łacińskiej. Paru kardynałom może nie podobać się to, że Oromo jest czarny.

•To bardzo niechrześcijańska postawa - zawyrokował Grin.

- Z pewnością żaden z kardynałów nie przyznałby się do tego publicznie, ale niestety takie poglądy nie są rzadkością. Zważywszy na potrzeby Kościoła w tym momencie dziejów, modlę się do Ducha Świętego, by przeprowadził nas przez wszelkie przeszkody, takie jak między innymi uprzedzenia, i pozwolił nam wybrać odpowiedniego człowieka.

18 PAŹDZIERNIKA

O PIERWSZEJ W NOCY KARDYNAŁ DONOHER WYPROWADZIŁ KILKENNY'EGO

i Grina z katakumb i zawiódł bocznym wejściem do Bazyliki Świętego Piotra. Ich kroki odbijały się echem od marmurowej podłogi i stapały niczym krople wody z monotonnym gwarem, który wypełniał majestatyczną przestrzeń rozchodzącą się na wszystkie strony energią. Całe rzesze *sampietrinich* - pracowników Bazyliki Świętego Piotra - starały się doprowadzić świątynię do porządku i przygotować ją na trzeci dzień publicznego oddawania hołdu ukochanemu papieżowi. Starannie usuwano ślady pozostawione przez tysiące wiernych, którzy przyszli do bazyliki pożegnać zmarłego. O świcie drzwi znowu miały zostać otwarte - kolejne tysiące wciąż czuwały na placu Świętego Piotra - i świątynia musiała być wtedy nieskazitelnie czysta.

Kiedy znaleźli się w centralnej części bazyliki, wzrok Kilkenny'ego przyciągnął pnący się na prawie trzydzieści metrów ponad papieskim ołtarzem obiekt. Z marmurowych podstaw wznosiły się cztery bogato zdobione, spiralnie skręcone kolumny, dźwigające misternie rzeźbiony baldachim z licznymi wizerunkami aniołów. Uzyskując błogosławieństwo papieża Urbana VIII, Bernini przerobił na ten triumfalny baldachim cały szereg brązowych posągów zabranych z pogańskiego rzymskiego Panteonu.

Przestrzeń ponad baldachimem w swoim ogromie zakrzywiała się do wewnątrz, a ściany układały się w pokryte mozaikami pendentywy wspierające strzelistą kopułę Michała Anioła. Zgodnie z zamierzeniem projektantów bazyliki, jej ogrom i bogactwo miały wywoływać zarówno podziw, jak i poczucie obcowania z majestatem. Kilkenny przeczytał napis po łacinie okalających pozłocaną wstęgą okrągłą podstawę kopuły i rozpoznał frazę, która posłużyła za pierwszy wers pieśni pekińskich męczenników.

Donoher poprowadził ich wokół niskiej, układającej się w kształt litery U balustrady, która tuż przed papieskim ołtarzem wyznaczała na podłodze bazyliki kraniec otwartej przestrzeni. U podstawy litery dwie bramy z brązu prowadziły w stronę bliźniaczych schodków, którymi można było zejść do *confessio* - właściwego serca Bazyliki Świętego Piotra.

Kilkenny zajrzał do eksedry poniżej papieskiego ołtarza i zobaczył przepiękną komnatę ozdobioną wielobarwnymi marmurami. Dwóch *sampietrinich* starannie czyściło brązowe latarnie dziewięćdziesięciu pięciu wiecznych lampek, które oświetlały *confessio*. Na samym końcu pomieszczenia, za niszą ozdobioną mozaikami z dziewiątego wieku, po której obu stronach stały posągi Piotra i Pawła, znajdował się grobowiec świętego Piotra. W czasie wcześniejszej wizyty w Rzymie Kilkenny dowiedział się od Donohera, że nazwa *confessio* wzięła się od wyznania wiary Apostoła, z którego powodu Neron rozkazał go stracić. Prosty grobowiec na wzgórzu poza obrębem samego Rzymu zamienił się w

kaplicę, potem w kościół, a w końcu we wspaniałą renesansową dzisiejszą bazylikę.

„Chrystus miał rację” - powiedział mu wtedy Donoher. - „Piotr był opoką, na której został zbudowany Kościół”.

W centralnej części nawy, na wyściełanym czerwonym materiałem katafalku i w otoczeniu w pełni umundurowanych członków Gwardii Szwajcarskiej, leżało ciało zmarłego papieża. Donoher przywitał się z oficerem dowodzącym nocną wartą, który pozwolił mu podejść z gośćmi do katafalku. Wszyscy trzej mężczyźni pochylili głowy, a Donoher odmówił krótką modlitwę.

Ciało papieża zostało starannie przygotowane do pogrzebu: ubrano je w ceremonialne szaty papieskie, a głowę ukoronowano złotą tiarą.

Zwłoki zostały początkowo umieszczone na pewien czas w Sali Klementyńskiej Pałacu Apostolskiego, gdzie Leonowi XIV mogli oddać szacunek osobiście kardynałowie i domownicy papieża, a dopiero potem przeniesiono je do bazyliki patriarchalnej, gdzie aż do pogrzebu miały być wystawione na widok publiczny.

Według Kilkenny'ego twarz zmarłego przybrała wyraz spokoju dalece wykraczającego poza kunszt jakiegokolwiek pracownika domu pogrzebowego. Kiedy stanął przy katafalku, ogarnęło go poczucie straty, które zaskoczyło nawet jego samego. Spotkał się z papieżem tylko dwa razy, i to na krótko, lecz to wystarczyło, by osoba Ojca Świętego odcisnęła w nim niezatarty ślad. Spróbował pomodlić się w duchu, ale nie potrafił odnaleźć w sobie poczucia łączności z Bogiem. Od śmierci żony i dziecka był tylko w stanie odmawiać wyuczone na pamięć słowa modlitwy i nie umiał zmusić się do niczego głębszego.

- Papież Leon to niezapomniana postać - powiedział Grin.
- Święte słowa - potwierdził Donoher. - Jestem pewien, że historycy uznają go za jednego z największych papieży.
- Nie potrzebuję historyka, żeby mieć własne zdanie - wtrącił Kilkenny.
- Ja też nie - zgodził się Donoher. - Zwłaszcza że papież był dla mnie przede wszystkim wspaniałym przyjacielem i bardzo mi go będzie brakowało.
- Dzięki, że nas tutaj przyprowadziłeś - powiedział Kilkenny, nie mogąc oderwać oczu od twarzy papieża.

•Musiałem to zrobić, zważywszy, że próbujecie wypełnić jego ostatnią wolę. Szkoda, że nie będziesz na pogrzebie, Nolan. Zapowiada się niezwykle przejmujące wydarzenie.

•Grin wszystko mi opowie - odparł Kilkenny, udając rozczarowanie.

Tak naprawdę nie sądził, by zdołał wytrzymać kolejny pogrzeb. Ból po jego własnej stracie ciągle jeszcze był zbyt dotkliwy. - A ja wrócę na czas, żeby być świadkiem wprowadzenia na urząd nowego papieża.

Donoher spojrzał na Kilkenny'ego i uśmiechnął się, przyjemnie zaskoczony pewnością siebie młodego mężczyzny.

- Jeśli Bóg pozwoli, będziecie tutaj razem z biskupem Yinem.

Zajmę wam miejsca.

94 Tuż PRZED ŚWITEM w ODRESTAUROWANEJ Kaplicy Mikołaja V, w otoczeniu

fresków Fra Angelica, przedstawiających żywoty świętych Stefana i

Wawrzyńca, pierwszych chrześcijańskich męczenników Jerozolimy i

Rzymu, Donoher odprawił dla Kilkenny'ego i Grina prywatną mszę.

Homilia kardynała była krótka, a dostojnik modlił się nie tylko za duszę

papieża, ale również o to, by Duch Święty prowadził obu mężczyzn we

wszystkich działaniach, jakie mieli podjąć w ciągu zbliżających się

trudnych dni. „Amen”, które uzyskał w odpowiedzi od swojej maleńkiej

trzódki, zostało wypowiedziane gorąco i szczerze.

Po mszy Donoher i Grin pożegnali Kilkenny'ego, który wylatywał do

Berlina, co stanowiło pierwszy czynny etap operacji Rolling Stone. Grin

wrócił do katakumb, gdzie miał się z powrotem oddać praktykowaniu - jak

sam to nazywał - mrocznych arkanów sztuk technologicznych, a Donoher

ruszył do Pałacu Apostolskiego, by zwołać spotkanie wszystkich obecnych
w Rzymie kardynałów.

ZGODNIE Z LITERĄ KONSTYTUCJI APOSTOLSKIEJ WSZYSCY KARDYNAŁOWIE i arcybiskupi

stojący na czele poszczególnych dykasterii kurii rzymskiej w momencie śmierci papieża oficjalnie stracili stanowiska. Tak jak w wypadku zmiany administracji każdego innego państwa, tego rodzaju czystka na najwyższym szczeblu umożliwiła nowo wybranemu papieżowi powołanie własnego zespołu najważniejszych doradców.

Zdymisjonowani nadal nadzorowali w ramach watykańskiej biurokracji podległe sobie uprzednio urzędy, ale w czasie interregnum pełnili funkcję jedynie zarządców. Działania we wszelkich poważnych czy kontrowersyjnych sprawach miały być odroczone do czasu objęcia urzędu przez nowego papieża lub - jeżeli dana kwestia wymagała natychmiastowej uwagi - przedstawione kolegium kardynałów, które podejmowało tymczasową decyzję.

Donoher zastanawiał się nad tym, przyglądając się zgromadzonym bezrobotnym kardynałom, mieszącym się w Kaplicy Paulińskiej ze swymi diecezjalnymi braćmi. Podobnie jak pozostali kardynałowie kurialni, był na wylocie zarówno jako szef Biblioteki Watykańskiej, jak i dyrektor wywiadu. Istniała oczywiście pewna szansa, że nowy papież poprosi go o pozostanie na obu stanowiskach, ale wszystko zależało od tego, który kardynał obejmie Stolicę Piotrową. Choć Donoher utrzymywał dobre stosunki z większością *papabili*, zdawał sobie sprawę, że ten i ów najchętniej pozbyłby się go natychmiast. Tak to

już jest w polityce, nawet w Watykanie, toteż Donoher złożył swój los w ręce Boga.

W czasie interregnum tylko trzech kardynałów kurialnych pozostawało na swoich stanowiskach. Władzę nadaną mu przez ostatniego papieża dzierżył nadal wikariusz diecezji rzymskiej, który miał nieprzerwanie pełnić w niej posługę duszpasterską. Ze swych obowiązków ciągle wywiązywał się również penitencjariusz większy, nadzorujący ze strony Stolicy Apostolskiej sprawy związane z sakramentem pokuty, ponieważ drzwi do wybaczenia nigdy nie mogły być zamknięte.

Trzecim watykańskim kardynałem, który nie utracił stanowiska, był Donoher - świeżo upieczony kamerling. Dopiero wraz ze śmiercią papieża stawała się widoczna potęga tego urzędu: w ręce Amerykanina dostał się zarząd całym majątkiem Stolicy Apostolskiej. Początkowo kardynał był zaskoczony nieoczekiwanym nadaniem mu nowej funkcji, ale wkrótce zrozumiał, że papież przeczuł nieuchronnie zbliżającą się śmierć i był aż nadto świadom, co ona oznacza dla biskupa Yina. Mianując Donohera kamerlingiem, Leon XIV dał mu możliwość działania w czasie interregnum. Kiedy Kilkenny i jego ekipa wyruszyli do Chin, Donoher docenił zdolność przewidywania zmarłego papieża.

Przez tłum przecisnął się w jego stronę jeden z asystujących mu kardynałów, ciemnoskóry Wenezuelczyk o nazwisku Ojeda, przewodniczący Kongregacji ds. Duchowieństwa.

- Wasza Eminencjo, wszyscy już są.

Donoher uśmiechnął się.

- Czy uczynisz nam ten zaszczyt i rozpoczniesz nasze zebranie modlitwą?

Ojeda przejmującym wezwaniem przywołał kongregację do porządku.

Pod koniec modlitwy Donoher podziękował mu skinieniem głowy i

podszedł do pulpitu. Wokół widać było ostatnie freski Michała Anioła:

„Ukrzyżowanie świętego Piotra” i „Nawrócenie świętego Pawła”. Obrazy

doskonale ilustrowały niekończącą się bitwę Kościoła ze złem całego

świata - walkę, w której kolejni męczennicy poświęcali swoje życie,

mając nadzieję, że nawet ich prześladowcy mogą uskać zbawienie.

Donoher spojrział na zgromadzenie najczcigodniejszych mężów w

purpurowych sutannach i piuskach. Obecni już byli prawie wszyscy

cy uprawnieni do głosowania - tylko kilku musiało jeszcze załatwić jakieś

pilne sprawy lub napotkało trudności w podróży ze swoich odległych

diecezji.

Przed wyborem nowego papieża w obowiązkach kamerlinga miały

Donohera wspomagać dwa rodzaje kongregacji. Kongregacja partykularna

składała się z niego oraz trzech kardynałów, przedstawicieli trzech stopni

kardynalskich: diakonów, prezbiterów i biskupów. Kardynałowie asystenci

wybierani byli losowo i pełnili obowiązki przez trzy dni, po których

upłygnięciu wybierano kolejnych. Kongregacja partykularna zajmowała się

tylko mniej istotnymi kwestiami, zdając sprawę ze swych działań przed

kongregacją ogólną, składającą się ze wszystkich członków kolegium

kardynałów.

- Najczcigodniejsi bracia, dostojni kardynałowie! - zawołał Donoher. -

Nadszedł czas rozpocząć przygotowania do kongregacji ogólnej. Mam

nadzieję, że wszyscy otrzymaliście pakiety zawierające kopię

„*Unwersi Dominici Gregis*”, gdzie opisane są nasze zadania i obowiązki w

czasie interregnum. Zgodnie z treścią artykułu dwunastego Konstytucji

Apostolskiej przeczytam teraz na głos fragment dotyczący wakatu na

Stolicy Piotrowej.

Cytując fragmenty konstytucji spisanej przez zmarłego papieża,

Donoher przypomniał również odnoszące się do konklawe słowa kar-

dynała Antonellego, który pełnił swoją funkcję w czasie pontyfikatu

papieża Piusa IX w dziewiętnastym wieku i był ostatnim do tej pory

świeckim kardynałem:

„Nic w tym czasie, zupełnie nic nie stoi między nami a Panem

Jezusem. Przez całe życie mamy kogoś ponad sobą - rodziców, księdza,

przełożonego, kardynała, papieża. Ale teraz - nikogo. Dopóki nie zostanie

wybrany nowy papież, tak właśnie będzie. I tacy właśnie jesteśmy. Nasza

prośba o pomoc nie może sięgnąć żadnego wyższego autorytetu. Stoimy

na krawędzi między tym, co ludzkie, a tym, co boskie”.

Następnie Donoher odpowiedział na kilka pytań dotyczących

konkretnych klauzul zawartych w konstytucji oraz tego, w jaki sposób

będą wprowadzane w życie. Pytania były wnikliwe i dowodziły powagi, z

jaką kardynałowie podchodzili do zbliżającego się konklawe. Kiedy na

wszystkie już odpowiedział, przekazał głos kardynałowi Scheuer-

mannowi, który miał odebrać od pozostałych przysięgę.

Scheuermann był chudym Niemcem o siwych włosach, które z wiekiem w naturalny sposób ułożyły mu się na głowie w średniowieczną tonsurę. Oprócz objętej w wyniku głosowania funkcji dziekana kolegium kardynałów, był również kardynałem biskupem Ostii i Vel-letri-Segni oraz prefektem Kongregacji Nauki Wiary - urzędu znanego dawniej pod nazwą Świętego Oficjum.

- My, kardynałowie Świętego Kościoła Rzymskiego - zaintonował siedemdziesięciosześcioletni dostojnik - stopnia biskupiego, prezbiter-skiego i diakońskiego, przyrzekamy, zobowiązujemy się i przysięgamy, wszyscy i każdy z osobna, ściśle i wiernie zachować wszystkie normy zawarte w *Konstytucji* Apostolskiej „*Universi Dominici Gregis*” papieża Leona XIV i skrupulatnie dochować tajemnicy o tym wszystkim, co w jakikolwiek sposób miałoby związek z wyborem biskupa rzymskiego lub *co* ze swej natury, w czasie wakatu Stolicy Apostolskiej, wymagało by takiej tajemnicy.

Jeden po drugim kardynałowie podchodzili do Scheuermann.

- I ja, Norbert kardynał Clements, przyrzekam, zobowiązuję się i przysięgam - złożył przysięgę arcybiskup Toronto, po czym położył rękę na Ewangelii i dodał: - Tak mi dopomóż, Panie Boże i te Święte Ewangelie, których ręką *moją* dotykam.

Kiedy już cała kongregacja została zaprzysiężona, Donoher stanął znowu przy pulpicie i zgodnie z Konstytucją Apostolską zdał relację z wszelkich spraw organizacyjnych, takich jak: plan ceremonii po-

grzebowych oraz stan przygotowań do konklawe. Ogłosił również harmonogram mszy pogrzebowych, które kardynałowie mieli odprawiać w rzymskich kościołach tytularnych w czasie *novemdiaks* - dziewięciu dni oficjalnej żałoby mającej nastąpić po pogrzebie papieża.

Dotarłszy do końca listy obowiązków, przywołał gestem dłoni pomocnika, który przyniósł *mu* niewielką drewnianą skrzynkę. Kardynał położył ją na pulpicie i otworzył.

- W noc śmierci papieża objąłem w posiadanie pierścień Rybaka i ołowianą pieczęć papieskiej Stolicy Apostolskiej. Przedmioty te przez cały czas znajdowały się pod moją opieką i powiadamiam was teraz, że zostały zniszczone.

W prawej dłoni Donoher przytrzymał kawałki połamanego złotego pierścienia. Odwzorowanie świętego Piotra jako rybaka zostało dokład-

nie przepołowione za pomocą dłuta. W podobny sposób zniszczono ołowianą pieczęć używaną do uwiarygodniania wszystkich papieskich oficjalnych komunikatów. Donoher umieścił resztki symboli władzy papieskiej z powrotem w skrzynce i zamknął ją.

- Stwierdzam wreszcie, iż jako że do chwili obecnej nie pojawiły się żadne nadzwyczajne okoliczności, które mogłyby opóźnić rozpoczęcie wyborów, konklawe mające wyłonić następcę papieża Leona XIV rozpocznie się za dwanaście dni.

AJMAK SUCHEBATORSKI, MONGOLIA 19

PAŹDZIERNIKA

PODMUCH WIATRU ZASZELEŚCIŁ WYSOKIMI ZŁOCISTYMI ŁODYGAMI TRAWY, której gęste kępki porastały rozległe przestrzenie mongolskiego stepu. Powietrze opadające z wyrastających na północy i zachodzie gór na zajmujące większość wschodniego ajmaku równiny było chłodne i suche.

Kilkenny siedział na niskim składanym krześle, wspartym na rozporkach z włókna węglowego, i czytał „Opisanie świata” Marca Polo.

Przebrnąwszy już do połowy przez dziennik podróży Włocha, był przekonany, że autor miał obsesję na punkcie prostytucji. W powietrzu czuć było jesień i Kilkenny miał na sobie dzinsy, buty wojskowe marki

Oakley oraz bluzę z wyhaftowanym logo restauracji „BD's Mongolian Barbeque- Ulaanbaatar”, należącej do amerykańskiej sieci założonej przez Billy'ego - BD - Downsa, specjalizującej się w mongolskim grillu.

Otoczały go cztery tradycyjne mongolskie jurty - okrągłe domostwa o stożkowatych dachach, obramowane drewnianymi palikami i pokryte płachtami grubego filcu. Ustawione były w półkole, z osłoniętymi wejściami zwróconymi na południe. Z otworu w dachu tej, która stała najbliżej Kilkenny'ego, unosiła się cienka smuga dymu.

Ze stepu wyłonił się Max Gates dosiadający mongolskiego konia.

Zwierzę i człowiek, przedzierając się przez kępy wysokiej trawy, wyglądali jak jedna istota. Bosman zatrzymał się przy koniach na pastwisku, zeskoczył z siodła i pieszczotliwie pogłaskał wierzchowca po

chrapach.

- Zostało jakieś piwo? - zawołał, zbliżając się do obozowiska.

- Sam zobacz.

Gates minął Kilkenny'ego i jakby mimochodem zajrzał do stojącej obok jego krzesła chłodziarki. Butelki, które włożył tam wcześniej - cały tuzin - były nietknięte.

-

Cienias - powiedział, uśmiechając się złośliwie.

Wyciągnął dwie butelki, wręczył jedną z nich towarzyszowi, a drugą otarł sobie czoło. Na jego twarzy pojawiły się wypieki i pot.

- Jak przejażdżka? - zapytał Kilkenny.

- Powiem ci coś - odparł Gates, celowo podkreślając swój ciężki akcent. - Niezłe tu mają koniki. Powinieneś być jechać ze mną.

- Ciągle mam jeszcze obolały tyłek od przyjazdu tutaj.

- Poprawię się: megacienias z ciebie.

Opadł na krzesło obok Kilkenny'ego, otworzył smukłą butelkę i pociągnął z niej potężny łyk. Piwo było ciemne i miało silny chmielowy smak. Gates cmoknął głośno i zawył jak wilk do księżyca.

- Buuuldog! - powiedział Kilkenny. Obaj starzy kumple uznawali to od niedawna za pyszny żart.

Kiedy zaopatrywali się w Ułan Bator na wyprawę, mieli do wyboru trzy gatunki warzonego na miejscu piwa: Chinggis, Khan Brau i Baadog. Żaden z nich nie był pewien, co oznaczają te nazwy, ale dla tych, którzy rozkoszowali się w domu Paskudnym Browcem Pete'a czy Magicznym

Kapeluszem nr 9, ten ostatni rodzaj - nazwą od razu kojarzący się ze słowem „buldog” - był oczywistym wyborem.

- Taka napędzana energią słoneczną chłodziarka to naprawdę coś

- zawyrokował Gates.

•Z pewnością lepsze to, niż taszczyć tutaj worek lodu.

•Albo chleptać ciepły browar. - Gates wypił kolejny łyk. - Jeśli chodzi o biwaki, ten możemy chyba uznać za jeden z lepszych, jakie nam się przydarzyły, chociaż spacerek był trochę długi. I szybki.

•Bosmanie, z tego co pamiętam, bywało już i dłużej, i szybciej.

•Racja, ale tym razem Wujek Sam nie płaci nam za zwiedzanie okolicy.

- Gates uniósł butelkę. - Skoro ktoś kategorycznie i usilnie...

102

- ...prosi się, by mu skopać dupę - dokończył za niego Kilkenny

- to warto wysyłać najlepszych.

Stuknęli się butelkami, wypili po łyku i wydali okrzyk bojowy jak za starych dobrych czasów.

•Ech, brachu - rozmarzył się Gates.

•Po tym co razem przeszliśmy, nic dziwnego, że pomyślałem o tobie, gdy wyskoczyła cała ta sprawa. Słyszałem, że wkrótce odchodzisz.

•Dobrze słyszałeś. Stuknęło dwadzieścia pięć lat w mundurze i mam już na rękawie tyle pasków, że więcej się nie zmieści. Jak dostanę kolejny, będę go musiał przyszyć na nogawce.

•No tak, to chyba nie do końca zgodne z regulaminem. Jakies pomysły na przyszłość?

•W zeszłym roku odwaliłem małą fuchę jako konsultant do spraw technicznych w jednym filmie, rozlepiam więc po mieście ogłoszenia i reklamuję się jako osobisty trener gwiazd. Myślę, że mogę mieć niezły ubaw, wyciskając smarki z nosa jakiemuś bohaterowi filmów akcji, który nie wie nawet, jak się trzyma broń. Oczywiście prawdopodobnie musiałbym zapłacić studiom, żeby szkolić Angelinę Jolie albo Lucy Liu.

•Wpierw musiałbyś się nauczyć kontrolować swoje libido.

•Ej, jestem w każdym calu dżentelmenem, jeśli chodzi o panie. Zawsze musiały mnie ładnie prosić i zwykle to robiły.

Kilkenny roześmiał się, nie mogąc się nadziwić, jak szybko ich błyskotliwa wymiana zdań zamieniła się w pyskówkę dwóch macho.

- Oczywiście - kontynuował Gates - mógłbym wczuć się w naszą rolę przyszłych właścicieli franczyzowej knajpki i naprawdę wejść w branżę gastronomiczną. Albo przyjąć jakąś ciepłą posadkę w błyskawicznie rozrastającym się imperium twojego kumpla.

•Kulinarny Czyngis-chan Billy'ego. Brzmi nieźle. Bez problemu da ci tę robotę.

•Tylko że wolałbym filię w Stanach. Ta, którą otworzył w Ułan Bator, jest dla mnie trochę zbyt mało uczęszczana. - Spowaźniał nagle. -

Trudno uwierzyć, że czas przejść na emeryturę. Szybko minęło, ale tak to już jest. Dobre było, ale się skończyło.

•Dla niektórych za wcześnie - dodał Kilkenny.

Gates dopiero po sekundzie zdał sobie sprawę, że Kilkenny mówi o swojej zakończonej przed czasem karierze męża i ojca. W pogrzebie jego żony i dziecka wzięli udział zarówno przyjaciele z jednostki, jak i były dowódca, kontradmirał Jack Dawson. Jako najwyższy rangą spośród obecnych wręczył Kilkenny'emu flagę, w którą owinięto trumnę, oraz wyraził w imieniu ojczyzny wdzięczność dla Kelsey za jej ofiarną służbę na stanowisku astronautki Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

•Jeśli chodzi o małżeństwo, przegrywam zero do trzech - przyznał Gates. - Wszystkie moje oficjalne związki trwały niestety dłużej niż twój, ale w wypadku żadnego z nich nie było szansy na szczęśliwe zakończenie. Nie będę udawał, że rozumiem, jak bardzo musiało ci to wykręcić bebechy, ale zazdroszczę ci czasu, który spędziłeś z Kelsey. Ponieważ pochodzę z Pasa Biblijnego, prawie słyszę pastora, jak mówi, że twoja tragedia to część nieodgadnionego Boskiego planu. Coś takiego zawsze brzmiało dla mnie jak stek bzdur, ale jeżeli księża mają rację i rzeczywiście tak jest, Wszechmogący wisi ci małe wyjaśnienie.

•To prawda - zgodził się Kilkenny.

Napił się piwa i nagle usłyszał głucho dudnienie zbliżających się końskich kopyt. Po kilku minutach na północy pojawiło się ośmiu jeźdźców. Rozdzielili się na dwie grupy, otoczyli półksiężyc jurt i wjechali na półkolisty plac, na którym siedzieli Amerykanie. Mieli ze sobą kilka koni z tobołami oraz niewielkie wózki. Osiem par oczu wpiło się gniewnie w komandosów i Kilkenny zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie

wtargnął z Gatesem na nie swoje pastwisko.

Jeźdźcy odbyli szybką naradę, z której Kilkenny i Gates nie zrozumieli ani słowa. Wreszcie jeden z nich, wyglądający na przywódcę, zeskoczył z siodła i podszedł do Amerykanów. Kilkenny i Gates wstali, spoglądając twardo na gości. Mężczyzna warknął coś, co prawdopodobnie było pytaniem. Kilkenny wzruszył ramionami, uciekając się do uniwersalnego gestu oznaczającego, że nic nie rozumie.

- Mówić wy angielski? - zapytał mężczyzna natarczywym głosem, w którym pobrzmiwał bardzo silny akcent.

- Tak - odpowiedział Kilkenny.

- Czuć się wy dobrze? - padło następne pytanie.

Kilkenny spojrzał ukradkiem na Gatesa, który wyglądał na nie mniej zdezorientowanego niż on.

104

- Tak - odpowiedział ostrożnie.

- Wasza rodzina czuć się dobrze? -Tak.

- Wasze owce tłusta?

Tym razem Gates ledwo był w stanie powstrzymać wybuch śmie-tehu.

Kilkenny zaczął coś podejrzewać.

- Bardzo tłusta.

- Wasza trawa dobra?

- Gdyby była choć trochę lepsza - wtrącił Gates - mogłaby się okazać nielegalna. Piwa?

- Tradycyjna odpowiedź na każde z czterech pytań brzmi: „tak”

- zaprotestował Azjata, tym razem posługując się nieskazitelną angielszczyzną, zdradzającą jedynie, że pochodzi ze środkowo-zachodnich stanów. - A potem gościom proponuje się filiżankę herbaty.

•Mamy tylko buldoga, ale i nim da się całkiem przyzwoicie przepłukać *gardziolko*.

•No to niech będzie buldog. - Azjata spojrział na Kilkenny'ego.

- Porucznik Gene Chun, Navy SEAL.

Kilkenny uściskał mu dłoń i również się przedstawił.

•Nieźle wdzianka, bardzo autentyczne.

•Dzięki. Nie chcemy się rzucać w oczy jak amerykańscy turyści.

Kiedy pozostali jeźdźcy zeskoczyli z siodeł, Chun przedstawił ekipę, którą Gatesowi udało się skompletować ze wszystkich oddziałów amerykańskich sił specjalnych. Chun i mat Jim Chow reprezentowali Foki.

Paul Sung i David Tsui zgłosili się na ochotnika jako przedstawiciele Marine Recon, a sanitariusz Chuck Jing, który reprezentował Rangerów, przedstawił się żartobliwie jako jedyny komandos w jednostce. Resztę oddziału stanowili Bob Shen, Terry Han i Ed Xaio, służący w Nocnych Łowcach.

Zgodnie z życzeniem Kilkenny'ego wszyscy ochotnicy w ramach swoich specjalności byli śmiertelnie groźnymi zawodowcami, a jednocześnie mieli za sobą kulturalne i lingwistyczne przeszkolenie, dzięki któremu mogli uchodzić za rodowitych Chińczyków Han. Niektórzy byli Amerykanami w pierwszym pokoleniu; inni w poczet swoich przodków zaliczali robotników Union Pacific Railroad.

•Mieliście jakieś problemy z przedostaniem się do tego kraju? - zapytał

Kilkenny.

•Żadnych. Nasze dokumenty są lepsze niż oryginały. Niezły pomysł z

tą przykrywką „National Geographic”. Dzięki niej oraz dosyć

kreatywnym metodom pakowania nasz sprzęt przeszedł przez

odprawę, co stanowi nie lada wyczyn, zważywszy na to, co ze sobą

zabraliśmy.

•No tak, po jedenastym września celnicy nagle zaczęli się czepiać

materiałów rozszczepialnych - zażartował Kilkenny, po czym spojrzał

na Gatesa. - Pomóż chłopakom się zainstalować, a ja przygotuję

kolację.

Podsycił ogień w swojej jurcie i zajął się posiłkiem: stekami i wa-

rzywami wymieszanymi w płytkim woku. Tymczasem pozostali zajęli się

wyładowywaniem sprzętu i końmi. Kiedy Kilkenny kończył autorską

wersję wołowiny po mongolsku, weszli do jurty z butelkami zimnego

piwa w dłoniach.

•Weźcie sobie po miseczce i siadajcie na podłodze - ogłosił Kilkenny,

rozdzielając danie. - Uważajcie tylko, żeby mieć widok na tę pustą

ścianę.

•A po co? - zapytał Chun. - Będziesz nam puszczał filmy do kolacji?

•Coś w tym guście.

Gdy już wszyscy siedzieli, Kilkenny przycupnął na niskim drew-

nianym taborecie obok stolika, na którym leżało urządzenie przypomi-

nające iPoda podłączonego do średniej wielkości podłużnej latarki.

•Panowie, na początek chciałbym wam podziękować za to, że zgłosiliście się na ochotnika - powiedział. - Wasza błyskawiczna odpowiedź na zaloty Maxa najlepiej świadczy o wysokim morale, które w moim przekonaniu panuje wśród przedstawicieli naszego elitarnego zawodu. Biorę też pod uwagę możliwość, że po prostu przegraliście kupę kasy w czasie jednego z legendarnych pokerowych weekendów naszego bosmana.

•A więc chodzi o misję? - zawołał Terry Han. - A bosman mówił, że czeka nas kolejny pokerowy weekend.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, zwłaszcza że Gates rzucił Kilkenny'emu pudełko z kartami. Bosman nigdzie się nie ruszał bez talii. Kilkenny otworzył je i zaczął przekładać i tasować karty.

106

- Zechcą mi panowie wybaczyć niestosowne wyrażenie: najpierw misja, później poker. - Schował talię z powrotem do pudełka i rzucił je Gatesowi. Następnie włączył niewielki projektor i wyświetlił na zastępującej ekran ścianie czarno-białe zdjęcie Azjaty tuż po trzydziestce. - Oto biskup Yin Daoming. To znaczy, tak wyglądał, zanim w latach siedemdziesiątych został uwięziony. - Kilkenny zmienił slajd. - We dług komputera tak powinien wyglądać dzisiaj, chociaż nie sposób przewidzieć, jak wpłynęło na niego trzydzieści lat spędzonych w chińskim więzieniu.

Po chwili zastąpił wygenerowane komputerowo zdjęcie Yina mapą

regionu.

-Jesteśmy tutaj, w Mongolii - powiedział, wskazując odpowiedni punkt wschodniego ajmaku śródlądowego kraju. - A ta zygzakowata linia to trasa, którą dostaniemy się do Chin i z powrotem. Komunistyczne siły powietrzne są w tej części kraju względnie słabe, głównie dzięki temu, że technologia wojskowa Mongołów od czasów Czyngis-chana właściwie niewiele posunęła się naprzód. Trasa zaplanowana jest tak, by przeprowadzić nas przez najsłabsze punkty ich kontroli radarowej. Wiem, że BAT-y są trudne do wychwycenia, ale nie ma sensu w jakikolwiek sposób ułatwiać nieprzyjacielowi zadania. Jak tylko będziemy gotowi do startu, załaduję te punkty do systemów nawigacyjnych.

Następny slajd przedstawiał więzienie Chifeng.

- W strefie lądowania - Kilkenny wskazał odpowiednie miejsce na niezamieszkanym terenie na północny zachód od więzienia - spotkamy się z naszym lokalnym wsparciem i rozdzielimy na dwie grupy. Chow, Chun, Han i Xaio pójdą z Alfą; reszta to Bravo. Max poprowadzi pierwszą drużynę, która rozpocznie obserwację obrzeży więzienia i przez kilka dni będzie prowadzić rozpoznanie terenu, dzięki czemu uzyskamy więcej informacji na jego temat, i przygotuje punkty oporu na wypadek, gdybyśmy musieli wycofać się w pośpiechu. Bravo, pod moją komendą, przeprowadzi akcję wejścia i wyjścia z więzienia. Mamy już kogoś na miejscu w Chifengu, kto pracuje z wtyczkami i załatwia dla nas mundury, broń oraz samochody. Tym kimś jest kobieta; będziemy z nią współpracować, odbierając materiały tuż przed

operacją. Dwie istotne uwagi, jeśli chodzi o naszą agentkę w Chifen-

107

gu. Przez to co zrobimy, nikt z nas nie wygra konkursu na popularność w Pekinie, ale Roxanne już teraz ma tam status wroga publicznego i komuniści jej usilnie szukają, żywej lub martwej. Po drugie, jest moją przyjaciółką i jeżeli którykolwiek z was spróbuje ją wyrwać, to tylko na własne ryzyko.

- Ze względu na ciebie? - zapytał Han.

- Ze względu na nią. Zależy nam na niej, dopilnujcie więc, żeby wy dostała się z Chin w jednym kawałku.

W czasie posiłku Kilkenny wprowadził żołnierzy w szczegóły planu uwolnienia Yin Daominga i wysłuchał pytań. Dyskusja trwała przez całą kolację, a po pierwszej kolejce piwa wszyscy przerzucili się na wodę. Nikt tego wieczoru nie zamierzał się upijać.

Po kolacji członkowie ekipy zmontowali BAT-y i przygotowali się do lotu.

- Wyglądamy jak chińska drużyna saneczkarska - zauważył Han, kiedy wszyscy zamienili cywilne ubrania na lśniące, obcisłe kombinezony będące na wyposażeniu Fok.

- Zakochasz się w tych wdziankach - zapewnił go Gates. - Zaczęliśmy ich używać jakiś rok temu. Pełna mobilność, porządny pancerz i dostęp do elektroniki bojowej. A najlepsze, że są idealne do walki w zimnie.

- Jak idealne?

- Miałem coś takiego na sobie w czasie zrzutu spadochronowego nad

Antarktydą - odpowiedział Kilkenny, chowając w kaburze pistolet

H&K.45 i wsuwając do pochwy przy nodze nóż bojowy. -

Temperatury dwucyfrowe poniżej zera, a nawet nie dostałem
odmrożenia.

•Chrzanisz! - stwierdził sceptycznie Han. Jako weteran wielu skoków z
dużej wysokości miał okazję doświadczyć na własnej skórze mrozów
gorszych niż na biegunie.

•Nie chrzanię.

•Zdumiewające. Ważą zaledwie połowę tego, co nasze standardowe
kombinezony.

•Hej, a co z końmi, kiedy nas tu nie będzie? - zapytał Chen, klepiąc po
głowie siwą klacz, na której przycwałował przez step.

•Poprosiłem rodzinę, która wynajęła nam te jurty, żeby do nich
zajrzała. Powiedziałem, że przez kilka dni będziemy w polu śledzić
dzikie stada - wyjaśnił Kilkenny. - Nic im się nie stanie.

108

Drużyna podzieliła się na trzy grupy. W każdej znalazł się jeden Nocny
Łowca. Żołnierze, ubrani od stóp do głów w ciemnoszare kombinezony,
włożyli hełmy wyposażone w noktowizory i wyświetlacze przezierny, po
czym wsiedli do BAT-ów. Za siedzenia służyły w nich zwykłe brezentowe
hamaki przyśrubowane do ramy i wzmocnione pięciopunktową uprzężą
bezpieczeństwa. Kilkenny ocenił samolot, wpinając się do niego - w
porównaniu do pierwszej generacji model został znacznie ulepszony.
Podążył wzrokiem za przewodami, które wyrastały z gondoli silnika i

kończyły się przy niewielkich dyszach ciągu wektorowego w poszczególnych punktach na kadłubie. Przekierowując ciąg od dużego otworu w tylnej części gondoli, wykorzystywanego w czasie lotu do przodu, w stronę dysz, pilot BAT-a mógł wykonywać w powietrzu gwałtowne skręty. Dysze umożliwiały również samolotowi pionowy start i lądowanie. Dla żołnierzy 160. pułku BAT był opracowaną na potrzeby sił specjalnych wersją harriera.

Gates usiadł obok Kilkenny'ego z tyłu BAT-a 2 i zapiął pas. Z przodu, przy kontrolkach, Bob Shen wykonywał kolejne procedury startowe. Terry Han i Ed Xaio pilotowali BAT-a 1 i BAT-a 3.

- Mamy pełen bak, pół paczki papierosów, jest noc, a my nosimy ciemne okulary - wyrecytował Gates z kamienną twarzą, naśladując szykującego się do ucieczki Elwooda Bluesa.

Kilkenny wbił wzrok przed siebie i odpowiedział równie słynnym stwierdzeniem Jake'a:

•No to jedziemy!

•RITEG nominalny - powiedział niewzruszonym głosem Shen. -

Włączam silnik.

Przyciszone początkowo brzęczenie zasygnalizowało, że gondola przymocowana do grzbietu ponad nimi zaczęła szybko wirować. Jej odgłos był coraz intensywniejszy. Pasące się nieopodal konie pokłusowały głębiej w stronę stepu. Kilkenny, siedząc w otwartym kadłubie, szybko docenił to, że elektryczna turbina nie emituje spalin. Był również wdzięczny za wbudowane w hełm urządzenie wytłumiające, które

pobierało próbki hałasu silnika i wydawało przeciwnie, mające go zamaskować dźwięki.

Oślonięty od wewnątrz RITEG prawie nie generował wyczuwalnego ciepła, co zmniejszało ryzyko wychwycenia przez rakiety naki-

109

rowujące się na rozgrzane, napędzane płynnym paliwem silniki. Konstruktorzy samolotu jako środek defensywny wykorzystali również jego unikatowy kształt oraz niemetaliczne materiały. BAT nie był tak niewidzialny jak F-117A, ale na radarze sprawiał wrażenie obiektu nie większego od piłeczki golfowej, dzięki czemu nisko lecąc, był bardzo trudny do wykrycia i odróżnienia od otaczającego go elektronicznego jazgotu.

Kiedy silniki wszystkich BAT-ów były już rozgrzane, Nocni Łowcy pokazali sobie wzajemnie wzniesione kciuki i po kolei wystartowali. Shen, trzeci w kolejce, ścisnął i przekręcił zamocowany między przednimi siedzeniami drążek elektronicznego systemu sterowania. Niewielkie wyloty dysz BAT-a skierowały się w stronę ramy i zewnętrznych portów pod kadłubem, dzięki czemu maszyna wzbiła się w powietrze.

Pilot pozwolił BAT-owi unosić się przez chwilę, sprawdzając, czy wszystko funkcjonuje jak należy, a następnie skierował samolot do przodu, ustawiając go w szyku przy lewym skrzydle BAT-a 1.

- Połączenie satelitarne - wydał komendę Kilkeny. Na wbudowanym w jego hełm przeziernym wyświetlaczu pojawiła się ikonka.

POŁĄCZENIE SATELITARNE URUCHOMIONE

Wiadomość kodowana, dwa słowa: „Na Isengard!”

POTWIERDZENIE: NA ISENGARD Wiadomość

potwierdzona. ADRESAT?

- Bombadil - powiedział Kilkenny.

Składająca się z dwóch słów wiadomość wystrzeliła w niebiosa w postaci krótkiego impulsu energii elektromagnetycznej. Kilka sekund później, przemknąwszy przez cały szereg satelitów na niskiej orbicie okołoziemskiej, popędziła z powrotem w stronę Ziemi, gdzie została przechwycona przez którąś z licznych anten po wewnętrznej stronie Murów Leoniańskich w Watykanie.

•Bombadil? Isengard? O co tu chodzi? - Głos Gatesa rozbrzmiał wyraźnie w głośnikach hełmu Kilkenny'ego.

•Daję znać mojemu kumplowi Grinowi, na co się szykujemy. Ponieważ gość nie pracuje na co dzień w branży, postanowiliśmy zaszy-

110

frować wiadomości, wykorzystując odniesienia do znanych nam obu książek, filmów i piosenek. We „Władcy pierścieni” czarodziej Gandalf był więziony przez Sarumana w Isengardzie.

•Więc Gandalf oznacza Yina? - zapytał Gates.

•Właśnie - odparł Kilkenny. - Więzienie Chifeng to Isengard, a Grin to Bombadil.

•Widziałem wszystkie części filmu, ale nie pamiętam żadnego Bombadila.

•Nie wszystkie sceny z książki znalazły się w filmie - wyjaśnił

Kilkenny.

Była chłodna, przejrzysta noc. Malejący księżyc wisiał kilka stopni nad horyzontem. Trzy BAT-y leciały niecałe sto metrów nad ziemią, kierując się niemal dokładnie na południe i rozpoczynając pięciogodzinną podróż obrzeżami pustyni Gobi w kierunku granicy chińskiej.

WATYKAN

20 PAŹDZIERNIKA

W PIĘKNY PAŹDZIERNIKOWY DZIEŃ NA PLACU ŚWIĘTEGO

PIOTRA

została odprawiona msza pogrzebowa w intencji papieża Leona XIV.

Donoher stał na schodach bazyliki, przyglądając się prawie półmilionowemu tłumowi wypełniającemu zaprojektowany przez Berniniego plac i przelewającemu się aż po brzegi Tybru przez całą Via della Conciliazione oraz dzielnicę Borgo. Katolicy w okresie żałoby wyraźnie przebudzili się, zbliżając się do siebie, i na ulicach otaczających Watykan pojawiły się miliony wiernych. Na całym świecie zaś kolejne miliardy oglądały lub słuchały transmisji największego pogrzebu w dziejach ludzkości.

Ciało papieża spoczywało w prostej cyprysowej trumnie, inkrustowanej jedynie krzyżem i ozdobionej w dolnej części wieka literą M, której kształt został zaczerpnięty z osobistej tarczy herbowej Ojca Świętego. W czasie procesji żałobnicy - dwunastu ubranych w smokingi szambelanów papieskich - powoli wynieśli z bazyliki położoną na czerwonej lektyce trumnę. Minęli drewniany ołtarz i ustawili ją na środku prostokątnego, bogato zdobionego dywanu, rozwiniętego na kamiennym placu. Obok stała wysoka świeca paschalna, a na drewnianym wieku leżała oprawiona w czerwoną skórę księga czterech Ewangelii opisujących życie i nauki Jezusa Chrystusa.

Trzy długie rzędy ubranych w purpurowe szaty liturgiczne prałatów formowało boki prostokąta, w którym stały ołtarz i trumna, a za nimi sie-

działo jeszcze ponad dwustu przywódców światowych - istne morze żalobnej czerni. Przestrzeń zamykał z tyłu chór w bieli, a cała figura otwierała się na plac. Takiego tłumu nie pomieściłby żaden budynek, dlatego ludzie sami stali się architekturą, prawdziwym ciałem Kościoła.

Zwłoki papieża zostały umieszczone w trumnie w czasie prywatnej ceremonii przed pogrzebem. Następnie arcybiskup Sikora położył na twarzy Leona XIV białą jedwabną zasłonę, a Donoher pobłogosławił ciało zmarłego wodą święconą. Kamerling umieścił w środku czerwony aksamitny woreczek, w którym znajdowały się próbki monet wybitych w czasie długiego pontyfikatu papieża.

Kiedy kardynał Scheuermann czytał po łacinie mowę pogrzebową, wymieniając liczne osiągnięcia zmarłego, Donoher myślał o ostatnim przedmiocie, który włożył do trumny - mosiężnej tubie zawierającej tę samą mowę spisaną na pergaminie przez mistrza kaligrafii. Zwój sam w sobie był dziełem sztuki, ale o wiele więcej warte były czyny, które symbolizował. Kościół pod koniec dwudziestego wieku musiał zmierzyć się z wieloma trudnościami i to właśnie wyraźna wizja oraz niezłomna wiara papieża Leona XIV pomogły zmienić świat na lepsze.

Choć duma była grzechem, Donoher pozwolił sobie na tę drobną przyjemność. Był dumny z tego wszystkiego, co w czasie pontyfikatu Leona XIV osiągnął Kościół, oraz z własnej roli, jaką odegrał w ramach tego, co właśnie przechodziło do historii.

Gdy tak stał w promieniach słońca na schodach bazyliki, niedostrzegany przez całą procesję posągów świętych, nie czuł smutku. Czuł

radość. Długie cierpienia jego przyjaciela i mentora dobiegły właśnie końca, a wspaniała dusza, będąca esencją tego wielkiego człowieka, do-
czekała się wreszcie błogosławionego uwolnienia i była już z Bogiem. Dla
człowieka wierzącego nie mogło być większego triumfu.

KIEDY GŁOSY CHÓRU PONTYFIKALNEGO wypełniły plac końcowym hymnem,
procesja kardynałów ruszyła za trumną papieża z powrotem do bazyliki,
mijając ogromne drzwi z brązu w środkowej części fasady - arcydzieło II
Filaretego, przedstawiające Chrystusa, Maryję Dziewicę oraz męczeństwo
świętych Piotra i Pawła.

113

Kardynałowie powoli przeszli przez nawę i dotarli pod wielką kopułę,
otaczając *confessio* i *baldacchino*. Niosący trumnę żałobnicy zatrzymali się
przed ogromnym filarem, przy którym stał wyrzeźbiony przez Berniniego
posąg świętego Longina trzymającego włócznię, która przebiła bok
Chrystusa, po czym zeszli po schodach do *grotto* pod bazyliką. Tam
sampietrini przymocowali do wieka trumny czerwone szarfy za-
bezpieczone papieskimi i watykańskimi pieczęciami. Trumna została
umieszczona w drugiej, cynkowej, oraz w trzeciej, z drewna orzechowego,
na której widniało imię Leona oraz jego tarcza herbowa.

Jako skromny ksiądz, Leon XIV już na początku pontyfikatu po-
stanowił zrezygnować z tradycyjnego papieskiego pochówku w bogato
zdobionym marmurowym sarkofagu, życząc sobie, by pogrzebano go po
prostu w ziemi.

- Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie - zawołał Donoher, kończąc

ceremonię i wypełniając swym głosem całą podziemną komnatę - a

światłość wiekuista niechaj mu świeci...

Gdy zgromadzeni *vi grotto* zaintonowali „*Sahe Regina*”, Donoher

spojrzał w dół na grób papieża i pomyślał, że gdzieś po drugiej stronie

świata również inny świątobliwy mąż spoczywa teraz w ciemnym dole.

GHIFENG, GHINY 28

PAŹDZIERNIKA

TEJ SAMEJ NOCY GDY PRZEKROCZYLI GRANICĘ, KILKENNY I JEGO żołnierze spotkali się w strefie lądowania - w stepie jakieś trzydzieści kilometrów na północ od więzienia Chifeng - z Roxanne Tao. Jej miejscowi współpracownicy dostarczyli jurty, w których mężczyźni mogli zamieszkać oraz ukryć broń i ekwipunek. W czasie drugiej nocy spędzonej w Chinach Gates i drużyna Alfa okopali się na zamaskowanych pozycjach wokół więzienia i rozpoczęli zwiad.

Kilkenny przyczaił się na osiem dni i spędził je w pojedynkę w jurtach, podczas gdy pozostali członkowie drużyny Bravo zaryzykowali z Roxanne Tao wypad do miasta Chifeng, gdzie mieli spróbować wyczuć okolicę. Ponieważ w Mongolii Wewnętrznej było już po sezonie turystycznym, biała twarz mogłaby przyciągnąć więcej uwagi, niż to było pożądane.

Siedział więc samotnie na podłodze w zachodniej - męskiej - części jurty, plecami do ogniska. Na głowie miał hełm i porównywał na jego przeziernym wyświetlaczu obserwacje drużyny Alfa z informacjami zgromadzonymi przez chińskich katolików. Najnowsze dane wywiadowcze potwierdziły to, czego udało się dowiedzieć już wcześniej. Obyło się bez niespodzianek.

Wieżenie Chifeng funkcjonowało ściśle według harmonogramu.

Strażnicy pracowali na trzy ośmiogodzinne zmiany. Więźniowie roz-

poczynali dzień w połowie pierwszej z nich, a wracali do celu na cztery

115

godziny przed zakończeniem ostatniej - mordercza praca przy wyrobie cegieł zajmowała im szesnaście godzin przez siedem dni w tygodniu.

Ciężarówki przyjeżdżały i wyjeżdżały o ustalonych godzinach, odprawiane przy dwóch bramach przy zachowaniu zawsze tych samych procedur bezpieczeństwa. Zdobyte informacje pozwalały Kil-kenny'emu czuć się dosyć pewnie, choć ciągle brakowało mu jednego, niezwykle istotnego kawałka układanki - dokładnej lokalizacji celi biskupa Yina.

- Wyłącz komputer - powiedział, kończąc sesję przeglądowną.

Wstał, rozciągnął ramiona, zdjął hełm i w zamyśleniu potarł kłujący rudy zarost na szczęce. Ponieważ w trakcie przygotowań do misji nie tylko zapuścił niechlujną brodę, ale także czasowo zarzucił dbanie o higienę, więzienny drelich, który miał na sobie przez cały czas pobytu w jurcie, emitował już stęchły odór przywodzący na myśl zapachy panujące w licealnej szatni.

Po drugiej stronie wejścia do okrągłego domostwa, w jego północnej części, stał tradycyjny buddyjski ołtarzyk. Kilkenny podszedł do tej domowej kaplicy - nie różniła się zbyt od tej, którą jego babcia urządziła z różnych religijnych akcesoriów na swojej toalecie w sypialni - i odmówił krótką modlitwę, dziękując Bogu za spotkanie ludzi, którzy pomagali jego drużynie.

Małżonkowie, którzy zapewnili im jurty, mogli pochwalić się nad wyraz skromnym dobytkiem, ale o to, co znajdowało się w ich posiadaniu,

dbali bardzo starannie. Łamaną angielszczyzną poinformowali Kilkenny'ego, że on i jego towarzysze będą ich honorowymi gośćmi, po czym jakby pragnąc podkreślić swoje słowa, pokazali mu wszystko, co uważali za najcenniejsze. Za fałszywym panelem w ołtarzyku trzymali zniszczoną, wyciętą z jakiegoś tajwańskiego czasopisma fotografię modlących się wspólnie dalajlamy i papieża Leona XIV. Kilkenny wzruszył się niezmiernie, gdy pomyślał o ryzyku, jakie małżonkowie biorą na siebie, przechowując to zdjęcie - ryzyku, na które mogli się zdecydować dzięki swej głęboko zakorzenionej wierze. Potomkowie Czyngis-chana tylko tutaj, w dziczy ciągnącej się wzdłuż północnej granicy Chin, mogli znaleźć duchowe pocieszenie i praktykować religię, która łączyła w sobie tradycyjny tybetański buddyzm z rzymskim katolicyzmem.

116

Do jurty weszła Tao, zdejmując kapelusz i płaszcz. Wszystko co miała na sobie, służyło podkreśleniu, że jest Chinką, a nie Amerykanką. Nawet poruszała się inaczej. Kilkenny nie mógł wyjść z podziwu, że tak szybko przedzierzgnęła się w rodowitą Azjatkę. Najbardziej jednak znaczącą zmianę w wyglądzie udało jej się osiągnąć w najprostszy sposób. Przed wyjazdem ze Stanów ścięła długie jedwabiste włosy, które sięgały jej do pasa, zamieniając fryzurę na funkcjonalnego, wojskowego pazia.

•Czas na makijaż - powiedziała, ustawiając na podłodze obok ogniska niski stółek i przybornik. Wskazała Kilkenny'emu miejsce, w którym powinien usiąść.

•Nigdy bym się nie spodziewał, że ktoś zaproponuje mi coś takiego -
odrzekł Kilkenny.

Tao rozpoczęła zabieg od oczyszczenia i wysuszenia Kilkenny'emu
twarzy, szyi oraz dłoni - miejsc, które miały być widoczne spod ubrania.

Wyciągnęła z przybornika kilka dziwnych przedmiotów i zaczęła nakładać
na skórę Kilkenny'ego klej.

- Ostrożnie - powiedział Kilkenny. Ciągle jeszcze bolały go nie
które z nie do końca zagojonych siniaków na twarzy.

Nie ruszał się jednak, a Tao nakładała mu kawałki lateksu, które miały
udawać obrzęki i rany. Przy pierwszym podejściu „rozbiła” Kilkenny'emu
dolną wargę, „podbiła” oko i „posiniaczyła” policzek oraz wyczarowała
opuchlizny na dłoniach i przedramionach. Następnie zmiękczyła łączenia
cielistym płynnym lateksem, wymazując ostre krawędzie, które mogłyby
zakłócić iluzję.

•Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - zapytała.

•Ktoś musi powiadomić Yina, co się dzieje. Wolałbym, żeby nie dostał
zawału, gdy Bravo zabierze go na egzekucję.

•Ale dlaczego ty? Dlaczego nie ktoś inny?

•Chodzi ci o któregoś z Chińczyków z pochodzenia?

•Właśnie.

•Lepiej, żeby pozostali na zewnątrz. Jeśli coś pójdzie nie tak, będą
mogli spróbować wtopić się w tłum i wymknąć. Mogłem więc wybie-
rać między sobą i Maxem, a wolę, żeby on poprowadził Alfę i chronił
mi tyłek. - Roześmiał się.

•Czemu się śmiejesz?

117

•W czasie lotu Max poprosił mnie o to samo.

•I co mu powiedziałaś?

•Że jestem człowiekiem na linie, gościem, który opuszcza się do głębokiego dołu, żeby uratować pogrążonego w ciemności więźnia.

Moje zadanie polega na tym, by znaleźć tę zagubioną duszyczkę i trzymać się z całej siły liny. Jego na tym, żeby nas wyciągnąć.

Tao patrzyła przez chwilę Kilkenny'emu w oczy i po raz kolejny odnalazła w nich silną determinację. Oboje nieraz ratowali sobie wzajemnie życie i ich przyjaźń scementowało bezgraniczne zaufanie.

- Ciągle nie mogę się przyzwycząić do tej nowej fryzury - powie dział Kilkenny, przełamując ciszę, która zapadła, gdy Tao zabrała się z powrotem do pracy, skupiając się tym razem na jego czole.

-Ja też. Już jako dziewczynka miałam długie włosy. Ale one odrosną, a z mojej małej ofiary skorzysta jakieś potrzebujące dziecko.

Po dołączeniu do zespołu Tao oddała swoje włosy - dwa trzydziestocentymetrowe warkocze - organizacji Loki Miłości, która miała je przerobić na peruki dla małych pacjentów chorych na raka. Kilkenny po raz pierwszy zobaczył przyjaciółkę w nowej fryzurze, gdy wylądował w Chinach. Zmieniła się tak bardzo, że początkowo jej nie poznał - i o to właśnie chodziło.

Tao mieszaniną farby i pudru podbarwiła Kilkenny'emu sztuczną opuchliznę, nadając jej różnym fragmentom różne odcienie: mlec-

nożółty, czarny, siny. Miejsca wokół otwartych ran maźnęła ciemną kleistą cieczą, która po wysuszeniu miała zamienić się w nierówne, popękane narośle, przypominające zakrzepłą krew. Kawałki strupów naniosała również na twarz i szyję, co miało symulować odpryski krwi. Na dwóch palcach Amerykanina przyczerniła paznokcie. Wreszcie foz-smarowała na drelichu czerwoną ciecz, pozwalając jej ściekać w przypadkowych kierunkach i zamieniając komandosa w silnie poturbowanego więźnia.

- A teraz siedź przez chwilę bez ruchu, żeby wszystko się uleżało

- poleciała na koniec. - Muszę się przebrać.

Zniknęła za niewielką zasłoną, gdzie zrzuciła cywilne ubranie i włożyła ciemnoszary mundur oficera Ministerstwa Sprawiedliwości. Podobnie jak amerykańscy strażnicy sądowi, pracownicy ministerstwa wchodzili w skład oddziałów zbrojnych odrębnych od policji i Armii

118

Ludowo-Wyzwoleńczej. Do ich obowiązków należało zapewnianie bezpieczeństwa sądom, nadzór i transport więźniów oraz - jak wskazywały insygnia na mundurze Tao - egzekucja skazańców.

•Jak wyglądam? - zapytała, wychodząc zza zasłony.

•Jak koszmar lokatora celi śmierci - odparł Kilkenny.

•Myślałam, że lubisz kobiety w mundurach.

•To zależy od kobiety i od munduru - odpowiedział Kilkenny,

przypominając sobie chwilę, gdy po raz pierwszy zobaczył Kelsey w mundurze NASA.

Tao wyczuła melancholię w jego głosie i zrezygnowała z ciągnięcia

dowcipu.

- Jeszcze raz rzucę na ciebie okiem.

Powoli obeszła Kilkenny'ego, przyglądając się pod różnymi kątami swemu dziełu.

- Może nie zdobędę Oscara za najlepszą charakteryzację - stwierdziła - ale myślę, że dadzą się nabrać.

DOCHODZIŁA PÓLNOC, GDY BOB SHEN ZREDUKOWAŁ BIEG I ZWOLNIŁ, dojeżdżając ciężarówką do głównej bramy więzienia Chifeng. Za podjazd służyła dwupasmowa gruntowa droga, pokryta cienką warstwą nawiewanego przez wiatr pyłu. Głęboko żłobione koła ciężarówki wzbijały z tyłu chmurę kurzu. Z wartowni wyszedł strażnik i gestem kazał Shenowi zatrzymać się.

Shen posłuchał polecenia, podjechał do białej linii wymalowanej w poprzek drogi i ciężarówka znalazła się w powodzi ostrego, zimnego światła. Strażnik, podchodząc sprężystym krokiem do drzwi od strony kierowcy, zauważył na masce samochodu wymalowane za pomocą szablonu pekińskie oznaczenia. Obok bramy pojawiło się dwóch kolejnych, którzy wycelowali lufy karabinów w Shena i siedzącą obok niego Tao.

- Dokumenty - zażądał strażnik.

Tao obojętnie podała Shenowi akta, które ten przekazał strażnikowi.

Mężczyzna szybko przebiegł je wzrokiem.

•Transfer więźnia, tak? - zapytał. - Nikt nas nie zawiadamiał o planowanym na dziś w nocy transporcie.

•Gdybyś dokładnie przejrzał dokumenty- wyjaśniła Tao głosem, w którym nuda mieszała się z właściwym dla wyższej rangi lekkim poczuciem pogardy - zauważyłbyś, że z powodów związanych z bezpieczeństwem państwowym ten transport nie był planowany.

Skarcony strażnik uważniej wczytał się w dokumenty i rzeczywiście znalazł w nich zezwolenie na transfer, opatrzone jak należy podpisami urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Wprawdzie w teczce znajdowała się fotografia więźnia, ale nie wymieniono jego nazwiska, co oznaczało, iż Pekinowi zależy na tym, by w całym systemie więziennictwa nie pojawił się żaden ślad pozwalający wysledzić ruchy skazańca. Najwyraźniej nie był on pospolitym przestępcą.

Strażnik gestem polecił otworzyć zewnętrzną bramę i wrócił do wartowni. Brama - pięciometrowej wysokości metalowa siatka pod napięciem, przymocowana do konstrukcyjnych stalowych rur, zakrzywiających się do wewnątrz u szczytu, i zakończona gęstymi zwojami drutu kolczastego - przetoczyła się na lewo po wąskiej szynie. Kiedy droga była wolna, Shen podjechał do kolejnej bramy. Zewnętrzna zamknęła się za ciężarówką i dopiero gdy została już zabezpieczona, zaczęło się otwierać wewnętrzne ogrodzenie.

Choć strażnicy nie celowali już w Tao i Shena, ciągle trzymali na muszce przejeżdżającą przez bramę ciężarówkę. Tao nie przejęła się ich agresywną postawą - była to standardowa procedura. Bardziej zastanowiłoby ją, gdyby pilnujący głównej bramy zachowywali się niedbale. Dokładnie w chwili gdy ciężarówka przejechała przez wewnętrzną bramę, przy wartowni pojawił się dżip. Kiedy się zatrzymał, dowódca strażników podszedł do niego i wręczył przekazane przez Tao akta siedzącemu za kierownicą porucznikowi. W przeciwieństwie do straż-

ników podoficer przez długą chwilę studiował dokumenty.

Młody mężczyzna wysiadł z dżipa. Tao zauważyła, że jest wysoki i że porusza się niezwykle sztywno. Podeszedł bezpośrednio do jej okna. Oboje zasalutowali.

- Dobry wieczór, pani kapitan - powiedział porucznik. - Dokumenty zezwalające na ten transfer wydają się w porządku, ale jestem trochę zaskoczony, że nikt nas wcześniej nie zawiadomił.

- To wysoce niestandardowa sytuacja, poruczniku Kwan - wyjaśniła Tao, odczytując nazwisko z przypiętej do kurtki munduru oficera czarnej prostokątnej blaszki. - Moi przełożeni w Pekinie pragną, by po ich działaniach zostało jak najmniej śladów. Może pan uznać, że tego więźnia w ogóle tutaj nie było.

121

- Rozumiem - stwierdził Kwan.

- Ma być trzymany w całkowitym odosobnieniu. Nie może się kontaktować z innymi więźniami, a kontakty ze strażnikami mają być ograniczone do absolutnego minimum. Nikt nie może z nim rozmawiać bez oficjalnej zgody Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Czy rozkazy są jasne?

- Całkowicie. Mamy tu kilku więźniów, przy których obowiązują podobne ograniczenia. Strażnicy w skrzydle dla niebezpiecznych zajmą się nim jak należy. Mam tylko jedno pytanie, jeśli można.

Tao skinęła przyzwalająco głową.

- Nie zauważyłem w aktach informacji na temat wyroku.

•Ścisłe tajne są wszystkie informacje dotyczące tego więźnia -

szorstkim tonem ucięła Tao. - A pańskie pytanie?

•Jak długo ma być u nas trzymany?

- Do końca życia, czyli moim zdaniem niezbyt długo.

Kwan odprężył się.

•Uprzedzę oddział, że dostanie nowego więźnia. Moi ludzie przygotowują go i zaprowadzą do skrzydła dla odosobnionych.

•Tego więźnia nie trzeba przygotowywać - powiedziała z naciskiem Tao. W jej głosie pojawiło się lekko tylko zawołowane rozdrażnienie. - On nie istnieje.

•Owszem, ale zgodnie z protokołem więzień musi zostać rozebrany, przebadany wzrokowo przez personel medyczny, odwyszawiony, a dopiero potem umieszczony w celi.

•Czy nie wyraziłam się jasno, Kwan? - zapytała Tao, tym razem otwarcie poirytowanym tonem. - Kontakty z tym więźniem należy ograniczyć do minimum. Najlepiej, żeby nie było ich w ogóle. Pańskie przepisy odnośnie do higieny w tym wypadku nie mają zastosowania. Pańscy ludzie nie są mi potrzebni. Moi ludzie przypilnują więźnia i odprowadzą go do celi. Potrzebujemy tylko jednej osoby jako eskorty, najlepiej pana.

Tao wytrzymała wzrok mężczyzny, wyraźnie artykułując swoje żądanie.

Oficer wreszcie uznał jej przewagę, wzruszając lekko ramionami.

- Niech pani kierowca trzyma się mojego dżipa. Podjedziemy

do wejścia, z którego jest najbliżej do skrzydła dla niebezpiecznych

więźniów.

122

- Dziękuję, poruczniku - odpowiedziała Tao łagodniejszym już tonem.

Idąc do dżipa, Kwan wydał przez krótkofalówkę kilka ostrych rozkazów, oczyszczając drogę do bloku. Dzięki zdjęciom z rekonesansu Tao wiedziała, w którym budynku przetrzymywany jest Yin. Fotografie w niewielkim tylko stopniu złagodziły wrażenie brutalności, które emanowało ze wszystkich obiektów. Tymczasem w tych pozbawionych okien murach gnili ludzie, mężczyźni i kobiety zakopani żywcem w posępnym mauzoleum - czasem tylko dlatego, że ośmielili się wierzyć w siłę potężniejszą niż państwo.

Zaparkowali pod wiatą przy niewielkiej flocie więziennych pojazdów.

Teren był jasno oświetlony, choć o tej porze opustoszały. Porucznik spotkał się z Tao i Shenem przy tylnych drzwiach ciężarówki.

- Wyprowadzić więźnia! - rozkazała Tao.

Drzwi otworzyły się i wyszli z nich Chuck Jing oraz Paul Sung. Za nimi, szurając nogami, pojawił się Kilkenny, pilnowany od tyłu przez Davida Tsui. Nadgarstki i kostki więźnia były skute kajdankami i związane łańcuchami przymocowanymi do skórzanego pasa obwiązanego ciasno wokół jego talii. Miał na sobie luźny więzienny drelich, a głowę trzymał nisko pochyloną. Pod każdym względem wyglądał na człowieka złamanego. Tao zauważyła, że porucznik nawet się nie skrzywił na widok poobijanej twarzy Kilkenny'ego, co świadczyło albo o tym, że potrafi

doskonale panować nad emocjami, albo że jest przyzwyczajony do brutalnego traktowania więźniów.

Jing i Sung wyprowadzili skazańca na zewnątrz. Kwan porównał jego twarz ze zdjęciem dołączonym do akt.

-Widzę, że w czasie naszej długiej podróży nabiłeś sobie parę guzów i siniaków - powiedziała głośno Tao. - Niestety, droga była chwilami bardzo wyboista.

Jing, Sung i Tsui roześmiali się, patrząc na Kwana. Kilkenny wzruszył ramionami - nie rozumiał ani słowa po chińsku.

- Kaptur - rozkazała Tao.

Tsui narzucił Kilkenny'emu na głowę i szyję czarny workowaty kaptur.

Czterech towarzyszących Tao żołnierzy zajęło pozycje wokół więźnia.

Dwóch z nich ustawiło się po bokach, żeby przeprowadzić go przez korytarze.

123

- Idziemy za panem, poruczniku - rzuciła niecierpliwie Tao.

Każde z ciężkich stalowych drzwi, przez które- przeprowadził ich

Kwan, zabezpieczone były zamkiem magnetycznym i monitorowane przez kamerę przemysłową.

„Mam nadzieję, że Grin nas obserwuje” - pomyślała Tao, pokonując chęć spojrzenia w którąś z kamer.

Ponieważ wybrana przez Kwana trasa omijała część więzienia, w której normalni więźniowie mogli liczyć na kilka godzin upragnionego snu między zmianami, członkowie konwoju zobaczyli tylko kilku strażników,

nie spotykając żadnych skazańców. Tao natychmiast wyczuła różnicę, kiedy Kwan wprowadził ich przez kolejne drzwi do skrzydła dla więźniów niebezpiecznych - podłogi wyglądały tam niemal na nowe. Gdzie indziej wszędzie na betonie można było dostrzec niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym ślady po codziennym spędzie tysięcy stóp; ten blok wydawał się właściwie nieużywany. Tylko tu i ówdzie jakaś rysa od grubej podeszwy buta strażnika czy kół metalowego wózka szpeciła lśniące szare wykończenie.

Przy pozbawionych okna stalowych drzwiach na końcu korytarza stał w gotowości pojedynczy strażnik. Podobnie jak inni, których spotkała Tao, miał w uchu słuchawkę - jej przewód opadał mu z boku głowy w stronę kołnierzyka. Kiedy podeszła do niego razem z porucznikiem, mężczyzna zaszalutował.

- Otworzyć - wydał rozkaz Kwan.

Strażnik wcisnął kciukiem przełącznik „WYŚLIJ” na przyczepionym do pasa nadajniku.

- Otworzyć trzy-cztery-dwa.

Zabuczał elektroniczny zamek i ciężka płyta drzwi powoli odchyliła się na bok. Tao nie zdołała powstrzymać się od spojrzenia w pogrążoną w mroku otchłań, przerażona chorym systemem sprawiedliwości, którego przejawem była cela. Myśl o tym, że jej przyjaciel będzie musiał spędzić w czymś takim choćby minutę, rozwścieczyła ją i przyprawiła o mdłości, ale natychmiast przemknęło jej przez głowę, że skoro Kilkenny zgodził się dobrowolnie w niej zamknąć, by uwolnić niewinnego człowieka, to i ona

jest w stanie stłumić emocje. Pozostający w pobliżu Yin Daoming stracił kilkadziesiąt lat życia, zamknięty w identycznej ciasnej klatce.

124

- Do środka z nim! - powiedziała Tao.

Jing i Sung wprowadzili Amerykanina przez drzwi do celi. W jej wnętrzu zdjęli mu więzy i pchnęli go w stronę ciemności. Następnie, z dala od snopa światła z korytarza, usunęli więźniowi kaptur i opuścili pomieszczenie.

Kiedy zatrzasnęły się drzwi celi, Kilkenny'emu serce zaczęło walić jak oszalałe. Stalowe rygle opadły z głuchym, metalicznym szczęknięciem. Przez krótką chwilę słyszał dobiegające z zewnątrz głosy, ale wątpił, czy zrozumiałby choć słowo, nawet gdyby strażnicy rozmawiali po angielsku. Wkrótce zresztą głosy ucichły i zaległa cisza, głębią porównywalna tylko z panującą wokół ciemnością.

Ale to nie mrok go niepokoił. Doświadczył już kiedyś absolutnych ciemności w głębiach oceanu i innym razem w czasie eksperymentu naukowego przeprowadzanego w jaskini pod powierzchnią jeziora Erie. Jego lęk nie wynikał również z klaustrofobii. Musiał z nią walczyć już wiele razy, ostatnio w czasie przeszukiwania dna oceanu u wybrzeży Ameryki Południowej, gdy był zamknięty w metalowej skorupie skafandra Hardsuit, mając nad sobą ponad półtora kilometra wody, która wgniatała go w podłoże z niszczycielską siłą, ponad sto razy większą niż atmosfera Ziemi na poziomie morza.

Zwierzęcy zastrzyk adrenaliny, który poczuł, spowodowany był

wyłącznie brakiem kontroli. Pozwolił zamknąć się w pudle z betonu i stali. To pudło otaczali uzbrojeni strażnicy i drut kolczasty, a znajdowało się ono w kraju, którego rząd zabiłby go bez wahania, gdyby dowiedział się o jego misji i jej celu.

Już w dzieciństwie rodzice uczyli Kilkenny'ego, jak ważna jest samodzielność - cecha, która stała się podstawą jego osobowości. Stanowiła ona obiektyw, przez który spoglądał zarówno na siebie, jak i na otaczających go ludzi. Jego ciało zareagowało instynktownie, wyczuwając zagrożenie, na jakie narażał się w obecnej sytuacji - było zdezorientowane działaniami, które uznawało za samobójcze. Ale jego umysł wiedział lepiej.

Zdjął cienko podbite pantofle i przyklęknął, rozstawiając stopy w odległości jakichś pięćdziesięciu centymetrów od siebie. Ich czubki oparł na podłodze. Ramiona zwiesił swobodnie po bokach, jednocześnie wyprężając i prostując resztę ciała. Wziął głęboki wdech, a potem

125

powoli przechylił się do tyłu, dłonie kładąc na udach, aż wreszcie jego pośladki dotknęły podłogi. Lekko trzasnęło mu w kolanach, które musiały wytrzymać zwiększone napięcie w stawach.

Siedząc, Kilkenny wyprostował się i z każdym oddechem zwiększał objętość klatki piersiowej. Czuł, jak od środka ciała zaczyna promieniować w nim energia. Splótł palce, odwrócił dłonie na zewnątrz i uniósł wyciągnięte ramiona wysoko nad głowę.

„*Virasana*” - nagle przez głowę przemknęła mu nazwa, którą młoda

kobieta, prowadząca zajęcia z jogi w ośrodku w jego dzielnicy, określała tę pozycję, - „Pozycja bohatera”.

Powoli wykonał parę ruchów, przybierając kilka *asan* - rozluźniając stawy oraz uspokajając oddech i przepływ krwi w organizmie. W miarę rozciągania niepokój ustępował, tym bardziej że niektóre ze starożytnych pozycji były naprawdę ogromnym wyzwaniem w tak ograniczającej ruchy celi. Na jego więziennym drelichu pojawiły się błyszczące plamy potu.

Ćwiczenia pozwoliły Kilkenny'emu wprawić się w stan medytacji i osiągnąć spokój. Jego umysł posiadał coś, czego ciało nie było w stanie pojąć - wiarę. Sytuacja Kilkenny'ego, choć paskudna, nie była beznadziejna. Nadzieję czerpał z wiary - wiary w swoich przyjaciół oraz w zespół, który udało mu się skrzyknąć na potrzeby tej misji.

WATYKAN

29 PAŹDZIERNIKA

RANKIEM PIĘTNASTEGO DNIA PO ŚMIERCI LEONA XIV KARDYNAŁOWIE zebrali się w Bazylice Świętego Piotra, żeby wziąć udział w mszy wotywniej *pro eligendo papa* - w intencji wyboru papieża. Wszyscy wyglądali tak samo - morze purpury i bieli otaczające *baldacchino*. Pełną smutku Eucharystię odprawił dla zebranych kardynałów, swoich braci w wierze, archiprezbiter bazyliki watykańskiej. Jej główny wątek można było sprowadzić po prostu do nadziei - nadziei, że Bóg pomoże kardynałom wybrać odpowiedniego człowieka, który stanie na czele Kościoła. Gdy głosy chóru pontyfikalnego wypełniły bazylikę końcową pieśnią, każdy z dostojników na nowo poczuł, jak ogromny ciężar spoczywa na jego barkach.

Po mszy kardynałowie elektorzy zgromadzili się w pałacu pontyfikalnym w czteropokojowym apartamencie zwanym *Stanze di Raffaello* - pokojami Rafaela. Zjedli tam lekki lunch, podziwiając freski autorstwa renesansowego mistrza i jego najbardziej utalentowanych uczniów. Choć obrazy różniły się tematycznie, w ikonografii wszystkich komnat dominował wspólny wątek potęgi wiary i Kościoła. W Sali Pożaru Borgo freski nawiązywały do dzieła Leona III i Leona IV, poprzedników Leona X, za którego pontyfikatu została udekorowana. Przyglądając się postaci papieża Leona IV, w 847 roku gaszącego znakiem krzyża pożar w Borgo, Donoher rozmyślał nad tym, w jaki sposób Rafael przedstawiłby

osiągnięcia ostatniego Leona.

127

Kardynałowie, wszyscy ubrani w purpurę, zbili się w kilka niewielkich grup, podziwiając malowidła i przyciszonymi głosami omawiając potrzeby Kościoła oraz zalety poszczególnych *papabili*. Kardynał Magni siedział z włoskimi kardynałami, między innymi z Gagliardim. Mimo że niedawne problemy z sercem skutecznie wyeliminowały tego ostatniego z grona kandydatów, głos towarzyskiego kardynała z Palermo ciągle liczył się we Włoszech i w całej Europie.

Garstka kardynałów z Ameryki Łacińskiej zgromadziła się wokół Escalante, podczas gdy Ryff, Oromo i Velu przechadzali się wśród innych elektorów, odnawiając znajomości. Donoher wyczuł, że zaczynają się tworzyć pierwsze sojusze: niektóre w oparciu o regiony geograficzne, inne z powodów strategicznych - wszystkie mające jedno na celu.

Popijając espresso, Donoher myślał o tym, jak niecodzienne są zasady, którymi rządzi się polityka wyboru papieża. Kandydat na ten urząd nie może otwarcie się o niego ubiegać, tak jak czynią to zwykli politycy walczący w publicznych wyborach o jakieś stanowisko. Również misterna sztuka zdobywania głosów za pomocą zakulisowych umów, ustępstw i obietnic w tym wypadku jest całkowicie zabroniona, i to pod karą ekskomuniki. By zwalczyć pokusę - tak jakby nie wystarczała groźba skazania własnej duszy na wieczne potępienie - Konstytucja Apostolska z góry unieważnia tego rodzaju porozumienia, zwalniając nowego papieża z wszelkich zobowiązań, które podjął w czasie negocjacji w ramach

wyborów. Simonia po prostu się nie opłaca.

Mimo że Kościół jest instytucją o zasięgu globalnym, reszta świata nie gra żadnej roli w wyborze jednego z ostatnich monarchów absolutnych na Ziemi, do czego przyczynił się głównie austriacki cesarz Franciszek Józef. Podczas konklawe w 1903 roku próbował on skorzystać z przysługującego od dawien dawna katolickim monarchom prawa weta w stosunku do kardynała, który z powodów politycznych był dla niego nie do przyjęcia.

Obecnie każdy uczestnik konklawe, który spróbowałby wpłynąć na ostateczny wynik, działając na zlecenie jakiegoś rządu, natychmiast podlega ekskomunice.

Donoher krążył bez celu po komnatach, przyglądając się twarzom poszczególnych kardynałów. Niektórych znał dobrze, innych prawie wcale. Niektórzy byli jego dobrymi przyjaciółmi, innych tylko tole-

128

rował, uznając za zesłaną przez Boga pokutę. Wkrótce jednak któryś z nich miał zostać następnym papieżem.

„Który spośród nas?” - zastanawiał się. - „Który spośród nas?”

Rozważania kamerlinga zakłócił arcybiskup Sikora, który podszedł nagle do niego. Wydawało się, że od dnia śmierci papieża znacznie się postarzał.

- Wasza Eminencjo, możemy zamienić słowo na osobności?
- Oczywiście, księże arcybiskupie. Zostało nam jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia konklawe.

WCZESNYM POPOŁUDNIEM KARDYNAŁOWIE elektorzy zebrali się w Kaplicy Paulińskiej. Ubrani w ceremonialne kościelne szaty, stanęli pod pokrytymi

freskami ścianami i sufitami. W obecności kardynałów osoby pełniące w czasie konklawe funkcje pomocnicze - w tym mistrz papieskich ceremonii liturgicznych, księża spowiednicy, kaznodzieja, dwaj mistrzowie ceremonii, personel medyczny oraz kucharze i pracownicy Domus Sanctae Marthae - złożyli przysięgę, że wszystkie kwestie związane z wyborem papieża zachowają w tajemnicy.

O wyznaczonej godzinie odezwał się dzwon i kardynałowie przeszli dwójkami do Kaplicy Sykstyńskiej. Mijając bogato zdobione korytarze Pałacu Apostolskiego, śpiewali uroczysty starodawny hymn - modlitwę do Ducha Świętego, którego prosili, by pokierował ich rozmyślaniami.

Veni Creator Spiritus Veni Creator

Spiritus Mentis tuorum visita Imple

superna gratia Quae Tu creasti pectora

Procesja przez główne drzwi we wschodniej ścianie weszła do Kaplicy Sykstyńskiej. Większość kardynałów od czasu rozpoczęcia przygotowań do konklawe była w niej po raz pierwszy. Obszerna prostokątna komnata, zwieńczona spłaszczonym sklepieniem kolebko-

129

wym, była długa na czterdzieści jeden metrów, szeroka na trzynaście i pół oraz wysoka na niecałe dwadzieścia jeden, co miało dokładnie odzwierciedlać opisane w Starym Testamencie wymiary Świątyni Salomona. Górną połowę murów biegnących wzdłuż dłuższej krawędzi prostokąta przebijało sześć wysokich, łukowato zakończonych okien, przez które na marmurową posadzkę padało z nieba światło. Ściany

między oknami układały się w trójkątne pajęczyny oraz pendentywy wspierające sklepienie.

Kaplicę dzieliła na dwie nierówne części ściana prezbiterium, składająca się z niskiej balustrady zwieńczonej połączoną kratą. Procesja weszła do mniejszej z nich, przeznaczonej dla laikatu, którego członkowie mieli obserwować mszę, a potem przez przejście w kracie do otaczającego ołtarz sanktuarium.

Ogromna przestrzeń budynku z jasnobrązowej cegły, choć architektonicznie nijaka, stała się płótnem dla największych artystów włoskiego renesansu. Zgodnie z panującą w tamtych czasach tradycją ornamentyka kaplicy została podzielona tematycznie na trzy epoki. Ponad kardynałami elektorami unosiło się słynne sklepienie Michała Anioła, na którym prorocy, sybille i ojcowie Kościoła tworzyli ramę wokół scen z Księgi Rodzaju. Dłuższą, południową ścianę zdobiły freski przedstawiające życie Mojżesza. Po północnej stronie równoważyły je obrazy z życia Chrystusa.

Bezpośrednio przed kardynałami, tak jakby w ogóle trzeba im było przypominać o doniosłości ich zadania, unosiła się nad ołtarzem olśniewająca figura Chrystusa Sędziego. Z kolei „Sąd Ostateczny”, monumentalny fresk, któremu Michał Anioł poświęcił pięć lat życia, zajmował całą zachodnią ścianę kaplicy i przedstawiał Chrystusa w otoczeniu świętych i wybrańców oraz widocznych poniżej potępionych. Przed ołtarzem stał długi stół i pulpit. Tam właśnie, pod majestatycznym arcydziełem Michała Anioła, liczone miały być głosy oraz ogłoszone imię

nowego papieża.

Po obu stronach kaplicy, przy jej dłuższych krawędziach, od kraty prezbiterium do ołtarza ciągnęły się po dwa rzędy długich, pokrytych czerwonym aksamitem stołów. Te z nich, które znajdowały się bliżej zasłoniętych arrasami ścian, były ustawione nieco wyżej, co zapewniało siedzącym w nich dostojnikom doskonały widok na obrzę-

130

dy. Kardynałowie elektorzy zajęli wyznaczone im losowo miejsca. Za kratą zgromadziły się osoby pełniące funkcje pomocnicze, występujące w tym momencie jako świadkowie zaprzysiężenia elektorów. Do-noher i Scheuermann, z racji pełnionych w czasie konklawe funkcji, otrzymali miejsca najbliżej ołtarza. Gdy wszyscy już zasiedli, kamer-ling podszedł do ołtarza i skłonił głowę w modlitwie, po czym stanął przy pulpicie.

- Czcigodni księża kardynałowie, zgodnie z odpowiednim paragrafem „*Unmersi Dominici Gregis*”, musimy złożyć teraz przysięgę.

Kardynale Scheuermann.

Kardynał dziekan również odmówił przed ołtarzem krótką modlitwę, zanim podszedł do pulpitu. Otworzył oprawiony w skórę foliał i zaczął czytać:

- „My, wszyscy i poszczególni kardynałowie elektorzy, obecni przy tym wyborze papieża, przyrzekamy, zobowiązujemy się i przysięgamy zachować wiernie i skrupulatnie wszystkie przepisy zawarte w Konstytucji Apostolskiej papieża Leona XIV, „*Unmersi Dominici Gregis*”.

Równocześnie przyrzekamy, zobowiązujemy się i przysięgamy, że je

śli ktokolwiek z nas z Boskiego postanowienia zostanie wybrany na biskupa rzymskiego, dołoży starań, by wiernie wypełniać *munus Petrinum* pasterza Kościoła powszechnego i nie ustanie w wysiłku zapewniania i bronięcia wytrwale praw duchowych i doczesnych oraz wolności Stolicy Apostolskiej. Przede wszystkim przyrzekamy i przysięgamy zachować z największą wiernością i wobec wszystkich, tak duchownych, jak świeckich, tajemnicę związaną z tym wszystkim, co w jakikolwiek sposób odnosi się do wyboru biskupa rzymskiego, i z tym, co odbywa się w miejscu wyboru i dotyczy bezpośrednio lub pośrednio liczenia głosów; nie naruszać w żaden sposób tej tajemnicy tak w czasie wyboru, jak i po wyborze nowego papieża, chyba że zostanie do tego udzielone wyraźne upoważnienie przez samego przyszłego papieża; nie dawać żadnego poparcia ani nie sprzyjać jakiegokolwiek oddziaływaniu, sprzeciwianiu lub jakiegokolwiek innej formie interwencji, przez które władze świeckie jakiegokolwiek porządku i stopnia lub jakakolwiek grupa osób czy jednostki chciałyby ingerować w wybór biskupa rzymskiego".

Donoher podszedł do stołu i zwróciwszy się twarzą do braci kardynałów, oświadczył:

131

- Ja, Malachy kardynał Donoher, zobowiązuję się i przysięgam.

- Położył prawą dłoń na Ewangelii i dodał: - Tak mi dopomóż, Panie Boże i te Święte Ewangelie, których moją ręką dotykam.

Każdy z kardynałów złożył podobną przysięgę, która związała ich tajemnicą dotyczącą wszelkich spraw odnoszących się do konklawe.

Kiedy ostatni z elektorów skończył ślubowanie i wrócił na swoje miejsce, na środku kaplicy stanął mistrz papieskich ceremonii liturgicznych.

- *Extra omnes* - ogłosił, nakazując opuścić kaplicę tym, którzy nie biorą udziału w konklawe.

Świadkowie ślubowania wyszli i na miejscu pozostali tylko kardynałowie, mistrz papieskich ceremonii liturgicznych oraz kaznodzieja, któremu powierzono poprowadzenie drugich rozważań. Okazało się, że Donoher i jego kardynałowie asystenci dokonali prawidłowego wyboru: ksiądz wygłosił przejmujące kazanie, w którym wyraźnie przedstawił istotę obowiązku, z jakim musieli się zmierzyć elektorzy, oraz potrzebę działania przede wszystkim z myślą o dobru Kościoła powszechnego.

Po rozważaniach kaznodzieja i mistrz papieskich ceremonii liturgicznych również opuścili kaplicę, której drzwi zostały następnie zapieczętowane. W środku zostali tylko kardynałowie oraz osoby mające pomóc w przeprowadzeniu głosowania. Rozpoczęło się konklawe.

Przed zgromadzonymi stanął ponownie Scheuermann.

- Czy możemy już przystąpić do rozpoczęcia czynności związanych z wyborem, czy też należy jeszcze wyjaśnić wątpliwości co do norm i sposobów ustalonych w Konstytucji Apostolskiej?

Pytanie Scheuermanna dawało okazję do wyjaśnienia zasad rządzących wyborem, ustanowionych przez papieża Leona XIV. Po przybyciu do Rzymu każdy z kardynałów otrzymał kopię Konstytucji Apostolskiej po łacinie oraz w swoim macierzystym języku i powinien był dokładnie zapoznać się z jej treścią. Ponieważ większość hierarchów miała brać

udział w wyborze tylko raz w życiu, intencją pytania Scheuermanna, wymagane zresztą przez samą Konstytucję, było upewnienie się, że każdy z elektorów zrozumiał, w jaki sposób będzie przebiegać konklawe.

Wśród kardynałów dał się słyszeć przyciszony pomruk, ale tylko jeden z nich wstał, żeby odpowiedzieć na pytanie. Był to Donoher.

132

- Widzę najczcigodniejszego kardynała Donohera - stwierdził z lekkim zdziwieniem Scheuermann. Z wszystkich zgromadzonych to właśnie kamerling powinien być największym ekspertem w kwestii procedur wyborczych.

- Czcigodni księża kardynałowie - rozpoczął Donoher. - Sprawa, którą chciałbym w waszej obecności poruszyć, wiąże się z poprawką do Konstytucji Apostolskiej.

W kaplicy rozległa się kakofonia głosów. Kardynałowie zaczęli gwałtownie wertować dokumenty, szukając w nich poprawki, którą - jak im się zdawało - musieli przeoczyć.

- Księża kardynałowie! - przebił się przez wrzawę surowy głos Scheuermanna.

Hałas ucichł, choć elektorzy nadal wyraźnie byli zdezorientowani.

- Wasza Eminencjo - zwrócił się do Donohera Scheuermann. - Artykuł pięćdziesiąty czwarty Konstytucji Apostolskiej, w którym opisano procedury związane z punktem, w jakim się właśnie znaleźliśmy, nie zezwala na modyfikację norm i procedur wyborczych.

- To prawda, ale ja nie proponuję poprawki, a tylko ogłaszam już

obowiązującą. Przepraszam, że nie została ona włączona do dostarczonych księżom kardynałom dokumentów, ale dowiedziałem się o niej dopiero na chwilę przed rozpoczęciem naszego posiedzenia. Donoher minął rząd kardynałów siedzących pod freskiem Botti-cellego i zatrzymał się przed kardynałem Cainem, przewodniczącym komisji pontyfikalnej Państwa-Miasta Watykan. Cain nie wydawał się zdziwiony, nawet wtedy gdy Donoher wręczył mu ręcznie spisany dokument.

• Wasza Eminencjo, czy rozpoznaje Wasza Eminencja ten dokument? - zapytał Donoher.

• Rozpoznaję - odparł Cain. Wszyscy elektorzy wyraźnie usłyszeli jego tubalny głos. - Został sporządzony i podpisany w obecności arcybiskupa Sikory i mojej przez Jego Świątobliwość papieża Leona XIV na tydzień przed jego śmiercią.

• A czy podpis i pieczęć należą do papieża Leona XIV?

• Należą, zostały złożone w mojej obecności.

- A czy to podpis Waszej Eminencji uwierzytelnia ten dokument?

133

- Tak, mój.

- I wolą zmarłego papieża było, aby dokument ten pozostawał nieznanym aż do rozpoczęcia konklawe mającego wyłonić jego następcę?

• Taką właśnie wolę wyraził Jego Świątobliwość.

• Dziękuję, Wasza Eminencjo. - Donoher wrócił na środek kaplicy, po czym kontynuował: - Poprawka, spisana przez Jego Świątobliwość

papieża Leona XIV jego własną ręką i datowana na tydzień przed jego

śmiercią, stwierdza, co następuje. - Donoher zaczął czytać dokument:

- „Wyłączam z postanowień artykułu sześćdziesiątego pierwszego wprowadzenie na miejsce wyboru urządzeń technicznych wskazanych przez kamerlinga, których jedynym celem będzie zaprezentowanie wiadomości audiowizualnej nagranej przeze mnie dla kardynałów elektorów. Po zaprezentowaniu tej wiadomości urządzenia techniczne zostaną usunięte z miejsca wyboru i artykuł sześćdziesiąty pierwszy będzie obowiązywał w niezmienionej postaci”.

•Czy są jakieś pytania odnośnie do właśnie wprowadzonej przez kardynała Donohera poprawki? - zapytał Scheuermann. Nikt się nie zgłosił. - Skoro nie słyszę sprzeciwu - kontynuował Scheuermann - proponuję wysłuchać wiadomości.

Kilku kardynałów skinęło głowami na zgodę. Wszyscy uczestnicy chcieli usłyszeć, co miał im do powiedzenia zmarły papież.

Donoher otworzył boczne drzwi i gestem zaprosił do kaplicy dwóch pracowników technicznych. Mężczyźni wtoczyli do środka wózek ze sprzętem i szybko rozwinęli w pobliżu ołtarza sporych rozmiarów ekran.

Kardynałowie siedzący nieco z tyłu podeszli bliżej, do środkowej części nawy, starając się zapewnić sobie lepszy widok. Kiedy technicy skończyli, Donoher odprowadził ich do drzwi, które następnie z powrotem zaryglował.

Na ekranie pojawił się niebieski obraz testowy z przenośnego odtwarzacza DVD. Donoher wyciągnął płytę, którą tuż przed rozpoczęciem

konklawe wręczył mu Sikora, i włożył ją do urzędzenia. Na ekranie pojawił się obraz Leona XIV siedzącego w swoim fotelu w kaplicy Redemptoris Mater, ubranego w ceremonialny strój papieski.

- „Witam, moi bracia w Chrystusie. Żałoba dobiegła właśnie końca i Kościół czeka na nową jutrzenkę. Jak w Wielkanoc, ten czas to czas odnowy. Modłę się za was wszystkich, modłę się, aby Duch Święty

134

prowadził was w rozważaniach. W trakcie mojego pontyfikatu mianowałem wielu kardynałów, prawie wszystkich, którzy biorą teraz udział w konklawe. Ale jednego z nich nie ma wśród was, ponieważ trzymałem jego imię w swym sercu i wraz z moją śmiercią nie jest już kardynałem. To właśnie z powodu tego człowieka zdecydowałem się na tak nadzwyczajny krok i nagrałem dla was tę wiadomość. Niektórzy zgadują już zapewne, iż mówię o biskupie Szanghaju Yin Daomingu, który od niemal trzydziestu lat przebywa w więzieniu Chińskiej Republiki Ludowej. Zbrodnią Yina, za którą spotkało go tyle cierpień, jest jego wiara w Pana Jezusa Chrystusa oraz niezachwiana lojalność w stosunku do Kościoła rzymskokatolickiego. Wszyscy jesteśmy powołani, aby świecić przykładem, a przykład Yina zainspirował chińskich katolików do wytrwania w wierze w chwilach grozy oraz pomógł milionom nie stracić nadziei w obliczu brutalnych represji. Wszyscy możemy się wiele nauczyć od tego człowieka. Mianowałem biskupa Yina kardynałem *inspec-tore* w czasie drugiego konsystorza mojego pontyfikatu. Przez te długie lata Stolica Apostolska podjęła wszelkie możliwe środki dyplomatyczne, by

uwolnić go z więzienia. Niestety, wysiłki te nie przyniosły owoców.

Oglądacie dzisiaj tę wiadomość, ponieważ odszedłem już z tego świata, a biskupa Yina ciągle nie ma między wami. Choć mój następca nie jest w żaden sposób zobowiązany, żeby spełnić moją prośbę, modłę się, by i w jego sercu Yin Daoming zajął odpowiednie miejsce".

W tym momencie Donoher odniósł wrażenie, że papież spogląda z ekranu prosto na niego, a w jego oczach pojawia się błysk.

- „Oczywiście, wyrażając tę prośbę, zakładam, że biskup Yin ciągle jest w Chinach. Jeżeli jednak kamerling jest takim człowiekiem, za jakiego go uważam, zostały już podjęte pewne nadzwyczajne środki w celu wydostania biskupa z więzienia. Mam więc nadzieję, że z Bożą pomocą Yin Daoming zostanie uwolniony przed wyborem nowego papieża i modłę się z całych sił, abyście uznali go za takiego samego kandydata na urząd papieski, jak wszyscy inni członkowie kolegium kardynałów, ponieważ w innych okolicznościach byłby teraz wśród was. Postanowiłem powiedzieć wam o biskupie Yinie w czasie konklawe, by moje słowa ochroniła przysięga, którą wszyscy złożyliście. Życzę wam, abyście jako kardynałowie elektorzy ku chwale Kościoła powszechnego wiernie wywiązali się ze swych obowiązków".

- CZY TO PRAWDA?

Jeden z kardynałów wystrzelił tym pytaniem w kierunku Donohera, jeszcze zanim obraz papieża Leona XIV zdążył zniknąć z ekranu. Po chwili dały się słyszeć kolejne zmieszane głosy, których fala wypełniła wkrótce kaplicę. Wyparowała gdzieś godność, z jaką kardynałowie jeszcze kilka minut przedtem starali się zachowywać w czasie tak dostojnego obrzędu, wyparta przez zdumienie wywołane projekcją przemowy zmarłego papieża. Najbardziej jednak zdziwiony tym, co właśnie usłyszał, był sam kamerling.

•Go Jego Świątobliwość miał na myśli, mówiąc o „nadzwyczajnych środkach” ? - zabrzmiał natarczywy głos drugiego z kardynałów.

•Czy dzieje się coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - zapytał ponuro jeszcze inny.

Donoher wyłapywał tylko urwane fragmenty lawiny pytań, ponieważ w duchu przez cały czas walczył z własnymi wątpliwościami.

- Czcigodni księża kardynałowie, wróćcie, proszę, na swoje miejsca - przebił się nagle przez wrzawę czyjś grzmiący, surowy głos. To Scheuermann usiłował zaprowadzić znów porządek. - Jeżeli wrócicie wszyscy na miejsca - kontynuował, tym razem przyciągając już uwagę zgromadzonych - to jestem pewien, że najczcigodniejszy kardynał Donoher oświeci nas odnośnie do poruszonej kwestii.

Kiedy kardynałowie usiedli, Donoher ponownie stanął na środku

kaplicy. Wzrok wszystkich skupił się na nim, tak jakby nawet sam Bóg, unosząc się na górze w niebiosach, zatrzymał się na chwilę, odkładając swe obowiązki, by wysłuchać odpowiedzi kamerlinga.

- Najczciodszy księża kardynałowie - rozpoczął Donoher.

- Największym zaszczytem, jaki spotkał mnie w całym moim życiu, była służba Jego Świątobliwości papieżowi Leonowi XIV. Jednym z celów jego wspaniałego pontyfikatu, niestety nigdy nie zrealizowanym, było przywrócenie brutalnie odebranej wolności naszemu bratu w Chrystu sie, Yinowi Daomingowi. Ci z nas, którzy pochodzą z Zachodu, nie wiele wiedzą o prawdziwym cierpieniu. Nasza posługa duszpasterska polega na administrowaniu diecezjami o długiej tradycji, a naszym największym wyzwaniem wydaje się zapewnienie Kościołowi istotnej roli w coraz bardziej zsekularyzowanym i ambiwalentnym świecie. Więcej o prawdziwym cierpieniu wiedzą kardynałowie z krajów Trzeciego Świata. Ich owieczki odczuwają ból z powodu ogromnych długów zaciągniętych przez skorumpowane rządy, bezustannych wojen prowadzonych z powodu różnic rasowych, plemiennych czy religijnych oraz ciągle wiszącego w powietrzu widma chorób i głodu. Ale mimo naszych problemów, wielkich i małych, jesteśmy tutaj, w tej wspaniałej kaplicy. A Yin Daominga wśród nas nie ma. Podobnie jak niegdyś Piotr, Yin prowadzi swą trzodę, która każdego dnia drży przed oficjalnie usankcjonowanymi prześladowaniami. Jako kardynałowie nosimy purpurowe szaty, które symbolizują naszą gotowość do przelania krwi za Kościół, do oddania życia za wiarę. Jego Świątobliwość przez ponad

dwadzieścia lat trzymał w tajemnicy godność kardynalską Yina, ponieważ przy niezliczonych okazjach krew tego człowieka była przelewana właśnie z powodu jego wiary. Yin zasłużył sobie na prawo do noszenia szat w tym kolorze. Kiedy zawiodły środki dyplomatyczne, a Jego Świątobliwość wyczuł, że zbliża się koniec jego pontyfikatu, zlecił mi zadanie opracowania innego sposobu uwolnienia biskupa Yina. Powstał plan, a zmarły papież go zaakceptował. Okazuje się też, że ocenił mnie prawidłowo. Jako kamerling Stolicy Apostolskiej zatwierdziłem rozpoczętą już misję wydobycia Yina Daominga z Chin.

- Czy to mądre posunięcie? - zapytał kardynał Enright z Chicago, przełamując ciszę, jaka nastąpiła po przemówieniu kamerlinga.

137

• Myślę, że lepiej jest walczyć ze złem, niż siedzieć z założonymi rękami i mieć nadzieję, że samo zniknie. Władze Chin boją się Yina i nigdy go nie wypuszczą dobrowolnie.

• Ale czy ta akcja nie wykracza poza kompetencje kamerlinga?

- zapytał hiszpański kardynał Miralles, zwracając się do kardynała dziekana.

- W czasie interregnum w rękach kamerlinga skupia się wszelka doczesna władza nad sprawami Stolicy Apostolskiej - odparł Scheuermann. - Ale z drugiej strony artykuł siedemnasty Konstytucji Apostolskiej zobowiązuje go do korzystania z pomocy trzech kardynałów asystentów oraz zasięgnięcia rady kolegium w poważniejszych kwestiach.

- Kardynał spojrzał na Donohera. - Trudno o poważniejszą kwestię

niż organizowanie ucieczki z zagranicznego więzienia, najczcigodniejszy kardynale.

- Działalem w zgodzie z wyraźnie wyrażoną wolą Jego Świątobliwości papieża Leona XIV. Sprawa ta należała po prostu do niezakończonych.

- Być może niezakończony sprawy powinno się odłożyć do czasu po wyborze nowego papieża? - zapytał Scheuermann.

-Jak wynika z wiadomości, którą właśnie obejrzelismy, Jego Świątobliwość miał na ten temat inne zdanie.

- Ale po co działać teraz? - zapytał kardynał Drolet z Paryża.

- Ponieważ grzechem byłoby nie działać, gdy wiemy, że sprawa jest słuszna, a okazja, która się nadarzyła, może się już w przyszłości nie powtórzyć. Chiński rząd, w zwyczajnych okolicznościach raczej nie zwracający uwagi na Stolicę Apostolską, nie spodziewa się, że zdecydujemy się na takie działania w czasie, gdy jesteśmy pozbawieni przywódcy. Tak wygląda sytuacja, ale ostateczną decyzję podjąłem sam i biorę na siebie odpowiedzialność za wszystkie jej konsekwencje.

- Myślisz, że ci się uda? - zapytał kardynał Mucemi z Kenii.

- Tak - odpowiedział bez wahania Donoher.

O głos zgromadzonych poprosił kardynał Gagliardi.

- Myślę, że wyrażę się w imieniu wszystkich braci kardynałów, za pewniając, iż będę się modlił o sukces misji księdza kardynała. Rożumie jednak, najczcigodniejszy księżo kardynale, że teraz, gdy sprawa

nie jest już tajemnicą, będzie ksiądz informował kolegium o wszystkich istotnych wydarzeniach?

•Oczywiście - odpowiedział Donoher.

•Najczcigodniejsi bracia - przemówił kardynał Velu. - Wiele lat temu poznałem Yina Daominga. Obaj byliśmy seminarzystami; on studiował w tajemnicy. Gdy się spotkaliśmy, miałem wątpliwości co do swojego powołania, ale w mych oczach było jasne, że jego Duch Święty nie opuszcza. Yin pomógł mi dostrzec, dokąd prowadzi mnie droga życia. Jestem pewien, że gdyby nie on, nie byłoby mnie tutaj. Nigdy nie spotkałem człowieka do tego stopnia przeznaczonego do stanu kapłańskiego. Kardynale Donoher, czy możliwe jest uwolnienie biskupa Yina przed zakończeniem konklawe?

•Taką mam nadzieję - odparł Donoher. - W ten sposób sprawa zostałaby rozstrzygnięta jeszcze przed rozpoczęciem nowego pontyfikatu.

•Pytanie to zadałem nie po *to*, by wątpić w zatwierdzenie działań księdza kardynała przez nowego papieża - wyjaśnił Velu - ale pragnąc wyjaśnić kwestię kandydatury biskupa Yina. Jeżeli mimo cierpień, a może właśnie dzięki nim, rozwinął duchowy potencjał, który dostrzegalem w nim wiele lat temu, to, moi bracia, uratowanie Yina w tym właśnie momencie może być wskazówką, o którą wszyscy modliliśmy się, wchodząc do tej kaplicy.

•Najczcigodniejszy Velu podsuwa wielce interesującą możliwość -

powiedział Gagliardi - ale większość z nas nic nie wie o Yinie jako kandydacie na urząd papieski.

•Rzeczywiście, prawdopodobnie jako jedyny spośród obecnych zetknąłem się z Yinem Daomingiem osobiście, i to gdy obaj byliśmy o wiele młodszy, ale trudno zaprzeczać wpływowi, jaki wywarł na Kościół w Chinach - sprzeciwił się Velu.

- Najczcigodniejsi księża kardynałowie - wtrącił Donoher - aż do radosnego dnia, gdy biskup Yin zostanie uwolniony, kwestia, którą się zajmujemy, jest wysoce dyskusyjna. Kiedy myślę *opapabili*, nie mam wątpliwości, że to konklawe jest w stanie przełamać wielowiekową tradycję i wybrać papieża, który nie będzie ani Włochem, ani Europejczykiem, ani nawet kardynałem. Dopóki jednak biskup Yin przebywa w chińskim więzieniu, nie można go wybrać, ponieważ nie

139

jest w stanie zaakceptować swojego wyboru. Konstytucja Apostolska nie przewiduje tego rodzaju sytuacji, co stawia Kościół w poważnym niebezpieczeństwie. Czy ośmielilibyśmy się uchylić wynik ważnego kanonicznego wyboru, ponieważ ten, kogo kazał nam wskazać Duch Święty, jest niedostępny? W Konstytucji Apostolskiej jest wyraźnie napisane, że konklawe kończy się dopiero wtedy, gdy wybrana osoba wyrazi zgodę na objęcie urzędu. W tej sytuacji ryzykowalibyśmy stan zawieszenia w Kościele, podobny do okresu, w którym Francuzi przez dwa lata więzili Piusa VI. Natomiast gdyby władze w Pekinie dowiedziały się o wyborze biskupa Yina, z pewnością natychmiast wydałyby rozkaz

jego egzekucji. - Donoher pozwolił, by jego ostatnia uwaga odpowiednio wybrzmiała w pokrytych freskami murach kaplicy. - Najczcigodniejsi bracia, dostojni księża kardynałowie, mówię to nie po to, by odwozić was od głosowania zgodnie z nakazem sumienia, ale aby wszyscy byli w pełni poinformowani. Jeżeli nikt nie zgłasza dalszych wątpliwości, chciałbym jako kamerling, zgodnie z postanowieniami Konstytucji Apostolskiej, przeprowadzić dzisiaj jedno głosowanie. Czas oddać głosy.

Na polecenie Donohera dwóch mistrzów ceremonii przygotowało i rozdało kardynałom elektorom karty do głosowania. Wybrano losowo trzy trójki kardynałów, którzy mieli pełnić odpowiednie funkcje. Pierwszą tworzyli skrutatorzy, których zadaniem było sprawdzenie każdej z kart i przeliczenie głosów. Później wybrano *infirmarii*, którzy mieli zebrać głosy kardynałów zbyt niedołężnych, by osobiście wziąć udział w całej procedurze i głosujących z pokoiów hotelowych w Domus Sanctae Marthae. Na koniec wyłoniono rewizorów odpowiedzialnych za sprawdzenie kart oraz rejestrów w celu weryfikacji wyników głosowania.

Po zakończeniu tego pierwszego etapu rytuału wszyscy niegłosujący opuścili kaplicę, tak że pozostali tylko kardynałowie elektorzy.

Donoher wrócił na swoje miejsce i podobnie jak inni wpatrzył się w leżący przed nim kawałek papieru. Kartka była prostokątna, przy czym jej długość dwukrotnie przekraczała szerokość, tak by można było ją zgiąć w środku i utworzyć kwadrat. Donoher zrobił to najpierw, a następnie ponownie rozłożył kartkę i napisał w górnej połówce słowa: *eligo in summum pontificem*.

„Wybieram jako papieża”. Rozwahał przez chwilę znaczenie nakreślonych przez siebie wyrazów, zastanawiając się, czyje nazwisko powinien pod nimi - w dolnej połówce karty - wpisać. Jako obywatel Stanów Zjednoczonych głosował w krajowych wyborach, ale za każdym razem miał wtedy świadomość, że jego głos jest jednym z wielu milionów. Tym razem głosów miało być zaledwie sto dwadzieścia. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie dobitniej sprawy ze znaczenia własnej decyzji. Zwycięzca tych wyborów miał być duchowym przywódcą ponad miliarda ludzi na całym świecie, a jego kadencja miała zakończyć się wraz z odejściem z tego padółu.

Donoher modlił się przez chwilę, po czym napisał wielkimi drukowanymi literami nazwisko. Zgiął kartę i czekał. Gdy wszyscy elektorzy podjęli już decyzję, trzech kardynałów wybranych na skrutatorów zajęło miejsca przy ołtarzu.

Na jego środku stała szeroka płytką urna o średnicy mniej więcej metra, wsparta na trzech krótkich solidnych nóżkach. Wykonana z posrebrzanego i pozłacanego brązu, składała się z misy opasanej pięcioma płaskimi poziomymi pierścieniami oraz wieka w kształcie płytkiej kopuły. Wieko, umocowane do misy za pomocą zawiasu, ozdobione było misternym wzorem układającym się w tradycyjne chrześcijańskie symbole winnego grona i snopów pszenicy. Całość zdobiły dwa rzeźbione godła - skrzyżowane klucze świętego Piotra umieszczone na krawędzi misy oraz pasterz trzymający owcę na szczycie wieka. Obok leżała pozłacana patera.

Urna była jedną z trzech wykonanych w ramach reformy procedury wyborczej, przeprowadzonej przez papieża w Konstytucji Apostolskiej. W tej, która stała na ołtarzu, miały zostać zebrane karty do głosowania. Na długim stole przed ołtarzem stała druga, której skrutatorzy mieli używać w czasie liczenia głosów. Trzecia, mniejsza od swoich sióstr, była przenośna, a jej wieko można było zamykać na klucz. Zaopatrzono ją w otwór na głosy zbierane przez *infirmarii*.

Wyśmiewane w niektórych mediach jako „latające talerze” i „zbyt nowoczesne” jak na starodawny rytuał, urny idealnie spełniały swoje zadanie, a Donoher doszedł do wniosku, że pasują również do olśniewającego wystroju kaplicy.

Jako pierwszy podniósł się ze swojego miejsca Mizzi, były kamer-ling i najstarszy spośród biorących udział w konklawe. Uniósł wysoko

141

kartę do głosowania, tak by wszyscy mogli ją zobaczyć, po czym podszedł środkową nawą kaplicy do ołtarza.

- Powołuje na świadka Chrystusa Pana, który mnie osądzi, że mój głos jest dany na tego, który według woli Bożej powinien być moim zdaniem wybrany.

Skrutatorzy odsunęli wieko urny i Mizzi umieścił swój głos na paterze, po czym podniósł ją i przechylił, pozwalając, by karta wpadła do misy. W jego ślady poszli *infirmarii*, którzy oddali głosy i opuścili kaplicę, zabierając ze sobą małą urnę. Następnie, w porządku starszeństwa, zagłosowali pozostali kardynałowie elektorzy.

Kiedy już wszystkie głosy - w tym te, które zebrali *infirmarii* - zostały umieszczone w urnie, pierwszy skrutator, kardynał McKernan ze Szkocji, podniósł wieko i starannie wymieszał jej zawartość. Trzeci skrutator, kardynał Ranaletti z Florencji, zaczął po kolei przeliczać głosy, przekładając je do drugiej urny. Okazało się, że jest ich dokładnie tyle, ile elektorów - gdyby tak nie było, nieotwarte jeszcze karty zostałyby spalone i natychmiast rozpoczęto by kolejne głosowanie.

Trzech skrutatorów zajęło miejsca przy długim stole przed ołtarzem i zaczęło liczyć głosy. McKernan wyciągnął pierwszy z nich, zanotował zapisane na nim nazwisko na przygotowanej specjalnie na potrzeby procedury kartce, po czym przekazał głos kardynałowi Elmerowi z Los Angeles, który powtórzył cały rytuał, przekazując na koniec głos kardynałowi Ranalettiemu.

- Oromo - ogłosił Ranaletti. Nazwisko, wypowiedziane przez roadowitego Włocha, zabrzmiało bardzo miękko.

Gdy kardynałowie elektorzy notowali nazwisko zapisane na pierwszym głosie, Ranaletti przebił igłą literę „o” w wyrazie „*e/igo*” i przez niewielką dziurkę przeciągnął długą nić - za chwilę miał w ten sposób powstać długi sznur zliczonych głosów.

Jak większość obecnych, Donoher zapisywał każde nowe nazwisko, które padało zza stołu, i w czasie głosowania prowadził skrupulatny rejestr. Zgodnie z przewidywaniami, gdy przeliczono z grubsza połowę głosów, okazało się, że każdy *zpapabili* uzyskał całkiem przyzwoity wynik, choć liczba pięciu kandydatów niemal gwarantowała, że żaden z nich nie

zgrupował wymaganej większości dwóch trzecich. I nagle się zaczęło.

- Yin! - zawołał Ranaletti.

142

Poprzednio, za każdym razem gdy ogłaszano nazwisko zapisane na karcie do głosowania, przez całe grono elektorów przetaczała się fala ożywionych nagle rozmów. Tym razem zapadła całkowita cisza. Ranaletti przebił głos i sięgnął po następny.

-Yin.

Przebywający w więzieniu biskup Szanghaju otrzymał pięć kolejnych głosów. Dopiero potem padło inne nazwisko. Wkrótce było już jasne, że w czasie głosowania pojawił się szósty *papabile*. Donoher próbował zrozumieć, co przyciągnęło aż tylu kardynałów do Yina. Każdy z pięciu *papabili* był dobrym człowiekiem; każdy byłby dobrym papieżem.

Dlaczego, pytał sam siebie Donoher, aż tak wielu elektorów wolało poszukać kogoś spoza ich grona - i po co?

Odpowiedź na to pytanie Donoher znalazł na pendentywach w górnych narożnikach „Sądu Ostatecznego”. Michał Anioł namalował na nich aniołów dźwigających symbole męki Chrystusa: krzyż, gwoździe, koronę cierniową, słup, do którego był przywiązany w czasie biczowania. Jezus Chrystus cierpiał i umarł za to, w co wierzył, a Jego przykład inspirował wiernych przez dwa tysiąclecia. Aby przewodzić, trzeba inspirować.

W czasie konklawe, w którym wybrano Leona XIV, kardynałowie pominęli kandydatów, którzy byliby w stanie tylko dobrze rządzić, i wybrali zamiast nich człowieka potrafiącego zainspirować wiernych. Do-

noher wiedział, że wszyscy z uczestniczących w konklawe kardynałów mogliby administrować Stolicą Apostolską, ale czy któryś z nich byłby w stanie inspirować? A czyż nie tego właśnie potrzebował Kościół? Ranaletti odczytał ostatni głos - znowu na Yina - przebił go igłą i wreszcie związał końce nici. Skrutatorzy sprawdzili obliczenia i potwierdzili to, co wiedzieli wszyscy zgromadzeni w kaplicy - nowy papież nie został wybrany. Rewizorzy przejrzyli jeszcze raz zarówno głosy, jak i notatki, upewniając się, że skrutatorzy sumiennie i starannie wywiązali się ze swoich obowiązków. Oficjalne wyniki pokrywały się z obliczeniami Donohera.

- Proszę wszystkich o przekazanie notatek mnie lub kardynałom asystentom - zarządził głośno.

Większość wstała, żeby przekazać notatki, i tylko Gagliardi pozostał na miejscu, wpatrując się w wyniki głosowania. Magni otrzymał

143

dwadzieścia cztery głosy - całkiem przyzwoity wynik jak na pierwsze głosowanie, mniej więcej tyle, ile Sycylińczyk spodziewał się po swoim kandydacie. *Pozostali papabi/i* zdobyli po kilkanaście głosów - niektórzy bliżej piętnastu, inni dwudziestu. Ale tuż za Magnim, z dwudziestoma trzema głosami poparcia, uplasował się Yin - człowiek, którego kandydatury jeszcze kilka godzin wcześniej nikt nawet nie brał pod uwagę.

„Szaleństwo” - pokręcił głową Gagliardi. - „Zgłosić ni stąd, ni zowąd jakiegoś Azjatę i ogłosić go papieżem? Czyste szaleństwo”.

Gagliardi nie zwrócił większej uwagi na ucisk, który poczuł na szyi i ramionach, oraz na zimny pot, jaki pojawił się na jego oliwkowej skórze, nadając jej barwę popiołu.

- Proszę o notatki, księżę kardynale - powiedział kardynał asystent.

Kiedy Gagliardi wyciągnął lewą rękę, żeby przekazać mu arkusz papieru, nagle jego kończynę przeszył palący ból. Mięśnie od czubków palców po ramiona skurczyły się w drżące supły obolałej tkanki, gwałtownie rwące za każdym uderzeniem coraz mniej regularnie bijącego serca.

- Wszystko w porządku? - zapytał kardynał asystent.

Słowa te Gagliardi usłyszał już zza zasłony bólu w klatce piersiowej, który całkowicie pochłonął jego zmysły. Kardynał zatoczył się do przodu.

Asystent upuścił plik zebranych papierów i zamortyzował upadek Sycylińczyka, który po chwili znalazł się na marmurowej posadzce.

- Lekarza, szybko! - zawołał kardynał asystent, przytrzymując głowę i ramiona Gagliardiiego.

Donoher rozkazał otworzyć drzwi do kaplicy i do środka wbiegło dwóch czuwających przez cały czas lekarzy. Mieli ze sobą nosze na kółkach i wózek z najniezbędniejszą aparaturą. Przed konklawe obaj specjaliści przestudiowali historię medyczną wszystkich kardynałów elektorów i wiedzieli, że Sycylińczyk ciągle jeszcze walczy z chorobą serca.

Ułożyli Gagliardiiego na noszach, przebadali go szybko, po czym rozcięli mu kardynalską sutannę aż do pępka i przystawili do piersi

defibrylator. Serce wróciło do normalnego rytmu dopiero po trzecim wstrząsie. Lekarze pędem zabrali ustabilizowanego pacjenta do czekającego w pełnej gotowości ambulansu.

144

- Opuścić rygle - zarządził Donoher, gdy tylko drzwi zamknęły się za lekarzami i kardynałem.

Kaplica ponownie została odcięta od światła zewnętrznego. Kardynałowie asystenci zebrali pozostałe notatki i położyli je na długim stole tuż obok arkusza z oficjalnymi wynikami oraz sznura z głosami. Donoher włożył spisane przez siebie wyniki do skórzanego foliału - miał później przygotować dokument podsumowujący głosowanie. Aż do wyboru nowego papieża do jego obowiązków należało sporządzanie sprawozdania po każdej turze. Potem wszystkie dokumenty miały zostać przekazane elektowi, który w zapieczętowanej kopercie powinien umieścić je w archiwum. Można ją było otworzyć, dysponując wyraźną zgodą papieża. Głosy i notatki zostały wrzucone do niewielkiego pieca. Spalono je tam, dorzucając garść chemikaliów. Czekający na placu Świętego Piotra tłum zobaczył, że z komina Kaplicy Sykstyńskiej wznosi się smuga czarnego dymu.

- „...NIE WIADOMO CIĄGLE, KOGO ZABRAŁA KARETKA Z
WATYKANU,

ale według naszych niepotwierdzonych informacji był to jeden z kardynałów”.

Grin wyciszył dźwięk wiadomości. Dwa spośród jego monitorów były nastawione na Fox Network i CNN. Obie sieci przekazywały na gorąco wieści z Watykanu, ale zarówno jedna, jak i druga właściwie nie miały zbyt wiele do relacjonowania. Niemalże przy okazji reporterzy wspomnieli, że z komina Kaplicy Sykstyńskiej wzbił się w niebo czarny dym. Grin zostawił wyciszone wiadomości i włączył ponownie muzykę. Pozostałe monitory wyświetlały widok z kamer systemu bezpieczeństwa w więzieniu Chifeng.

- Jakies wiadomości z Chin? - zapytał Donoher, wchodząc do pomieszczenia w katakumbach.

Grin przekręcił się w krześle i natychmiast zauważył, że Donoher ma na sobie czarną sutannę z amarantowymi detalami. Z daleka kardynał kamerling wyglądał jak biskup, co najwyraźniej było zamierzonym efektem. Ponieważ wszędzie wokół, na ziemi i w powietrzu, roiło się od reporterów i kamer, pojawienie się ubranego w purpurowe szaty kardynała poza zabezpieczonym terenem konklawe natychmiast niepotrzebnie przyciągnęłoby uwagę.

- Nolan jest już w trzewiach bestii - odpowiedział ponurym, pełnym niepokoju tonem.

•W takim razie możemy tylko modlić się i czekać, aż uda mu się stamtąd wydostać siebie i naszego kochanego biskupa - westchnął Donoher. - Oby Bóg miał ich w swojej opiece.

•Mam nadzieję, że On to słyszy.

Z głośników komputera wydobył się falset Roya Orbisona, który właśnie kończył swój słynny pean na cześć płci pięknej. Ostatnia nuta wisiała przez chwilę w powietrzu, po czym ucichła, zastąpiona przez tubalną odę Joeya Ramone'a do Marii Bartiromo, specjalistki GNBC od biznesu.

- Niezłe przejście z „Oh, Pretty Woman” - stwierdził Donoher, siadając. - Czego ty właściwie słuchasz?

-To cotygodniowa audycja radiowa zatytułowana „Little Steven's Underground Garage”. - Grin odchylił się w krześle i wduśił przycisk pauzy w psychodelicznym jukeboxie unoszącym się w rogu trzydziestocalowego ekranu wideo Maca Pro. - Little Steven to rockandrollowa odpowiedź na Jamesa Burke'a, scalająca tematycznie piosenki, historię i drobiazgi z dziedziny kultury. Przed Royem i Joeyem puszczała kawałki The Gharmś, Nancy Sinatry, The Pipettes i klip Ala Pacino z „Zapachu kobiety”, czyli okresu jego największej świetności. Potrzebowałem jakiegoś odlotu, żeby trochę przegonić chmury. Jedna sesja „Underground Garage” przeważnie załatwia sprawę. A co słysząc na górze?

-

Gzy mógłbyś wstać, zanim odpowiem na twoje pytanie?

Kiedy Grin spełnił jego prośbę, Donoher wyciągnął z aktówki Bi

blię i położył ją na lewej dłoni.

- Powtarzaj za mną - zaczął, odbierając od informatyka takie samo ślubowanie, jakie musiały złożyć wszystkie osoby pełniące w czasie konklawe pomocnicze funkcje.

Grin powtarzał słowa przysięgi, zastanawiając się, co pomyśleliby jego głęboko wierzący rodzice, gdyby dowiedzieli się, że ich daleki od wszelkiej ortodoksji syn został wprowadzony w tajemnice związane z wyborem nowego papieża.

- ...i te Święte Ewangelie, których ręką moją dotykam - powie dział, "kończąc przysięgę.

Donoher schował Biblię z powrotem do aktówki.

- Kazałem ci przysięgać, ponieważ musimy przedyskutować pewne kwestie objęte regułami obowiązującymi w czasie konklawe.

147

•I albo w to wchodzę, albo mnie tu nie ma.

•Właśnie - powiedział Donoher. - Jak by to powiedzieć... Papież Leon wygadał się ze wszystkim.

•Słucham?

•Tuż przed rozpoczęciem konklawe jego osobisty sekretarz wziął mnie na stronę i wręczył mi płytę, na której papież nagrał wiadomość dla kardynałów. Jego Świątobliwość, niech spoczywa w pokoju - Donoher ostatnie zdanie wypowiedział przez zaciśnięte zęby - wyjawiał, że wiele lat temu mianował Yina kardynałem *in pectore*, a potem ni

mniej, ni więcej, że szykuję skok na więzienie, żeby go uwolnić, i że kardynałowie elektorzy powinni zastanowić się nad kandydaturą Yina na urząd papieski.

- Żartuje ksiądz.

Wyraz twarzy Donohera świadczył, że wcale nie jest mu do śmiechu.

- Kiedy rozmawiamy, moi ludzie przygotowują dla kardynałów elektorów dossier biskupa, tak aby mogli zapoznać się z jego osobą przed jutrzejszą poranną sesją. Chodzi o to, żeby moi najczcigodniejsi bracia, z których większość nie wie o Yinie prawie nic, mogli podjąć bardziej przemyślaną decyzję, kiedy już pojawiła się ta niespodziewana kandydatura.

- Gadające głowy w mediach plotkowały coś o tajnym kardynale - przypomniał sobie Grin. - Więc biskup Yin naprawdę jest kardynałem?

- Nie, ale wyłącznie dlatego, że nie został nim publicznie ogłoszony i nie uczestniczył w konsystorzu. Yin był kardynałem wyłącznie w oczach papieża Leona i aż do dzisiaj wiedziały o tym tylko dwie osoby: Nolan i ja. To niebezpieczny sekret - wyjaśnił Donoher - i wolałbym, żeby nikt o niczym nie pisał, dopóki nie uwolnimy biskupa.

- Ale czy Yin naprawdę ma szansę zostać papieżem?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nawet by mi to przez myśl nie przeszło, gdyby nie Velu, który wygłosił mowę na jego cześć. W rezultacie Yin uzyskał w głosowaniu drugi wynik. Był to albo najbardziej bezinteresowny akt, z jakim miałem do czynienia w życiu,

albo najbardziej makiaweliczny.

- Jak to? - zdziwił się Grin.

148

- Kiedy zaczynało się konklawe, mieliśmy pięciu poważnych kandydatów. Ponieważ zaś przekupstwo, łapówki i seks nie są już dzisiaj narzędziami, za których pomocą uprawia się w Watykanie politykę, wybór papieża sprowadza się do kontaktów i osobowości. Jeżeli myślisz, że pięciu *papabili* może podzielić elektorów na pięć różnych sposobów, sprawiając, że żaden z nich nie będzie w stanie zgromadzić wokół siebie wymaganej większości, to masz całkowitą rację.

Zastanawiam się, czy Velu nie poparł Yina po to, żeby trochę namącić.

- Ale czy to nie pogrzebałoby jego własnej kandydatury?

- Może. A może nie. Wprowadzenie do gry Yina sprawia, że cały wyścig przebiega według zupełnie innych zasad, niż się spodziewaliśmy. Historia biskupa wywołuje ogromne współczucie, które przekłada się na głosy. Nie na tyle wprawdzie, żeby został wybrany, ale wystarczająco, żeby zakłócić status quo. Dopóki Yin pozostaje w Chinach, nie można go wybrać, kiedy więc trzeba będzie się pogodzić z rzeczywistością, jego zwolennicy zaczną szukać kogoś innego. Na pewno będą pamiętali o Velu i bezinteresownym akcie, który rozegrał się na ich oczach.

- Wasza Eminencja jest obdarzony niezwykle pokrętnym umysłem.

- Naszym ostatecznym wyborem pokieruje wola Boga, ale na razie muszę sobie poradzić z kaplicą pełną kardynałów, którzy wiedzą, że

szukujemy coś w Chinach. Modlę się w intencji Nolana i innych, żeby te informacje nie wyciekły z Watykanu.

- Nie byłoby dobrze, gdyby tak się stało - zgodził się Grin.
- Byłoby bardzo źle.
- Można coś zrobić, żeby odwieść kardynałów od głosowania na Yina?
- Otwarcie nie, ale z pewnością będę nadal robił, co się da, a co pozostaje w zgodzie z literą i duchem Konstytucji Apostolskiej.

Na obu monitorach Grina nastawionych na wiadomości pojawił się transmitowany na żywo obraz urzędnika Watykanu, który wygłaszał oświadczenie dla prasy. Na drugiej połowie obu ekranów serwisy wyświetliły zdjęcie kardynała Gagliardiiego.

- Możesz pogłośnić? - poprosił Donoher, wpatrując się w monitory.

149

- Jasne.

-„... .Watykan potwierdził, że do rzymskiej kliniki Gemelli rzeczywiście został niedawno przewieziony jeden z kardynałów" - poinformował z offu głos spikera. - „Dostojnikiem tym jest kardynał Gagliardi z Sycylii, od wielu lat uważany za doskonale ustosunkowanego w Watykanie, cierpiący od dłuższego czasu na chorobę serca. Nie wiadomo, w jakim stanie znajduje się kardynał, ale najwyraźniej jest on na tyle poważny, że Gagliardi musiał opuścić konklawe”.

•Wystarczy - powiedział Donoher. Grin wyciszył dźwięk.

•Widzę, że posiedzenie było interesujące.

•Bardziej, niżbym sobie tego życzył.

PRZY WEJŚCIU NA ODDZIAŁ KARDIOLOGII DONOHER POKAZAŁ ochroniarzom dowód osobisty. Chociaż dziennikarze w większości szanowali potrzeby pacjenta i zadowalali się kolejnymi informacjami przekazywanymi im przez piarowców szpitala, niektórzy paparazzi gotowi byli uciec się do wszelkich sposobów, żeby tylko zdobyć zdjęcie kardynała, którego w czasie konklawe powaliła choroba.

Kiedy stan Gagliardiego już się ustabilizował, przewieziono go z ambulatorium na OITK - oddział intensywnej terapii kardiologicznej. Przeszkłone sale dla pacjentów otaczały znajdujący się w samym środku pokój pielęgniarek. Donohera wpuszczono tam, a naczelna pielęgniarka zaprowadziła go do Sycylińczyka.

Już przez szybę Donoher zauważył, że Gagliardi ma gościa - mężczyznę tuż po czterdziestce, bardzo doń podobnego - zbudowanego równie potężnie, aczkolwiek nieco bardziej wysportowanego. Odwiedzający właśnie rozmawiał przez komórkę.

- Księżę kardynale, jedną chwileczkę, dobrze? - poprosiła pielęgniarka.
- Muszę zamienić słowo z gościem pacjenta.

Wprawdzie Donoher nie słyszał wymiany zdań, ale siostra oddziałowa była najwyraźniej zdenerwowana tym, że mężczyzna użył w szpitalu telefonu komórkowego. Gość kardynała nie wyglądał na skruszonego - po prostu skończył rozmowę i wsunął telefon do kieszeni skórzanej aktówki.

- Może ksiądz wejść - powiedziała pielęgniarka zadowolona, że

udało jej się przywrócić porządek.

Gagliardi na wpół leżał na łóżku, a do jego ciała podłączone były liczne przewody i rurki biegnące z i do kilkunastu różnych urządzeń medycznych. Ciągle był szary na twarzy; wydawał się stary i osłabiony. Kiedy Donoher wchodził do sali, gość kardynała nachylił się nad leżącym.

- Wuj, masz gościa - powiedział ciepłym, pełnym życzliwości tonem.

Gagliardi otworzył oczy i uśmiechnął się słabo. Donoher uścisnął jego dłoń - była zimna i lepka.

•Cieszę się, że przyszedłeś - przywitał się Sycylińczyk ochryłym z emocji szeptem. - Zwłaszcza w tak trudnym czasie.

•Czy to nie ty powiedziałeś mi kiedyś, że opieka nad chorymi jest ważniejsza od papierkowej roboty? Pozostali, gdyby mogli, byłiby tutaj ze mną, ale tylko ja mogę opuszczać teren konklawe. Wiedz jednak, przyjacielu, że pamiętają o tobie w modlitwach.

•Wiem, ja też o nich pamiętam. - Gagliardi podniósł słabo drugą dłoń, wskazując nią młodszego mężczyznę. - To mój siostrzeniec, Guglielmo Cusumano. Prowadzi antykwariat tutaj w Rzymie.

-To zaszczyt, że mogę poznać Waszą Eminencję - powiedział Cusumano, po czym złożył pocałunek na pierścieniu Donohera. - Wuj zawsze wypowiada się o Waszej Eminencji z najwyższym szacunkiem.

•Dobrze, że tutaj jesteś. W takich chwilach wsparcie rodziny ma ogromne znaczenie.

•Idź, zadzwoń i dokończ rozmowę z matką - zwrócił się do siostrzeńca

Gagliardi. - Myślę, że mamy z księdzem kamerlingiem kilka poufnych spraw do omówienia.

Donoher skinął głową, a Cusumano zrozumiał aluzję.

- Wróć rano, wuju. Zdążę na spotkanie z lekarzami.
- Dobry chłopak - powiedział Gagliardi, gdy Cusumano wyszedł z sali.
- Co powiedzieli lekarze?
- Nic, czego nie wiedziałbym wcześniej. Wreszcie, po latach, zemściły się złe nawyki. Lekarze ciągle robią jakieś testy, ale najwyraźniej mam w sercu zablokowane kolejne trzy arterie. Gdyby przy kaplicy nie dyżurowała ekipa medyczna, już by mnie tu nie było.

152

- Być może jeszcze nie nadszedł twój czas.
- To się okaże. Ostatnim razem kiedy otworzyli mi klatkę piersiową, chirurg zapewnił mnie, że pożyję jeszcze wiele lat. Tym razem nikt mnie nie pociesza. Wiadomość nagrana przez Jego Świątobliwość była dosyć niespodziewana.
- Dla nas wszystkich - zgodził się Donoher.
- Jesteś w stanie wywieźć Yina z Chin?
- Uważam, że jest to bardzo prawdopodobne.
- Kiedy?
- Najpewniej już jutro.

Gagliardi zamilkł i zamyślił się na chwilę.

- Uważasz, że Yin byłby dobrym papieżem?
- Nie wiem, przecież nigdy go nie spotkałem. Ale skoro Jego Świą-

tobliwość uznał go za godnego tytułu kardynała, to przypuszczam, że nadaje się na Ojca Świętego tak samo jak każdy z nas. Prawdę mówiąc, moim zdaniem problem nie polega na tym...

- Ale Yin otrzymał w głosowaniu drugi wynik. Prawie że zremisował z Magnim!

- Owszem, ale żaden z nich nawet nie zbliżył się do wymaganej większości. Nie wiem, jak rozumieć głosy oddane na Yina. Chodzi o współczucie czy znak? Prawdziwym egzaminem będzie następne głosowanie, do którego niestety, muszę iść się przygotować. Zanim jednak cię opuszczę, czy pragniesz, bym udzielił ci ostatniego namaszczenia?

- Tak - rzekł cicho Gagliardi.

Donoher przełożył stulę przez głowę, po czym na stoliku obok łóżka Gagliardiego położył niewielką fiolkę i złote cyborium. W fiołce znajdował się olej chorych z Bazyliki Świętego Piotra, a w cyborium - cienkim, przypominającym monetę naczynku - Komunia Święta.

Donoher złożył ręce, owinał je stulą, pochylił głowę i zaczął udzielać sakramentu:

-W imię Ojca...

PEKIN, CHINY

29 PAŹDZIERNIKA

XIYUAN, PRZY KTÓRYM WZNOSI SIĘ PALAC LETNI, LEŻAŁ

KIEDYŚ NA

północny zachód od stolicy imperium, od której oddzielały go rozległe pola i pustkowia. W ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat miasto rozrosło się jednak na otaczające je otwarte tereny, przez co w żadnym razie nie można było już powiedzieć, że Xiyuan znajduje się na odludziu. Pekin wchłonął w swój obszar metropolitarny otoczony ogrodem kompleks Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i Tian Yi jechał do śródmieścia wygodną drogą przez miasto.

Kierowca pędził szerokimi alejami w stronę centrum stolicy, a szef chińskiego wywiadu wpatrywał się nieobecny wzrokiem w horyzont. Pomimo późnej pory głównymi arteriami miasta sunął jak zawsze nieprzerwany sznur samochodów, a nad zmieniającym się z dnia na dzień krajobrazem górowały dźwigi przypominające stado wodnych ptaków brodzących nad obfitującą w ryby rzeką. Jaskrawe światła rozjaśniały wysmukłe budowle, podkreślając, że robotnicy na nocnej zmianie bez chwili wytchnienia w ciągu kilkudziesięciu miesięcy usiłują nadrobić stuletnie zaległości w miejskiej infrastrukturze. W Chinach żywe żurawie były zwiastunem powodzenia. Tian Yi zastanawiał się, czy również gigantyczne stalowe żurawie mogą przynosić szczęście.

Kierowca skręcił w Xichangan Jie, zmierzając na wschód w stronę

placu Tiananmen, symbolicznego serca Chin. Przed sobą z lewej strony Tian dostrzegł południowy fragment masywnych czerwonych 154 murów otaczających liczący dwa kilometry kwadratowe zamknięty teren Zhongnanhai. Kompleks został tak nazwany od dwóch niewielkich jezior znajdujących się w jego obrębie, choć większość Chińczyków nazywała go po prostu Morskimi Pałacami. Założony za czasów dynastii Jin jako cesarski park i obejmujący falujące wzgórza i jeziora na zachód od Zakazanego Miasta, zamienił się z pełnego ogrodów i pawilonów miejsca wypoczynku mieszkańców cesarskiego dworu w ośrodek władzy, siedzibę elity Komunistycznej Partii Chin rządzącej krajem. W 1949 roku Zhongnanhai stało się chińskim Kremlem.

Południowy mur w połowie długości odbiegał od drogi, odsłaniając szeroki plac przed bogato zdobionym piętrowym budynkiem z kolumnową fasadą oraz tradycyjnym dachem z czerwonej dachówki. Była to Brama Xinhua (Nowych Chin), wybudowana przez panującego w osiemnastym wieku cesarza jako Wieża Najdroższego Księżyca - dar dla jego stęsknionej za ojczyznę konkubiny.

Kiedy kierowca wjechał na pilnie strzeżony plac, Tian na ścianach po obu stronach bramy zobaczył dwie duże czerwone tablice z wypisanymi białymi literami hasłami:

NIECH ŻYJE WIELKA KOMUNISTYCZNA

PARTIA CHIN!

NIECH ŻYJĄ NIEZWYCIĘŻONE MYŚLI

MAO ZEDONGA!

Strażnicy sprawdzili, czy Tian rzeczywiście jest umówiony na spotkanie, po czym pozwolili kierowcy przejechać. W bramie minister zobaczył jeszcze jedną tablicę:

SŁUŻBA LUDOWI

Kierowca wjechał na otaczającą południowe jezioro wąską drogę. Tian zastanawiał się nad sloganami przy bramie i przypomniał sobie, do czego Yin Daoming wezwał publiczność zgromadzoną w pekińskim teatrze.

Według słynnego stwierdzenia Mao cała władza polityczna wyrasta z lufy pistoletu, ale przecież nawet bardzo realna groźba śmierci nie zastraszyła ani Yina, ani jego współwyznawców.

155

„Ilu komunistów” - zadumał się Tian - „zaśpiewałoby pieśń na cześć wspaniałego Mao, stojąc w obliczu konieczności złożenia w ofierze własnego życia za odmowę potępienia partii?”

Samochód wjechał na teren Fengzeyuanu (Ogrodu Obfitości) położonego na północny zachód od południowego jeziora. Strażnicy z nocnego patrolu wskazali tam kierowcy Tiana miejsce parkingowe niedaleko niewielkiego pawilonu pochodzącego z czasów dynastii Qing. Sporych rozmiarów kontyngent uzbrojonych ludzi w pobliżu budynku uświadomił Tianowi, że premier już na niego czeka.

Żołnierz otworzył drzwi samochodu i zsalutował wychodzącemu ministrowi. Tian dobiegał sześćdziesiątki. Był średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała, miał pociągłą twarz, a jego nierówną czaszkę ciasno opinała gładka, lekko piegowata skóra.

Drzwi do pawilonu otworzyły się przed urzędnikiem i zamknęły za nim, gdy znalazł się już w środku. W fotelu z wysokim oparciem siedział premier Wen Lequan i uważnie przyglądał się Tianowi. Sześćdziesięcioletni przysadzisty mężczyzna był z zawodu inżynierem elektrykiem; długo wspinał się po szczeblach partyjnej kariery, zanim przed czterema laty objął ster rządów najludniejszego kraju świata. Obok siedzieli prezydent Chong Jiyun i minister sprawiedliwości Fu Yushan. Pierwszy z nich - bardzo szczupły, typowy mól książkowy - jako ekonomista z wykształcenia był architektem dwusystemowej polityki państwowej, łączącej komunistyczną strategię polityczną z kapitalistyczną gospodarką. Fu wziął na siebie równie onieśmielające zadanie zmodernizowania obowiązującego w kraju prawa oraz procedur zarządzania systemem sądowym. Dobrze zbudowany i wysportowany, jako pięćdziesięcioletni był najmłodszym mężczyzną w pomieszczeniu. Błyskawiczną karierę polityczną zawdzięczał w równym stopniu błyskotliwemu umysłowi i silnej osobowości.

Naprzeciw trzech najpotężniejszych ludzi w Chinach stał pusty fotel.

- Ministrze Tian - powiedział Wen, wypowiadając nazwisko gościa bardzo oficjalnym tonem - proszę usiąść^

Szef wywiadu skorzystał z propozycji premiera. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, mimo że uwaga całej trójki była skupiona na nim. Spoglądał gdzieś za rozmówców, koncentrując wzrok na wiszącym na przeciwległej ścianie pejzażu przedstawiającym przełom Qutang na rzece Jangcy i podziwiając wspaniałe pociągnięcia pędzla jego

autora.

•W ciągu wielu lat służby krajowi - powiedział Wen - wyrobił pan sobie opinię rozsądnego człowieka, podejmującego wyłącznie dogłębnie przemyślane działania. Cóż tak pilnego się wydarzyło, że wymaga natychmiastowej uwagi ode mnie oraz moich szanownych towarzyszy?

•Panie premierze, panie prezydencie, panie ministrze - zaczął Tian, kiwając po kolei głową poszczególnym dostojnikom. - Uważam, że suwerenność naszego kraju została naruszona przez oddziały zachodniego agresora.

•Proszę dalej - rzekł Wen.

•Kilka godzin temu otrzymaliśmy wiadomość od szefa placówki w Rzymie. Watykan wprowadził w życie plan uwolnienia pewnego więźnia z *laogai* w Ghifengu oraz wywiezienia go z kraju.

•Którego więźnia? - zapytał Fu.

- Yin Daominga, rzymskokatolickiego biskupa Szanghaju.

Tian zauważył, że Wen, słysząc to nazwisko, lekko się spiął.

•Watykan? - zdziwił się cicho Chong. - Czy oni nie są teraz w okresie przejściowym?

•Owszem. Naszym zdaniem właśnie dlatego podjęli się tej prowokacyjnej akcji. Papież Leon za pośrednictwem nagranej przed śmiercią wiadomości osobiście ujawnił spisek kardynałom, którzy spotykają się, żeby w tajemnicy wybrać nowego przywódcę. Okazało się również, że zmarły w sekrecie mianował Yina kardynałem. W

swoim przesłaniu poprosił konklawe, żeby rozważyło kandydaturę biskupa na papieża.

- To nie do wiary - powiedział Fu. -1 co, rzeczywiście się nad tym zastanawiają?

- Według moich informacji Yin jest jednym z najpoważniejszych kandydatów.

- Historia często przejawia osobliwe poczucie humoru.

- Jak to, panie premierze? - zapytał Fu.

- Wychowałem się w szanghajskiej prowincji w małej wiosce tuż za miastem, tej samej, w której dorastał Yin Daoming. Chodziliśmy razem do szkoły, znałem go. Pamiętam Yina jako bardzo dobrego ucznia i trudnego rywala. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale szanowaliśmy się wza-

157

jemnie. W naszej wiosce żył wtedy pewien stary człowiek, samotnik, o którym mówiło się, że potrafi przepowiadać przyszłość. Pewnego dnia latem pływaliliśmy z Yinem i innymi chłopcami w niewielkim jeziorze. Ścigaliśmy się i do przeciwległego brzegu dotarłem z Yinem o wiele szybciej od reszty kolegów. Spotkaliśmy tam starca, który stał w cieniu wierzby przy brzegu jeziora. Byliśmy młodzi, mieliśmy może po piętnaście lat, i bardzo się go wystraszyliśmy. Mężczyzna przypatrywał nam się przez chwilę, po czym powiedział: „Jeden z was będzie rządził, a drugi przewodził”.

- Yin jest w więzieniu, ponieważ przewodzi niebezpiecznemu kultowi -

stwierdził Fu. - Powinien był zostać stracony już wiele lat temu.

•Być może - zgodził się Chong - ale męczennicy są o wiele groźniejsi niż więźniowie. A gdy ci ostatni staną się już tymi pierwszymi, nie da się tego odwrócić. Skoro agenci Watykanu wiedzą, gdzie trzymany jest Yin, czy nie powinniśmy go po prostu przenieść?

•To może nie wystarczyć - odpowiedział Tian. - Informacji dostarczyli nam włoscy partnerzy. W ich oczach wypłynięcie kandydatury Yina stanowi zagrożenie dla naszych wspólnych interesów. Słusznie uważają, że sprawa Yina jest naszym wewnętrznym problemem i proszą, żebyśmy rozwiązali go szybko i dyskretnie, zanim negatywnie odbije się na naszych biznesowych relacjach.

Nie musiał niczego wyjaśniać. Wszyscy zgromadzeni w pomieszczeniu wiedzieli o potajemnym udziale Pekinu w handlu bronią i narkotykami, nad którym nadzór sprawowało Guojia Anquan Bu - Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego. Premier zastanawiał się przez chwilę nad meldunkiem Tiana oraz opiniami Chonga i Fu.

- Wprawdzie nie podoba mi się pomysł zabicia Yina Daominga, ale dostrzegam niebezpieczeństwo, jakie biskup stanowi dla Chin. Na sze społeczeństwo znajduje się na etapie wielkiej transformacji i jeżeli z czyjogoś powodu zakwestionowana zostanie wiara ludu w partię, okaże się on bezbronny wobec działań wywrotowców. Gdyby agentom Watykanu udało się wywieźć Yina z Chin, byłby dla nas o wiele większym problemem niż dalajlama. Jeżeli przeniesiemy Yina, to czy waszym zdaniem Watykan nadal będzie próbował go uwolnić?

Tian skinął głową.

158

- Są niezwykle cierpliwym wrogiem, obdarzonym długą pamięcią.

Moim zdaniem nie zbroczą tak łatwo z raz obranego kursu.

- Ponieważ nie możemy pozwolić, by uwolnili Yina, jedynym wyjściem

wydaje się jego śmierć - postanowił Wen. - Ministrze Fu, proszę

przygotować nakaz egzekucji Yina Daominga. Ministrze Tian, niech

jeden z pańskich ludzi dostarczy dokument do Chifengu i posłuży nam

za świadka, że wyrok został wykonany.

- A co z agentami Watykanu? - zapytał szef wywiadu.

- Pozostawiam śledztwo panu. Podejrzewam, że rozpierzchną się, gdy

dotrze do nich wieść o egzekucji Yina. Gdyby jednak zatrzymano

któregoś z nich, należy go zlikwidować.

CHIFENG, CHINY 29

PAŹDZIERNIKA

BUSZUJĄC PO SIECI KOMPUTEROWEJ WIĘZIENIA CHIFENG, Kilkenny i Grin nie znaleźli żadnych dowodów, że urządzenia monitorujące zainstalowane są w celach. Nie oznaczało to jednak, że ich tam nie ma - można było co najwyżej wyciągnąć wniosek, że nie są podłączone do systemu. Następne posunięcie miało ujawnić, czy nie wyposażono ich w jakiś sprzęt pracujący poza siecią.

Kilkenny przekonany, że więzienie wróciło do normalnego trybu pracy, zakłóconego przez jego nieplanowane pojawienie się, usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i zabrał się do oprawiania brzegów własnego drelichu. W czasie pobytu w jurcie przećwiczył rozplątywanie po ciemku szwów. Początkowo zadanie wydawało się bardzo trudne, ale w końcu udało mu się nabrać pewnej wprawy. Przez moment zastanawiał się, czy nie użyć lepiej pasków na rzepy, ale doszedł do wniosku, że kieszenie byłyby w takim wypadku za grube i mogłyby wzbudzić podejrzenia.

Teraz z pierwszej z nich wyciągnął słuchawki. Z niewielkiego piankowego urządzenia wyrastały dwa cienkie druty - jeden giętki, a drugi luźny. Włożył słuchawkę do lewego ucha - rytmiczne uderzenia jego pulsu dostarczyły im energii kinetycznej. Ustawił pierwszy z przewodów, owijając go wokół skroni i zawieszając na nim w odległości jakichś dwóch centymetrów od lewego oka maleńki przezierny ekran. Wykonany z

przezroczystego plastiku, przypominał opłatek wielkości znacz-

160

ka pocztowego. Kilkenny polizał koniec drugiego drucika - klej miał gorzki smak - i przymocował sobie do krtani niewielki mikrofon.

Z drugiej kieszeni wyjął mały plastikowy cylinder wielkości łuski naboju kaliber dziewięć milimetrów. Paznokciem kciuka zeszkrobał wieczko, odsłaniając płytką przestrzeń w jego wnętrzu. Po raz pierwszy usłyszał o systemach mikroelektromechanicznych (MEMS), gdy konsorcjum, dla którego pracował, pomagało w Ann Arbor wejść na rynek firmie wywodzącej się z laboratoriów badawczych prowadzonych przez inżynierów z Uniwersytetu Michigan.

We wnętrzu cylindra starannie zamknięto jeden z najnowszych cudów mikroelektroniki: mechaniczną muchę. Urządzenie w niewielkim stopniu przypominało prototypy, co najlepiej świadczyło o tym, jak ogromne postępy w ciągu ostatnich lat uczyniła ta młoda technologia. MEMS, podobnie jak ich o wiele więksi mechaniczni przodkowie, mogły przybierać różne kształty i rozmiary, a Mucha była najmniejszym i najbardziej zaawansowanym typem mikroskopijnego pojazdu powietrznego.

- Aktywacja - szepnął Kilkenny.

Mikrofon przy krtani wychwycił wibracje strun głosowych i przekazał komendę obiektowi we wnętrzu cylindra. Niewielki ekran zwisający przed okiem Amerykanina zamigotał i pojawiła się wokół niego jasnozielona poświata rozjaśniająca zawartość miniaturowego urządzenia. Jego ścianki

zwężyły się do przodu na kształt tunelu zakończonego okrągłym otworem.

- Gotowość bojowa.

Mucha zwolniła uchwyt na ściankach cylindra, wypełzła przez dziurkę z tunelu i weszła Kilkenny'emu na dłoń. Przypominała dużego ślebaka. Jej konstruktorzy dla zachowania realizmu zaprogramowali nawet kilka typowych dla much powietrznych manewrów.

- Rozpocznij poszukiwania.

Mucha wystartowała z dłoni. Kiedy bzycząc, krążyła po celi, jej skrzydełka idealnie naśladowały ruchy i tempo swojej latającej żywej imienniczki. Przez niewielką kratkę wentylacyjną w ścianie przedostała się do brudnego przewodu i na korytarz. Przed wyjazdem Kilkenny i Grin załadowali do jej pamięci przybliżony model skrzydła dla niebezpiecznych więźniów. Korzystając z wizualnych wskazówek

161

w korytarzu, urządzenie szybko ustaliło, gdzie się znajduje, po czym przeszło do przeszukiwania kolejnych cel, zaczynając od tej położonej najbliżej. Mucha wylądowała na suficie i przesunęła po pomieszczeniu przełączonymi na tryb nocny kamerami w oczach.

- Wstrzymaj obraz.

Mucha wykonała komendę. Sąsiad Kilkenny'ego leżał skulony na podłodze.

- Siatka.

Obraz na ekraniku został podzielony na dziewięć kwadratów.

- Powiększ A3.

Mucha zrobiła zbliżenie na twarz mężczyzny i po chwili kwadrat w prawym górnym rogu zajął całą szerokość ekranu. Więzień był młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Następny.

Mucha podleciała do otworu wentylacyjnego i przez przewód przedostała się do kolejnej celi. Kilkenny po chwili mógł stwierdzić, że parę następnych klitek jest albo pustych, albo zajętych przez młodych mężczyzn.

Dwie godziny po rozpoczęciu poszukiwań Mucha wleciała do jednej z ostatnich już cel. W środku siedział mężczyzna starszy od tych, których jak dotąd podglądał Kilkenny, choć patrząc na niego, nie dało się odczytać dokładnie wieku. W przeciwieństwie do innych więźniów, którzy spali lub wiercili się niespokojnie, ten siedział w wyprostowanej pozycji ze skrzyżowanymi na kolanach stopami, przez co przypominał Buddę. Miał zamknięte oczy, ale Amerykanin wiedział, że nie śpi, ponieważ mówił coś bardzo cicho.

-Powiększ BI.

Kamera w oku Muchy skupiła się na ramieniu mężczyzny.

- Cel określony. Lądowanie.

Mucha kilka razy okrążyła celę, po czym usiadła więźniowi na ramieniu. Mężczyzna właściwie raczej szeptał, niż mówił, ale Kilkenny był w stanie rozróżnić poszczególne słowa.

- ... *benedictus fructus ventris tui, Iesus. Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus, nunc, et in hora mortis nostrae. Amen.*

„W żadnym razie nie przypomina to chińskiego" - pomyślał Kilkenny.

162

- *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum.*

- Zdrowaś Mario, łaski pełna - przetłumaczył szeptem Amerykanin.

Z monotonnego rytmu głosu mężczyzny wywnioskował, że odmawia

różaniec. Po kolejnych dwóch zdrowaśkach więzień skończył dziesiątkę i

zaczął recytować Modlitwę Pańską.

- *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum. Adueniat re-*
gnum tuum. Fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra...

Kilkenny znał łacińskie wersje modlitw, ponieważ jego rodzice i

dziadkowie zostali wychowani w czasach, gdy msze święte odprawiano

jeszcze w tym języku, przed rewolucyjnymi zmianami wprowadzonymi

przez Sobór Watykański II. Stary pacierz był dla niego czymś swojskim,

bezczasowym.

- .. *Panem nostrum quotidianum da nobis hodie, et dimitte nobis de-bit*
nostra sicut et nos dimittimus debitoribus nostris. Et ne nos inducas in
tentationem, sed libera nos a malo. Amen.

- Włącz głośnik - wydał komendę Kilkenny. W dolnym rogu ekranu

pojawiła się ikonka w odpowiednim kształcie. -1 zachowaj nas od

złego. Amen - szepnął do przymocowanego do krtani urządzenia.

Mężczyzna zamilkł. Amerykanin pomyślał, że być może nie usłyszał

transmitowanego przez Muchę głosu. Nagle jednak więzień zapytał:

- Kto tam?

Mówił cicho łamaną angielszczyzną.

Kilkenny'emu przyspieszył puls. „W więzieniu może być tylko jeden człowiek, który zna i łacinę, i angielski" - pomyślał z podnieceniem.

- Przyjaciel. Czy rozmawiam z Yinem Daomingiem?

- Tak - odpowiedział cicho biskup.

- Przysłał mi Piotr. Twoja prośba o zachowanie od złego została wysłuchana.

PEKIN, CHINY

Liu SHING-LI ZAMRUGAŁ I OTWORZYŁ OCZY JUŻ PRZY PIERWSZYM wibrującym dzwonku telefonu komórkowego. Położył dłoń na aparacie, zanim sygnał zdążył rozbrzmieć po raz drugi.

- Liu - odebrał. W jego głosie nie było słychać nawet śladu po pozbawionym marzeń snu, w którego objęciach pozostawał jeszcze kilka sekund wcześniej.

Obok na łóżku leżała kobieta. Jej ciało było zaplątane w prześcieradła, a ona sama wyczerpana. Nie pamiętał jej imienia, co zresztą było bez znaczenia. Zakładał, że przedstawiła mu się zawodowym pseudonimem, niewiele różniącym się od tych, które on sam nadawał zatrudnionym przez siebie osobom. Pod wieloma względami byli do siebie podobni. Zarówno Liu, jak i prostytutka traktowali osobowość jak ubranie, które zależnie od okoliczności można wkładać lub zdejmować. Była to swoista forma schizofrenii.

-Już jadę.

Zakończył połączenie.

W ciągu niecałych dziesięciu minut wziął prysznic, ubrał się i wyszedł z pokoju. Kobieta nawet się nie poruszyła. Nie uważał rozrywki z poprzedniego wieczoru za miłość. Była to raczej seksualna gimnastyka.

Zdaniem Liu seks sam w sobie stanowił fizyczną przyjemność, której nie należy komplikować emocjami. Tyle że tego rodzaju obo-

jętne podejście sprawiało, iż tylko coraz bardziej egzotyczne techniki były w stanie pobudzić jego libido.

O tej porze, jeszcze przed świtem, droga na zachodnie peryferia stolicy nie zajęła zbyt wiele czasu. Zresztą i tak żaden policjant z drogówki nie zatrzymałby samochodu Liu - wystarczył rzut oka na jego specjalną rejestrację.

Minął posterunek kontrolny i dostał się na zadbane tereny Xiy-uanu, kompleksu Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Podobnie jak Langley czy Łubianka, centrala agencji wywiadowczej przejęła w Chinach nazwę placu, przy którym była zlokalizowana. Xiyuan znaczyło Zachodni Ogród. Z budynku po drugiej stronie dawnego cesarskiego Letniego Pałacu rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Siedziba wywiadu, choć nowoczesna pod względem architektonicznym, miała w sobie coś wyraźnie chińskiego i doskonale harmonizowała ze wspaniałym, tradycyjnym otoczeniem.

Liu zdecydowanym krokiem mijał bogato zdobione korytarze skrzydła zajmowanego przez członków najwyższego kierownictwa ministerstwa.

Nie interesowały go wystawione tam dzieła sztuki - w jego oczach stanowiły jedynie kulturowe trofea, łupy przynależne zwycięzcom.

-Proszę, wejdz- tłumiąc ziewnięcie, powiedział asystent ministra, gdy zobaczył Liu w poczekalni gabinetu szefa. - Czeka na ciebie.

Masywne drewniane drzwi otworzyły się cicho przed agentem, po czym z ledwie słyszalnym szcęknięciem zamknęły za jego plecami. Tian Yi siedział na czarnej skórzanej kanapie z filiżanką herbaty w ręku i czytał

jakieś akta.

- Cieszę się, że udało ci się tak szybko przyjechać - powiedział, nie podnosząc nawet wzroku znad teczki.
- Na szczęście nic mnie po drodze nie zatrzymało, panie ministrze.
- To dobrze. Siadaj.

Tian wskazał fotel naprzeciw siebie. Liu usiadł. Między nimi stał niski; polakierowany na czarno stolik; na blacie - serwis do herbaty.

- Może herbaty? - zaproponował zdawkowo urzędnik, ciągle zagłębiany w lekturze dokumentów.
- Dziękuję - odpowiedział agent.

165

Napełnił porcelanowe naczynie niemal czarną herbatą i wciągnął w nozdrza jej lekko kwiatowy aromat. Skosztował gorącego wywaru, delektując się łagodnym, lekko słodowym smakiem zaprawionym odrobiną cytrusów. Złoty Yunnan.

- Dotarły do nas niepokojące wieści z Rzymu. Zmarły papież w tajemnicy mianował Yina Daominga kardynałem cudzoziemskiego Kościoła katolickiego.
- Zawsze to podejrzewaliśmy.
- Owszem, ale nominacja nigdy nie została oficjalnie ogłoszona, ponieważ Watykan wiedział, że na to nie pozwolimy. Teraz zaś, gdy papież zmarł, wszystkie sekrety zabrał ze sobą do grobu.
- W takim razie Yin nie jest już kardynałem, ani tajnym, ani jakimkolwiek innym.

•Nigdy nim nie był - stwierdził Tian - a nawet jeśli był, nie stanowiło

to dla nas zagrożenia. Teraz jednak stało się coś o wiele bardziej

niebezpiecznego. Według źródła w Rzymie, Yin został *papabile*.

• *Papabile*^.

•To włoskie określenie kogoś, kto może zostać wybrany na papieża.

„Yin papieżem?” - roześmiał się w duchu Liu. Zrobiłby to na głos,

gdyby pytanie padło z czyichś innych ust, a nie samego ministra.

•Dlaczego mieliby go wybrać? - zdziwił się. - To szaleństwo.

•Każda religia jest do pewnego stopnia szaleństwem, ale w tym

wypadku podobne posunięcie może się okazać błyskotliwe pod wzglę-

dem politycznym. Papież jest nie tylko przywódcą Kościoła, ale i naj-

wyższym urzędnikiem państwowym. Gdyby Yin został papieżem, w

oczach prawie całego świata przestałby być obywatelem Chin. Zo-

stałby głową państwa i duchowym przywódcą międzynarodowej orga-

nizacji mającej tylu wyznawców, ile nasz kraj obywateli.

-1 co z tego? - zapytał lekceważącym tonem Liu. - Kościół Yina nie ma

wojska, a miliard jego wyznawców jest rozproszony po całym świecie.

- To co uważa pan za słabość, może być również jego siłą - sprze-

ciwił się minister. - W czasie drugiej wojny światowej Winston Chur-

chill próbował przekonać Stalina do celowości sojuszu z Watykanem.

Gruzin podobno wykpił cały pomysł, pytając retorycznie: „Ile dywi-

166

zji ma papież?”. Dziś Stalin nie żyje, Związek Radziecki znikł z mapy

świata, a Watykan przetrwał. Ten miliard słucha papieża z własnej woli.

Gdyby Yin został wybrany, trzymanie go w więzieniu oznaczałoby dla Chin ogromne niebezpieczeństwo.

- Ale przecież nie możemy go uwolnić.
- Nie - zgodził się Tian. - Watykan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Według źródła w Rzymie dlatego właśnie rozpoczął realizację tajnego planu, mającego na celu wywiezienie biskupa z kraju.

- W takim razie powinniśmy go gdzieś przenieść.
- Być może, ale sam transfer mógłby im stworzyć doskonałą okazję do ataku. Jak pan dobrze wie, miliony Chińczyków w tajemnicy wyznają religię Yina. Bez wątpienia wielu spośród nich to szpiegzy Watykanu.

Rozmowa zdaniem Liu zaczęła przypominać grę w go: po każdym ruchu Tiana jemu samemu zostawało coraz węższe pole możliwości.

- Poza Chinami niewiele wiadomo na temat sytuacji Yina, dzięki czemu mamy możliwość dyskretnej załatwienia całej sprawy.

- Tian wręczył agentowi teczkę. - Dokument zatwierdził sam premier Wen.

Liu uśmiechnął się, rzuciwszy okiem na nakaz egzekucji - wiele by dał, żeby dysponować nim w sierpniu.

- Osobiście tego dopilnuję.
- Mam taką nadzieję. A jeżeli zauważy pan coś podejrzanego, proszę się zająć również tym. Jestem przekonany, że nie przeoczy pan żadnego nieproszonego gościa, który nieopatrznie zapuścił się w nasze granice.

CHIFENG, CHINY

DRZWI CELI KILKENNY'EGO OTWORZYŁY SIĘ. DO ŚRODKA WPADŁO dwóch strażników i zaczęło się bicie. Amerykanin zwinął się w kłębek, próbując chronić głowę oraz klatkę piersiową, i najcięższe ciosy spadły na jego plecy i nogi. Napastnicy na zmianę to kopali go, to smagali giętkimi plastikowymi pałkami.

Starał się oddychać płytko, między seriami uderzeń szybko wypuszczając z płuc powietrze. Czuł, jak krew pulsuje mu w pękniętych naczyniach poobijanych warstw skóry i siniaków, tworzących się głęboko w mięśniach. Zaatakowane nerwy wysyłały do mózgu alarmujące sygnały, aż wreszcie nie był w stanie już dłużej rozpoznawać, w których konkretnie miejscach pojawiają się rany. Ból był wszechobecny. A potem bicie - tak nagle jak się zaczęło - ustało.

Ktoś krzyczał wściekłym głosem na okładających go strażników.

Kilkenny nie rozumiał chińskiego, ale ton i wymowa były jasne. Rzucił okiem w stronę osoby, która wstrzymała tortury, i przez załzawione oczy dostrzegł sylwetkę stojącej w drzwiach postaci.

Strażnicy brutalnie skuli mu kostki i nadgarstki, po czym klnąc na czym świat stoi, unieśli go, zmuszając, by stanął na uginających się pod nim nogach. Znowu jednak padł ostry rozkaz, do którego mężczyźni musieli się zastosować. Przytrzymali Kilkenny'ego, podczas gdy niewyraźna postać weszła do pogrążonej w mroku celi i narzuciła na głowę więźnia czarny worek. Komandos na wpół wyszedł, na wpół został wy-

wleczone z lochu. Ruszył ze swymi prześladowcami przez korytarz.

168

Wprawdzie zapoznał się wcześniej z rozkładem więzienia, ale w czasie szybkiego marszu niemal natychmiast stracił orientację. Pogubił się przy liczeniu mijanych drzwi, choć zorientował się nagle, że ostatnie z nich prowadzą na zewnątrz. Powietrze wypełnił warkot ciężarówek, jakichś maszyn i ludzkie głosy - więzienie kipiało życiem, inaczej niż wtedy, gdy pojawił się w nim w środku nocy.

Maszerując, czuł pod stopami żwir. Nad głową słyszał krakanie kruków. Nagle się zatrzymali. Czyjś głos wydał ostry rozkaz i strażnicy przytrzymujący więźnia za ramiona pchnęli go. Upadł na kolana.

Usłyszał szelest papieru i ten sam głos zaczął oficjalnym tonem czytać jakieś orzeczenie. Nie spodobało się agentowi, i to niezależnie od znaczenia słów. Mówca przerwał i wydał kolejny rozkaz.

Kilkenny usłyszał chrzęst żwiru, dochodzący z boku. Jego uszu dobiegło coś, co najwyraźniej było pytaniem, ale chyba zadano je komuś innemu. Najbardziej zaskoczyła go odpowiedź.

- Pan mi wybaczył - powiedział wyraźnie po angielsku Yin - a więc i ja wam wybaczam.

Po tych słowach Kilkenny usłyszał stłumiony wystrzał z pistoletu oraz odgłos upadającego na ziemię ciała.

Ktoś szarpnął za kaptur zakrywający mu głowę, zmuszając go do opuszczenia podbródka na pierś. Amerykanin poczuł przez fałdy materiału lufę pistoletu przyciśniętą do podstawy jego czaszki. W wirze myśli

pędzących przez głowę Kilkenny'ego pojawił się obraz rachunku, którym chiński rząd próbuje obciążyć jego ojca za zużytą kulę, oraz odpowiedź, jaką otrzymują władze w Pekinie.

Amerikanin poczuł, jak mechanizm pistoletu budzi się do życia. Ponieważ był doskonale obeznany z bronią, potrafił sobie wyobrazić, jak szyna spustowa sunie do przodu, obracając dźwignię bezpieczeństwa, która z kolei uruchamia iglicę, zwalniając jednocześnie kurek. Ten uderza w nią, wbijając ją w spłonkę u podstawy znajdującego się w komorze pocisku. Wszystko to trwało zaledwie sekundę. Fala uderzeniowa wydobywająca się niczym trzask pioruna z pistoletu QSZ-92 dotarła do bębenków w uszach Kilkenny'ego dokładnie w tym samym momencie, gdy poczuł uderzenie w tył głowy. Wnętrze kaptura wypełniły gwiazdki, a potem nie było już nic. Pod Amerykaninem ugięły się kolana; opadł bez życia na ziemię.

- PAŃSKA WIZYTA TO DLA MNIE PRAWDZIWY ZASZCZYT - PRZYWITAŁ się Zhong. Liu Shing-Li wyczuł w jego głosie szacunek zarezerwowany dla ważnych gości z Pekinu.

Dyrektor więzienia Chifeng był krępy męczyzną, choć jego niegdyś silnie umięśnione ciało z czasem nabrało pewnej miękkości. O całą głowę niższy od Liu, miał gładką łysą czaszkę, do czego zresztą w żadnym stopniu nie przyczyniły się geny - w więzieniu roilo się od wszy i dyrektor wolał golić się na zero, niż walczyć jak inni z plagą. Gość odkłonił się Zhongowi, choć mniej oficjalnie niż gospodarz.

- Dziękuję, że przyjął mnie pan tak szybko. Mam nadzieję, że moja niezapowiedziana wizyta nie sprawia panu kłopotu. Chciałbym jednak podkreślić, że oczekuję pełnej dyskrecji.

Zhong wywnioskował z tych uprzejmych słów, że Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego uznało za nieostrożne lub zbędne informowanie go o wizycie. Miał nadzieję, że chodzi o tę drugą ewentualność. Zaprosił gościa do niewielkiego okrągłego stolika konferencyjnego i usiadł naprzeciw niego.

•Napije się pan herbaty?

•Nie, dziękuję - odparł Liu. W jego głosie można było wyczuć lekkie znużenie wszystkimi obowiązkowymi uprzejmościami. W tego rodzaju sytuacjach zazdrościł Amerykanom bezpośredniości.

•Czym mogę panu służyć? - zapytał Zhong.

Liu otworzył aktówkę i wyciągnął cienki plik dokumentów, które otrzymał od ministra Tiana.

- Najwyższy Sąd Ludowy nakazał, by na jednym z pańskich więźniów bezzwłocznie wykonać wyrok śmierci.

Zhong wydawał się lekko zdziwiony stwierdzeniem gościa. Nakazy egzekucji zazwyczaj docierały do więzienia jako wewnętrzne dokumenty Ministerstwa Sprawiedliwości - rzadko się zdarzało, by dostarczali je osobiście przedstawiciele resortu bezpieczeństwa państwowego. Wziął do ręki papiery i szybko przebiegł je wzrokiem. Znalazł wśród nich znajomy formularz zatwierdzający egzekucję. Podpisy, krótkimi, zdecydowanymi pociągnięciami pióra, postawili pod nim najważniejsi sędziowie trybunału.

•Czy więzień ma zostać stracony poprzez wstrzyknięcie trucizny czy raczej... ?

•Ma być rozstrzelany - odpowiedział Li, nie czekając na dalszą część pytania.

Zhong celowo do ostatniej chwili zwlekał z przeczytaniem nazwiska skazańca, w ten subtelny sposób obdarowując kilkoma dodatkowymi chwilami życia kogoś, kto wkrótce miał być martwy. Dzięki tej drobnostce dyrektor mógł się poddawać iluzji, że zachowuje współczucie dla człowieka, któremu tak naprawdę go odmówiono. Kiedy jednak wreszcie przeczytał nazwisko, jego prawa brew wygięła się w łuk przypominający grzbiet wściekłego kota.

•Jakiś problem? - zapytał Liu.

•Co roku dokonujemy egzekucji wielu więźniów - odparł dyrektor - ale

nigdy dwukrotnie tego samego.

Gość wbił w niego wzrok.

- Proszę wyjaśnić.

•Po prostu już raz dzisiaj otrzymałem nakaz egzekucji Yin Da-ominga.

•Niech pan pokaże.

Zhong podeszedł do biurka i wyszukał w szarej, metalowej przegródce odpowiednie akta. Przekazał je Liu. Dokumenty wydane przez Najwyższy Sąd Ludowy były praktycznie identyczne jak te, które agent przywiózł ze sobą z Pekinu, nie wyłączając podpisów.

- Czy pańscy ludzie zrobili już swoje? - zapytał Liu.

171

Zhong pokręcił głową.

•Obie egzekucje ma ze swoimi ludźmi przeprowadzić ta sama oficer, która dostarczyła rozkaz. Nazywa się kapitan Jiao. Oczywiście moi strażnicy ich obserwują.

•Obie? Czy to znaczy, że ktoś jeszcze oprócz Yina ma zostać stracony?

•Tak. Cudzoziemiec. Przywieziono go wczoraj wieczorem. Miał u nas czekać na ostateczną decyzję sądu co do wyroku. Moim zdaniem chodzi o kwestie dyplomatyczne. Dziś rano otrzymałem nakaz egzekucji obu skazańców. Właśnie wyprowadzano ich z cel, kiedy pan przyjechał. W normalnych okolicznościach - dodał - jako dowódca obiektu byłbym obecny przy wykonaniu wyroku. Do tego czasu pewnie już skończyli.

•Chciałbym porozmawiać z tą kapitan - powiedział lodowatym tonem

Liu. - Proszę mnie do niej zaprowadzić. I to natychmiast.

JIAO CIĄGLE CZUŁA W NOZDRZACH ostry zapach spalonego prochu, a pistolet w jej dłoni nadal był ciepły. U jej stóp leżało ciało Kilken-ny'ego. Przez porowaty materiał czarnego kaptura sączyła się krew. W pobliżu nad Yin Daomingiem zaczynały już krążyć muchy. Kapitan schowała pistolet do kabury, zapięła ją i gestem kazała podejść do siebie jednemu z więziennych strażników. Mężczyzna przytrzymał teczkę z dokumentami, a Jiao szybko wypełniła odpowiednie formularze, składając na koniec swój podpis jako oficer dowodząca wykonaniem wyroku śmierci na dwóch skazańcach.

•Czy ktoś odbierze ciała - zapytał strażnik - czy też sami mamy się ich pozbyć?

•Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie - poinformowała go Jiao, nie odrywając wzroku od papierów, dopóki nie skończyła. - Mam rozkaz zawieźć zwłoki do Pekinu. Co z nimi zrobią, to już nie moja sprawa.

Jiao oddała teczkę strażnikowi i odprawiła go, po czym odwróciła się do ludzi, którzy przyjechali razem z nią do więzienia.

- Załadować ich na ciężarówkę.

Żołnierze rozłożyli na ziemi obok więźniów dwa czarne worki na ciała i odpięli ich długie owalne poły. Usunęli kajdanki z kostek i nad-

172

garstków Yina, po czym przewrócili jego zwłoki na plecy. Uważając na krew sączącą się z zakapturzonej głowy biskupa, jeden z żołnierzy ostrożnie złapał go za ręce. Drugi stał już w gotowości przy stopach. Na

trzy podnieśli ciało i włożyli je do otwartego worka, traktując zwłoki z takim samym szacunkiem, z jakim odnosiliby się do kupy gnoju. Żołnierz stojący przy stopach zakrył martwego skazańca połą worka, który zaraz potem zapiął na zamek. Następnie razem z kolegą wziął się do przenoszenia ciała Kilkenny'ego. Po chwili oba worki wylądowały na pace ciężarówki.

DYREKTOR ZAPROWADZIŁ SWOJEGO gościa najkrótszą trasą z biura do pozbawionego roślinności podwórza nieopodal wiaty, gdzie przeprowadzano egzekucje więźniów. Obaj mężczyźni zmrużyli oczy, wychodząc z budynku - słońce zalewało plac ostrym światłem, które rzucało na ziemię wyraźnie zarysowane cienie. Dowodząca egzekucjami kapitan patrzyła, jak dwóch jej ludzi ładuje drugie ciało na pakę ciężarówki.

- Pani kapitan! - zawołał dyrektor. - Czy możemy zamienić słówko?

Liu przyjrzał się podchodzącej do nich kobiecie. W jej ruchach widać było pewność siebie i opanowanie, a przy każdym kolejnym kroku coraz wyraźniej wyczuwał jej giętkie ciało kryjące się pod nie-twarzowym mundurem. Opuściła czapkę na czoło, dzięki czemu daszek rzucał na jej oczy głęboki cień.

-Pani kapitan - zaczął Zhong- chciałbym pani przedstawić pana Liu z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Agent pokazał legitymację. Jiao skinęła głową, rzuciwszy na nią okiem.

- Jestem zaszczycona - powiedziała, kłaniając się lekko.

•Kiedy otrzymała pani zatwierdzenie tych egzekucji? - zapytał Liu.

•Dostałam rozkazy dziś rano. Pojawił się jakiś problem?

•Okazuje się, że oboje otrzymaliśmy rozkaz wykonania egzekucji na

Yin Daomingu.

Jiao się roześmiała.

- Komuś naprawdę musiało zależeć na zabiciu tego więźnia.

173

•Być może. Niemniej chciałbym zobaczyć trupa.

•Oczywiście.

Zaprowadziła Liu i dyrektora do ciężarówki. Agent zauważył tylko

trzech ludzi pani kapitan. Czwarty, jak przypuszczał, był już w sa-

mochodzie, z którego silnika, pracującego na jałowym biegu, wydobywały

się spaliny. Choć wszyscy wyglądali na zrelaksowanych, Liu zauważył

pewną różnicę między żołnierzami Jiao a strażnikami więziennymi.

Ci ostatni stali w kilku grupkach z założonymi rękami lub dłońmi

wsuniętymi do kieszeni płaszczy. Korzystali z przerwy na papierosa.

Większość była uzbrojona w pistolety, choć niektórym z narzuconych na

plecy pasków zwisały pistolety maszynowe Type-79. Ludzie Jiao byli

rozproszeni, każdy obserwował inną część podwórza, a stali w pozycjach,

które Liu wydały się raczej nieprzypadkowe. Wszyscy trzej oprócz broni

krótkiej mieli także pistolety maszynowe Type-85, które trzymali w

zagięciach rąk.

- Spocznij! - rozkazała Jiao swoim ludziom, którzy widząc ją, sta

nęli na baczność.

„To zawodowi żołnierze” - pomyślał Liu, zastanawiając się, czy tego

rodzaju konstatacja wystarczająco tłumaczy ich gotowość. Mężczyźni pełniący służbę w obecności dowodzącego oficera raczej nie pozwalają sobie na rozluźnienie. Najwyraźniej jednak dyrektor więzienia Chifeng nie wzbudzał w swoich strażnikach takiego respektu.

Ponieważ burta ciężarówki ciągle była opuszczona, oba worki z ciałami, leżące na żebrowanym metalowym dnie, były doskonale widoczne. Jiao skinęła ręką na najbliższego żołnierza, który szybko wdrapał się na pakę.

- Otworzyć worki - rozkazała.

Żołnierz zawahał się i Liu zauważył, że ukradkiem spogląda na Jiao. Ta w odpowiedzi ledwo dostrzegalnie skinęła głową. Mężczyzna odpiął górne połówki klap w kształcie rombu i odciągnął je. Yin i Kil-kenny leżeli na plecach, a ich twarze ciągle były schowane pod czarnymi kapturami. Przez brzuch ciała po prawej przerzucona była piegowata, porośnięta rudymi włoskami ręka, w dodatku mężczyzna był tak wysoki jak Liu, przez co ten nie miał problemu z rozpoznaniem, które zwłoki należą do obcokrajowca.

174

•Wykonałam na każdym z przestępców wyrok pojedynczym strzałem

w tył głowy - zameldowała Jiao.

•Widzę - odpowiedział Liu.

Nachylił się nad ciężarówką i złapał za kaptur zakrywający głowę Yina.

Materiał początkowo stawiał opór, ponieważ krzepnąca krew kleiła się do przemoczonej szmaty i ziębnącego ciała. Agent szarpnął mocno i zerwał kaptur. Głowa Yina podskoczyła w górę, po czym z głuchym uderzeniem

opadła z powrotem na plastikowy worek, którego cienki materiał nie stanowił żadnej ochrony przed twardym metalowym dnem samochodu. Biskupowi opadła szczeka, odsłaniając rząd długich krzywych zębów. Chociaż twarz skazańca pokrywały smugi zakrzepłej krwi, Liu natychmiast rozpoznał mężczyznę, którego w sierpniu zawiózł do Pekinu. Zaskoczyła go waga kaptura. Wydawało się, że to zwykła szmata, ale okazała się zaskakująco ciężka. Podniósł ją i przycisnął otwartą dłoń do szorstkiego materiału, który ciągle układał się w zarys konturów twarzy Yina. Kaptur był wyściełany od środka czymś płaskim i sztywnym. Przewrócił go na drugą stronę i znalazł zwęgloną wzdłuż brzegów dziurę po wlocie pocisku. Powoli sączyła się przez nią strużka krwi. Liu wetknął w nią palec, który trafił na gładkie wnętrze plastikowego pęcherza. Odsunął dłoń i zauważył na skórze plamkę jasnej cieczy, zbyt czerwonej, żeby była prawdziwa.

Nagle ciąg jego myśli zakłócił głuchy odgłos eksplozji. Zza betonowego muru po przeciwległej stronie podwórza wydobył się niewielki pióropusz dymu i pyłu.

Kapitan Jiao równie gwałtownie zamieniła się w Roxanne Tao i rzuciła na Liu, który odruchowo odwrócił się w stronę źródła dźwięku. Wymierzyła agentowi trzy szybkie kopniaki - pierwszy trafił go w prawe kolano, drugi w nerkę, a trzeci, wykonany z szerokiego półobrotu, prosto w skroń.

Ostatni cios ogłuszył Liu, który padł bezwładnie na leżące na pace worki z ciałami. Uderzył przy tym w głowę Yina, która odwróciła się na

bok tyłem do agenta. Ból, od którego Chińczykowi pociemniało przed oczami, ustąpił szybko i Liu odzyskał przytomność. Kilka centymetrów przed nosem miał gładką, zakrzywioną powierzchnię skó-

175

ry czaszki biskupa, pokrytej zmierzwionymi kępkami siwych włosów. Nie było na niej śladu po strzale, agent nie dostrzegł nawet zranienia - skóra była naprężona i zupełnie nietknięta.

Powietrze wypełniły odgłosy wystrzałów - szybkich i precyzyjnych.

Liu poczuł, że czyjeś dłonie przebiegają mu obcesowo przez ciało, fachowo pozbawiając go pistoletu i składanego noża, przywiązanego tuż powyżej kostki. Broń upadła z łoskotem w bezpiecznej odległości. Pistolet się rozpadł. Kilka par dłoni dźwignęło Liu z dna ciężarówki i cisnęło go na ziemię.

Znowu pociemniało mu przed oczami: z obitej nerki po całym jego ciele zaczęły promieniować fale bólu. Usłyszał gdzieś w oddali kilka kolejnych eksplozji i ryk silnika odjeżdżającej z podwórza ciężarówki.

Powietrze wypełniły odgłosy krzyków oraz piskliwe wycie syreny alarmu.

WOKÓŁ LIU WZBIŁA SIĘ CHMURA SZAREGO KURZU. Z TRUDEM PODNIÓSŁ się z ziemi.

Odkasznął; jego usta i nos były pokryte suchym kredowym osadem

kawałeczków żwiru. Ciężarówka z Yinem i cudzoziemcem zniknęła za

rogiem budynku, pędząc w stronę głównej bramy.

Agent tak szybko, jak tylko był w stanie, podbiegł do leżącej nieopodal

sterty ciał. Trzech strażników nie żyło; ich klatki piersiowe i głowy

znaczyły otwory po kulach - profesjonalne strzały, które miały zabić.

Dyrektor więzienia jęczał, leżąc na ziemi kilka metrów od swoich

pracowników i ściskając się za nogę wygiętą w połowie pod

nienaturalnym kątem.

Na podwórze wpadł oddział strażników trzymających na wysokości

ramion gotowe do strzału karabiny automatyczne. Liu postanowił nie

wykonywać żadnych gwałtownych ruchów i trzymać ręce na widoku.

- Uciekli! - zawołał do dowódcy. - Dyrektor jest ranny i wymaga

pomocy medycznej.

Strażnik podszedł ostrożnie, nie spuszczając Liu z oka i z celownika.

Widoczni za nim mężczyźni omietli lufami karabinów okolicę na lewo i

prawo, szukając potencjalnego zagrożenia. Od grupy oderwał się

sanitariusz i podszedł zająć się ranami dyrektora.

- Raport! - warknął dowódca.

Jeden po drugim członkowie grupy szturmowej zameldowali, że

podwórze i wiata są czyste.

•Sprawdźcie pozostałych - rozkazał swoim ludziom dowódca, nadal

celując type-85 prosto w czoło Liu.

•Twoi towarzysze nie żyją - powiedział lodowatym tonem agent. -

Każdy, kto miał broń, został zlikwidowany.

•Dokumenty, ale powoli!

Liu odpiął guziki marynarki, pokazując wewnętrzne kieszenie i pustą kaburę. Starając się, by żołnierz widział jego ręce, sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął cienki portfel z czarnej skóry, w którym trzymał ministerialną legitymację. Otworzył go i przytrzymał przez chwilę, tak by żołnierz mógł wszystko zobaczyć, nie odrywając dłoni od broni. Dzięki temu prostemu gestowi natychmiast zyskał jego zaufanie, jednocześnie podkreślając własną rangę.

- Dziękuję - powiedział strażnik, opuszczając broń.

Liu schował portfel i zapiął marynarkę. Tuż obok sanitariusz robił Zhongowi zastrzyk z morfiny.

•Kto jest zwierzchnikiem w razie nieobecności dyrektora? - zapytał agent.

•Pan Tang, dyrektor fabryki. Został odprowadzony pod eskortą do centrum dowodzenia.

- Proszę poinformować pana Tanga, że przejmuję dowodzenie nad samochodami oraz że pan i pańscy ludzie wyruszają ze mną w poгон za zbiegami.

Liu znalazł swoją broń i tak szybko, jak tylko był w stanie ze względu na ból w plecach i nodze, to biegnąc truchtem, to maszerując pośpiesznie,

ruszył na czele grupy szturmowej w stronę samochodów. Sanitariusz został przy rannym dyrektorze, czekając na karetkę, która miała go przewieźć do Szpitala Miejskiego nr 3 w Chifengu.

Dowódca floty więziennej, ciągle w szoku po wybuchu strzelaniny, nie opierał się i natychmiast przydzielił Liu dwie ciężarówki i kierowców. W przeciwieństwie do niego młodzi żołnierze z radością przywitali podniecającą perspektywę przełamania codziennej, nudnej rutyny. Oficer dowodzący grupą szturmową zajął miejsce z przodu pierwszej ciężarówki. Liu wskoczył do drugiej. Gdy żołnierze byli już w samochodach, kierowcy nie tracąc czasu ruszyli w pościg. Obie ciężarówki minęły pędem podwórze, ruszając w ślad za ściganą zwierzyną w stronę głównej bramy.

178

- GRUPA W DRODZE - zameldował cicho Gene Chun. Mikrofon przy krtani wzmocnił wibracje jego strun głosowych.

Max Gates razem ze swoim kwartetem zaprawionych w boju żołnierzy leżał zamaskowany w na wpół wyschniętych krzakach otaczających więzienie Chifeng. Żyjący przez ostatnie cztery dni o butelkowanej wodzie i batonach energetycznych komandosi mieli być awaryjną polisą ubezpieczeniową Kilkenny'ego. Zakodowana prośba o „Boską interwencję” uświadomiła im, że coś poszło nie tak i że ich towarzysze na terenie więzienia będą musieli wycofać się w przyspieszonym tempie.

•Dwa wozy w kierunku bramy głównej - uzupełnił meldunek Chun.

•Przyjąłem - odpowiedział Gates. - Uwaga, eksplozja!

Ghun wycofał się do dołu, który wykopał niecałe sto metrów od ogrodzenia. Usłyszał narastający niski pomruk silników diesla zbliżających się ciężarówek, przebijający się przez donośne wycie syren.

SZCZĄTKI PODWÓJNEJ BRAMY przypominały wywrócone kostki domina; pod siatką ogrodzenia leżały uwięzione zwoje drutu kolczastego, spłaszczone przez uciekającą ciężarówkę. Kierowca pierwszego wozu przyspieszył, nabierając prędkości, by przetoczyć się po płątaninie metalu. Był tak skupiony na przedzieraniu się przez resztki, że nawet nie zauważył pędzącego w stronę kratownicy wozu granatu przeciwpancernego.

Pocisk dosięgnął celu i eksplodował, pozbawiając ciężarówkę maski oraz błotników i wrywając z mocowań silnik. Kierowca i siedzący obok niego żołnierz zginęli na miejscu - kawałki metalu i szkła rozerwały ich ciała na strzępy. Fala uderzeniowa przebiła się przez podwozie, dziurawiąc zbiornik paliwa, co wywołało wdrną eksplozję, która oderwała karoserię ciężarówki od ramy. Wprawdzie kabina ochroniła przed skutkami eksplozji mężczyzn na pace, ale drugi wybuch sprawił, że i oni spłonęli doszczętnie.

179

Kierowca Liu skręcił gwałtownie, omijając płonący wrak i przechylając ciężarówkę tak mocno, że o mało nie wylądowała na boku.

Odłamki z wtórnego wybuchu opadły na nich niczym osmalony grad, a powietrze natychmiast wypełnił kwaśny smród spalonej gumy i plastiku.

Po ziemi rozlało się paliwo z rozerwanego zbiornika i płomienie niecierpliwie zamieniły każdą kropelkę cieczy w żar, światło i dym.

Druga ciężarówka zatrzymała się w bezpiecznej odległości od tego, co zostało z pierwszej. Kierowca kurczowo ścisnął w pobielających dłoniach kierownicę. Dyszał gwałtownie, a serce niemal wyskoczyło mu z piersi. Gdyby w chwili eksplozji znalazł się choć trochę bliżej pierwszego wozu, ogień pochłoniąłby również jego. Liu odpiął pas i wyskoczył z kabiny, zostawiając kierowcę, by bez jego pomocy doszedł do siebie.

Przez ryk płomieni i wycie syren przebił się odgłos kolejnej eksplozji.

Po drugiej stronie więziennego kompleksu pojawiła się gęsta chmura czarnego dymu. Liu domyślił się, że zaatakowano cegielnię. Do Chifengu prowadziły tylko dwie drogi i agent oczyma wyobraźni zobaczył płonące ciężarówkę oraz kilka ton cegieł blokujących drugą z nich.

- *Cao!* - zaklął, z sykiem wypuszczając powoli przez zęby powietrze.

- OBUDŹCIE ICH! - ZAWOŁAŁA RCOCANNE TAO.

Uklękała między workami na ciała, zwinięty płaszcz włożyła Kilkenny'emu pod potylicę niczym poduszkę, a głowę Yina ułożyła sobie na kolanach. Obu mężczyznom hipoksja zabarwiła wargi i paznokcie na niebiesko, przez co rzeczywiście wyglądali na nieżywych. Ciężarówka, oddalając się jak najszybciej od więzienia, podskakiwała na wybojach i Tao próbowała jakoś chronić nieprzytomnych pasażerów przed dotkliwszym poobijaniem się na pace.

- Zdejmij im koszule - powiedział Chuck Jing, otwierając torbę lekarską.

Tao podciągnęła Yinowi luźną górę od drelichu aż po pachy, odsłaniając na jego klatce piersiowej pozbawioną włosów, bladą skórę, która tak ciasno opinała się na żebrach, że na kościach biskupa wyraźnie widać było miejsca po źle zrośniętych złamaniach.

-Jezu, naprawdę mu dokopali - stwierdził Paul Sung, dostrzegając sińce i ślady po uderzeniach pałką na ciele Kilkenny'ego.

•Za sekundę rzucę na to okiem - obiecał Jing. - Który pierwszy?

•Yin - postanowiła Tao. - W jego wieku człowiek nie powinien pozostawać w tym stanie ani sekundy dłużej, niż to konieczne.

Jing oczyścił klatkę piersiową Yina środkiem antyseptycznym, którego kolor kontrastował z bladą skórą pacjenta. Następnie wbił długą strzykawkę we wklęsłą dolinę między dwoma żebrami, tra-

fajając prosto w mięsień sercowy, i wcisnął tłoczek. Syntetyczna adrenalina wlała się do bijącego niezauważalnie serca, a sanitariusz wymusił na nim silne, stałe skurcze. Ciało Yina nagle się naprężyło, a plecy wygięły w łuk.

Oczy niemal wyskoczyły z orbit i pacjent zaczął gwałtownie łykać powietrze, niczym tonący kurczowo trzymający się koła ratunkowego.

Wstrzyknąwszy środek pobudzający, Jing wyciągnął igłę i przycisnął do niewielkiej ranki sterylny opatrunek.

Stopniowo oddech i serce Yina zaczęły się wyrównywać. Zatrzepotał kilka razy powiekami, mrużąc nieprzyzwyczajone do światła oczy.

- To księdzu pomoże - powiedział Jing, wyciągając z torby parę ramiczne okulary i wkładając je biskupowi na nos. Przed wyjazdem ze Stanów sanitariusz skonsultował się z kilkoma lekarzami, którzy opiekowali się kiedyś jeńcami wojennymi uwolnionymi w Wietnamie, i dowiedział się, jak należy traktować pacjentów przez dłuższy czas pozbawionych dostępu do światła.

Następnie przyłożył do piersi Yina stetoskop i wsłuchał się w uderzenia jego serca, usiłując wychwycić na przykład niebezpiecznie nieregularny rytm. Na szczęście wszystko było w porządku.

- Jak się ksiądz czuje? - zapytała po mandaryńsku Tao.

Yin spojrzał w stronę, z której dobiegał do niego pocieszający głos, po czym sięgnął ręką i dotknął twarzy kobiety.

•Jak ktoś, kto narodził się na nowo z ciemności i bólu do światła.

•Wie ksiądz, gdzie jesteśmy? - zapytał Jing.

•Poza murami więzienia Chifeng - odparł biskup.

•Brzmi rozsądnie. Bierzemy się do drugiego zbiega.

Jing wbił drugą strzykawkę w pierś Kilkenny'ego. Kiedy krew w jego żyłach nagle przyspieszyła, agent podskoczył i wyprostował się. Czuł ukłucia na całej skórze, a w każdym nerwie rwanie, które wydawało się pulsować nawet w najdrobniejszym naczynku włosowatym.

- Raport! - zawołał, ciągle dysząc nierówno.

- Egzekucja była udana - poinformowała go Tao - ale potem wszystko nieco się skomplikowało.

Kilkenny spojrzał na kruchego mężczyznę, którego głowa spoczywała na kolanach Tao.

- W porządku z nim?

182

- Z tego co widzę, radzi sobie nieźle - odpowiedział Jing. - Jest tylko trochę wyczerpany.

Komandos skinął głową.

- Nie miałem takiego kaca od...

Zamilkł, przypominając sobie nie tak dawny, bardzo przykry poranek.

- Czy to ty jesteś tym, który przemawiał do mnie wczoraj wieczorem? - zapytał po angielsku Yin.

- Jestem - odparł Kilkenny.

Yin uśmiechnął się.

•Taką właśnie odpowiedź chciałem zawsze usłyszeć po uwolnieniu z więzienia, choć nie na to pytanie.

•W takim razie na jakie?

- Na to, które Mojżesz zadał krzewowi gorejącemu na górze Synaj - wyjaśnił Yin, po czym zmienił temat. - W jaki sposób udało się wam zainscenizować naszą śmierć?
 - Nowoczesna technologia ułatwia życie - uśmiechnął się komandos.
 - Kaptury, które narzuciliśmy wam na głowy - wytłumaczyła Yino-wi Tao - zawierały poduszkę ze sztuczną krwią i ładunek petardowy. W ten sposób uzyskaliście wrażenie, że zostaliście zastrzeleni. Pistolet, którego użyłam, naładowany był elektroniką, a nie kulami. Poraziłam wam obu system nerwowy w pobliżu podstawy mózgu. Mieliście wstrzymany oddech i akcję serca, co symulowało śmierć.
 - Ciągle jestem zdania, że strzykawka z trucizną bolałaby mniej niż strzał prądem w podstawę czaszki - jęknął Kilkenny.
 - Być może - przyznała Tao - ale w takim wypadku nie dałoby się przeprowadzić akcji bez odpowiedniej ciężarówki, a właściwie nie da się zdobyć tych używanych do podawania śmiertelnych zastrzyków.
 - Auć! - zawył Kilkenny, kiedy Jing zaczął opatrywać mu rany.
 - Przepraszam za to - powiedziała Tao. - Powstrzymałam strażników tak szybko, jak tylko mogłam.
 - Ryzyko zawodowe. Po prostu przybędzie mi kilka blizn do kolekcji.
 - Z tego co widzę - stwierdził Jing - będziesz miał cały nowy zestaw.
- 183
- Tuż po nas przyjechał jakiś człowiek z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego z nakazem egzekucji biskupa Yina - dodała Tao, kończąc relacje z ostatnich wydarzeń.

•No to mam szczęście, że wy zabiliście mnie pierwsi - wtrącił Yin.

Tao roześmiała się. Biskupa Yina trzymał się iście wisielczy humor.

•Facet uparł się, że sprawdzi ciała i...

•Już wszystko rozumiem. Jak nam poszło? - zapytał Kilkenny.

•Po naszej stronie zero strat - odparł Jing - ale musieliśmy zdjąć kilku z nich. Oddział przy bramie osłaniał nasz wyjazd. Ani śladu pościgu.

Yin zeszywniał, leżąc ciągle na kolanach Tao. Skrzyżował ramiona i przycisnął je mocno do piersi.

•Coś się stało? - zapytała agentka.

•Zabijaliście, żeby mnie uwolnić?

•Tak - powiedział Kilkenny. - Mieliśmy nadzieję, że wystarczy podstęp, ale mój oddział musiał zrobić co trzeba, żeby uratować życie sobie i nam.

•Zabijanie w obronie własnej nie jest grzechem - stwierdził Yin - ale mimo to boleję nad tymi, którzy zginęli.

- Jeśli chodzi o Liu Shing-Li, odczuwam coś wręcz przeciwnego - powiedziała Tao.

•Kto to jest Liu Shing-Li? - zapytał Kilkenny.

•Człowiek, który został wysłany, żeby mnie zabić - wyjaśnił spokojnie biskup.

- Najbardziej bezduszne monstrum, jakie w życiu spotkałam - dodała agentka.

•Ach, nie! Liu ma duszę - poprawił ją ksiądz. - Tyle że jego działania stanowią dla niej ogromne zagrożenie.

•Dwie minuty do przesiadki - zameldował z przedniego siedzenia

David Tsui.

Jing i Sung sprawdzili broń i przeładowali magazynki. Tao zamieniła ogłuszający pistolet na prawdziwy, a kolejny podała Kilkenny'emu.

- Dasz radę? - zapytała.

184

Amerikanin wysunął rękę i stwierdził, że trochę drży mu dłoń.

•Raczej nie zdobędę dzisiaj medalu na zawodach strzeleckich, ale wstydu wam też nie przyniosę.

•Spodziewacie się kłopotów? - zapytał Yin.

•Nie - odpowiedział Kilkenny - ale wolę dmuchać na zimne.

Bob Shen poprowadził ciężarówkę przez starą dzielnicę przemysłową na północnych peryferiach Ghifengu. Na miejski krajobraz składały się wąskie, żłobione koleinami drogi i przysadziste, pozbawione okien, zwieńczone tradycyjnymi dachówkami budynki z poplamionych sadzą cegieł. Wreszcie wjechał do długiego, parterowego magazynu, obecnie nieczynnego. Za ciężarówką zamknęły się stalowe drzwi na kółkach.

Kilkenny usłyszał jakiś głos i gwałtowną wymianę zdań między jego właścicielem a Shenem i Tsui. Spojrzał na Tao, która wyteżyła słuch, żeby wychwycić poszczególne słowa i ewentualnie zaalarmować pozostałych.

Jing i Sung również słuchali, skupiając wzrok i celując bronią w tylne drzwi wozu.

Padło kilka pytań i odpowiedzi i nagle w obcym głosie pojawił się bardziej życzliwy ton.

•To nasz kontakt - stwierdziła z ulgą Tao.

•Sprawdzimy z Tsui okolicę - zawołał z kabiny Shen. - Reszta może się rozładować.

Pierwszy zeskoczył z ciężarówki Sung, trzymając w gotowości karabin.

Jing swoim muskularnym ciałem zatarasował wyjście. Obaj omietli

wzrokiem magazyn w poszukiwaniu potencjalnych wrogów.

Do ciężarówki podeszła niewielka grupa ludzi - mężczyzn i kobiet w

bardzo różnym wieku oraz kilkoro dzieci. Nie mieli broni. Sung i Jing

opuścili lufy karabinów.

- *Ni hao* - przełamała nerwową ciszę mała dziewczynka o długich czarnych włosach.

-

Ni hao - odpowiedział łagodnie Sung. - Jak masz na imię?

Mała, nagle w centrum uwagi, spojrzała nieśmiało na matkę, py

tając ją niemo o zgodę. Kobieta skinęła głową.

•Ke Li.

•Ile masz lat?

185

•Sześć - odpowiedziała, wyciągając obie dłonie z wyprostowaną odpowiednią liczbą paluszków.

•Mam synka dokładnie w twoim wieku.

Twarz dziewczynki rozjaśniła się, a ona sama wskazała na ciężarówkę.

•Czy on tam jest?

•Nie, jest daleko stąd.

•Gdy to prawda? - zapytał stojący obok matki dziewczynki staruszek. -

Czy uwolniliście biskupa Yina?

•Tak, to prawda - odpowiedział z ciężarówki ksiądz.

Zgromadzeni wokół ludzie nagle ożywili się i opanowało ich nerwowe podniecenie właściwe dla tych, których gorące modlitwy zostały wysłuchane.

Jing zeskoczył z wozu i odsunął się, odsłaniając stojącego w drzwiach Yina. Chińczycy z nabożną czcią upadli na kolana, składając ręce jak do modlitwy i pochylając głowy - wszyscy z wyjątkiem dziewczynki.

Sung podał biskupowi rękę i pomógł mu zejść z samochodu. Ke Li wpatrywała się w zmaltretowanego więźnia. Na jej twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

- Naprawdę jesteś księdzem? - zapytała sceptycznie.

Rodzice i dziadkowie Ke Li pobledli, ale Yin spojrzał serdecznie na dziewczynkę.

•Tak, moje dziecko.

•Jesteś strasznie brudny - zauważyła Ke Li.

•Wiem, ale brud jest jak grzechy, można go z siebie zmyć.

Ke Li zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami, po czym nagle coś sobie przypomniała i zaczęła się klepać po koszulce. Znalazłszy to, czego szukała, owinęła kciuk wokół cienkiego sznurka widocznego z tyłu jej szyi, i wyłowiła prosty drewniany krzyżyk, który z dumą zaprezentowała Yinowi.

•Dziadek mi go zrobił, jak się urodziłam. - Głos dziewczynki zamienił

się w szept. - To tajemnica. Muszę go trzymać w specjalnym miejscu, bo ktoś mi go może zabrać. A ty masz krzyżyk?

•Kiedyś miałem, dawno temu. Ale nie najlepiej wychodziło mi trzymanie tego w tajemnicy.

186

Z impulsywnością charakterystyczną dla jej wieku Ke Li zdjęła krzyżyk i podała go Yinowi.

- Możesz nosić mój, dopóki nie dostaniesz nowego.

Hojność dziecka wzruszyła biskupa, który ukląkł, żeby jego głowa znalazła się na wysokości jej rąk.

- Włożysz mi go?

Ke Li przytaknęła z entuzjazmem i nałożyła Yinowi sznurek na szyję, drobnymi rączkami muskając mu policzki. Biskup odwdzieczył się dziewczynce, kładąc dłonie na jej główce i szeptem udzielając błogosławieństwa.

Kiedy po chwili wstał, Kilkenny'emu wydało się, że jest wyższy niż przedtem. Ke Li drobnymi kroczkami pobiegła prosto w objęcia dumnej matki. Amerykanin nie zrozumiał ani słowa z rozmowy, ale znaczenie scenki, która rozegrała się na jego oczach, było zupełnie jasne.

•Błogosławione niech będą dzieci - szepnął do Tao.

•Otóż to.

•Proszę, nie musicie przede mną klęczeć - powiedział Yin, gestem zachęcając zgromadzonych do powstania. - To prawdziwy zaszczyt być wśród was i podziwiać waszą wiarę.

Chińczycy wstali, a dziadek Ke Li podszedł do Yina. Obaj mężczyźni ukłonili się. Staruszek ukląkł na lewe kolano, złapał Yina za dłoń i ucałował palec, na którym powinien znajdować się biskupi pierścień. Yin pobłogosławił mężczyznę i kazał mu wstać.

- Czy to twoje dzieło? - wskazał na krzyżek Ke Li.
- Tak, Wasza Ekscelencjo.
- Nigdy nie miałem piękniejszego.
- Jestem zaszczycony.
- To, że przekazałeś przesłanie tego krzyża dzieciom i wnukom, przynosi ci większy zaszczyt niż pochwała starego księdza.

Do magazynu wrócili Tsui i Shen. Razem z nimi weszło do środka kilku młodych mężczyzn ubranych w kombinezony ochronne.

- Wszystko w porządku? - zapytał Kilkenny.

-Tak- odpowiedział Shen. - Okolica czysta, ale trudno powiedzieć, czy za chwilę nie pojawi się nieprzyjaciel. Powinniśmy jak najszybciej oddalić się od tej ciężarówki. Mamy wszystko, czego potrzeba.

187

Kilkenny skinął głową. Wstał i razem z Tao zeskoczył z ciężarówki.

Pojawienie się wysokiego, piegowatego białego zaskoczyło wielu z otaczających Yina Chińczyków. Choć do Chifengu zaglądali już od czasu do czasu cudzoziemcy, widok jednego z nich, zwłaszcza rudego, ciągle był czymś na tyle niespotykanym, by wywoływać zaciekawione spojrzenia. Ke Li pociągnęła matkę za nogawkę spodni i pokazała palcem na Kilkenny'ego. Yin spojrział na komandosa i uśmiechnął się.

- To dobrzy ludzie, nawet jeżeli jeden z nich wygląda jak obcy demon.

Tao i żołnierze wybuchnęli śmiechem. Tylko Kilkenny, który nie mówił po chińsku, nie zrozumiał żartu.

- Co on powiedział? - zapytał Amerykanin.

- Ręczył za ciebie - wyjaśniła Tao.

- Tak jakby nie wystarczał sam fakt, że jest tutaj z nami. - Kilkenny spojrzał na Yina. - Wasza Ekscelencjo, musimy się przebrać i ruszać.

- Rozumiem - odparł biskup.

Ich kontakt w magazynie - mężczyzna o okrągłej twarzy i imieniu Su - zaprowadził obu do niewielkiego biura, gdzie czekały na nich świeże ubrania. Kilka kobiet - szacownych matron - rozebrało i szybko wyszorowało Yina i Kilkenny'ego, bardziej przejmując się przy tym higieną niż męską skromnością. Kiedy odlepiały agentowi sztuczne rany, ten żałował, że nie da się równie łatwo usunąć prawdziwych.

Jak tylko agent owinał sobie wreszcie ręcznik wokół bioder, jedna z kobiet usadowiła go na krześle i odchyliła mu do tyłu głowę. Otworzyła butelkę i zmoczyła mu włosy gryzącą gęstą cieczą. Zaczęła ją wcierać, barwiąc czuprynę Kilkenny'ego na czarno. Agent próbował się odprężyć.

- Jak wyglądam? - zapytał, gdy do środka weszła Tao, pragnąc przyrzeć się transformacji.

Przez chwilę ważyła w duchu odpowiedź, po czym wydała wyrok:

- Mniej podejrzenie.

- Tylko tyle? Nie stałem się mroczny i tajemniczy?

•Nie. Po prostu wyglądasz mniej podejrzanie.

•Jakoś przeżyję.

•Ale po powrocie do domu wróc do rudego - doradziła. - W czarnym nie jest ci do twarzy.

188

Yin, Tao i żołnierze, wszyscy w świeżych ubraniach, mogli się teraz bez problemu wtopić w mieszkańców miasta. Ponieważ Kilkenny'emu raczej by się to nie udało, Su i jego ludzie załatwili mu garderobę typową dla amerykańskiego turysty. Obowiązkowe džinsy uzupełnili parą butów do pieszych wędrówek, szarą bluzą z jedwabnym napisem „Michigan College of Engineering” oraz błyszczącą granatową kurtką przeciwdeszczową.

•Jak wyglądam? - ponownie zapytał Tao.

•Jakbyś wybierał się na niedzielny mecz futbolowy na wsi. Gdy wszyscy byli już ubrani, ludzie Su pocięli więzienne drelichy i mundury żołnierzy na paski, po czym wrzucili je razem z workami na ciała i kapturami do ognia.

Jedna z kobiet przycięła Yinowi włosy, po czym pokryła jego szczękę i górną wargę grubą warstwą piany. Delikatnymi ruchami zaczęła usuwać kilkutygodniowy zarost, ale choć starała się jak mogła, zacięła biskupa ostrą brzytwą w resztkę strupa tuż poniżej nosa.

•Przepraszam najmocniej - wystraszyła się, osuszając niewielką ranę.

- Przeklęte, niezgrabne łapska.

•Ostatnia osoba, która goliła mi twarz, ani nie miała takiej wprawy jak ty, ani tak się mną nie martwiła. Twoja brzytwa trafiła właśnie na ślad

po niej - uspokoił ją Yin. - Błogosławię cię i twoje dłonie i

dziękuję za twoją dobroć.

Kobieta rozpromieniła się i radośnie dokończyła dzieła, przywracając

Yinowi bardziej cywilizowany wygląd. Su kazał mu stanąć na tle

jasnoszarego ekranu i zrobił zdjęcie. Ostatni miał zostać sfotografowany

Kilkenny. Fotografie natychmiast zostały przerzucone do laptopa i jeden z

mężczyzn, wyglądający na studenta, szybko przygotował komplet

dokumentów.

- Dobra robota - powiedział Amerykanin, zaglądając młodzień

cowi przez ramię.

Mężczyzna pokraśniał z dumy.

•Jestem najlepszym hakerem w okolicy. W przyszłym roku zaczynani

studia na Uniwersytecie Michigan.

•To twoje? - zapytał Kilkenny, wskazując na bluzę.

•Uzyskałem zgodę rządu i zamówiłem ją przez Internet. Zna pan tę

szkołę?

189

Kilkenny skinął głową.

- Spodoba ci się.

Su i Tao, przyjrzawszy się uważnie nowym dokumentom Yina,

stwierdzili, że fałszywki są do przyjęcia.

- To dla księdza, gdybyśmy zostali zatrzymani - powiedziała agent

ka, wręczając biskupowi papiery.

Yin przeczytał wypisane pod fotografią nazwisko.

•Feng Zhijian.

•Czy to coś znaczy? - zapytał Kilkenny.

•W wolnym tłumaczeniu: feniks, który nie traci ducha. Moim zdaniem to zupełnie trafne. - Tao spojrzała na Yina. - Kiedy już ksiądz zapamięta swoje nowe imię i nazwisko, podam jeszcze kilka szczegółów, które uzupełnią profil.

•Na przykład?

•Że jestem księdza córką, Feng Xiu Juan.

•W takim razie twoja matka musiała być piękną kobietą, bo dzięki Bogu w ogóle mnie nie przypominasz.

Tao zarumieniła się, zmieszana zarówno komplementem Yina, jak i tym, że tak łatwo straciła kontrolę nad emocjami.

•Pewnie nurtuje cię - powiedział do Kilkenny'ego Yin - co oznacza jej imię. Już wyjaśniam: feniksa pełnego elegancji i wdzięku. Pasuje, prawda?

•Jeszcze jak!

Su ogłosił coś naprędce i wszyscy zaczęli wchodzić z powrotem do pomieszczeń w głębi magazynu.

•Czas ruszać? - zapytał Kilkenny.

•Mniej więcej o to mu chodziło - potwierdziła Tao.

•Patrzcie tylko na to! - zawołał zdumiony Shen.

W ciągu dwudziestu minut młodzi mężczyźni w kombinezonach rozebrali ciężarówkę na części. Opony cisnęli w kątek obok pasów i szlauchów; miedziany drut, pozbawiony izolacji, leżał ciasno zwinięty w

pętlę. Starannie pozbierali stal, która ciągle była w Chinach cennym towarem. Dwóch spoconych mężczyzn w goglach do spawania pocięło na kawałki większe fragmenty ramy i karoserii. Wszystkie polakierowane części zanurzono w rozpuszczalniku, zdzierając z nich do gołego metalu farbę.

190

- No i mieliśmy samochód - powiedział Kilkenny. Wiedział, że zanim zapadnie wieczór, Chińczykom uda się w nielegalnych piecach do wytapiania odzyskać cały metal i fragmenty ich ciężarówki będą równie trudne do wytropienia, co bohaterowie „Zagubionych”.

Opuścili magazyn w kilku samochodach, taksówkach i furgonetkach.

Właścicielami niektórych z nich były prywatne osoby, inne zarejestrowano na małe firmy. Wyjeżdżali w ustalonym porządku, po jednym lub dwa samochody jednocześnie. Po chwili zarówno członkowie oddziału Kilkenny'ego, jak i jego chińscy pomocnicy niezauważenie wtopili się w południowy ruch uliczny Chifengu.

LIU SIEDZIAŁ W GABINECIE DYREKTORA I WPATRYWAŁ SIĘ W DROBINKI

fusów przyklejone do dna filiżanki, ale abstrakcyjna kompozycja nie miała zamiaru zdradzić przyszłości. Zresztą Chińczyk nie wierzył ani w tasseomancje, ani innego rodzaju wróżbiarstwo - w ogóle nie wierzył, że przyszłość da się przewidzieć. Nawet szczęście przypisywał nie losowi czy kaprysom sił ponadnaturalnych, ale zdolności człowieka do kontrolowania na bieżąco wydarzeń. Problem polegał na tym, że od momentu przybycia do Chifengu szczęście w zadziwiający sposób opuściło Liu.

W więzieniu ogłoszono stan alarmowy, cegielnia stanęła, a więźniowie zostali zamknięci w celach. Strażacy wreszcie ugasili pożary obu bram, a mechanicy starali się usunąć ich okopcone szczątki i odblokować drogę wyjazdową.

Więzienna ekipa techniczna musiała stawić czoło podobnym problemom: pozbierać się po frontalnym ataku na komputery kontrolujące sieci zabezpieczające i komunikacyjne. Nie będąc w stanie nawiązać szyfrowanego połączenia z Pekinem, Liu doszedł do wniosku, że konieczność poinformowania przełożonych o ucieczce Yina jest o wiele ważniejsza od kwestii związanych z bezpieczeństwem, i zaryzykował użycie telefonu komórkowego. Błyszczący ekranik aparatu wyświetlił jednak tylko dwa słowa: „Brak sygnału”. Do momentu powtórnego nawiązania fizycznej i elektronicznej komunikacji cały kompleks był

skutecznie odcięty od świata zewnętrznego. A z każdą minutą Yin oddalał się coraz bardziej.

Ktoś głośnie zastukał do drzwi.

-Wejść! - zawołał wściekłym głosem Liu.

Do środka wgramolił się Tang Hui, ściskając kurczowo pod pachą cienką teczkę. Dyrektor cegielni był otyłym mężczyzną w średnim wieku o rzednących, posklejanych potem włosach. Idealnie pasował do niego garnitur - szary i zmięty.

•Ma pan coś do zameldowania - powiedział Liu, raczej wydając rozkaz, niż zadając pytanie.

•Tak jest, proszę pana. Za kilka minut zaczną działać telefony. Po zakończeniu testów uruchomiona zostanie bezpośrednia linia z Pekinem, o którą pan prosił. System bezpieczeństwa został częściowo naprawiony, a moi ludzie właśnie przeglądają nagrania z kamer, szukając możliwych do wykorzystania ujęć kapitan Jiao i jej współpracowników. Znaleźliśmy również akta więźnia, który uciekł razem z Yinem.

•Wreszcie. Co tak długo? Przecież przywieźli go wczoraj wieczorem.

•Na tym właśnie polegał problem. Oficer dyżurny zarejestrował dokumenty, ale nie zdążyły jeszcze dotrzeć do archiwum.

Tang wręczył Liu teczkę. Zawierała kilka stron informacji na temat więźnia - dokumentację, która wyglądała na oficjalną i była tak doskonała, że udało jej się przejść kontrolę ekspertów. Cała zawartość teczki była

jednak bezużyteczna, z wyjątkiem kolorowych zdjęć i opisów wyglądu mężczyzny.

Liu przyjrzał się dwóm zdjęciom -jednemu *en face*, drugiemu z profilu.

Więzień miał krótkie rude włosy, okrągłą twarz, wąski nos, cienkie wargi i zielone oczy. Mierzył prawie dwa metry, dzięki czemu w każdym miejscu w Chinach musiał wyróżniać się z tłumu. Pozostali członkowie oddziału, który wykradł Yina z więzienia, byli o wiele trudniejsi do wyłapania. Liu wpatrzył się uważnie w zdjęcia i nagle w jego oczach pojawił się błysk - rozpoznał mężczyznę.

Na dyrektorskim biurku zapaliła się lampka jednej z linii telefonicznych, a sam aparat zabuczał cicho. Liu oderwał wzrok od akt, spojrzał na Tanga i skinął mu głową, każąc odebrać.

- Tang - powiedział prosto do słuchawki mężczyzna.

193

Milczał przez kilka sekund, po czym pochwalił rozmówcę za dobrze wykonaną robotę i rozłączył się.

•Telefony zasadniczo już działają, a ekipa techniczna powinna za chwilę nawiązać szyfrowane połączenie z biurem ministra Tiana.

•Dobrze. - Liu położył akta na biurku i odwrócił je w stronę Tanga. -

Zważywszy na to, co się wydarzyło, czy mogę założyć, że te zdjęcia rzeczywiście przedstawiają mężczyznę, który został przywieziony tutaj wczoraj wieczorem?

Tang przyjrzał się fotografii.

•Tak. Oficjalna procedura wymaga, by dyżurny oficer potwierdził, że

dokumenty odpowiadają więźniowi. Papiery podpisał porucznik Yu, poświadczając tym samym, że wszystko jest w porządku.

•Rozumiem, że Yu na własne oczy widział więźnia i porównał go ze zdjęciem?

-Tak.

Liu nagryzmolił na żółtej karteczce adres mailowy i przykleił go do kartki ze zdjęciem.

- Proszę przesłać te fotografie i rysopis mężczyzny do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Być może ustalą, kim on tak na prawdę jest. A jak tylko uda wam się uzyskać nadające się do użytku zdjęcia kapitan Jiao i jej ludzi, wyślijcie je na ten sam adres.

Telefon znowu zadzwonił i Liu gestem kazał Tangowi opuścić gabinet.

Zaczekał, aż dyrektor zamknie za sobą drzwi, po czym podniósł słuchawkę i przygotował się do przekazania najtrudniejszego meldunku w całej swojej karierze.

•Rozumiem, że sprawę Yin Daominga mamy już z głowy, tak? -

zapytał Tian, wbrew własnemu zwyczajowi przechodząc od razu do rzeczy.

•Nie, panie ministrze, niestety nie.

•Proszę wyjaśnić - rozkazał Tian.

Liu opisał po kolei wszystko, co działo się od momentu jego przybycia do więzienia, po czym streścił również, co wiedział o dostarczonym poprzedniego wieczoru do Chifengu cudzoziemcu.

- Jesteś pewien, że to ten sam mężczyzna, którego spotkałeś

w Rzymie? - zapytał Tian.

-Tak.

194

- W takim razie powinieneś był go tam zabić. Fałszywa egzekucja - zamyślił się Tian. - Watykan zlecił zadanie uwolnienia Yina bardzo inteligentnym ludziom. Jego ucieczka pod względem politycznym może się okazać prawdziwą katastrofą, ale może mamy jeszcze czas, żeby opanować sytuację. Skontaktuję się z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego i Armią Ludowo-Wyzwoleńczą. Niech zabezpieczą granice i przestrzeń powietrzną.
- Jakie są moje rozkazy? - zapytał Liu.
- Masz wytropić i zabić Yina oraz tych watykańskich terrorystów, zanim uciekną z kraju. Daję ci dostęp do wszystkich niezbędnych środków, ale ostrzegam: lepiej mnie nie zawieź.

WATYKAN

-JAKIEŚ WIEŚCI OD NOLANA? - ZAPYTAŁ DONOHER, WCHODZĄC DO podziemnej centrali.

Grin siedział przed szerokoekranowym monitorem i wpatrywał się w ziarnisty, czarno-biały obraz wideo. Dyżurował tak od momentu, gdy ludzie Kilkenny'ego przekroczyli chińską granicę, utrzymując przez pół świata nikłą, elektroniczną łączność z oddziałem.

- Tylko to.

Puścił plik od początku. Kamera zatoczyła łuk, zastygając w pozycji jakieś dziesięć metrów nad ziemią. Słońce rzucało na piaszczyste podwórze ostre cienie. Z lewej strony ekranu widać było kilku strażników. Po chwili grupa żołnierzy wprowadziła dwóch zakapturzonych mężczyzn. Obu zmuszono do ukłęknięcia i zastrzelono - pojedynczym strzałem w tył głowy. Donoher wzdrygnął się, widząc, jak ciała upadają na ziemię.

- Zostali schwytani? - zapytał drżącym głosem.

Grin skorzystał z funkcji stop-klatki i zrobił zbliżenie na kobietę w mundurze, która zastrzeliła obu więźniów. Wzmocnił obraz i rysy twarzy stały się nagle wyraźnie widoczne.

• Nawet bez włosów można rozpoznać Roxanne Tao. Właśnie pokazałem księdzu najbardziej ryzykowną część planu Nolana, która...

przepraszam za grę słów... przebiegła bezboleśnie.

• Ale egzekucja wyglądała na prawdziwą!

- I o to chodziło - powiedział Grin, ponownie uruchamiając

film.

Na oczach Donohera oba ciała wrzucono do worków i załadowano na pakę ciężarówki. Na podwórzu pojawiło się dwóch mężczyzn, którzy skinęli na Tao. Po krótkiej rozmowie kobieta zaprowadziła ich do samochodu. Ponieważ kamera nie obejmowała jego tyłu, trudno było stwierdzić, co działo się potem, w każdym razie nagle żołnierze otworzyli ogień. Jednostronna wymiana skończyła się bardzo szybko i ciężarówka z Kilkennym oraz Yinem opuściła teren. Na podwórzu zostały ciała dwóch mężczyzn i kilku strażników.

•Co tam się stało? - zapytał przerażony Donoher.

•Nie wiem, ale skoro nasi ludzie zaczęli strzelać, to pewnie nie mieli wyboru.

Na ekranie pojawiła się główna brama więzienia, którą po kilku sekundach rozerwała na strzępy eksplozja. Ciężarówka przemknęła przez płonące szczątki i nagle obraz zrobił się jednolicie niebieski.

•Jak tylko wyjechali, odciąłem Chińczykom łączność - wyjaśnił Grin. -

Stąd koniec przekazu. Przy odrobinie szczęścia dało to naszym ludziom sporą przewagę.

•Kiedy to wszystko się wydarzyło? - zapytał Donoher.

•Kilka godzin temu.

•Zastanawiam się, gdzie teraz są.

•Bóg raczy wiedzieć - stwierdził Grin - ale mam oczy szeroko otwarte i ciągle ich szukam.

- No cóż, lepiej wróćę już na poranną sesję konklawe. - Donoher wstał i wygładził fałdy sutanny. - Wpadnę w czasie południowej przerwy.
- Skoro już ksiądz i pozostali kardynałowie macie zagwarantowaną uwagę Pana Boga, to może szepnijcie słówko za naszymi w Chinach.
- Bóg pewnie umiera już z nudów przez moje ciągłe modlitwy w tej intencji - stwierdził Donoher.

GDY KARDYNAŁOWIE ELEKTORZY zajęli już miejsca i drzwi do Kaplicy Sykstyńskiej zostały zamknięte, Donoher podszedł do ołtarza. Po-

197

chylił głowę i modlił się w duchu przez chwilę, po czym zwrócił się do pozostałych ksiąząt Kościoła.

-Wasze Eminencje, dostojni księża kardynałowie, zanim rozpoczniemy następne głosowanie, chciałbym przeprosić za moją nieobecność na porannej kongregacji ogólnej, ale w zaistniałych okolicznościach było to konieczne. Mogę wam tylko przekazać, że stan kardynała Ga-gliardiego ciągle jest dosyć poważny. Wielu z was wiedziało o zmaganiach kardynała z chorobą serca. Pamiętajcie, proszę, w swoich modlitwach o nim i jego rodzinie.

Przez konklawe przetoczył się pomruk aprobaty, kardynałowie skinęli z powagą głowami. Kilku dotknęło machinalnie własnych piersi - uniesione dłonie zakryły bliznę biegnącą niczym żywopłot wzdłuż mostka. Rak i choroby serca były częstymi towarzyszami mężczyzn w podeszłym wieku. Donoher zauważył, że kardynał Aąvaro z Brazylii wstał i skinął głową, sygnalizując, że chce coś powiedzieć.

-Widzę najczcigodniejszego kardynała Aąvaro - powiedział, przekazując głos Brazylijczykowi.

- Jedno tylko pytanie, Wasza Eminencjo. Czy są jakieś wieści na temat biskupa Yina?

Kamerling zmarszczył czoło, zastanawiając się, jak odpowiedzieć kardynałowi. Czuł, że oczy wszystkich wpatrzone są w niego.

•Wasza Eminencjo? - ponaglił Aąvaro, wrywając Donohera z zamyślenia.

•Biskup Yin nie jest już więźniem Chińskiej Republiki Ludowej. Dziś rano nasze działania w celu uwolnienia go zostały zwieńczone sukcesem, choć tylko do pewnego stopnia. Niestety, chińskie władze dowiedziały się o ucieczce i musimy założyć, że podejmą wysiłki, by zapobiec jego wyjazdowi z kraju.

Ze swojego miejsca podniósł się kardynał French z Filadelfii. Kamerling przekazał mu głos.

•Wasza Eminencjo, czy Chińczycy wiedzą o naszym zaangażowaniu w tę sprawę?

•Sądzę, że nie, ale nie dysponuję informacjami, dzięki którym mógłbym odpowiedzieć na to pytanie. Bezustannie modlę się o powodzenie naszych działań, muszę jednak również pamiętać o świętym obowiązku,

198

jaki spoczywa na tym konklawe. Zarówno kardynał Gagliardi, jak i biskup Yin to mądrzy oraz święci mężowie i wierzę, że obaj dobrze służyliby

Kościółowi, pełniąc funkcję papieża. Ale w tym momencie znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, co moim zdaniem wyklucza ich z grona kandydatów na urząd papieski. Nie jest moją intencją odwozić któregośkolwiek z was od oddania głosu w zgodzie, jak jestem przekonany, z własnym sumieniem, musimy jednak pamiętać o potrzebach Kościoła. Jeżeli nie ma więcej pytań, powinniśmy rozpocząć.

Kiedy Donoher wrócił na miejsce, mistrzowie ceremonii rozdali kardynałom elektorom karty do głosowania. Pociągnięto losy i wybrano nowych asystentów. Wheeler z Australii, Unkoku z Japonii i Hielm z Holandii zostali skrutatorami, Freneau z Francji, Oromo oraz Siegfried z kurii - *infirmarii*, a Veblen z Miami, Garay z Quebecu i Prati z Florencji - rewizorami. Gdy wszystko zostało już przygotowane do drugiego głosowania, pomocnicy opuścili kaplicę, zostawiając w niej tylko elektorów.

W pierwszym głosowaniu kardynałowie nie wybrali papieża, co zmusiło ich do natychmiastowego zarządzenia drugiego. Choć żaden z kandydatów nie zebrał więcej niż czterdzieści głosów, Donoher zauważył, że pojawiają się już pewne tendencje. Kardynałowie, którzy w pierwszej sesji otrzymali mniej niż dziesięć głosów, niemal przestali się liczyć, ponieważ ich zwolennicy opowiedzieli się za silniejszymi kandydatami.

Magni, dzięki poparciu Włochów, wyszedł z porannego głosowania obronną ręką, ale stracił pozycję lidera. Oromo i Escalante zebrali po ponad dwadzieścia głosów, a Yin, Velu i Ryff- po kilkanaście.

Gdy wrzucono już do pieca notatki i karty do głosowania, Donoher

zaczął się znowu zastanawiać, kogo ostatecznie wyłonią licznie zebrani kardynałowie. Choć Yin stracił część poparcia - bez wątpienia z powodu wystąpienia samego Donohera - to kamerling był zdumiony, że mimo wszystko za stojącym w obliczu tak ogromnego niebezpieczeństwa biskupem opowiedziało się aż tylu elektorów. A przecież zarazem dodawało mu otuchy, że ci konserwatywni, przywiązani do tradycji mężowie w ogóle brali pod uwagę tak odważne posunięcie, jak wybór biskupa Yina. Jako pasjonat historii Stanów Zjednoczonych Donoher uważał, że Jefferson miał rację, stwierdzając w liście do Jamesa Madisona, iż „mała rewolucja od czasu do czasu jeszcze nikomu nie zaszkodziła”.

XIYUAN, CHINY

PENG SHI SZYBKO ODPOWIEDZIAŁ NA WEZWANIE I STAWIŁ SIĘ W poczekalni gabinetu

ministra Tiana. Młody oficer miał na sobie ciemnoszary garnitur, czarne półbuty, nakrochmaloną białą koszulę i wzorzysty jedwabny krawat.

Wyglądał na typowego przedstawiciela korpusu dyplomatycznego, ale w rzeczywistości był oficerem wywiadu i w poprzednim roku wyróżnił się

jako uczestnik śledztwa w sprawie ataku na chiński załogowy statek

kosmiczny. Zyskany w ten sposób rozgłos miał ten nieszczęśliwy uboczny

efekt, że jego przykrywka niskiego szczebla pracownika ambasady w

Waszyngtonie okazała się bezużyteczna, co zmusiło przełożonych do

odwołania go do Pekinu w oczekiwaniu na opracowanie nowej

tożsamości. Gdy jednak nieco przybladła pamięć o powitaniu, jakie

zgotowano mu jako bohaterowi w salach Guojia Anąuan Bu, Peng zaczął

w końcu tęsknić za dreszczykiem emocji towarzyszącym pracy w

zagranicznej stolicy.

- Minister może pana przyjąć - poinformował go uprzejmie asystent

Tiana.

Otworzył bogato zdobione drzwi i wpuścił Penga do gabinetu. Tian

siedział w skórzanym fotelu za obszernym biurkiem z polakie-rowanego

na czarno drewna. Meble oraz otaczające go sprzęty miały wyraźnie

świadczyć o powadze urzędu oraz przypominać wszystkim gościom, jak

ogromna władza skupia się w tym pomieszczeniu. Spojrzawszy ponad

ramieniem ministra przez panoramiczne okna, Peng

dostrzegł słynne ogrody cesarskiego Letniego Pałacu - w całym ich jesiennym splendorze.

•Jak cię traktują w Dziesiątym Biurze? - zapytał Tian.

•Bardzo dobrze, panie ministrze.

•To świetnie. - Tian wycelował pilotem w wiszący na ścianie płaski ekran dużego monitora. - Przyjrzyj się uważnie fotografiom i powiedz mi, czy rozpoznajesz tego mężczyznę.

Peng podszedł do ekranu i spojrzał na zdjęcia. Minął ponad rok, ale rysy twarzy mężczyzny nie zdążyły się jeszcze zatrzeć w jego pamięci.

•To Nolan Kilkenny - stwierdził Peng, choć w jego głosie można było wyczuć lekką konsternację.

•Jesteś pewien? - zapytał Tian.

•Całkowicie, chociaż te zdjęcia... Czyżby popełnił w Chinach jakieś przestępstwo?

•Nawet kilka.

•Ale to Nolan Kilkenny odkrył morderstwo naszych yuhang-yuanów na pokładzie Shenzhou 7 i doprowadził zbrodniarzy przed oblicze sądu. Ten człowiek jest bohaterem.

•Był bohaterem - poprawił go Yian. - Dzisiaj jest wrogiem ludu. Zanim to jednak wyjaśnię, chciałbym, żebyś rzucił okiem na jeszcze kilka fotografii.

Na ekranie pojawiły się nowe zdjęcia. Z lewej Peng rozpoznał Kilkenny'ego, który stał w holu jakiegoś budynku obok Azjatki o długich

czarnych włosach. Prawą część ekranu wypełniła czarno-biała fotografia kobiety w oficerskim mundurze. Data i godzina przy dolnej krawędzi wskazywały, że zdjęcie zrobiono tego poranka.

- Tę pierwszą fotografię - wyjaśnił Peng - wykonałem w sierpniu ubiegłego roku w Waszyngtonie. Kobieta została zidentyfikowana jako Roxanne Tao, współpracowniczka Kilkenny'ego.

- Jest również amerykańskim szpiegiem, ściganym w naszym kraju. Po zidentyfikowaniu Kilkenny'ego dopasowanie do niej nazwiska nie było trudne. Czy możesz potwierdzić, że kobieta z prawej to Tao?

- Jakość zdjęcia nie jest zbyt dobra.

- Pochodzi z kamery monitoringu w więzieniu Chifeng - wyjaśnił Tian.

201

- Nie jestem w stanie stwierdzić tego z całą pewnością, ale wydaje mi się, że ma pan rację, poza tym to ma sens. Już wcześniej pracowali razem.

- Do takiego samego wniosku doszli nasi analitycy.

Tian przeszedł do kolejnych dwóch zdjęć. Oba przedstawiały Yina, z tym że jedno wykonano całkiem niedawno, a drugie po jego aresztowaniu w latach siedemdziesiątych. Peng przyjrzał się im uważnie i wydało mu się, że starsze zdjęcie w osobliwy sposób porusza pewne zakamarki jego pamięci.

- To kryminalista, którego dziś rano ten cały Kilkenny oswobodził z *laogai* w Chifengu.

- Amerykański szpieg? - zapytał Peng, zakładając, że zdjęcie prze-

winęło mu się przez ręce w czasie szkolenia na agenta.

- Rzymskokatolicki biskup. Dobrze znasz Kilkenny'ego i Tao. Śledziłeś ich przez kilka tygodni, prawda?

- Zgadza się.

- Doskonale. Chcę, żebyś poleciał do Chifengu i pomógł człowiekowi odpowiedzialnemu za ich wytropienie. Masz być jego zastępcą.

Peng skinął głową.

- Świetnie się spisałeś w czasie poprzedniej misji. Oczekuję, że teraz też mnie nie zawiedziesz. Wychodząc, zabierz od mojego asystenta informacje na temat lotu i akta. To sprawa o ogromnym znaczeniu politycznym, Peng. Ci ludzie nie mogą opuścić Chin.

- Zrobię co w mojej mocy, panie ministrze.

CHIFENG, CHINY

CHIŃSCY KATOLICY POMAGAJĄCY KILKENNY'EMU WYPROWADZILI JEGO żołnierzy

okreśną trasą z Chifengu na trawiaste stepy Mongolii Wewnętrznej. Na północny zachód od miasta oddział przesiadł się z samochodów oraz ciężarówek na konie i pomknął w głąb pustkowia. Yin cieszył się jak dziecko, wskakując z komandosem na łagodnego gniadosza. Był wyraźnie podniecony nowym doświadczeniem. Przez całą podróż z jego ust nie schodził uśmiech. Siedział wyprostowany w tradycyjnym drewnianym siodle, rozciągając ciało niczym żagiel i łapiąc w nie promienie słońca oraz świeże powietrze, których tak długo był pozbawiony.

Wyprawa skończyła się tuż przed zachodem słońca. Uciekinierzy dotarli do szerokiego kręgu jurt, w jaki od ich wyjazdu poprzedniego wieczoru rozrosło się obozowisko. Z otworów w stożkowatych dachach wydobywały się skręcone wstęgi dymu, a w powietrzu czuć było aromat grillowanych mięs i warzyw. Podbiegło do nich kilku Mongołów, podczas gdy inni podekscytowanymi głosami obwieścili przybycie gości towarzyszom pozostającym w jurtach.

•Udało wam się! - ryknął Gates, kiedy Kilkenny i Tao zeskoczyli z siodeł. - Wszyscy w jednym kawałku?

•Zdaje się, że tak - odparł Kilkenny. - A jak wam poszło?

•Ciągle wytrząsamy piach z butów, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Nic, czego nie wyleczyłoby parę butelek buldogów. Co tam się u licha stało?

• Pekin doszedł do wniosku, że akurat dzisiejszy dzionek doskonale nadaje się na egzekucję Yina - wyjaśniła Tao. - Kiedy przygotowaliśmy się do odjazdu, pojawił się facet, któremu przypadł zaszczyt jej przeprowadzenia.

• No to zrobiło się z lekka chlupoczące szambo. Myślicie, że to zbieg okoliczności? - zapytał przyciszonym głosem Gates.

• Nie - potwierdził jego podejrzenia Kilkenny. - Przypomnij więc dyskretnie chłopakom, żeby byli czujni, bo nie wiemy, gdzie nastąpił przeciek.

• Przynajmniej elegancko osłoniliśmy wam odwrót. Jako że zauważyliśmy osobliwy brak ruchu z Chifengu w kierunku więzienia, podejrzewam, że twój kumpel Grin odciął ich na dobre.

Kilkenny skinął głową.

- Byliśmy przez krótką chwilę w mieście i nie zauważyliśmy niczego odbiegającego od normy: żadnych punktów kontrolnych czy dodatkowych patroli policji. Przynajmniej pod tym względem szczęście nam dopisało.

Gates postukał się dwoma knykciami w skroń.

• Odpukać w niemalowane, ale niech tak pozostanie, dopóki się nie ewakuujemy.

• Coś mi się zdaje, że nasza kryjówka stała się dosyć popularna wśród tubylców.

• Jeszcze jak. Goście, którzy odebrali mnie i chłopaków z umówionego

punktu, przez noc zdążyli się tu całkiem nieźle zadomowić. Zakręcili się trochę i nagle zrobiło się jak w mieście, no i postawili trzy kolejne jurty na hangary dla BAT-ów. Jedno twoje słowo i w ciągu dziesięciu minut będziemy w powietrzu.

- Dobra robota. Gdzie mój sprzęt? - zapytał Kilkenny.
- Hangar numer trzy - odparł Gates, wskazując trzecią jurtę z lewej.

W środku Kilkenny trafił na grupkę roześmianych dzieci bawiących się w jednym z BAT-ów. Sprawdził szybko, czy przełączniki w samolocie są zabezpieczone, żeby dzieci przypadkowo nie uruchomiły silnika.

Otworzył niewielką torbę i wyciągnął hełm. Kilkoro malców zeskoczyło z BAT-a, żeby popatrzeć, co robi. Urządził im małe przedstawienie, udając, że hełm jest za mały i nie potrafi go włożyć na gło-

204

we, na co dzieciaki zareagowały głośnym śmiechem. Kiedy kask był już na miejscu, zaczęły zaglądać mu przez przyciemnioną osłonę, ale nie mogły dojrzeć jego twarzy. Pomachały kilka razy dłońmi, sprawdzając, czy on je widzi, a Kilkenny chętnie podjął grę.

Kiedy znowu zanosły się śmiechem, jakaś kobieta wetknęła głowę do jurty i gwałtownym potokiem mongolskich stów wygoniła dzieci.

Kilkenny z żalem patrzył, jak uciekają.

Włączył urządzenia elektroniczne i przez interface hełmu zalogował się do potężnego nadajnika impulsowego samolotu.

- Wiadomość kodowana, trzy słowa: „Gandalf, Isengard, orzeł”.

POTWIERDZENIE: GANDALF ISENGARD ORZEŁ

- Wiadomość potwierdzona.

ADRESAT?

- Bombadil.

Nadajnik satelitarny spakował wiadomość Kilkenny'ego do skompresowanego impulsu energii trwającego zaledwie kilka pikosekund.

Krążące nad Ziemią na niskiej orbicie dwa nastawione na odpowiednią częstotliwość satelity wychwyciły go i wysłały złożony z trzech słów tekst prosto do Rzymu.

Amerykanin dołączył do pozostałych w sam raz na kolację. We wnętrzu największej jurty zgromadziło się kilka rodzin - mężczyźni z jednej strony, kobiety z drugiej, a Yin w środku, na honorowym miejscu.

Kilkenny usiadł ze swoją drużyną, ale patriarcha rodziny ruchem ręki zaprosił go na środek.

- Proszę, siadaj - powiedział łamaną angielszczyzną, wskazując miejsce obok Yina.

Kilkenny zawahał się, ale kątem oka zauważył, że Tao zdecydowanym ruchem każe mu robić to, o co prosi mężczyzna. Ukłonił się gospodarzowi i zajął miejsce na podłodze po lewej stronie biskupa. Yin uśmiechnął się do niego serdecznie, ciągle upojony pierwszymi godzinami wolności. W młodości Amerykanin uwielbiał chwile triumfu w sporcie i krótkie momenty euforii, która opanowywała go po z trudem wywalczonym zwycięstwie. Teraz jednak czuł się jak intruz zakłócający uroczystość należącą do Yina i jego ludu.

•Jedzenie pachnie wspaniale - powiedział biskup głosem niemal

zduszonym od łez. - Już zapomniałem, jak to jest.

•Lepiej niech ksiądz uważa - poradził Kilkenny. - Żołądek księdza

może jeszcze nie być przyzwyczajony do normalnego jedzenia.

Choć nomadzi dysponowali nader skromnymi środkami, zdobyli się na

uczcie, która sama w sobie warta była wizyty w Mongolii. Podane z herbatą

z mlekiem tradycyjne dania - pierożki shaomai, makaron gryczany, ser,

pieczona jagnięcina - nasyciły gości i sprawiły, że po ich ciałach rozlało

się przyjemne ciepło.

Gdy jednak nieuchronnie pojawiły się butelki *baijiu*, Kilkenny nachylił

się do Tao:

- Powiedz naszemu gospodarzowi, że nie chcemy go urazić, ale

moi ludzie i ja nie będziemy dzisiaj pić. Wylatujemy, zaraz jak się

ściemni, a musimy być trzeźwi.

Tao przetłumaczyła jego słowa. Gospodarz, choć zawiedziony,

wydawał się rozumieć, że bezpieczeństwo Yina liczy się najbardziej. Po

krótkiej wymianie pytań i odpowiedzi wstał jednak, podszedł do

Kilkenny'ego, umieścił w jego dłoni szklanke i napełnił ją aż po brzegi.

•Roxanne? - zapytał Amerykanin niepewny, co zrobić w tej sytuacji, by

nie naruszyć etykiety.

•Wywalczyłam kompromis - wyjaśniła Tao. - Powiedziałam mu, że

dziś w nocy lecimy, ale on stwierdził, że przecież nie wszyscy z nas są

pilotami. Zapytał prosto z mostu, czy prowadzisz. Nolan, to ty uwol-

niłeś Yina i ci ludzie dobrze o tym wiedzą. Musisz wypić.

•Zdrówko! - zawołał Gates. - Honor drużyny w twoich rękach! Do dna!

Kilkenny *spojrzai na* Yina, który uśmiechnął się, trzymając w dłoni własną szklankę z trunkiem. *Baijiu* była tak mocna, że Amerykanin dziękował Bogu, iż opary nie zapaliły się samoczynnie w dusznej jurcie.

•Za wolność! - zaproponował toast Yin.

•Amen! - przytaknął Kilkenny.

Obaj mężczyźni energicznie przechylili szklanki, wywołując głośny aplauz zgromadzonych rodzin. Kilkenny powoli sączył resztę drinka, ale gospodarz najwyraźniej postawił sobie za punkt honoru, żeby

206

jego szklanka nigdy nie była bardziej niż do połowy pusta. Po kilku kolejkach poprosił o ciszę i podszedł do Yina. Kiedy mówił, Tao tłumaczyła cicho jego słowa Amerykaninowi.

- Księżę biskupie, to zaszczyt dla mnie i mojej rodziny móc gościć księdza biskupa wśród nas.

Mężczyzna pokłonił się głęboko, okazując pokorę i głęboki szacunek wobec kapłana.

•Jesteśmy dozgonnie wdzięczni Bogu, że tak nas obdarzył. Przez wiele lat modliliśmy się, by nadszedł dzień, w którym ksiądz biskup będzie wolny.

•Bóg zawsze w końcu odpowiada na modlitwy, nawet te w intencji upartego księdza.

•Mam nadzieję, że wybaczy mi ksiądz biskup niegrzeczność, ale mam ogromną prośbę. - Mężczyźnie zadrżał głos. - Ksiądz, który nas do

niedawna odwiedzał, w zeszłym roku został aresztowany. Nie wiemy, co się z nim stało. Ciągłe się za niego modlimy, ale bez kapłana nie mogliśmy uczestniczyć w mszy świętej ani przyjmować sakramentów.

Gdy może nam ksiądz biskup odprawić mszę?

Gdy Yin usłyszał tę prośbę, w jego oczach pojawiły się łzy, a w gardle urosła kula wzruszenia. Po chwili doszedł do siebie i spojrzał na Kilkenny'ego.

- Mamy czas? - zapytał.

- Zdaje się, że akurat na mszę. Ale czy ksiądz podoła? Minęło trzydzieści lat.

- Przez cały ten czas codziennie odprawiałem mszę - powiedział Yin. -
Z wyjątkiem dzisiejszego dnia.

- Dzień się jeszcze nie skończył - stwierdził Kilkenny.

WATYKAN

W KATAKUMBACH GRIN DRZEMAŁ W PÓLMROKU PRZY
KOMPUTERACH,

wyczerpany po dziesięciu dniach, w czasie których spał o wiele za mało.

Zalewała go poświata z licznych monitorów, przez które płynął zawrotny strumień elektronów zawierających informacje zebrane przez komputery po drugiej stronie świata. Na niektórych ekranach widać było ruchome obrazy; inne wypełniały przewijające się ciągi tajemniczych symboli - poezja maszyn.

Na okienku z zegarem cyferki zamieniły się w zero i nagle z głośników wydobył się głos Binga Crosby'ego, intonującego hit lat dwudziestych, „The Red Red Robin”. Grin zatrzepotał powiekami. Zmarły piosenkarz i bohater reklam soku pomarańczowego zdał egzamin i melodyjnym barytonem oraz nienaganną dykcją wyrwał go z pozbawionego marzeń snu.

*Wake up, wake up you sleepy head. Get up, get up,
get out of bed.'*

- Dobra, dobra, już wstaję - mruknął informatyk, ziewając. Jedną ręką wprowadził komendę, która sprawiła, że Crosby zamilkł w połowie drugiego wersu. Mrugając, by przegonić senność,

* Zbudź się, już śpiącą główkę zbudź, już wstawaj, wstari z łóżeczka
już.

Grin nawiązał kontakt z uśpionym programem, którym zainfekował główny serwer więzienia Chifeng. Mimo że tamtejsi administratorzy zdecydowali się na drastyczny krok wyczyszczenia twardego dysku i załadowania na nowo całego oprogramowania, głęboko ukryty wirus pozostał na miejscu.

Włamał się do pamięci kamer monitorujących i zauważył uzbrojonych strażników patrolujących puste korytarze oraz nieczynną cegielnię - kompleks został całkowicie zamknięty i postawiony w stan najwyższej gotowości. W dwóch głównych bramach wzniesiono naprędce barykady. Tuż obok leżały wypalone i powykręcane szczątki wrót oraz okopcone wraki pojazdów zniszczonych w czasie ataku.

„A teraz zobaczymy, co tam szykują panowie władza” - pomyślał informatyk.

Ekran śledzący centralny komputer Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Chifengu pokazywały wyraźny wzrost aktywności. Grin wrzucił kilka stron nieprzerwanego strumienia danych do chińsko-angielskiego tłumacza.

- Ustawiają blokady drogowe, wzięli pod obserwację lotnisko i dworce kolejowe - zamyślił się, przebiegając wzrokiem przez tłumaczenie. -

Zgarniają podejrzanych spośród znanych im katolickich wywrotowców.

- A to co za dziwo, mości panie Grinelli? - zapytał Donoher, wchodząc do pomieszczenia.

- Raporty od stróżów prawa z Chifengu, księżę kardynał - wyjaśnił

Grin, nie odrywając oczu od ekranu.

- Dowiedziałeś się czegoś?

-Przede wszystkim, że nigdy już nie będę narzekał na straż miejską w

Ann Arbor. Wprawdzie na radiowozach w Chifengu gliniarze mają

wypisane dużymi literami: „Służyć i chronić”, należy jednak zadać

pytanie: kogo? Niech ksiądz sam rzuci okiem.

Grin szybko wstukał kilka komend, aktywując okienka podłączone do

kamer monitoringu wokół Chifengu. Główne drogi dojazdowe do miasta

były kompletnie zablokowane przez długi sznur samochodów, a

umundurowani policjanci przeszukiwali je jeden po drugim i prze-

słuchiwali kierowców oraz pasażerów.

209

- Chińczycy szeroko zarzucają sieć - stwierdził Donoher.

- Aha, a to jeszcze nie koniec. - Grin wskazał na dwa okienka śledzące

przyloty i odloty. - Zawrócili wszystkie przylatujące samoloty i

uziemili te, które znajdowały się na płytach lotnisk. Wstrzymali też

pociągi. Mam nadzieję, że nasi chłopcy zdążyli już dać nogę z miasta,

bo gliny mają również zdjęcia Nolana i Roxanne z podpisem:

„Ścigani”.

- Przynajmniej wiemy, że ich jeszcze nie złapali.

- Rozumiem, że według księdza szklanka jest do połowy pełna

- skomentował Grin.

- Taką mam pracę.

Na jednym ze środkowych monitorów wyskoczyło nagle okienko -

biały kwadrat, w którym pulsowała wielobarwna wersja słynnego logo Stonesów.

- Mogę zapytać co to? - zdziwił się Donoher.
- Operacja Rolling Stone - wyjaśnił informatyk, wstukując kolejną komendę. Plamka na środku okna zawirowała i otworzyła się jak źrenica, pokazując złożoną z trzech słów wiadomość.
- Gandalf, Isengard, orzeł? - przeczytał na głos zdziwiony kamer-ling.
- Wiadomość od Nolana - stwierdził radośnie Grin. - Dobra wiadomość.
- I cóż zawiera poza literackim nawiązaniem do arcydzieła Tolkiena?
- Gandalf to Yin - wyjaśnił technik. - To zwyczajna podstawian-ka: na początku powieści Gandalf zostaje uwięziony w wieży Isengard przez Sarumana.
- Rozumiem więc, że Isengard oznacza więzienie Chifeng.
- Dobrze ksiądz rozumie. Z wieży uwolnił Gandalfa król orłów. Pofrunęli razem daleko. Co oznacza, że Yin nie jest już w więzieniu i...
- Grin sprawdził godzinę wysłania wiadomości - jeszcze kilka minut temu, gdy Nolan nadał tę wiadomość, ciągle ich nie złapano. Donoher klasnął z radości w dłonie i pochylił głowę, odmawiając krótką modlitwę dziękczynną.
- Księżę kardynale? - usłyszeli nagle w drzwiach głos młodej zakonnicy.

- Tak, siostrze? - zapytał Donoher z uśmiechem, ciągle rozradowany z

powodu dobrej wiadomości od Kilkenny'ego.

- Miałam nadzieję, że uda mi się znaleźć księdza przed powrotem na konklawe. Mamy połączenie wideo ze Stanami Zjednoczonymi.

Jackson Barnett chciałby z księdzem rozmawiać.

- Może siostra przełączyć tutaj?

Grin wyczyścił największy z monitorów i chwilę później pojawił się na nim Jackson Barnett.

- Księżę kardynale - przywitał się pełnym szacunku tonem. - Panie

Grinelli... Cieszę się, że mogę porozmawiać z oboma panami naraz.

Rozumiem, że stale monitorujecie sytuację w Chinach.

- Jak reporterzy kablówki polityczny seksskandal - potwierdził informatyk.

- Zauważyliśmy znaczący wzrost aktywności w Regionie Autonomicznym Mongolii Wewnętrznej - kontynuował Barnett - zwłaszcza w mieście Chifeng i wzdłuż dosyć obszernego pasa w pobliżu granicy chińsko-mongolskiej. Zakładam, że oznacza to, iż naszym wspólnym znajomym udało się uwolnić biskupa Yina z *laogai*.

- My również w ten sposób to interpretujemy- stwierdził Donoher. -

Władze więzienia najwyraźniej odkryły podstęp Nolana, ale mimo komplikacji jemu, jego ludziom i biskupowi Yinowi udało się uciec.

- Rozumiem. - Barnett zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad tym, co miał zamiar powiedzieć. - Księżę kardynale, czy mogę mówić szczerze?

- Bardzo proszę.

- Dwudziestego dziewiątego października około czwartej nad ranem nasze źródło w chińskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych doniosło nam, że Pekin otrzymał z ambasady w Rzymie zaszyfrowaną wiadomość. Władze Chińskiej Republiki Ludowej dowiedziały się z niej o statusie Yina jako tajnego kardynała i kandydata na papieża oraz o misji Watykanu mającej na celu jego uwolnienie. Księżę kardynale, macie przeciek.

Donoher poczuł, że sztywnieje i że ogarnia go fala mdłości. Opadł na krzesło niczym bokser usiłujący odzyskać zmysły po serii brutalnych ciosów.

- Ktoś zakapował Nolana i Roxanne? - zapytał Grin.

211

•Tak - odparł Barnett. - Nasze źródło miało tylko dostęp do okrojonej wersji wiadomości, z której nie dało się wyczytać, skąd pochodzą te informacje. Ale jak tylko wydostały się na światło dzienne, postanowiłem was zaalarmować.

•Dziękuję, Jacksonie - powiedział poważnym tonem kamerling. - Mogę cię zapewnić, że zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby twoi ludzie wrócili bezpiecznie do domu.

•To nasz wspólny cel. Będziemy mogli porozmawiać później jeszcze raz?

•Konklawe zbiera się ponownie po południu, a zaraz po jego zakończeniu zostanie pewnie zwołane zebranie dotyczące bieżących spraw państwowych. - Donoher zerknął na zegarek. - Czy odpowiada

ci druga po południu, według twojego czasu?

- Świetnie. Zatem miłego dnia, panowie.

Barnett rozłączył się i zniknął z ekranu.

- Niech to piekło pochłonie! - zaklął Donoher. - Judasz Iszkariot

w naszych szeregach! Tylko kardynałowie zgromadzeni w Kaplicy Sykstyńskiej słyszeli wiadomość papieża. Do diabła, jak ten s... Jak on to zrobił? Jak zdrajca przekazał informacje Chińczykom?

Grin pociągnął się za kocią bródkę.

•Zastanówmy się przez chwilę. Z jakichś stu osób, które wiedziały o naszej słodkiej tajemnicy, tylko ksiądz i ja mamy dostęp do zewnętrznego świata. Cała reszta jest raczej odcięta, mam rację?

•Owszem.

•A co z kardynałem Gagliardim? Był na pierwszej sesji. Donoher pokręcił głową.

•Ten człowiek właśnie przeszedł ciężki atak serca.

•Na wszelki wypadek i tak sprawdzę jego rozmowy telefoniczne ze szpitala... tak dla pewności. W myśl zasady brzytwy Ockhama rozumieć, że reszta kardynałów nie miała ani możliwości, ani motywu, ani środków, żeby zdradzić. A skoro nie zrobili tego ani oni, ani ksiądz czy ja, to albo macie pluskwę w kaplicy, albo ktoś jeszcze widział nagranie DVD z papieżem.

•Kaplica została dokładnie sprawdzona, a w każdym oknie zainstalowaliśmy urządzenia zakłócające pracę mikrofonów laserowych, które mogłyby zostać wycelowane w budynek z zewnątrz.

- Musicie jeszcze raz sprawdzić kaplicę - doradził Grin.
- Nie ma na to szans przed dzisiejszą sesją. Jeżeli i tym razem nie wybierzemy nowego papieża, każe to zrobić w nocy... Tak sobie myślę, że jest jeszcze ktoś spoza konklawe, kto mógł wcześniej wiedzieć o wiadomości nagranej przez papieża. I choć może to być dla mnie bardzo bolesne, myślę, że powinniśmy z nim porozmawiać.

CHIFENG, CHINY

PENG SHI DOTARŁ DO WIĘZIENIA CHIFENG TUŻ PO ZACHODZIE SŁOŃCA. Kierowca zatrzymał samochód przed tym, co zostało z głównej bramy, i przekazał wartownikowi dokumenty do sprawdzenia. Peng przez chwilę przyglądał się leżącemu trochę z boku osmalonemu kadłubowi samochodu, myśląc o ludziach, których pożar unieruchomił w środku. Przypomniało mu się, jak w sierpniu przebywał na pokładzie niszczyciela „Hang-zhou”. Obserwował tam wydobywanie z wody zwęglonych szczątków kapsuły kosmicznej zawierającej zwłoki trzech zamordowanych yuhan-gyuanów - zwłoki, które Chińczykom pomógł znaleźć Kilkenny.

Strażnicy zezwolili samochodowi na przejazd i skierowali szofera w stronę budynku administracji, gdzie ktoś miał ich przywitać. Cały teren więzienia, łącznie z zabudowaniami, skąpany był w metalicznym halogenowym świetle, które nadawało czerwonej karoserii samochodu Penga rdzawy odcień. Tak drastyczny środek ostrożności, jak zapalenie wszystkich lamp, pozwolił niemal całkowicie wyeliminować cienie, przez co sceneria wydawała się jeszcze bardziej nienaturalna.

Kierowca wjechał na parking dla gości przed budynkiem administracji.

Przy wejściu czekali umundurowany strażnik i mężczyzna w średnim wieku ubrany w szary garnitur. Kiedy Peng wysiadł z samochodu i zabrał z siedzenia aktówkę, cywil podszedł do niego.

- Witamy, panie Peng. Nazywam się Tang i jestem dyrektorem cegielni w Chifengu.

- Dobry wieczór - odpowiedział młody oficer. - Gdzie znajdę pana Liu?
- Niestety, jeszcze nie wrócił - wyjaśnił urzędnik. - Spodziewamy się go w każdej chwili. Może pan poczekać w gabinecie dyrektora więzienia.
- Wolałbym wykorzystać jakoś ten czas. Proszę mi powiedzieć, czy mogę porozmawiać z oficerem, który wczoraj wieczorem przyjął zagranicznego więźnia? Mam do niego kilka pytań.
- Porucznik Kwan jest właśnie tutaj, przy drzwiach - zameldował Tang.
- Dostarczono mi również raport, w którym jest mowa o strażniku przydzielonym do obserwacji egzekucji. Ponoć przeżył atak. Jeśli to prawda, czy mogę i z nim porozmawiać?
- Oczywiście. Nikt nie może opuścić terenu więzienia bez zgody udzielonej osobiście przez pana Liu.
- Doskonale. Porucznik Kwan może mnie zaprowadzić na podwórze, gdzie odbyła się egzekucja. Drugi strażnik niech też tam się stawi.
- Wedle rozkazu.
- Dziękuję, panie Tang. Poruczniku Kwan, chciałbym udać się na miejsce tą samą drogą, którą uciekła ciężarówka.
- Tędy, proszę pana - powiedział Kwan.

Z powodu oślepiającego światła lamp Peng ledwie był w stanie dojrzeć cokolwiek za ogrodzeniem. Poprzedniego wieczoru osoby, które zaatakowały więzienie, obserwowały je spoza łuny, wykorzystując powstającą wokół niego w nocy martwą strefę.

- Zlokalizowaliście już stanowisko ogniowe? - zapytał Peng.

•Tak. Dwieście metrów od obu bram znaleźliśmy cztery zużyte

wyrzutnie rurowe typu PF-89.

•Numery seryjne?

•Nieczytelne. Wysłaliśmy wyrzutnie do laboratorium wojskowego.

Mają je tam zbadać.

—Proszę opisać dostarczonego wczoraj cudzoziemca. Kwan

przez chwilę zbierał myśli.

- Nieco wyższy ode mnie, około dwóch metrów, osiemdziesiąt

kilogramów. Rude włosy, piegi na twarzy i rękach. Na szyi, dłoniach

1 215

i twarzy miał spore sińce, ale widziałem ludzi, którzy przyjeżdżali tutaj w

gorszym stanie. Ubrany był w standardowy więzienny drelich.

•Mówił coś?

•Przez cały czas, gdy byłem w pobliżu, nie odezwał się ani słowem.

•Czyli jak długo?

•Niecałe dziesięć minut. Tyle, ile było trzeba, żeby go zaprowadzić z

ciężarówki do celi.

•Przeszukano go?

•Nie, dostaliśmy rozkaz, żeby tego nie robić.

Za rogiem budynku skręcili na otwarte podwórze, na którego prze-

ciwległym końcu stała wiata kryjąca flotę więziennych samochodów.

- Tutaj przeprowadzamy egzekucje - wyjaśnił Kwan. - Więźniowie

są wprowadzani tymi drzwiami i eskortowani tutaj. Po śmierci ładuje

się ich na ciężarówkę i wywozi do krematorium w Chifengu.

W drzwiach, które pokazywał Pengowi, pojawił się strażnik i podszedł do nich. Zbliżywszy się, stanął na baczność i zasalutował porucznikowi.

- Spoczniej! - powiedział Kwan po odwzajemnieniu salutu. - Pa nie Peng, to jest Au-Yang, jeden ze strażników.

Au-Yang był młodszy Kwana. Miał najwyżej dwadzieścia lat, okrągłą twarz i krępą sylwetkę.

- Był pan obecny tego ranka przy egzekucji, tak? - zapytał Peng.

-Wchodziłem w skład pododdziału, który zaprowadził na podwórze cudzoziemskiego więźnia.

•Był pan uzbrojony?

•Tak, miałem pistolet.

•To dlaczego ciągle pan żyje? - zapytał bez ogródek Peng.

•Przepraszam? - wykrztusił z siebie zaskoczony Au-Yang.

•Rozumiem, że wszystkie przebywające na podwórzu uzbrojone osoby zostały zabite.

•Zaraz po egzekucji więźnia musiałem wyjść. Nie czułem się dobrze - wyjaśnił Au-Yang, kładąc rękę na brzuchu.

•To była pańska pierwsza egzekucja? Au-Yang skinął ze wstydem głową.

•W którym miejscu zostali rozstrzelani więźniowie? - zapytał Peng.

216

Strażnik spojrzał na ziemię i znalazł na żwirze dwie czarne plamy.

•Tutaj i tutaj.

•A gdzie parkowała ciężarówka, którą uciekli? Au-Yang

pokazał oddalony o kilka metrów punkt.

•Czy wydarzyło się coś dziwnego, gdy był pan jeszcze na podwórzu?

•Ten starszy, zanim został zastrzelony, powiedział coś, czego nie zrozumiałem - przypomniał sobie strażnik.

•To znaczy co?

•Nie wiem, to nie było po chińsku. Mówił chyba po angielsku.

•Czyli zwracał się do cudzoziemca?

•Raczej nie. Nie mógł wiedzieć, że tam jest.

•Dlaczego?

•Więźniowie zostali przyprowadzeni oddzielnie i obaj mieli na głowach kaptury - wyjaśnił Au-Yang. - W ogóle się nie widzieli.

- A wszyscy pozostali obecni byli Chińczykami?

-Tak.

Peng spróbował wyobrazić sobie całą scenę i poczuł współczucie dla młodego strażnika. W przeszłości zdarzyło mu się zabić człowieka, ale robił to tylko w razie absolutnej konieczności i nie sprawiało mu to przyjemności. Uważał, że kara śmierci powinna być zarezerwowana wyłącznie dla sprawców najbardziej ohydnych morderstw. Nie podobało mu się, że pozbawia się życia więźniów politycznych.

•To wszystko na razie. Może pan wrócić do swoich obowiązków -

zwolnił Au-Yanga, po czym spojrzał na Kwana. - Proszę mnie zaprowadzić tam, gdzie byli trzymani więźniowie.

•Tędy - pokazał mu drogę porucznik.

We wnętrzu więzienia panowała upiorna cisza. Skazańcy byli zamknięci w celach, a strażnicy niezwykle czujni. Kwan poprowadził Penga długimi szarymi korytarzami. Ich kroki odbijały się echem od twardych gładkich powierzchni. Zatrzymali się przed ciężkimi stalowymi drzwiami z numerem 342.

- Cudzoziemiec przebywał w tej celi - powiedział porucznik.
- Proszę otworzyć - polecił Peng.

Kwan przekazał rozkaz przez radio do centrum monitoringu i otworzył drzwi. Peng zajrzał do pogrążonej w mroku celi, po czym

217

wszedł do środka i się wzdrygnął. Było tam tak zimno, jakby gruby beton wyciągał z ciała całe ciepło. Usiadł na podłodze, starając się wczuć w umysł poprzedniego lokatora klitki. Nawet przy w pełni otwartych drzwiach było w niej ciasno jak w trumnie. Peng zastanawiał się, jak można pozostać przy zdrowych zmysłach, przebywając w takiej celi przez dłuższy czas, a przecież Kilkenny dał się w niej zamknąć dobrowolnie.

- Co wy tam robicie? - dobiegł go nagle z korytarza czyjś porytowany głos.

Peng odwrócił się i zauważył, że Kwan odsunął się od drzwi, w których pojawiła się sylwetka innego mężczyzny.

- Myślę - odpowiedział.
- Sugeruję stamtąd wyjść, chyba że chcesz zostać w celi ze swoimi myślami na dłużej.
- Oczywiście - podporządkował się Peng.

Wstał i wyszedł na korytarz, gdzie spotkał Liu oraz dwóch strażników.

Cała trójka była zarumieniona z wysiłku. Agent był nieco wyższy od swojego nowego podwładnego i patrzył na niego spode łba.

- Ta cela - wskazał za siebie - oraz ta, w której przebywał Yin Daming, powinny zostać dokładnie przeszukane - podsunął Peng.

- Po co?

- Żeby znaleźć urządzenie, za którego pomocą obaj więźniowie się porozumieli. Coś na tyle małego, że można było to przemycić, nie wzbudzając podejrzeń porucznika Kwana. Kilkenny z pewnością chciał przekazać Yinowi swoje zamiary. Trudno mi sobie wyobrazić inny powód, dla którego miałby dać się zamknąć w tej celi. Poza tym Yin rano wiedział, że coś ma się wydarzyć. Ostatnie słowa wypowiedział po angielsku. Przypuszczam, że przekazał Kilkenny'emu wiadomość.

- Jeżeli nawet cudzoziemiec przemycił tu jakieś urządzenie, to czy nie zabrał go ze sobą? - zapytał lekceważąco Liu.

- Być może, ale nie powinno to nas zniechęcić do sprawdzenia, czy nie zostały jakieś dowody. Szukaliście wyrzutni granatów przeciwpancernych?

- Owszem, ale priorytetem jest teraz obława.

- Oczywiście - zgodził się Peng. - Lecz usiłując schwytać Yina, nie powinniśmy zapominać o śledztwie w sprawie szerszego spisku.

218

- Zamknąć drzwi - rozkazał Kwanowi Liu. - Nikt nie może wcho

dzić ani do celi Yina, ani do tej, dopóki nie zostaną gruntownie przeszukane. Peng, za mną.

Jako podwładny, Peng trzymał się pół kroku za Liu, na ogonie mając dwóch strażników, którzy w milczeniu również ruszyli korytarzem. Agent gotował się ze złości, ale Peng podejrzewał, że przyczyną jest raczej ucieczka więźnia niż jego śledztwo. Dotarłszy do gabinetu dyrektora, Liu odprawił strażników.

- Raport - powiedział krótko do Penga.

- Zagraniczny więzień oraz kobieta znana pod nazwiskiem kapitan Jiao zostali zidentyfikowani jako Nolan Kilkenny i Roxanne Tao. Oboje mieszkają w Stanach Zjednoczonych.

- Więc oprócz Watykanu są w to zamieszani Amerykanie?

- To wysoce prawdopodobne - przyznał Peng - choć nie wiadomo jeszcze, na czym dokładnie polegał ich udział. Nie znamy też ich motywu. Oczywiście Pekin pyta, co Amerykanie mogliby zyskać na takiej prowokacyjnej akcji.

- Czy Pekin wzmocnił już kontrolę na granicy? - zapytał Liu.

- Tak. Wszystkie przejścia zostały zamknięte do momentu, gdy zostaną zebrane odpowiednie siły, by przeszukać każdą osobę i każdy pojazd.

Nasze granice z Koreą Północną, Rosją i Mongolią są patrolowane przez jednostki armii i lotnictwo. Wojsko obstawiło również wszystkie centra komunikacyjne, a podróżujący po kraju muszą mieć przy sobie dokumenty potwierdzające tożsamość. Straż wybrzeża została postawiona w stan najwyższej gotowości, zwiększono też liczbę

patroli na naszych wodach terytorialnych. Pekin poprosił Mongolię o pomoc w zapobieżeniu ucieczce Yina. Władzom w Ułan Bator zostały dostarczone zdjęcia jego, Tao i Kilkenny'ego, razem z listą popełnionych przez nich przestępstw. Naszej oficjalnej prośbie o natychmiastową ekstradycję tych zbrodniarzy towarzyszyła nota dyplomatyczna, z której wynika, że współpraca na tym polu przełoży się na wysokość naszej wymiany handlowej oraz wartość pakietów inwestycyjnych, nad których szczegółami właśnie pracuje Komitet Centralny.

- Co skutecznie odcina tę drogę ucieczki - podsumował usatysfakcjonowany Liu.

219

- Miejscowe jednostki armii we współpracy z policją Chifengu otoczyły kordonem miasto - kontynuował Peng - zakładając, że to właśnie do niego udali się zbiedzy po ucieczce z więzienia i że ciągle mogą przebywać na jego terenie.

- A czy przeszukują również najbliższe okolice i czy zatrzymali znanych oraz potencjalnych wyznawców kultu Yina?

- Systemu wierzeń, który przetrwał dwa tysiąclecia i może się poszczycić ponad miliardem wiernych, raczej nie nazywałbym kultem - poprawił przełożonego Peng. - Ale owszem, wszyscy ci, których można powiązać z podziemnym Kościołem, zostaną zatrzymani i przesłuchani.

Wydawało się, że raport zadowolił Liu.

•Otrzymałem informację, że znasz Kilkenny'ego i Tao. Peng

skinał głowę.

•Dlatego właśnie przydzielono mnie do pana.

•Opowiedz mi o nich.

-Jeszcze kilka lat temu Kilkenny był niskim rangą oficerem w siłach

specjalnych amerykańskiej marynarki wojennej. Obecnie jest

biznesmenem i zajmuje się badaniami oraz inwestycjami w dziedzinie

najnowszych technologii. Jest również powiązany z CIA, chociaż

nieformalnie i nie znajduje się na liście płac agencji. Przez krótki czas był

żonaty z astronautką, która zmarła w sierpniu tego roku. Spotkałem go

latem, kiedy prowadził śledztwo w sprawie wypadku ich promu

kosmicznego. Moim zdaniem to człowiek honoru.

- Ludzie honoru nie wykradają z więzień zbrodniarzy.

- Podejrzewam, że Kilkenny nie uważa Yina za zbrodniarza. Wy

znaje tę samą religię co on.

-A Tao?

•Jest szpiegiem - powiedział rzeczowo Peng. - Niewiele wiemy o jej

życiu, ale obecnie prowadzi firmę inwestycyjną powiązaną z Kil-

kennym i CIA. Kilka lat temu pod innym nazwiskiem zorganizowała

w Chinach potężną siatkę szpiegowską. Siatka została zlikwidowana,

ale ona sama uniknęła aresztowania i Szóste Biuro zgubiło jej trop.

Odnalazłem ją w czasie obserwacji Kilkenny'ego. Jeżeli to możliwe,

Pekin chciałby mieć Tao żywą.

•A pozostałych? - zapytał Liu.

•Ich los przełożeni pozostawiają pańskiemu uznaniu.

PO ODPRAWIONEJ PRZEZ YINA MSZY NOCNI ŁOWCY POSZLI
PRZYGOTOWAĆ

BAT-y do przeprawy przez granicę, a pozostali członkowie drużyny przebrali się z cywilnych ubrań w kombinezony. Ku utrapieniu Kilkenny'ego przy wejściu do jurty przycupnęła gromadka dzieci, które z nabożnym niemal podziwem zaczęły obserwować, jak zmienia przyodziewek. Rozbawił je znowu, demonstrując magiczne, przywodzące na myśl kameleona właściwości kostiumu Fok, który potrafił zmieniać kolor z ciemnoszarego na maskujące paski.

- Dobrze się bawisz? - zapytała Tao, przyciągnięta do jurty przez śmiech dzieci.

- Raczej one. Przynajmniej mój strłptiz da się oglądać bez zgody rodziców, bo inaczej musielibyśmy postawić strażnika.

- Lub wprowadzić opłaty.

- Wątpię, czy ktokolwiek byłby gotowy płacić za wątpliwą przyjemność oglądania mnie na golasa. Jak twój kombinezon?

Tao powoli obróciła się, pozwalając Kilkenny'emu przyjrzeć się jej z każdej strony. Lśniący materiał, wykonany za pomocą nanotechnologii, idealnie dopasowywał się do jej giętkiego ciała.

- Chyba pasuje - stwierdziła agentka.

- Mało powiedziane. Założę się, że krawiec, który pracował nad tym modelem, nigdy nie miał do dyspozycji doskonalszej miary. Włóż jeszcze buty na szpilkach, a będziesz gotowa na nocny dubbing.

Tao spojrzała spode łba na Kilkenny'ego.

- Dobra, pod warunkiem że ty pierwszy.

W drzwiach pojawił się biskup Yin. Wyglądał na zakłopotanego, ponieważ kombinezon marszczył się w wielu miejscach na jego wychudzonym ciele. Z szyi zwisał mu krzyżyk Ke Li.

•Czy włożyłem to tak jak trzeba? - zapytał.

•Nie da się inaczej - powiedział Kilkenny, przyglądając się jego kombinezonowi. - Niestety nie robią ich w rozmiarach uniwersalnych i chyba wybrałem dla księdza trochę za duży. Przepraszam za niedogodności, ale przynajmniej będzie w nim księdzu ciepło.

•W takim razie wszystko w porządku.

•Jak tylko wydostaniemy się z Chin, znajdziemy księdzu pierwszorzędneho krawca - obiecał Amerykanin i dodał delikatnie: - Kiedy już będziemy w powietrzu, krzyżyk może sprawić księdzu trochę kłopotu. Mogę go przechować?

Yin położył dłoń na symbolu swej wiary, jakby chciał go obronić przed niebezpieczeństwem.

•Nie, wolałbym go zatrzymać.

•W takim razie proszę go schować pod kombinezon, żeby go wiatr nie porwał.

Tao połuźniła Yinowi kołnierz i ostrożnie wsunęła pod spód krzyżyk.

Materiał na tyle luźno opinał pierś biskupa, że wisiołek był ledwo widoczny. Agentka położyła dłoń na zarysie.

•To powinno go ochronić - powiedziała uspokajająco. Biskup

nakrył jej rękę własnymi dłońmi.

•To o n ochroni nas, moje dziecko.

Nagle z zewnątrz dobiegł rozbrzmiewający po obozowisku tętent końskich kopyt.

- Zostań z nim - powiedział Kilkenny, wyciągając z kabury pistolet i znikając w wyjściu z jurty.

Tętent zamarł raptownie, zastąpiony przez rzucane po chińsku rozkazy.

Konie rżały i parślały, zdyszane po szybkiej jeździe. W ciemnościach poza obrębem łuny rzucanej przez płomienie obozowego ogniska

Kilkenny zauważył poruszające się cienie. Po chwili wyraźnie widoczne

stały się sylwetki dwóch mężczyzn z rękami założonymi za głowy. Obaj

byli Azjatami i mieli na sobie cywilne ubrania. Tuż za

222

nimi podążał Gates na czele czterech żołnierzy. Trzymali nieoczekiwanych gości na muszce.

Patriarcha klanu rozpoznał mężczyzn i podbiegł do nich, gwałtownie machając w powietrzu rękami.

•Rozumiecie coś z tego? - zawołał Kilkenny.

•Przywódca właśnie ręczył za tych ludzi - odpowiedział Chow. - Czy to nam wystarczy?

Kilkenny schował pistolet.

- Tak, zwolnijcie ich.

Żołnierze opuścili broń i Chow poinformował mężczyzn, że są wolni.

Zaprowadziwszy jeźdźców do ogniska, patriarcha kazał domownikom przynieść im wody. Obaj przybysze byli szczelnie oblepieni kurzem, a konie toczyły pianę z pysków. Kiedy Yin i Tao wyszli z jurty, twarze jeźdźców rozjaśniły się. Ugasili pragnienie i patriarcha zaczął ich przepytawać. Pytania i odpowiedzi padały szybko po sobie - mężczyźni mówili z prędkością karabinu maszynowego.

•O co chodzi? - zapytał ściszym głosem Kilkenny, spoglądając na Tao.

•Najwyraźniej wydostaliśmy się z Chifengu w ostatniej chwili. Miasto zostało odcięte od świata. Nikt nie może do niego wjechać ani z niego wyjechać. Miejskowa policja razem z armią przeszukują dom po domu. Telefony, telewizja, radio, wszystko zostało wyłączone. Władze wprowadziły stan wyjątkowy z godziną policyjną. A wszystko po to, żeby zatrzymać grupę zbiegłych z więzienia niebezpiecznych przestępców.

•Czyli nas - dopowiedział Kilkenny.

•Zanim linie zostały odcięte - kontynuowała Tao - zdążyli się dowiedzieć, że zamknięto też wszystkie przejścia graniczne. Ty, ja i biskup zostaliśmy również dopisani do listy osób poszukiwanych w Mongolii.

•I co, aresztują nas tam? - zapytał komandos.

•Owszem, jeżeli Chińczycy o to poproszą - odparła. - Gdy twoje ziemie są wciśnięte między dwóch potężnych sąsiadów, wolisz pozostawać z nimi w dobrych stosunkach.

•Czy to oznacza problem? - przestraszył się Yin.

- Tak - przyznała Tao. - Mieliśmy zamiar polecieć na północ i wywieźć księdza przez Mongolię, ale teraz ta droga ucieczki została odcięta.

223

•A zatem przechodzimy do planu B - dodał Kilkenny.

•Planu B? - zapytał Yin, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

•Alternatywnego - wyjaśnił Amerykanin. - Dłuższy lot, ale powinno się udać.

•Dłuższy lot - powtórzył Yin z dziecięcym błyskiem w oczach. - Nigdy jeszcze nie latałem. Powinno mi się spodobać.

•W takim razie mam nadzieję, że będzie księdzu wygodnie w naszym samolociku, bo spędzimy w nim kilka dobrych nocy.

Tao uciszyła gestem Kilkenny'ego, próbując zrozumieć, o czym jeszcze mówią jeźdźcy. Patriarcha z powagą skinął głową, po czym spojrzał na Amerykanina i biskupa.

•Co jest? - zapytał komandos.

•Helikoptery. Szukają obozowisk takich jak te: miejsc, w których mogliśmy znaleźć schronienie. I aresztują po kolei znanych im rzymskich katolików.

•W takim razie spadamy stąd - postanowił Kilkenny. Spojrzał na Gatesa i drużynę. - Czas osiodłać koniki. Musimy się jak najszybciej oddalić od tych miłych ludzi. Roxanne, przekaż nasze najgorętsze podziękowania gospodarzowi oraz tym dzielnym posłańcom, którzy

przekazali nam wieści. Powiedz, że właśnie uratowali biskupowi

Yinowi życie.

•Mogę? - zapytał Yin.

Yin uklonił się każdemu z mężczyzn, zaczynając od patriarchy, złożył im - jak domyślał się Kilkenny - gorące wyrazy uznania, a na koniec pobłogosławił ich oraz wszystkich tych, którzy zamieszkiwali w domostwie gospodarza.

•Nie wiem, co powiedział - szepnął Kilkenny do Tao - ale facet najwyraźniej ma gadane.

•Jeszcze jak - przyznała, równie mocno poruszona elokwencją biskupa.

Komandos pokazał Yinowi, jak włożyć kominiarkę i wyregulować hełm. Tao wskoczyła na tylne siedzenie BAT-a pilotowanego przez Hana i podała księdzu rękę. Gdy ten ostrożnie wsiadł do samolotu, Kilkenny zajął miejsce drugiego pilota.

- Włącz drużynę - powiedział wyraźnie, aktywując słuchawki w hełmach wszystkich żołnierzy. - Słuchajcie, ponieważ władze zatrzasnęły nam furtkę w Mongolii, musimy przejść do planu „Marco Polo”.

224

Jeden po drugim wszyscy trzej Nocni Łowcy potwierdzili zmianę i spróbowali załadować do komputerów współrzędne nawigacyjne.

•Hej, Nolan! - zawołał Han. - Nasz NAVCOM nie widzi planu Marco Polo.

•Zgadza się. Trasę będziemy opracowywać po drodze. Wyzaczyłem kilka ogólnych punktów orientacyjnych, które podam wam, jak już

będziemy w powietrzu. Na razie lecimy po prostu na zachód.

- Dlaczego nazwałeś swój plan Marco Polo? - zapytał Yin.

- To najślynniejszy zachodni podróżnik, który kiedykolwiek pojawił się na Jedwabnym Szlaku. A jako że udało mu się bezpiecznie wrócić z Chin do Włoch, będziemy z niego czerpać inspirację.

Kiedy mówił, piloci rozgrzewali silniki i kończyli przygotowania do startu.

-Jedwabnym Szlakiem podróżowano zazwyczaj w ciągu dnia - zauważył Yin - ale przypominam sobie pewną grupę, której udało się go pokonać w nocy. Prowadziła ich gwiazda.

Kilkenny roześmiał się.

- W takim razie będzie ksiądz zachwycony, ponieważ poprowadzi nas konstelacja dwudziestu czterech gwiazd. Nie są tak jasne jak ta, za którą podążali Trzej Królowie, ale za to nasze pokazują kierunek z dokładnością do kilku centymetrów.

- Dwadzieścia cztery to osiem trójek, bardzo szczęśliwa liczba.

- Złapałem aluzję. Panie i panowie, zmieniam oficjalnie nazwę planu „Marco Polo” na plan „Trzej Królowie”.

BAT-y wystartowały jeden po drugim i szybko zaczęły nabierać prędkości.

Yin odwrócił się, obserwując, jak znika za nimi obóz koczowników. Tao zauważyła, że z całych sił przyciska dłoń do piersi.

- Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - zapewnił biskup.

- Terry - powiedział do pilota Kilkenny - jak już wszystko się ustabilizuje, chętnie przejąłbym na chwilę drążek i przypomniał sobie, jak pilotuje się samolot. Przed nami długa trasa.

- Zrozumiałem, jak tylko zauważę jakiś większy i płaski skrawek niczego, dam ci parę lekcji.

225

Po KILKU GODZINACH LOTU POD CZYSTYM bezksiężycowym niebem Kilkenny zauważył, że step stopniowo zamienia się w pustynię Gobi. Teraz to on pilotował samolot. Za jego plecami Tao drzemała, a Yin zafascynowany przyglądał się gwiazdom. Han sprawdzał różne systemy, zerkając tylko od czasu do czasu, czy Kilkenny nie zboczył z kursu.

- Węszy ktoś za nami? - zapytał komandos.

- Nie, ale gdy moje dzieci są cicho, zaczynam się niepokoić - odparł

Han. - A jak u ciebie?

- Z czym?

- Pytam, czy masz dzieci. Ja użeram się z trójką: dwoma chłopcami i dziewczynką. Zamienili mi dom w zoo. Tamte dzieciaki tak do ciebie Ignęły, że doszedłem do wniosku, że też jesteś tatusiem.

Kilkenny przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Pierwszego listopada miał się urodzić mój syn. Umarł razem z żoną w sierpniu.

- Przykro mi - powiedział ze współczuciem Han. Spróbował sobie wyobrazić, co czuje Kilkenny. Ten jednak wzruszył tylko ramionami.

-Terry, spróbuję powiadomić Rzym, co robimy. Gdybyś mnie po-

trzebował, wyślij impuls albo postukaj mnie w hełm.

- Przyjąłem - potulnie zgodził się Han.

- Wyłącz drużynę - powiedział Kilkenny. - Połączenie satelitarne.

Yin, oderwawszy się od gwiazd, spojrzał na siedzącego przed nim

swojego wybawcę i zaczął odmawiać modlitwę w jego intencji.

WATYKAN

Zapadł zmrok siedmiu samurajom

„Co on chce przez to powiedzieć?”

Grin wpatrywał się w cztery tajemnicze słowa, które starannie wypisał drukowanymi literami wzdłuż górnej krawędzi pierwszej kartki notatnika.

Ostatnia wiadomość od Kilkenny'ego różniła się od dwóch pierwszych, nawiązujących do „Władcy pierścieni”. Już z tego Grin wywnioskował, że coś się wydarzyło - coś, co zmusiło przyjaciela, by odbiec od założonego planu, według którego w tym momencie drużyna ratunkowa powinna przygotowywać się do lotu przez granicę chińsko-mongolską. Następnie mieli przebrani za turystów wylecieć z Ułan Bator do Rzymu z międzylądowaniem w Niemczech.

Nagle głośno zabrzmiał zamek magnetyczny w drzwiach pomieszczenia, wbijając się niczym fałszywa nuta w sam środek „III Koncertu skrzypcowego G-dur” Mozarta.

- Dziś nie słuchamy rock and rolla? - zapytał Donoher.
- Przy muzyce Wolfganga Amadeusza lepiej rozwiązuje się zagadki.
- Zagadki? Krzyżówka czy to piekielne sudoku?

Kardynał usiadł przy komputerach. Grin wręczył mu notatnik.

- Wiadomość od Nolana. Pewnie powinienem załapać, o co chodzi, ale coś mnie zaćmiło.
- To dlatego, że jesteś wyczerpany.

•Być może, ale przecież nie mam na karku połowy chińskiej armii.

Przyrzekam, że jak tylko nasi wrócą w jednym kawałku zza tego cholernego muru, spędzę w wyrku całe osiem godzin.

•Też o tym marzę. - Donoher wzruszył ramionami i położył notatnik na biurku. - Niestety, mnie również nic to nie mówi.

Zegar na największym z monitorów Grina wyświetlił godzinę ósmą wieczorem i na ekranie pojawił się Jackson Barnett, zasiadający w fotelu swojego biura w centrali CIA.

•Dobry wieczór, panowie - przywitał się. - Widziałem w wiadomościach, że z komina Kaplicy Sykstyńskiej znowu wzbił się w niebo czarny dym.

•Owszem - potwierdził Donoher - i z góry przepraszam, ale nie wolno mi rozmawiać na ten temat.

•Nie ma sprawy. Wracając jednak do naszych przyjaciół na Dalekim Wschodzie, mam sporo do przekazania. - Barnett otworzył teczkę. - Chińczycy zamknęli wszystkie przejścia graniczne z Rosją i Mongolią. Liczącą pięć tysięcy kilometrów długości granicę oprócz straży granicznej patrolują oddziały Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i helikoptery. Nie zapomnieli nawet o Korei Północnej. - Barnett podniósł wzrok znad notatek. - Choć z tego co mi wiadomo, stosunki Watykanu z Phenianem są równie chłodne jak nasze.

•Rzeczywiście, wysłanie tam naszych ludzi nie byłoby najlepszym pomysłem. Przysłowiowe wpadnięcie z deszczu pod rynną - zgodził się Donoher.

- Tak znaczne ruchy wojsk musiały, mówiąc ogólnie, przyciągnąć uwagę Rosjan - kontynuował Barnett. - Postawili własne siły w stan podwyższonej gotowości. Chińczycy, jak to Chińczycy, nabrali wody w usta, a Rosjanie, jak to Rosjanie, są podejrzliwi. W mieście Chifeng ogłoszono stan wyjątkowy, a na wszystkich węzłach komunikacyjnych kraju zaobserwowano obecność dużych ilości wojska. Na Morzu Żółtym i w Cieśninie Tajwańskiej pojawiły się siły chińskiej marynarki wojennej, odcinając możliwość ucieczki w stronę Korei Południowej lub Tajwanu. Rozmieszczone zostały tam również jednostki zwalczające łodzie podwodne, przypuszczalnie mają zapobiec przechwyceniu zbiegów tą właśnie drogą.

- Nie wiedziałem, że Watykan ma okręty podwodne - wtrącił Grin.

228

Barnett zignorował jego komentarz, wyciągnął z teczki jakąś kartkę i przyłożył ją do znajdującego się obok kamery czytnika dokumentów.

Ekran natychmiast podzielił się na dwie części: prawą nadal zajmował szef CIA, a w lewej pojawiła się kopia drukowanej ulotki. Wzdłuż jej boku umieszczono trzy fotografie - zdjęcia więzienne Yina i Kilken-ny'ego oraz ziarniste ujęcie Tao w mundurze. Każdemu towarzyszyły dwa akapity tekstu - jeden spisany cyrylicą, drugi w języku mongolskim.

- Informację tę wysłano wszystkim siłom porządkowym oraz jednostkom straży granicznej w Mongolii. Biskup i jego współpracownicy zostali oskarżeni o całą litanię zbrodni. Jako że kraj ten jest żywotnie zainteresowany rozwojem dobrych stosunków ze swoim

południowym sąsiadem, Chińczycy praktycznie odcięli naszym tę drogę ucieczki. Pozostaje również kwestią czasu, kiedy władze Ułan Bator połączą osobę Nolana z jego turystyczną wizą, nawet jeżeli została wystawiona na fałszywe nazwisko. Pytanie tylko, czy podziela się tą informacją z kolegami zza muru.

- A dlaczego mieliby się nie podzielić? - zapytał Grin.
- Bo to dla nich kłopotliwa sytuacja - wyjaśnił Donoher.
- Jak dotąd Chińczycy przeczესali bazy danych z nazwiskami gości z zagranicy i niczego nie znaleźli, co oznacza, że Nolan przedostał się do kraju nielegalnie - kontynuował Barnett. - Potwierdzając, że przebywał w Mongolii zaledwie kilka dni przed rozpoczęciem akcji w więzieniu Chifeng, tamtejsze władze przyznałyby, że przekradł się do Chin przez ich granicę.
- Wolą więc pogodzić się z faktami i zamieść ten niewygodny szczegół pod dywan - dokończył za niego Grin.
- Jestem pewien, że dokumenty poświadczające wjazd Nolana i jego drużyny gdzieś się zawieruszyły - potwierdził Barnett.

Grin zerknął na swoje notatki.

- Rozumiem, że Mongolia odpada, podobnie Rosja i Korea Północna.

Nie jestem pewien, czy Nolan zaryzykowałby lot na niedużej wysokości ponad większym obszarem wody...

- Do czego zmierzasz?

- W ostatniej wiadomości - pospieszył z wyjaśnieniem informatyk - Nolan zrezygnował z używanego wcześniej szyfru, co oznacza, że

zmienił plan. Następnym krokiem miał być lot do Mongolii. Skoro nie mógł lecieć na północ, musiał obrać inny kierunek.

229

- Ale jaki? - zapytał Donoher. - Wyeliminowaliście już północ i wschód, a południe wiązałoby się z niebezpiecznym przelotem nad gęsto zaludnionymi regionami Chin. W takim razie gdzie? Wietnam? Laos? Birma?

- Nie, to nie byłby najlepszy pomysł. - Grin jęknął. - Lecą na zachód.

- Jesteś pewien? - zapytał Barnett.

- Nolan napisał to nawet dwukrotnie, żebym na pewno załapał.

Nawiązał do „Siedmiu samurajów”, bo przecież wiadomo, że żadnym sposobem nie może próbować przedostać się do Japonii. Ale ten

„zmrok” to już zupełnie inna historia. Oryginalny film doczekał się

mnóstwa przeróbek, z których większość mam w swoich zbiorach,

między innymi animowane „Dawno temu w trawie”. Jednym z

najlepszym remake'ów arcydzieła Kurosawy jest jednak „Siedmiu

wspaniałych”, który jak to remake, powstał p o tym, jak słońce dawno

zaszło nad oryginałem, a jego akcja dzieje się na Dzikim Zachodzie.

Gdybym jednak zaraz się tego nie domyślił, Nolan na wszelki

wypadek użył zwrotu „zapadł zmrok”, czyli wskazał na stronę świata,

gdzie...

- ...zachodzi słońce - dokończył Donoher i sprawa stała się oczywista.

- Zważywszy na ich możliwości, trzeba przyznać, że to ma sens. Zachodnia trasa prowadzi przez najrzadziej zaludnione regiony Chin -

powiedział Barnett. - Pytanie, którzy dokładnie zamierzają lecieć.

•Nolan na pewno nas powiadomi, jak tylko sam coś zdecyduje -

stwierdził Grin.

•Bez wątpienia - zgodził się Barnett. - A co z przeciekiem? Udało się

coś zrobić w tej sprawie?

•Być może - odparł Donoher. - Mam nadzieję, że dziś wieczorem

będziemy już wszystko wiedzieli.

•Cóż, w takim razie nie będę zajmował panom więcej czasu.

•Dziękujemy za pomoc - powiedział kamerling.

•Nie ma za co. Wszystkim nam zależy na pomyślnym zakończeniu tej

misji - podsumował Barnett, po czym się rozłączył.

•Co ma się wydarzyć dziś wieczorem? - zapytał Grin.

•Wiele rzeczy - odparł Donoher. - Ale najpierw musimy porozmawiać z

jednym z moich starych i wypróbowanych przyjaciół.

DONOHER I GRIN ZNALEŻLI ARCYBISKUPA SIKORĘ W

KAPLICY

Redemptoris Mater. Siedział głęboko zamyślony obok pustego fotela zmarłego papieża. Na stojaku przy papieskim tronie zamocowana była cyfrowa kamera wideo.

- Dziękuję za zgodę na spotkanie, księżę arcybiskupie - przywitał się serdecznym tonem kamerling, anonsując swoje przybycie.

Sikora wstał i podszedł do gości. Donoher pomyślał, że od śmierci papieża Leona znacznie się postarzał.

- Księżę kardynale - powiedział z szacunkiem arcybiskup.

•To mój współpracownik, pan Grinelli. Grin skłonił głowę.

•Księżę arcybiskupie.

•Miło mi.

Sikora ujął wyciągniętą rękę informatyka w obie dłonie i potrząsnął nią serdecznie.

- Poprosiłem pana Grinellego, żeby do nas dołączył i pomógł mi w interesującej mnie sprawie. Widzę, że przyniosłeś kamerę.

-Tak, choć intryguje mnie, do czego jej potrzebujesz. Chcesz nagrać naszą rozmowę?

-

Nie - zaprzeczył Donoher. - Po prostu musimy ją zobaczyć.

Grin podszedł do kamery i zaczął się jej przyglądać. Donoher po woli minął pusty fotel papieża, przypominając sobie swoją ostatnią wi-

zytę w kaplicy. Gestem poprosił Sikorę, żeby usiadł na swoim miejscu, po czym postawił przed arcybiskupem drugi fotel.

- Jak się czujesz, Michale? - zapytał.

- Chyba dobrze. Cieszę się niezmiernie, że wreszcie skończyły się cierpienia papieża. Ostatnie lata były dla Jego Świątobliwości bardzo trudne.

- Jako człowiek aktywny fizycznie, pewnie ciężko znosił chorobę - zgodził się Donoher. - Dzięki Bogu oszczędziła jego umysł. Ale jak ty się czujesz? Wiesz już, co teraz będziesz robił?

- Nie mam pojęcia. Służyłem Jego Świątobliwości od dnia moich święceń. Był wtedy jeszcze arcybiskupem Krakowa.

- Wiele razy przyznawał, że nie poradziłby sobie bez ciebie - zauważył uprzejmie Donoher.

- Był wizjonerem - nie zgodził się Sikora. - Ja tylko dbałem o szczegóły. A teraz sam jestem takim szczegółem... problemem, który musi rozwiązać nowy papież. Bo co zrobić ze starym arcybiskupem bez diecezji?

- Zawsze marzyłem, że znajdę sobie kiedyś małą parafię, w której potrzebują księdza: stary kościół na wsi, gdzie proboszcz zna wszystkich parafian po imieniu. Że będę mógł na emeryturze poprowadzić małą trzódkę wiernych.

- To by nie było takie złe - zgodził się arcybiskup.

- Niezbadane są wyroki Boskie... No ale teraz musimy się zająć inną sprawą. Chodzi o tę płytę, którą wręczyłeś mi przed rozpoczęciem

konklawe. Czy nagrano ją na tej kamerze?

-Tak.

•A czy byłeś obecny przy tym, jak Jego Świątobliwość rejestrował swoją wiadomość dla kardynałów?

•Nie, papież był sam.

•Sam? A kto włączył kamerę?

- Jego Świątobliwość, pilotem.

Donoher spojrzał na Grina.

•Pilot należy dzisiaj do standardowego wyposażenia - potwierdził informatyk. - Dzięki niemu tatuś może być na filmie z resztą rodziny.

•Instrukcje, których udzielił mi papież, były jasne. Jego wiadomość była adresowana wyłącznie do kardynałów. Ustawiłem kamerę,

232

upewniłem się, że jest gotowa do pracy, po czym wręczyłem papieżowi pilota. A potem wyszedłem. Wiele razy korzystał z kamery, nagrywając i wysyłając życzenia urodzinowe na przykład bliskim znajomym i krewnym. Wiedział, jak ją włączyć i wyłączyć. Przywołał mnie, gdy skończył.

•I co się stało potem?

•Wyciągnąłem z kamery płytę i umieściłem ją w plastikowym pudełku.

•Na płycie, którą mi przekazałeś, był tylko jeden plik - powiedział

Donoher. - Kiedy sam coś nagrywam, nawet krótką wiadomość na

sekretarce, potrzebuję do tego kilku prób. Czy montowałeś jakoś

materiał papieża, na przykład przycinałeś, żeby została tylko najlep-

sza wersja?

•Nie, przekazałem ci dokładnie tę płytę, którą wyjąłem z kamery. Jego

Świątobliwość rzadko musiał coś nagrywać dwa razy.

Donoher skinął głową, ustępując.

•Po co te wszystkie pytania? - zdziwił się Sikora. - Czyżby był jakiś problem z płytą?

•Ktoś ujawnił jej zawartość osobom, do których treść wiadomości według zamierzeń Jego Świątobliwości nie powinna była dotrzeć - wyjaśnił Donoher. - Co się wydarzyło po nagraniu?

-Papież, w obecności kardynała Caina i mnie, podpisał poprawkę do Konstytucji Apostolskiej. Dokument i płyta zostały umieszczone w dużej kopercie, którą papież następnie zapieczętował.

-I wszystko to odbyło się tutaj, w tej kaplicy?

- Tak. Kiedy papież nagrywał wiadomość, kardynał Cain czekał ze mną na zewnątrz. Po zapieczętowaniu koperty umieściliśmy ją w kasetce w IOR.

Liczba tajemnic spoczywających w skarbcu Istituto per le Opere di Religione - Instytucie Dzieł Religijnych, znanym szerzej jako bank watykański - dorównywała liczbie zgromadzonych tam banknotów i papierów wartościowych. Jako szef watykańskiego wywiadu Donoher wiedział doskonale, że są one równie cennym środkiem płatniczym, co te ostatnie. Było zupełnie zrozumiałe, że papież postanowił przechować swą ostatnią tajemnicę właśnie tam.

- Jakich instrukcji co do koperty udzielił Jego Świątobliwość?

- Instytut mógł ją przekazać wyłącznie samemu papieżowi, a w wypadku jego śmierci kardynałowi kamerlingowi w poranek przed rozpoczęciem pierwszej sesji konklawe. Mnie osobiście polecił przyprowadzić cię do IOR. Gdybym nie miał takiej możliwości, kamerlinga miał powiadomić bezpośrednio instytut.

Sikora mówił spokojnie, bez cienia zdenerwowania. Donoher zauważył również, że przez cały czas utrzymuje z nim kontakt wzrokowy.

- Rozumiem więc, że od momentu wyjęcia płyty z kamery aż do umieszczenia jej w skarbcu - podsumował kamerling - ani przez chwilę nie spuszczałeś jej z oka?

- Zgadza się - potwierdził Sikora.

-1 nie zostawałeś z nią sam?

•Nie. Dostarczyłem kopertę do IOR razem z kardynałem Cai-nem.

•Masz jakieś pytania do księdza arcybiskupa? - zwrócił się do Grina Donohei.

•Tylko jedno. Czy włączył ksiądz w kamerze funkcję oznaczania pliku datą i godziną?

•Zawsze to robię. Dla przyszłych pokoleń.

Grin skinął kamerlingowi głową, potwierdzając, że to wszystko.

- Dziękuję, Michale. Na razie nie mamy więcej pytań.

DONOHER WYPROWADZIŁ Grina z Pałacu Apostolskiego i obaj ruszyli szeroką dróżką wytyczoną za bazyliką. Kopuła górowała nad nimi, połyskując w przesłaniającej gwiazdy łunie sztucznego światła.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Donoher.
- Był z księdzem kardynałem szczerzy. Rozumiem, że sprawdzi ksiądz jego relację, wypytując kardynała Caina.
- Oczywiście, ale jestem pewien, że uzyskam te same odpowiedzi.
- Czy uważał ksiądz, że to Sikora jest źródłem przecieku?
- Niezupełnie. Myślałem, że zostawił gdzieś na chwilę płytę i ktoś przegrał z niej pliki na twardy dysk. Miałem nadzieję, że określimy moment, w którym można było zobaczyć wiadomość papieża przed jej zaprezentowaniem kardynałom.

234

- W thrillerach prawniczych, które często podczytuję, nazywa się to łańcuchem dowodowym, a w tym wypadku wygląda on na całkiem solidny. Przypuszczam, że Sikora i Cain mogli ukradkiem przejrzeć plik, ale czy tak się stało, zależy od tego, ile czasu upłynęło od nagrania DVD do złożenia go w banku. W instytucie z pewnością odnotowano przekazanie depozytu, a kamera powinna była dołączyć informacje dotyczące pliku.
- Nawet jeżeli rzeczywiście ciekawość i okazja pchnęły obu duchownych do zawiązania spisku, zapominasz o pieczęci. Gdyby otwarli kopertę, złamaliby pieczęć papieską. Po zapoznaniu się z zawartością dysku potrzebowaliby nowej, a jej sprokurowanie byłoby niemożliwe bez pierścienia papieża.
- Czy Jego Świątobliwość kiedykolwiek go zdejmował?
- O ile mi wiadomo, nie - powiedział Donoher. - A kiedy otrzymałem

kopertę, pieczęć na niej była nietknięta.

- Barnett powiedział, że Pekin otrzymał informację z ambasady w Rzymie około czwartej nad ranem, czyli wczoraj o ósmej wieczorem według naszego czasu. Jeżeli Sikora i Cain maczali w tym palce, zaczęli z podzieleniem się swoją wiedzą aż do rozpoczęcia konklawe.

Pytanie: dlaczego? A jeżeli nie oni są źródłem przecieku, to wracamy do początkowych hipotez: albo pluskwa w Kaplicy Sykstyńskiej, albo któryś z kardynałów złamał przysięgę.

- Żadna z nich mi się nie podoba - przyznał Donoher - ale wolałbym, żeby nie chodziło o tę drugą.

CHIFENG, CHINY 30

PAŹDZIERNIKA

KE WEN-AN STRACIŁ JUŻ CZUCIE W RĘKACH. CIENKI STALOWY KABEL, na którym był zawieszony, wgryzł się głęboko w jego nadgarstki niczym tępe ostrze piły. Początkowo ból był nie do zniesienia, wkrótce jednak więzień zdrętwiał, co przyniosło mu pewną ulgę. Z miejsc na ramionach, w których zaczęła odchodzić skóra, spływała krew. Kilka godzin po zadaniu ran czerwone smugi zdążyły już wyschnąć i stwardnieć.

Tortury zaczęły się pod koniec poprzedniego dnia, gdy policja aresztowała Ke oraz jego żonę, ojca i małą córeczkę. Początkowo myśleli, że zostali zatrzymani przez władze na przesłuchanie podobnie jak inne rodziny rzymskich katolików, wkrótce jednak stało się jasne, że oprawcy są nimi szczególnie zainteresowani. W ciągu ostatnich dwunastu godzin szary betonowy pokój przesłuchań dla Ke i jego bliskich zamienił się w prawdziwe piekło.

Ponieważ stopy zwisały zaledwie kilka centymetrów nad ziemią, zastanawiał się, czy obciążniki przywiązane do kostek nie naciągną ostatecznie jego ciała na tyle, żeby udało mu się sięgnąć posadzki czubkami palców. Podłoga znajdowała się kuszaco blisko, ale cena za chwilę wytchnienia ciągle była zbyt wysoka.

Przez gardło Ke płynęły krew i ślina, raz za razem wywołując u niego ataki kaszlu. Jego ciało odruchowo usiłowało powstrzymać ciecz gromadzącą się dalej w płucach i uniknąć utopienia, ale każdy kolejny

wydech więźnia był coraz słabszy. Dwutlenek węgla, natural-

236

ny produkt uboczny procesu oddychania, powoli osiągał w ciele Ke stężenie zagrażające jego życiu.

Poza tym był nagi. Właściwie to akurat przeszkadzało mu najmniej - męka sprawiła, że wszelkie błahe zmartwienia stały się zupełnie nieistotne. Jego ciało pokrywały sińce - niebieskie, czarne i niezdrowo żółte wstęgi, ślady po uderzeniach kijów, pałek, bicia i pięści. Między nimi widać było fragmenty spalonej skóry - oprawcy gasili na nim papierosy i sztuczne ognie. Z włosów porastających do niedawna różne partie jego ciała pozostała tylko przyczerniona szczecina. Kiedy zaś przesłuchującym nie udało się wydobyć z niego zeznań, podkładając mu ogień pod ramionami, substancją łatwopalną, która miała zapewnić płomieniom odpowiednią ilość paliwa, oblano jego genitalia.

Jako lekarz Ke zdawał sobie sprawę* przez co przechodzi jego organizm. Uraz i reakcja. Przyczyna i skutek. Mechanizmy obronne działały coraz słabiej, ponieważ jego ciało nie było w stanie opanować uszkodzeń o tak ogromnym zasięgu. Dawno minął już punkt krytyczny i wiedział doskonale, że nie wyzdrowieje. Zresztą nawet tego nie pragnął.

Ke nie był torturowany w odosobnieniu. Tuż przed nim na szerokim stole leżała jego żona. W przerwach między biciem zmuszano go do przyglądania się, jak torturowana jest kobieta, którą kocha, matka jego dziecka - jak z bezwzględny okrucieństwem bezczeszczone jest jej ciało. Kolejni strażnicy, rozciągnąwszy nagą Gan Yueying na stole, zaspokajali

swoje zdeprawowane, zwichrowane instynkty, gwałcąc ją brutalnie.

Ostatni złapał ją mięsistymi łapskami za delikatne gardło i szczytując, niemal zadusił kobietę na śmierć.

Najgorsze tortury zadał jej jednak mężczyzna, który prowadził przesłuchanie. Kiedy pobite, umęczone ciało żony Ke nie mogło już podniecić nawet obdarzonego najbardziej chorą wyobraźnią strażnika, Liu znowu zaczął zadawać więźniowi pytania. Za każdym razem gdy ten odmawiał odpowiedzi, odcinał Gan kawałek ciała.

Nie pozwalał jej przy tym tracić na dłużej przytomności: co chwilę cucono ją i Liu znowu się do niej zabierał. Na podłodze w kałużach krwi, wymiotów i kału walały się palce. Wprawa, z jaką zwykłym składanym nożem amputował jej piersi, świadczyła o przyprawiającym o mdłości doświadczeniu. Gan krzyczała z bólu, gdy ją ćwiartowano,

237

ale między jednym skowytym a drugim pochwytywała wzrok ukochanego męża i zachęcała go do wytrwania, do wytrwania w wierze.

Ke nigdy nawet sobie nie wyobrażał, że będzie się kiedyś modlił o śmierć własnej żony, ale gdy ta wreszcie zmarła, z radości zalał się łzami.

Jej cierpienia się skończyły. A on podążał w podróży do nieba o mały krok za nią.

Policyjny lekarz na próżno usiłował ocucić Gan. Liu oparł się o ścianę.

W końcu medyk pokręcił głową i wyszedł z pokoju przesłuchań. W kącie pomieszczenia zalewali się łzami sześciolatnia córeczka Ke i jego ojciec.

Staruszek starał się pocieszyć przerażone dziecko, mimowolnego świadka

barbarzyństwa, z jakim potraktowano małżonków.

- Jedna dziwka mniej - roześmiał się szyderczo Liu.

Pokiereszowane szczątki Gan Yueying ledwie przypominały ciało człowieka. Oprawca zbliżył się do staruszka i jego wnuczki, niczym drapieżnik przygotowujący się do zadania śmiertelnego ciosu ofierze.

Stanął nad Ke Tai-Dem, a na jego twarzy malowała się jedynie pogarda dla całej rodziny wyznawców zabobonów.

•Jeszcze nie jest za późno na uratowanie twojego syna - powiedział.

•On i moja rodzina już zostaliśmy ocaleni - odparł ze stoickim spokojem Ke Tai-De. -1 nic, co zrobisz, tego nie zmieni.

•Zobaczymy, starcze - zagroził Liu.

Powoli obszedł stół i zbliżył się do Ke Wen-Ana, wciąż zwisającego z przymocowanej do sufitu metalowej rury. Więzień przy każdym słabym oddechu obracał się nieznacznie, przez co kabel zawiązany wokół jego nadgarstków wgryzał się w ciało odrobinę głębiej.

- Wracając do pana, doktorze, jestem pewien, że jako katolik - słowo to wydobyło się z ust Liu z nienawistnym parsknięciem - odczuwa pan ironię sytuacji, w której się pan znalazł. Większość z tego, co pan przeżywa, pod względem medycznym przypomina to, co stało się udziałem czczonego przez was kryminalisty, gdy Rzymianie przybili go do krzyża. Wiedział pan, że ukrzyżowany umierał zazwyczaj dopiero po wielu dniach? Rzymianie często łamali skazańcom kości, żeby przyspieszyć ich śmierć, która następowała w wyniku uduszenia lub wywołanego szokiem ataku serca. Czy nie uważa pan, doktorze, że po

dobny uraz może wywołać w pańskim organizmie taki sam skutek?

238

Wyciągnął pistolet i złapał go za lufę. Przykucnąwszy, chwycił Ke za kostkę, wyprostował mu nogę, zamachnął się niczym młotkiem i z całej siły uderzył mężczyznę w rzepkę kolanową. Trójkątna kość trzasnęła i przez system nerwowy Ke przemknęła kolejna błyskawica bólu.

Zadowolony z efektu Liu zamachnął się jeszcze raz i zmiażdżył więźniowi drugie kolano. Głowa Ke opadła na piersi. Liu skoczył na równe nogi.

- Nie mdlej mi tutaj, doktorku.

Ke trzepotał powiekami, a jego umysł unosił się gdzieś na granicy przytomności.

- Powiedz, co wiesz o Yinie, a skrócę twoje cierpienia.

Ke pokręcił głową, ciągle pozostając na tyle świadomy, żeby odrzucić bezwartościową ofertę.

Liu podszedł do niego i wyszeptał umierającemu mężczyźnie prosto do ucha:

•Jeżeli nie zaczniesz gadać, twoja córka będzie następna. Ke zebrał w sobie resztki sił, uniósł głowę i jęknął:

•Niech żyje Jezus Chrystus.

Rozwścieczony Liu przyłożył lufę pistoletu do podbródka Ke i pociągnął za spust. Kula kaliber dziewięć milimetrów przebiła się przez głowę więźnia, powodując na czubku fontannę krwi i kości. Głowa zabitego opadła. Jej ciemień zamieniło się w ziejącą dziurę.

Kiedy zamarło echo wystrzału, ktoś zapukał do drzwi.

- Czego? - wrzasnął ze wściekłością Liu.

Drzwi otworzył umundurowany oficer policji. Za nim, w towarzystwie kilku jego kolegów, stał w korytarzu Peng.

•Wszystko w porządku? - zapytał policjant.

•Jeszcze jak - warknął ponuro Liu.

Schował broń do kabury i starł z policzka odrobinę kory mózgowej, strząsając ją na podłogę. Peng rzucił spojrzenie w głąb pomieszczenia i zauważył zwłoki.

•Jak długo tak wisiał? - zapytał cicho policjanta.

•Dwanaście godzin. Odkąd go przyprowadziliśmy.

Nawet jeżeli Liu usłyszał pytanie Penga, postanowił je zignorować.

Zepchnął okaleczone szczątki Gan ze stołu na podłogę, ciskając je pod stopy córki i teścia. Młody podwładny agenta postąpił krok do

239

pokoju przesłuchań. Jego nozdrza natychmiast zaatakował unoszący się w środku piekielny smród. Ogarnęło go przerażenie.

- Mam pewne informacje - powiedział, z całej siły starając się opamiętać chęć zwrócenia zawartości żołądka. - Może pora na przerwę?

Liu skinął głową, dysząc ciężko.

- Zastanów się nad tym, czego chcę się od ciebie dowiedzieć, starcze. Kiedy wrócę, zajmę się twoją wnuczką.

Liu wyszedł, zostawiając Ke Tai-Dego i dziewczynkę ze zmalretowanymi, zbezczeszczonymi ciałami najdroższych im osób.

Jeden z policjantów wręczył dowódcy niewielki ręcznik, którym ten

starł z twarzy oraz dłoni krew, pot i kawałki ludzkiej tkanki.

- Słucham!

- Północna granica została zabezpieczona, lecz nie stwierdzono, by ktokolwiek usiłował ją przekroczyć. W kluczowych punktach rozmieszczone są oddziały, wojsko patroluje cały teren. Otrzymałem od naszych ludzi w Ułan Bator potwierdzenie, że Kilkenny i inny Amerykanin przylecieli do Mongolii z Niemiec. Ten pierwszy podróżował pod fałszywym nazwiskiem. Zakładamy, że drugi również.

- A co z tą całą szpieg?

- Dwanaście dni temu Roxanne Tao przyleciała ze Stanów Zjednoczonych do Szanghaju. Przeszła przez kontrolę graniczną, używając podrobionej wizy turystycznej. Stamtąd udała się do Pekinu. Zauważono ją ponownie dopiero dwudziestego ósmego w więzieniu.

- Weszła przez frontowe drzwi - warknął ze wściekłością Liu.

- Jej papiery były umiejętnie sfalszowane, a ona sama całkowicie zmieniła wygląd.

- Ale mimo to ją przepuścili.

Liu nie wyglądał najlepiej. Był przemęczony i wzburzony, a skóra wokół jego oczu zrobiła się ciemna i opuchnięta.

- Czy odpoczywał pan choćby przez chwilę od naszego ostatniego spotkania? - zapytał Peng.

- Odpocznę, jak Yin i ci terroryści będą martwi.

- Dowiedział się pan czegoś w czasie przesłuchań?

- Nie za wiele - przyznał Liu. - Ale wszystko wskazuje na to, że ten

stary to ważna postać w nielegalnych strukturach Kościoła w Chifengu. Wiemy, że uczestnicy ataku mieli wsparcie na miejscu, musiał

240
więc być w to zaangażowany. Wykrycie całego spisku zależy od jego złamania.

- A co z resztą rodziny?

- Są wyznawcami obcego kultu, co samo w sobie jest zbrodnią.

Używam ich do złamania starca.

- Ale oni są już martwi, a on nic nie powiedział.

- Została mi jeszcze jego wnuczka. Nie mam wątpliwości, że teraz, kiedy już wie, jak daleko potrafię się posunąć, będzie gadał, żeby ją uratować.

- Nie byłbym tego taki pewien. W historii tej religii aż roi się od uznawanych za świętych męczenników, począwszy od tego, którego uważają za syna swojego boga.

- Szaleńcy! - warknął Liu. - Pewne jest jedno: facet wyśpiewa wszystko. Już ja się o to postaram.

- Zakładając, że coś wie.

- Wie. - Liu przerwał na chwilę. - Czy to wszystko?

- Nadal przeszukiwane są okolice Chifengu, żołnierze przesłuchują też pasterzy. Ciągłe jednak nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby uczestniczyć w akcji uwolnienia więźniów - zameldował Peng.

- Jeszcze jeden powód, żeby skupić się na staruchu.

-Jest pan wyczerpany. Nie wolałby pan odpocząć i pozwolić kon-

tynuować przesłuchanie komuś innemu? Może zmiana taktyki zde-orientuje więźnia.

Liu lekceważąco machnął ręką.

- Coś jeszcze?

- Nie - odpowiedział Peng.

- Może chcesz mi towarzyszyć przy przesłuchiowaniu dziecka?

- zapytał Liu niemal drwiącym tonem.

Młody oficer na myśl o torturowaniu małej dziewczynki znowu poczuł mdłości.

- Myślę, że bardziej przydam się przy nadzorowaniu innych wątków śledztwa.

- Bardzo dobrze. Proszę o raport za kilka godzin.

Peng skłonił głowę i wyszedł. Po drodze zastanawiał się, czym była dla rodziny Ke religia katolicka. I skąd brała się wiara, dzięki której byli gotowi umrzeć za człowieka, którego nawet dobrze nie znali. Jaki

' 241

rodzic, mający święty obowiązek bronięcia własnego dziecka, poświęca się na jego oczach?... Poczuł, że zaczynają mu dygotać opuszczone wzdłuż ciała ręce.

MONGOLIA WEWNĘTRZNA

YIN WYRWAŁ SIĘ Z NIESPOKOJNEGO SNU. BYŁ DZIEŃ, A ON

LEŻAŁ pod

skrzydłem BAT-a, na którego pokładzie zdążył się już oddalić na zachód od

Chifengu o ponad tysiąc kilometrów. Wylądowali przed świtem w pobliżu

skarpy, która zapewniła im głęboki cień, a zatem doskonałe schronienie.

Żołnierze szybko wyskoczyli z samolotów i rozciągnęli nad nimi siatkę

maskującą, dzięki czemu mógłby je dostrzec tylko bardzo uważny

obserwator. W pobliżu drzemali Kilkenny i piloci, wyczerpani po długim

locie, zbierający siły przed następnym. Pozostali komandosi byli niewi-

doczni, ale biskup wiedział, że gdzieś tam są i chronią ukryty obóz przed

nieprzyjacielem. Tao zauważyła, że Yin siada, i podeszła do niego.

•Dzień dobry - powiedziała cicho. - Dobrze ksiądz spał?

•Muszę przyznać, że nie bardzo.

•Nic dziwnego. Sporo ksiądz przeszedł.

•Może rzeczywiście o to chodzi - stwierdził Yin.

Tao zauważyła, że biskup pociera prawą dłońią skórę mniej więcej na

środku klatki piersiowej.

•Dobrze się ksiądz czuje? - zapytała.

•Czuję ucisk w sercu. Gość jest nie tak.

•Proszę się nie ruszać - nakazała mu stanowczym głosem. - Sprowadzę

pomoc.

Chwilę później wróciła z Jिंगiem, sanitariuszem, oraz z Kilkennym.

- Czy może ksiądz opisać, co czuje? - zapytał Jing, otwierając torbę lekarską.

243

•Ucisk tutaj - odparł Yin, wskazując na pierś.

•Czuje ksiądz ból albo mrowienie w jakimś innym miejscu? -Nie.

•Zawroty głowy? -Nie.

•Muszę księdza zbadać. Roxanne, pomóż mi zdjąć górę. Oboje ostrożnie

odwinęli górną część kombinezonu, odsłaniając

kościstą klatkę piersiową Yina. Ze sznurka na szyi tuż przy sercu biskupa

zwisiał krzyżyk Ke Li, symbol jego wiary.

-

Musimy go zdjąć - powiedział Jing, wskazując na wisiołek.

Yin skinął głową i ostrożnie przeciągnął przez głowę sznurek. Uca

łował z szacunkiem ręcznie wystrugany krzyżyk.

- Proszę go dla mnie przechować - powiedział, przekazując go

Kilkenny'emu.

Amerikanin wziął krzyżyk i odsunął się o krok. Jing sprawdził Yinowi

tętno i ciśnienie, osłuchał płuca, po czym podłączył biskupa do

niewielkiego elektronicznego monitora.

•Może ksiądz już włożyć górę - stwierdził - ale proszę się postarać nie

naruszyć elektrod EKG na piersi. Urządzenie musi przez chwilę

pracować. Dowiemy się dzięki temu, jak sobie ksiądz radzi.

•Dziękuję za okazaną mi troskę - odparł Yin.

Kiedy Tao pomagała mu się ubrać, Kilkenny gestem przywołał Jinga

na stronę.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.
- Chyba wszystko w porządku. Ma silne serce i żadnych problemów z płucami.
- Więc to nie atak serca?
- Raczej nie. Oprócz ucisku w piersiach nie ma żadnych typowych objawów. Dowiem się więcej, jak monitor przez chwilę popracuje, ale na razie zaryzykowałbym diagnozę, że to po prostu kwestia stresu. Pomyśl tylko, przez co przeszedł przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny.
- Nie mówiąc już o ostatnich trzydziestu latach. Dzięki, Jing. Daj znać, jak skończysz.

Jing wrócił do pacjenta, a do Kilkenny'ego podszedł Gates.

- W porządku z nim?

244

- Za chwilę dowiemy się więcej - odparł komandos - ale według Chucka to tylko stres.
- Wszyscy mamy powody do stresu.
- Mam nadzieję, że to go nie zabije. Po tym co przeszedł, miałby teraz umrzeć, bo wyciągnęliśmy go z więzienia.

GDY JING PRZEBADAŁ już pacjenta, Kilkenny przysiadł się do niego. Yin był ubrany i właśnie zaczynał lekki posiłek.

- Przyniosłem księdzu krzyżyk - powiedział Amerykanin.
- Dziękuję.

Wkładając wisiołek, Yin powtórzył cały rytuał z oddawaniem mu szacunku.

- Jak się ksiądz czuje? - zapytał Kilkenny.
- Lepiej. A jak ty się czujesz?
- Świetnie - odpowiedział komandos zaskoczony pytaniem. - Dlaczego ksiądz pyta?
- Na twoich barkach spoczywa ciężki krzyż. Tak ciężki, że może się wydawać ponad siły.
- Słyszałem często, że Bóg nie nakłada na nas krzyża cięższego, niż jesteśmy w stanie udźwignąć.
- Interesująca uwaga. Wierzysz, że to prawda?
- Nie wiem, ale jeżeli tak jest, czasem myślę sobie, że w moim wypadku Bóg trochę przeszacował moje siły.
- Czy teraz jest właśnie taka chwila? - zapytał Yin.

Kilkenny zastanowił się. Może niepokojące objawy były rezultatem strachu biskupa przed schwytaniem?

- Wyciągnę księdza z Chin - obiecał.

W tym momencie podszedł do nich Han; dwóch pozostałych pilotów siedziało przed BAT-em 2.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale czas na naradę przed lotem.
- Wybacz ksiądz.

Yin pochylił głowę i Kilkenny odszedł razem z Hanem. Biskup przyglądał się uważnie człowiekowi, który zorganizował jego ucieczkę, i myślał o ogromnym krzyżu, który spoczywał na barkach Amerykanina.

WATYKAN

- KSIĄDZ Z CIEBIE JAK SIĘ PATRZY - OCENIŁ DONOHER, ROZBAWIONY widocznym skrępowaniem Grina.

Zbliżał się świt i informatyk stał w foyer watykańskiego Studio del

Mosaico ubrany w czarną sutannę z koloratką wokół szyi. Długie rękawy

pozwołyły zamaskować jego wyszukany tatuaż, a spod brzegów szaty

wystawały tylko czubki koszykarskich tenisówek w panterkę marki Chuck

Taylor.

- Jasne, tyle że albo Kościół cierpi na większe braki kadrowe, niż się do

tego przyznaje, albo naprawdę powinniście popracować nad

procedurami sprawdzającymi przeszłość kandydatów.

- Z tego co sobie przypominam, na przykład Ignacy Loyola prowadził

bardzo barwne życie, zanim wstąpił na właściwą ścieżkę - powiedział

Donoher, jeszcze raz sprawdzając końcowy efekt. - W każdym razie

przypominasz raczej księdza niż Szwajcara.

- W tym stroju trafi mnie piorun, jak tylko Bóg uzyska szansę na czysty

strzał.

- Osobiście uważam, że Bóg łączy w sobie nieskończoną wyrozu-

miałość z ironicznym poczuciem humoru.

- Skoro to przebranie ma nam pomóc, to niech będzie: mogę

rozbawić Wszechmogącego, czemu nie. W każdym razie kaplica jest

czysta?

•Jak przysłowiowa łąza - odparł z wyraźnym rozczarowaniem Do-
noher. - Ani na zewnątrz, ani w środku nie znaleźliśmy żadnych nie-
pożądanych urządzeń.

•Co oznacza, że powinniśmy się skupić na kardynałach. Choć
oczywiście możemy mieć do czynienia z jakąś nieznaną technologią.
Dostojnik skinął głową.

•Tak, ale jak sugeruje nasz przyjaciel Ockham, najpierw powinniśmy
sprawdzić najbardziej prawdopodobną możliwość, niezależnie od tego
Jak trudna byłaby do przełknięcia. Mam więc nadzieję, że zaraz po
rozpoczęciu konklawe razem z ekipą przeszukującą nie zostawicie
kamienia na kamieniu.

•Ale zdaje sobie ksiądz kardynał sprawę, że taka akcja wymaga czasu?
Co się stanie, jeżeli papież zostanie wybrany, zanim znajdziemy
odповідź na nurtujące nas pytania?

•Wtedy pewnie nigdy się nie dowiemy, który z kardynałów zdradził
Kościół.

JAK TYLKO KARDYNAŁOWIE elektorzy opuścili swoje pokoje, Grin spotkał się
w holu Domus Sanctae Marthae z kilkoma żołnierzami Gwardii
Szwajcarskiej w cywilu oraz dwoma sprawdzonymi technikami, którzy w
myśl Konstytucji Apostolskiej mieli pomóc kamerlin-gowi w
zagwarantowaniu tajności i bezpieczeństwa obrad konklawe. Obaj
mężczyźni, Aldo i Tommaso, wyglądali na zmęczonych po całonocnym
przeszukiwaniu Kaplicy Sykstyńskiej i przylegających do niej pałacowych
pomieszczeń, gdzie próbowali wykryć jakiegokolwiek nasłuchujące

urządzenia elektroniczne. Strażnicy, gdy tylko Grin do nich podszedł, stanęli na baczność.

- W porządku, chłopaki - uspokoił ich. - Kto tu jest szefem?

Z szeregu wystąpił szczupły młody mężczyzna o subtelnych rysach twarzy i włosach koloru słomy.

•Porucznik Tag Jordan.

•Dobra, Tag, powiedz kumplom, żeby trochę wyluzowali. Doceniam wasz profesjonalizm i tak dalej, ale możecie odpuścić. Nikomu nie powiem.

247

•Ale, proszę księdza! - zaprotestował Jordan. - Reprezentuje ksiądz kamerlinga, a on jest opiekunem Kościoła. Musimy traktować księdza jak osobistego przedstawiciela papieża. Jeżeli tak księdzu wygodniej, mogę wydać moim ludziom komendę „spocznij”.

•Byłbym zobowiązany.

Jordan zawołał coś po niemiecku i żołnierze natychmiast rozstawili szeroko stopy oraz założyli dłonie za plecami. Stanęli jak kołki, i to tak równo, że można by sprawdzać na nich dokładność wskazań pionu.

- Panowie - zaczął Grin - mamy sporo roboty i bardzo mało czasu. Pamiętajcie również, że pokoje, które przeszukamy, należą do kardynałów elektorów, traktujcie więc ich rzeczy osobiste z należyтым szacunkiem. Musicie zachować ostrożność również z innego powodu: nie chcemy, by ktokolwiek wiedział, że byliśmy z wizytą, dlatego pokoje muszą po wszystkim wyglądać tak samo, jak na początku. Prze

chodząc do szczegółów, szukamy jakichkolwiek urządzeń, za pomocą których można wysyłać lub odbierać komunikaty. Jeżeli coś znajdziecie, natychmiast zawiadomcie techników lub mnie. Sprawdzimy to. Będziemy krążyć po budynku i szukać potencjalnej aparatury podsłuchowej. Jakies pytania?

Nie było pytań.

- Doskonale - podsumował Grin. - To do roboty.

Z SZESNASTU ARMAT NIEKOŃCZĄCEJ SIĘ BURTY GŁÓWNEJ ATRAKCJI

Fontana della Galera wypływały łagodne łuki wody. Żagle bogato zdobionego, misternie otaklowanego okrętu z brązu były przymocowane na stałe do reji, a figura młodego chłopca na dziobie wypływała przez róg mgiełkę drobnych kropelek wody.

Donoher nie przerywał strumienia myśli, który wywoływał w nim ten widok. Szum opadającej wody łagodził napięcie w jego umyśle. Zbliżała się pierwsza po południu, dzień był chłodny i bezchmurny, a na okręt i połowę fontanny padał cień rzucany przez Corridoio del Bramante oraz Palazzetto del Belveder. Kamerling stał przy ciągle skąpanej w słońcu burcie, rozkoszując się ciepłem przed powrotem na konklawe.

Z *palazzetto* wyszedł Grin - ciągle jeszcze miał na sobie sutannę - i zdecydowanym krokiem ruszył w jego stronę.

- Milion euro za myśli księdza kardynała - powiedział, stanąwszy obok Donohera.

- Obawiam się, że byłaby to nie najlepsza inwestycja.

-Ups!

-Właśnie wspominam rozmowę, którą odbyłem z Nolanem, zanim to wszystko się zaczęło. Zapytał wtedy, czy zdążyłem się na tyle przyzwyczać do tych wspaniałych widoków, że już ich nie zauważam. -

Donoher skinął głową w stronę siedemnastowiecznej fontan-

ny. - To moje ulubione miejsce w całym Watykanie. Na statku jest napis:

„Papiaska flota nie pluje płomieniami, lecz słodką wodą, która dusi ogień wojny”.

- Szlachetne intencje, choć historia świadczy o czymś innym.

- Z dwustu sześćdziesięciu trzech mężów, którzy obejmowali po świętym Piotrze urząd biskupa Rzymu, tylko garstka wysłała ludzi na wojnę - sprzeciwił się spokojnie kardynał. - Najpiękniejsze dzisiaj jest to, że w pobliżu nie ma turystów. Można tu naprawdę odetchnąć.

- Słyszałem o czarnym dymie.

-Jedyna dobra wiadomość w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, chyba że masz mi coś do powiedzenia.

- To zależy, jak na to spojrzeć. Po przeszukaniu około jednej czwartej apartamentów znaleźliśmy tylko kilka zapasowych baterii do aparatów słuchowych. Albo najczcigodniejsi kardynałowie uważają, że współczesna technika to wynalazek diabła, albo zostawili swoje gadzety w domach.

- Podejrzewam, że w obu twoich stwierdzeniach tkwi ziarenko prawdy, choć gwoli ścisłości, niektórzy moi bracia, którzy chętnie korzystają z różnego rodzaju urządzeń, zostawili je w moim biurze na przechowanie na czas konklawe. Rozumiem, że jutro po południu będziecie kontynuować?

- Jak tylko zamkną się drzwi kaplicy.

- W takim razie obaj powinniśmy już wracać. Chodź ze mną.

Kamerling ruszył powoli przed siebie. Jego nadwerężone kolana

głośno trzeszczały pod purpurową sutanną. Nagłe zmiany pogody, w rodzaju chłodnego frontu, który przetoczył się tuż przed świtem przez Półwysep Apeniński, zawsze fatalnie odbijały się na stanie jego stawów.

- Rozumiem, że nie masz żadnych wieści od Nolana - powiedział.
- Nie, ale raczej się ich nie spodziewam. Chyba że wydarzy się coś ważnego.
- W Chinach jest teraz noc. Mam nadzieję, że Pan zapalił dla naszych na niebie gwiazdę, która zaprowadzi ich do domu.
- Amen - zgodził się Grin.

KIEDY JUŻ ROZDANO KARTY DO GŁOSOWANIA PRZED POPOŁUDNIOWĄ sesją, najmłodszy kardynał diakon wyprosił z Kaplicy Sykstyńskiej mistrza papieskich ceremonii liturgicznych oraz mistrzów ceremonii i zamknął za nimi drzwi. Kardynałowie znowu uczestniczyli w konklawe.

Ze swojego miejsca w pobliżu ołtarza Donoher przyglądał się innym księżętom Kościoła, zastanawiając się, jakie to subtelne porozumienia zostały zawarte w trakcie przerwy. Poprzedniego wieczora Ryff, Niemiec, skutecznie storpedował własną kandydaturę, przenosząc poparcie na Magniego. Był to sprytny ruch, wykonany w nawiązaniu do starego porzekadła, że po chudych papieżach następują grubi. Jako że Magni miał sześćdziesiąt dziewięć lat, a z wyglądu przypominał Jana XXIII, jego pontyfikat z pewnością nie trwałby tak imponująco długo, jak poprzednika. Popierając Włocha, Ryff zademonstrował solidarność z europejskimi kardynałami, którzy kontrolowali blisko pięćdziesiąt procent głosów. Niemiecki kardynał mógł sobie pozwolić na to, żeby jeszcze trochę poczekać, mając nadzieję, że przy następnej okazji pozostali będą pamiętać o jego ofierze.

Wprawdzie w porannej sesji Magni zebrał aż trzydzieści trzy głosy, szybko stało się jednak jasne, że Europa nie głosuje jako monolit. W trakcie rozmów między głosowaniami Donoher wyczuł wśród Europejczyków, którzy nie pochodzili z Włoch, przekonanie, że z tej dwójki ustąpił nieodpowiedni kandydat. Kamerling zauważył również,

że z powodu nieobecności Gagliardiego wiatr wiejący w zjednoczone włoskie żagle wydymał je o wiele słabiej niż poprzednio.

Escalante zebrał dwadzieścia pięć głosów, otrzymując poparcie nie tylko kardynałów z Ameryki Łacińskiej, ale również częściowo ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i Filipin. Z kolei kandydatura Sudańczyka była nietypowa pod tym względem, że z jednej strony dawała wyraz rosnącemu znaczeniu Afryki w ramach Kościoła rzymskokatolickiego, a z drugiej skupiała się wokół charyzmatycznego przywódcy, który z pewnością byłby nie tylko zagorzałym obrońcą wiary, ale i potężnym orędownikiem interesów krajów Trzeciego Świata. Jako wieloletni urzędnik watykański, Oromo był dobrze znany wśród kolegów z kongregacji, co zdaniem Donohera pomagało mu zbierać kolejne głosy i utrzymywać silne poparcie.

Również Yin i Velu nie stracili na sile, a nawet zyskali kilka dodatkowych głosów, choć nie aż tyle, żeby zagrozić faworytom. Donoher był pewien, że w czasie przerwy sporo dyskutowało się o tych dwóch nazwiskach - że kardynałowie mieli nadzieję, iż Velu weźmie przykład z Ryffa, podczas gdy inni lobbowali dyplomatycznie przeciw dramatycznej kandydaturze pozostającego w śmiertelnym niebezpieczeństwie biskupa Szanghaju.

Ze swojego miejsca w środkowej części kaplicy, poniżej „Stworzenia Ewy” Michała Anioła, podniósł się Ryff.

- Wasza Eminencjo - powiedział, zwracając się do kamerlinga
- chciałbym, jeżeli można, zadać przed głosowaniem pytanie.

Donoher skinął głową. Oczy wszystkich spoczęły na mówcy.

- Czy są jakieś wieści na temat biskupa Yina? - zapytał Niemiec.

Po pogrzebaniu własnej kandydatury Ryff w oczach Europejczyków był właściwą osobą, która mogła zadać do pytanie. Gdyby padło ono z ust któregośkolwiek z obecnych *papabili*, pozostali mogliby odnieść wrażenie, że pytający działa we własnym interesie - usiłuje uwolnić piętnaście głosów. Kiedy zadał je Ryff, wiadomo było, że wyraża po prostu zainteresowanie zgromadzonych.

Najciekawsze w poparciu dla Yina, przynajmniej w oczach Donohera, było to, że jego zwolennicy pochodzili z całego globu. Żelazny elektorat pozostałych *papabili* skupiał się wokół bloków etnicznych

252

lub geograficznych i dopiero gdy poszczególni kandydaci zyskiwali na sile, przyciągali niezdecydowanych elektorów. Przypadek Yina przeczył tej zasadzie. Donoher był przekonany, że zwolennicy Chińczyka reprezentowali w ramach konklawe odmienną tendencję - byli wyrazicielami czystej wiary, że Bóg przekazał swym sługom znak.

- Biskup Yin i jego wyzwoliciele szukają obecnie sposobu na wydobycie się z Chin. Jednocześnie tamtejszy rząd robi wszystko co w jego mocy, by uniemożliwić im wyjazd. Sytuacja jest bardzo poważna, choć nie beznadziejna. Jestem pewien, najczcigodniejsi bracia, że w tym trudnym czasie tak jak ja pamiętacie w modlitwach o biskupie Szanghaju.

Przez kaplicę przetoczył się pomruk aprobaty - wszyscy kardynałowie gorąco pragnęli, by ci, którym grozi niebezpieczeństwo, wyszli cało z opresji.

- A teraz - kontynuował Donoher - pod przewodnictwem Du cha Świętego wróćmy do naszego błogosławionego zadania wyboru nowego papieża.

- OROMO - OGŁOSIŁ CAIN, odczytując ostatni głos.

Donoher nie musiał słyszeć tego nazwiska, żeby zdać sobie sprawę, że pomimo upływu trzech dni konklawe sytuacja nie zmieniła się ani na jotę.

Choć słupki nieco się poprzesuwały, proporcje poparcia dla poszczególnych kandydatów pozostały bez zmian.

Głosy i notatki zostały jeszcze raz zebrane i spalone, a kłęby czarnego dymu wydawały się symbolizować ponury nastrój, który zapanował w kaplicy. Po dziewięciu rundach kardynałowie nie byli nawet o krok bliżej wyboru nowego papieża niż w pierwszym dniu konklawe. Zdawali sobie sprawę, że oczy katolików z całego świata zwrócone są w ich stronę, że miliard dusz pragnie, by wybrali mądrze i by udało im się zmienić status quo.

Tyle że ten, kto utrzymywał niewielką przewagę nad innymi, był jednocześnie najbezpieczniejszym, najmniej kontrowersyjnym spośród *papabili*, co zresztą pozostawało w zgodzie z uświęconą przez czas watykańską tradycją. Przykład papieża Leona XIV był trudny do

on.

Donoher opuścił swoje miejsce, odmówił przed ołtarzem krótką modlitwę i zwrócił się do kardynałów.

- Moi najczcigodniejsi bracia, uważam, że obecny impas wymaga ogłoszenia przerwy w naszych rozważaniach. Zgodnie z artykułem siedemdziesiątym czwartym Konstytucji Apostolskiej zawieszam głosowanie na jeden dzień, aby dać nam wszystkim czas na modlitwę i refleksję.

GANSU, CHINY

DRUGIEJ NOCY BAT-Y MINEŁY MONGOLIĘ WEWNĘTRZNĄ I ZNALAZŁY się nad jałowymi, surowymi ziemiemi prowincji Gansu, regionu tradycyjnie uważanego przez Chińczyków za obrzeża Państwa Środka. Na niebie świecił cieniutki skrawek księżyca, rzucając nieco upiorną poświatę na rozciągające się poniżej wzniesienia. Późnym wieczorem minęli jeden z najodleglejszych fragmentów słynnego Wielkiego Muru, mającego chronić kraj przed inwazją z północy.

- Szkoda, że nie lecimy wzdłuż historycznej trasy przez korytarz Hexi - zadumał się Yin, spoglądając na przemykający pod skrzydłami krajobraz. - Z tego co pamiętam, robi ona niesamowite wrażenie.

- W planie wycieczki nie mamy zwiedzania - uciął szorstko Kil-kenny.

Tao spojrzała na niego krzywo i położyła osłoniętą rękawiczką dłoń na ręce Yina.

- Kiedyś podróżowałam trochę po Gansu. Widoki rzeczywiście były niesamowite.

Instykt podpowiadał jej, że Yin tęskni za krainami, których nie oglądał od trzech dziesięcioleci. Wiedział też, że gdy opuści Chiny, nigdy już do nich nie wróci. Zagłębiając się w tereny na zachodzie, żegnał się ze wszystkim, co było mu dotąd znane. Biskup skinął jej głową i Tao zobaczyła przez ciemną osłonę w jego hełmie cień uśmiechu. Po

chwili Yin w milczeniu skierował wzrok z powrotem na postrzępioną

powierzchnię ziemi.

- Gdyby pozwalały na to okoliczności - zapytała Tao - co by nam ksiądz polecił?

- Ziemie, nad którymi przelatujemy, są nie tylko piękne, ale mogą też poszczycić się wspaniałą historią. W buddyjskich grotach w Dunhuangu i Bingling Si znajdują się przepiękne dzieła sztuki. Niesamowite jest również Maiji Shan w pobliżu Tianshui. Gdybyśmy podróżowali pieszo...

- Boże uchroni! - wtrącił Kilkenny.

- ...to nie mielibyśmy właściwie wyjścia i musielibyśmy wybrać korytarz Hexi - kontynuował Yin. - Była to kiedyś jedyna droga na zachód. Od południa korytarz prowadził krawędzią gór Qilian Shan, pogórza Tybetu. Na północ są tylko pustynia i góry. W Gansu narodziła się chińska cywilizacja, a kontrola nad korytarzem miała zawsze pierwszorzędne znaczenie. Tędy odbywał się cały handel, a sporą część trasy chronił Wielki Mur. Był to kluczowy odcinek Jedwabnego Szlaku. Ponieważ wielu zdawało sobie sprawę, jak ważny jest ten region, władza nad nim często przechodziła z rąk do rąk. Potomkowie wszystkich tych zdobywców ciągle tutaj mieszkają.

- Przypomina to Irlandię - stwierdził Kilkenny.

- Przybyli tu między innymi Tybetańczycy. Mnisi osiedlili się w przepięknej dolinie na południe od Langzhou i założyli w Xiahe klasztor Labrang Si. To najważniejszy klasztor poza Tybetem i jedno z centrów szkoły Żółtych Czapek. Znalazłem kiedyś schronienie wśród jego

mnichów. Wspaniałe miejsce dla duszy, zwłaszcza w trudnych czasach.

Mówiąc, Yin wpatrywał się gdzieś w dal, tak jakby leżały tam jego wspomnienia. Bezwiednym ruchem przysunął prawą dłoń do piersi. Tao natychmiast to zauważyła.

- Znowu dolega księdzu serce? - zapytała.

Kilkenny odwrócił się. Wprawdzie Jing zdiagnozował kłopoty biskupa jako stres, ale agent wiedział doskonale, że wojskowy sanitariusz nie może zastąpić kardiologa.

•Boli mnie - odparł stłumionym szeptem Yin.

•Chce ksiądz, żeby sanitariusz jeszcze raz księdza zbadał? - zapytał

Kilkenny.

256

•Nie. Mówiłeś, że powinniśmy lecieć.

•Jesteśmy tutaj z powodu księdza - wyjaśnił Amerykanin. - Potrzebuje ksiądz lekarza?

•Czuję się dobrze - skłamał Yin. Po jego ukrytej za osłoną hełmu twarzy spłynęły jednak łzy, niewidoczne dla Kilkenny'ego i Tao.

SUN TONGLAI, podporucznik lotnictwa Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, chodził tam i z powrotem wzdłuż gruntowej drogi na południe od Dunhuangu, starając się choć trochę rozgrzać. Był to jednak daremny wysiłek: od strony gór niczym fale lodowatej rzeki pędziły nieprzerwanie masy zimnego powietrza. Zapaliwszy kolejnego papierosa, wsunął dłonie w rękawiczkach do kieszeni długiego niebieskiego płaszcza. Z każdym oddechem zaciągał się coraz mocniej, wypełniając płuca ciepłym dymem.

Czubek papierosa żarzył się jaskrawo w ciemnościach. Po przyjemnym, spędzonym w domu urlopie Sun raczej nie miał ochoty zamarznąć na śmierć na jakiejś zapomnianej drodze w środku pustkowia.

Podporucznik stacjonował w 20. Bazie nieopodal Jiuąuanu i zmierzał tam właśnie niewielkim autobusem, gdy gruchot złapał gumę i utknął.

Kierowca, korzystając z pomocy kilku pasażerów, usunął uszkodzone koło i zabrał się do zakładania zapasowego. Przy odrobinie szczęścia wkrótce mieli załadować na nowo bagaże i ruszyć w drogę.

- Co to za hałas? - zapytał jeden z podróżujących.

Początkowo Sun nic nie słyszał. Nagle jednak przez wycie wiatru przebił się jakiś ostry szum, przypominający właściwie gwizd, tyle że nieprzerwany i coraz głośniejszy.

- Czy to samolot? - zastanawiał się na głos inny z pasażerów.

- Nie jestem pewien - stwierdził Sun. - Sądząc z dźwięku, musiałyby być bardzo małe i lecieć tuż przy gruncie, co wydaje się mało prawdopodobne. Może to tylko echo odbija się od skał.

Ponieważ był oficerem lotnictwa, większość podróżujących przyjęła na wiarę jego wyjaśnienia, ale dźwięk nadal ich zastanawiał. Sun przyjrzał się niebu, szukając ruchomych świateł, które ujawniłyby pozycję ewentualnego samolotu, ale dostrzegł jedynie gwiazdy i skrawek księżyca.

257

Nagle przez jasny pas drogi mlecznej przemknął jakiś kształt, i to na tyle duży, by przesłonić część gwiazd. Tuż za nim przeleciał drugi, a potem trzeci - trzy wyraźne czarne kadłuby ze skrzydłami przywodzącymi

na myśl nietoperza.

- Za duże na ptaki - powiedział jeden z pasażerów.
- To one robią ten hałas - stwierdził drugi.
- Jest pan wojskowym - zwrócił się do Suną trzeci. - Co to może być?
- Nie mam pojęcia - przyznał Sun, odzyskując przytomność umysłu. -

Posłuchajcie, ludzie, lepiej nie mówcie nikomu, co widzieliście. Jeżeli to należy do wojska i lata nocą, podejrzewam, że nie powinniście byli tego zobaczyć. Po prostu zapomnijcie o wszystkim.

WATYKAN

- GDZIE TO ZNALAZŁEŚ? - ZAPYTAŁ DONOHER.

Lśniące, czarne, zaledwie centymetrowej grubości urządzenie miało kształt prostopadłościanu o zaokrąglonych kątach. Mieściło się na dłoni kamerlinga. Składało się z obramowanego srebrną obudową ekranu LCD oraz kilku szeregów maleńkich okrągłych klawiszy tego samego koloru. Na górze widać było trzy niewielkie otwory, czyli głośnik, oraz nazwę - „BlackBerry”.

- W apartamencie kardynała Velu - odparł Grin. - Wśród jego rzeczy.

Donoher włączył telefon. Aparat zastartował, na jego ekranie pojawił się znak graficzny i po chwili urządzenie spróbowało wychwycić sygnał.

•Tu na dole nie może działać - wyjaśnił informatyk, przypominając Donoherowi, że znajdują się w katakumbach. - Próbowałem też w mieszkaniu na górze, ale nie sędzę, by bombajski operator Velu miał umowę roamingową z którymkolwiek z tutejszych właścicieli sieci GSM. Wtedy jednak jeden ze Szwajcarów zauważył coś interesującego.

•Co mianowicie? - zapytał Donoher.

-Ten model może się łączyć przez WiFi i jest kompatybilny z watykańską siecią bezprzewodową. Należy do standardowego wyposażenia Gwardii Szwajcarskiej. Kardynał Velu mógł ze swojego mieszkania wysyłać i odbierać maile oraz wiadomości tekstowe.

-1 robił to?

•Jeszcze nie sprawdziłem. Pomyślałem, że lepiej przyniosę aparacik tutaj, zanim zacznę grzebać w poczcie księcia Kościoła.

•Spośród wszystkich kardynałów Velu najmniej mi do tego pasuje.

Przez całe lata był zaangażowany w nasze negocjacje z Chińczykami na temat Yina i innych duchownych. - Donoher oddał Grinowi

urządzenie. - Chciałbym, żebyś przejrzał wiadomości Velu, ale zanim to zrobisz, musimy z nim pogadać.

ZNALEŻLI VELU pogrążonego w głębokiej modlitwie, klęczącego samotnie w Grotach Watykańskich przy grobie papieża Leona XIV pod Bazyliką Świętego Piotra. Ze starej świątyni została tylko ta klaustrofo-biczna przestrzeń, tak niska, że mężczyzna średniego wzrostu bez problemu mógł w niej dotknąć sufitu. Wszędzie wokół widać było misternie zdobione grobowce papieży, niektóre pamiętające czasy antyku.

Kiedy odgłos zbliżających się kroków zabrzmiał donośniej, Velu podniósł głowę i odwrócił się w ich kierunku.

-Przepraszam najmocniej, że przeszkadzam w modlitwie, najczci-
godniejszy bracie - przywitał się Donoher.

Velu powoli wstał.

•Odwiedzałem tylko starego przyjaciela. Nie udało mi się przy nim pomodlić przed pogrzebem. Chyba nie znam twojego towarzysza.

Ojczy?

•Raczej: proszę pana - poprawił go Grin. - Nie jestem księdzem.

•Nie rozumiem - zdziwił się kardynał, spoglądając na jego sutannę.

•Pan Grinelli złożył przysięgę na czas konklawe - wyjaśnił Donoher - a jest ubrany w ten sposób, żeby mógł się poruszać po Watykanie bez niepotrzebnego przyciągania uwagi. Pracuje nad uwolnieniem biskupa Yina.

Velu wyciągnął rękę i uściśnął mocno dłoń Grina.

•W takim razie będę się za pana modlił.

•Och, dziękuję.

260

•Co was tutaj sprowadza? - zapytał Velu.

•Szukamy odpowiedzi na pewne pytania - odparł Donoher. Grin sięgnął do kieszeni i wydobył znaleziony telefon.

•To urządzenie znaleziono w pokoju księdza kardynała. Czy należy do księdza?

•Tak - przyznał Velu.

•Proszę, zastanów się głęboko nad odpowiedzią na następne pytanie - ostrzegł kamerling - ponieważ mamy zamiar przebadać ten aparat.

Czy używałeś go już po złożeniu przysięgi zachowania tajemnicy?

-Tak.

Wydawało się, że przyznanie się kardynała sprawiło Donohero-wi ból.

•W takim razie potwierdzasz, że złamałeś świętą przysięgę? Velu skinął głową.

•Musiałem.

•Ale dlaczego, na Boga?

- Moja matka umiera. Dlatego właśnie nie przybyłem natychmiast do Rzymu. Zostałem z nią najdłużej, jak mogłem. Chciałem nawet zgłosić prawowitą przeszkodę i zrezygnować z udziału w konklawe, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Ma nadzieję, że zostanę papieżem.
- A co matka księdza kardynała ma wspólnego z Yinem? - zapytał Grin.
- Nic - odparł Velu. - Modłę się tylko, by wkrótce został wybrany nowy papież, dzięki czemu mógłbym z nią być, gdy nadejdzie jej koniec.
- Żeby jednak ostatecznie wyjaśnić sprawę - stwierdził kamerling - z kim się kontaktowałeś?
- Z moim bratem, Rajim. Razem z żoną pomagają mi w opiece nad matką.
- I z nikim innym? - zapytał Grin.
- Z nikim.
- Czy komunikowałeś się z Rajim wyłącznie w kwestii zdrowia waszej matki - kontynuował Donoher - nie przekazując żadnych informacji dotyczących konklawe?
- Velu skinął głową.
- Nie zламаłem przysięgi dotyczącej tajemnicy konklawe.
- Mimo to zламаłeś śluby zabraniające kontaktów ze światem zewnętrznym - powiedział kamerling - zostaniesz więc ukarany zgodnie z decyzją następnego papieża. Konfiskuję również na czas trwania konklawe twój aparat, a od tego momentu zobowiązuję cię do przestrzegania wszystkich norm i procedur Konstytucji Apostolskiej.
- Rozumiem - rzekł Velu.

•Nie wolno ci też nikomu wspomnieć, że twój pokój został przeszukany. To sprawa życia i śmierci.

•Yina? - zapytał Velu.

•Tak. Powinieneś być przyjąć z tym do mnie - powiedział łagodniejszym już tonem Donoher. - Kongregacja partykularna na pewno by coś wymyśliła. Teraz kiedy już wiem, w jakiej sytuacji się znajdujesz, z pewnością uda mi się nakłonić kardynałów do tego, aby pomóc ci w kontaktach z rodziną.

- Dziękuję - powiedział Velu.

Donoher spojrział na Grina.

- Zrób co trzeba z tym urządzeniem, a jak tylko zbierze się konklawe, zacznij na nowo przeszukiwać apartamenty.

RZYM

MERCEDES S500 GUARD ZATRZYMAŁ SIĘ PRZY KRAWĘŻNIKU NA Piazza di San

Giovanni na Lateranie. Było późne popołudnie i tamtejszy obelisk, który

niegdyś stał przy świątyni Amona w Tebach, rzucał w kierunku Scala

Sancta długi wąski cień. Z samochodu wyszło dwóch ochroniarzy, którzy

szybko zlustrowali wzrokiem okolice, pozwalając po chwili również

swojemu szefowi wydostać się z opancerzonego se-dana. Enzo Bruni

wyglądał bardzo niepozornie wśród ludzi, którzy mieli go ochraniać, choć

przecież mierzył ponad metr siedemdziesiąt, do czego trzeba było jeszcze

dodać kilka centymetrów grubej warstwy falistych i czarnych jak smoła

włosów. Bruni był eleganckim mężczyzną: miał na sobie idealnie skrojony

garnitur i drogie skórzane buty. Był dumny ze swej prezencji, podobnie jak

z pozycji przywódcy ne-apolitańskiej kamorry - jednej z czterech

najważniejszych organizacji przestępczych działających we Włoszech.

Ochroniarze zaprowadzili bossa do bocznego wejścia do bazyliki.

Bruni, mimo swojej profesji, był pobożnym człowiekiem i co tydzień

oczyszczał duszę w sakramencie pokuty. Zawsze wybierał losowo kościół,

co niezmiernie radowało jego szefa ochrony, ceniącego brak

przewidywalności.

Bazylika Świętych Janów na Lateranie była faktyczną rzymską

bazyliką, a jej diecezją jako biskup Wiecznego Miasta zarządzał papież.

Przez całe średniowiecze wraz z przylegającym do niej pałacem

była też siedzibą władzy papieskiej. Watykan zepchnął ją na boczny tor dopiero pod koniec czternastego wieku.

Bruni wszedł do środka przez średniowieczny portyk, mijając posąg króla Francji Henryka IV, obrońcy świątyni. Przeżegnał się, przechodząc obok grobowca papieża Innocentego III, po czym ruszył w stronę narteksu. Jego kroki odbijały się głośnym echem po posadzce wzorowanej na stylu Cosmatich - prawdziwym arcydziele, w jakie układał się wirujący marmurowy wzór. Wnętrze świątyni, w czwartym wieku dosyć skromne, z upływem czasu stale się zmieniało. Wysoko nad podłogą unosił się bogato zdobiony, drewniany sufit, oświetlony poniżej przez okna nawy głównej i wsparty na łukach oraz filarach wykonanych przez Borrominiego. Historia bazyliki przypominała dzieje samego Kościoła - miała za sobą zarówno dni chwały, jak i płaczu, ale jej gmach przez wieki stawał się coraz wspanialszy.

Podobnie jak u Świętego Piotra, w narteksie Bazyliki Świętych Janów znajdowała się konfesja oraz ołtarz papieski z bogato zdobionym cyborium. Gotycką bryłę uzupełniało dwanaście tablic pokrytych freskami, których autorem był Barna da Siena, oraz relikwiarz zawierający głowy świętych Piotra i Pawła. Bruni ukląkł przed ołtarzem, po czym skierował się w stronę ustawionego w środku kościoła konfesjonału. Czekać na swoją kolej, zawsze robił szybki rachunek sumienia, starając się sobie przypomnieć wszystkie czyny, przez które duchowo odwrócił się plecami do Boga. Tego dnia ciążył mu tylko jeden grzech, lecz Bruni obawiał się, że właśnie z jego powodu może zostać skazany na

wieczne potępienie.

Z konfesjonału wyszła staruszka i uśmiechnęła się uprzejmie do niego.

Prawie wszystkie osoby, które regularnie uczęszczały do spowiedzi, były w wieku Bruniego lub starsze i wychowały się w Kościele sprzed okresu reform Soboru Watykańskiego II. Paradoksalnie, podczas gdy kobieta przyznawała się pewnie do czegoś w rodzaju grzesznych myśli na temat nieliczącej się z opinią innych sąsiadki lub jakiegoś innego drobnego uchybienia, wielu z tych, którzy naprawdę powinni pomyśleć o pojednaniu z Bogiem, rzadko korzystało z sakramentu pokuty.

Bruni wszedł do konfesjonału. Przywitał go młody ksiądz, ledwie kilka lat po seminarium. Miał twarz, dzięki której człowiek czuł, iż jest

264

mile widziany przez kapłana udzielającego najbardziej krępującego z sakramentów Kościoła. Zniknęły już parawany i klęczniki będące stałym elementem wyposażenia starych kościołów - wizualne bariery odgradzające spowiadającego się od spowiednika. Bruni usiadł i pochylił głowę.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - zaczął ksiądz. Bruni przeżegnał się.

Duchowny odczytał krótki ustęp z Pisma Świętego, który wyrażał miłość Boga do wszystkich ludzi, po czym zachęcił Bruniego, by zaczął mówić. Nowoczesny Kościół zrezygnował z wyuczonej na pamięć formułki na rzecz szczerzej rozmowy.

•Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem. Ostatnio spowiadałem się

tydzień temu - zaczął mafioso. - Ojczy, prosząc o odpuszczenie grzechów, jednocześnie dobrowolnie zwalniając ojca z tajemnicy spowiedzi odnośnie do tego, co powiem. Pozostawiam sumieniu ojca, co zrobić z tymi informacjami, bo ze względu na dobro mojej duszy czuję, że muszę dać ojcu tę możliwość. Sprawa, o której chcę porozmawiać, jest bardzo poważna.

- Rozumiem - powiedział ksiądz, starając się nie dać po sobie poznać niepokoju.

- Jestem przywódcą kamorry. Razem z ludźmi mojej profesji starałem się wpłynąć na wybór nowego papieża. Wprawdzie kardynał, którego popieramy, jest dobrym człowiekiem i będzie wiernie służył Kościołowi, ale naszym zdaniem jego wybór odbije się korzystnie również na naszych interesach. Dwa dni temu otrzymałem w nocy informację, że papież Leon, niech spoczywa w pokoju, wysłał swoich ludzi do Chin, żeby wydostali z tamtejszego więzienia, a potem z kraju jednego z biskupów.

Ksiądz przymrużył powieki. Ciepły uśmiech na jego ustach zamarł, zamieniając się w cienką, prostą linię.

- Wnioskuje z wyrazu twarzy ojca, że mi nie wierzy.

- Przykro mi - wyjąkał ksiądz, starając się zachować dystans.

Bruni uśmiechnął się.

- Nieważne. Dwa dni temu zareagowałem dokładnie tak samo.

Biskup przebywał w więzieniu bardzo długo... Chińczycy nie uznają Kościoła... i papież chciał go stamtąd wyciągnąć za wszelką cenę. Misję

zlecił kamerlingowi, kardynałowi Donoherowi. Dla moich współników i dla mnie nie stanowiło to problemu aż do momentu, gdy dowiedzieliśmy się, że papież Leon w tajemnicy mianował biskupa kardynałem i poprosił konklawe żeby uwzględniło jego kandydaturę na nowego papieża. Po pierwszym głosowaniu chiński biskup okazał się całkiem silnym kandydatem

•W jaki sposób uzyskał pan te informacje? - zapytał ksiądz zaszkokowany szczegółowością relacji.

•Mamy swoje źródło.

•Wśród członków konklawe?

Bruni wzruszył ramionami.

Moi współpracownicy uznali uwzględnienie przez konklawe tego chińskiego biskupa jako kandydata na Stolicę Piotrowa za potencjalne zagrożenie dla swoich interesów. Ponieważ jesteśmy powiązani biznesowo z Chińczykami poinformowaliśmy ich o naszym zaniepokojeniu i poprosiliśmy żeby zajęli się problemem.

- A co ja mam z tym wszystkim zrobić?

- Nie chciałbym mieć na sumieniu śmierci duchownego. Niech ojciec przekaże wszystko kardynałowi Donoherowi. Ostrzeże go, że Chińczycy wiedzą co szykuje. Reszta należy już do niego.

CHIFENG, CHINY 31

PAŹDZIERNIKA

LIU OPARŁ SIĘ O ŚCIANĘ KORYTARZA PRZY WEJŚCIU DO
POKOJU

przesłuchań. Miał zamknięte oczy, a z kącika ust zwisał mu papieros. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w życiu był bardziej zmęczony. Od chwili gdy Tian wysłał go do Chifengu, gdzie miał dokonać egzekucji Yin Daominga, minęło ponad czterdzieści osiem godzin. Bolało go kolano, a siniak na głowie tylko potęgował uczucie, jakby ktoś wbijał gwoździe w podstawę jego czaszki.

Pracownicy techniczni z biura patologa postawili obok Liu nosze na kółkach, zwiężając tym samym korytarz o połowę. Byli ubrani na biało, a każdy z nich posmarował sobie górną wargę aromatycznym balsamem, który miał ich chronić przed czekającym na nich w pokoju odorem śmierci. Liu przytłumiał zapach papierosami bez filtra.

Kiedy usłyszał na korytarzu stukot czyichś kroków, od razu wiedział, że nadchodzi Peng.

- Musisz robić tyle hałasu? - zapytał.
- Oficer z góry poprosił mnie, żebym to panu przyniósł. - Peng cisnął mu buteleczkę. - Ból głowy?
- A co myślałeś? *Cao*! Łeb mi pęka! Ci zaprzańcy doprowadzają mnie do szaleństwa!

Liu wytrząsnął z buteleczki dwie tabletki i przełknął je na sucho, nie

mogąc się doczekać, aż zaczną działać. Peng odsunął się na bok, bo w drzwiach pokoju przesłuchań pojawili się pracownicy techniczni

267

z białym plastikowym workiem na ciało. Kiedy go nieśli, z dołu kapała na ziemię jakaś ciecz - młody oficer nie byłby w stanie określić jaka. Gdy technicy rzucili worek na wózek, zauważył, że w środku znajduje się drobne i lekkie ciało.

- To już ostatnie - stwierdził jeden z mężczyzn, wręczając Liu podstawkę z dokumentami.

Liu podpisał formularz, zezwalając na kremację i pozbycie się ciał - zmarli nie mieli krewnych. Zwrócił podstawkę, po czym oparł się znowu o ścianę i zamknął oczy.

•Zeznali coś? - zapytał Peng.

•Tylko jakieś religijne bzdury, nic użytecznego. - Liu parsknął śmiechem. - A wiesz, co powiedział przed śmiercią ten stary? Że mi wybacz. Wyobrażasz to sobie? Kryminalista wybacz mi. Świat staje na głowie, a ty się pytasz, czemu mi łeb pęka.

•Najlepszym lekarstwem na ból głowy jest odpoczynek i dobre wieści.

•A możesz mi cokolwiek z tego zapewnić?

•Wpadłem na pewien trop. Pewien oficer lotnictwa wracał wczoraj wieczorem do 20. Bazy niedaleko Jiuquanu, kiedy zepsuł się jego autobus. Kierowca zatrzymał się, żeby zmienić koło, i pasażerowie zauważyli trzy przelatujące im nad głową obiekty. Miały duże skrzydła w kształcie kończyn nietoperza.

- Może to były nietoperze.

- Nietoperze nie mają silników. Liu otworzył

oczy.

- Mów dalej.

- Oficer nie zdążył się dokładnie przyjrzeć samolotom, ale na pewno

każdy z nich miał silnik. Leciały jakieś osiemdziesiąt metrów nad

ziemią z prędkością, jak oszacował, stu kilometrów na godzinę.

Natychmiast po powrocie do bazy złożył meldunek, pytając, czy gdzieś

w pobliżu nie przeprowadza się jakichś eksperymentalnych lotów. Na

szczęście jego dowódca wiedział o naszym śledztwie i skojarzył fakty.

- Gansu, tak? - zadumał się Liu.

- Wykorzystanie lekkich samolotów zdolnych do nocnego lotu pasuje

do wymagań ich misji. Wiemy też, że Kilkenny oraz co najmniej

jeden z jego towarzyszy przybyli do Mongolii. Stąd nasza pewność co

268

do tego, jak przedostali się do Chin. Pytanie tylko, dlaczego nie wrócili tą

samą drogą.

Dla Liu odpowiedź była boleśnie oczywista.

- Ponieważ ostrzegli ich ci wstecznicy - wyjaśnił. - Przyczaili się

w jakiejś kryjówce, czekając na zapadnięcie zmroku, a potem ktoś ich

ostrzegł, żeby nie przekraczali granicy.

Peng skinął głową.

- Biorąc pod uwagę czas, kiedy zostali dostrzeżeni, oraz oszacowaną

przez oficera prędkość, uważamy, że każdej nocy pokonują od tysiąca

do tysiąca dwustu kilometrów. I przez cały czas trzymają się niezamieszkanymi terenów.

- Co oznacza, że dalej będą zmierzali na zachód. Ciągłe mamy więc spory kawałek granicy do obsadzenia.
- Owszem - zgodził się Peng - ale teraz wiemy już, czego szukamy.

WATYKAN

WCHODZĄCEGO DO CENTRALI W KATAKUMBACH DONOHERA POWITAŁA Billie Holiday

wraz ze swoją orkiestrą. Uwodzicielski głos legendy jazzu tańczył z pianem Oscara Petersona, splatając się w nieśmiertelne „These Foolish Things”. Grin siedział przy komputerach i wcinał croissanta. Obok stała filiżanka parującego espresso, a przy drzwiach wisiała na haczyku świeżo uprana sutanna.

- Cisza na froncie wschodnim - powiedział, zanim kamerling zdążył zadać nękające go pytanie.

Donoher przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Dzisiaj rano z radością akceptuje twój wybór muzyki.
- Robię się miękki w nogach, gdy słyszę taki kobiecy wokół.
- Którym w dodatku piosenkarka potrafi cudownie wyrażać emocje - zgodził się Donoher. - Dowiedziałaś się czegoś z telefonu Velu?
- Kardynał mówił prawdę. Odkąd przybył do Rzymu, korespondował wyłącznie z bratem, i to tylko na temat stanu ich matki. Przygnębiająca lektura.
- Velu i ja rozmawialiśmy wczoraj wieczorem z Rajim. Jej życie dobiega kresu.
- W takim razie mam nadzieję, że kardynał zdąży do domu na czas.

Sprawdziłem serwer, przez który przechodzi cały watykański transfer WiFi. Jest czysty. Znalazłem tylko parę maili, które dokładnie odpo-

wiadają temu, co jest w pamięci aparatu.

270

- Zatem to nie Velu odpowiada za przeciek.
- Wygląda na to, że nie. Kiedy już myszkowałem po serwerze, sprawdziłem też wszystkie inne wiadomości. Zidentyfikowałem urządzenia używane przez Szwajcarów i innych członków watykańskiego personelu, określiłem nawet, w których miejscach się podłączali, żeby wysłać dany komunikat. Blackberry Velu jest jedynym urządzeniem, które zalogowało się za pomocą hotspotu w Domus Sanctae Marthae.
- Biedny Velu. Jedną z kar za to, co zrobił, jest ekskomunika *la-tae sententiae*.
- Wiem, co to takiego ekskomunika, ale co znaczy to łacińskie coś na końcu? - zapytał Grin.
- Są dwa rodzaje ekskomuniki - wyjaśnił kamerling. - *Ferendae sententiae* jest wyrokiem ogłaszającym przez zwierzchnika Kościoła lub inne kościelne ciało. *Lataesententiae* dokonuje się automatycznie, w momencie popełnienia grzechu.
- Nie rusz, Andziu, tego kwiatka...
- Coś w tym rodzaju. Znane z historii przykłady ingerencji w wybór papieża uczyniły tak ekstremalną karę koniecznością. W pewnym sensie taki czyn jest bezpośrednim atakiem na papieżstwo.
- A co mamy w grafiku dzisiaj? - zmienił temat informatyk.
- Modlitwy i medytacje w połączeniu z napomnieniem najstarszego kardynała diakona, co powinno dać wszystkim do myślenia, jako że

płomienny z niego starzec. Spodziewam się też dalszych dyskretnych zabiegów dyplomatycznych. Przy odrobinie szczęścia, zanim jutro rozpocznie się głosowanie, uda nam się posunąć trochę do przodu.

- Przy odrobinie szczęścia, mniej więcej w tym samym momencie

Nolan i jego ekipa przeprowadzą Yina przez chińską granicę.

Nagle odezwał się telefon. Grin sprawdził szybko, kto dzwoni.

- Asystentka księdza kardynała - powiedział, przekazując Dono-herowi słuchawkę.

- Dzień dobry, siostrze.

- Księżę kardynale, mam na linii pułkownika Gergonnego, komendanta Gwardii Szwajcarskiej. Twierdzi, że ma pilną sprawę, którą natychmiast musi z księdzem omówić.

- Połącz mnie z nim.

271

W słuchawce zapanowała cisza, kiedy siostra przełączała rozmowę.

- Dzień dobry, pułkowniku - przywitał się kamerling.

- Księżę kardynale, przepraszam, że przeszkadzam w czasie konklawe, ale mam tutaj w biurze młodego duchownego, który bardzo naciska, by z księdzem porozmawiać. Właściwie to czeka prawie całą noc.

Sprawdziłem go, pracuje w parafii Bazyliki Świętych Janów na Latefanie. Ani śladu choroby psychicznej czy broni.

- Czy wspomniał może, o czym musi tak pilnie ze mną porozmawiać? - zapytał Donoher.

- Twierdzi, że otrzymał informacje na temat niebezpieczeństwa

grożącego konklawe i jakiemuś chińskiemu biskupowi.

•Pułkownik, proszę go natychmiast przyprowadzić do mojego gabinetu. Zaraz się tam z nim spotkam. - Donoher pokręcił w zdumieniu głową, wstając i odkładając słuchawkę. - Zaiste niezgłębione są ścieżki Pana.

•Jak to? - zapytał Grin.

•Czy uwierzyłbyś, że właśnie pojawił się w naszych drzwiach ksiądz dysponujący informacjami na temat przecieku? Przekażę ci wszystko, czego się dowiem.

Po wyjściu Donohera Grin podniósł wzrok w stronę sufitu i szepnął:

- Panie, nie zrozum mnie źle. Doceniam Boskie interwencje rów

nie mocno jak wszyscy, ale obecnie nasi chłopcy w Chinach potrzebują

Twej pomocy bardziej niż my.

PRZESŁUCHAWSZY KSIĘDZA, DONOHER UDAŁ SIĘ NA KRÓTKĄ MSZĘ do Kaplicy Paulińskiej, gdzie Cain, najstarszy spośród kardynałów diakonów, potwierdził własną reputację i swym *basso profundo* wygłosił do książeńcych braci kazanie, które wstrząsnęło fundamentami Pałacu Apostolskiego. Gdy pozostali kardynałowie wrócili do pokojów na modlitwę i rozmyślania, Donoher zmienił szaty na mniej rzucające się w oczy i nieoznakowanym samochodem ze Szwajcarem za kierownicą ruszył w stronę kliniki Gemelli.

Kiedy dotarł na miejsce, zastał kardynała Gagliardiego pogrążonego we śnie i na oko w stanie nie lepszym niż w czasie ostatniej wizyty.

Kamerling zamknął za sobą drzwi, pragnąc przytłumić dobiegający z korytarza hałas. Na zewnątrz po raz pierwszy w tym roku było zimno, choć nieba nie przesłaniała ani jedna chmurka, a słońce rzucało na podłogę przy oknie kałużę ciepłego światła. Donoher zauważył na stoliku przy łóżku pacjenta stary różaniec. Hebanowe paciorki po tysiącrotnym odmawianiu modlitw były wypolerowane do połysku. Przysunął krzesło do światła i zaczął się modlić.

Wkrótce stracił poczucie czasu. Jego myśli płynęły swobodnie w znajomym rytmie. Odmówił różaniec dwa razy - skończył tajemnice radosne oraz światła i miał właśnie przejść do bolesnych, gdy Gagliardi się poruszył.

- Wody - szepnął słabym i ochrypłym głosem.

Na rozkładanym stoliku przy łóżku stał dzban z lodowatą wodą oraz plastikowy kubek ze słomką. Donoher napełnił go i przyłożył rurkę do spękanych i suchych ust Sycylijczyka. Kardynał ostrożnie pociągnął łyk i spieczone wewnątrz jego ust zaczęło absorbować ciecz niczym sucha gąbka. Ugasiwszy pragnienie, Gagliardi odwrócił głowę. Donoher odsunął kubek i starł kroplę wody, która spływała kącikiem ust pacjenta.

- Wyglądasz lepiej - skłamał.

- Gdybym wyglądał choć odrobinę gorzej, byłbym martwy- stwierdził

Gagliardi. Dyszał ciężko i jego słowa były ledwie słyszalne.

- Co mówią lekarze?

- Że wkrótce umrę.

- Czy twoja rodzina już wie?

- Tylko mój siostrzeniec. Nie chcę tutaj czuwania przy zmarłym. Mamy już nowego papieża?

Donoher pokręcił głową.

- Impas. Głosowanie zawieszono do jutra.

- *PapabilP.*

Donoher przysunął krzesło do łóżka. Jego twarz znalazła się zaledwie kilkanaście centymetrów od oczu Sycylijczyka.

- W ostatnim głosowaniu Magni jako jedyny zdobył ponad trzydzieści głosów. Escalante i Oromo ugrzęźli w okolicy dwudziestu pięciu, za nimi jest Velu.

Gagliardi policzył w myślach głosy i zaraz zorientował się, że to nie wszystko.

•Ktoś jeszcze?

•Biskup Yin. Odpadło mu trochę głosów z pierwszej rundy, przez co spadł poniżej dwudziestu. Podejrzewam, że w następnym głosowaniu jego kandydatura przepadnie.

-1 dobrze. Ryff?

- Zdecydował się poprzeć Magniego i nie dzielić głosów Europejczyków. Tak naprawdę sytuacja zmieniła się jedynie pod tym względem.

Można było dzisiaj rano zauważyć również kilka interesujących przesunięć między zwolennikami Velu i Oromo. W efekcie możemy się spodziewać konsolidacji głosów Trzeciego Świata przeciw Magniemu.

- Potrzebuje północnych Amerykanów - chrapliwym szeptem skomentował Gagliardi.

274

•Pewnie tak, tyle że Stany Zjednoczone są podzielone. Stare regiony miejskie skłaniają się ku Oromo, ale te, w których rośnie liczba ludności hiszpańskojęzycznej, popierają Escalante. Kanadyjczycy moim zdaniem opowiedzą się po stronie Europy.

•Jeden i drugi to dobrzy ludzie, ale ich dwa odważne ruchy nie są dobre dla Kościoła.

•Chyba masz rację - przyznał Donoher. - Być może po takim papieżu, jak Leon XIV, Kościół potrzebuje skrzętnego administratora.

•Magni będzie najlepszy - zgodził się Gagliardi.

- Jeżeli Bóg tak zechce. A ty? - zapytał otwarcie Donoher.

-Co?

•Czy twoją wolą jest, by następnym papieżem został Magni? Czy to twoja ręka przyczyniła się za pomocą zręcznych zakulisowych gierk do jego wyniesienia?

•O czym ty mówisz? - zdumiał się Gagliardi.

•O motywacji. Ominęło cię dzisiaj rano wspaniałe kazanie. Cain naprawdę przeszedł samego siebie. Nie zdziwiłbym się, gdyby w następnej rundzie sam dostał kilka głosów, mimo jego wieku. Kazał każdemu z nas zapytać samego siebie o motywację, zapytać, co tak naprawdę kierowało nami w czasie poprzednich głosowań. I rzeczywiście zmusił mnie do zastanowienia się nad tym. Włoscy kardynałowie zawsze byli bardzo lojalną grupą zarówno w stosunku do Kościoła, jak i do siebie samych. Tradycyjnie uważali się w Watykanie za dyspozytorów przydzielania papieskiej tiary. Potem pomyślałem *opapabili*, o tym, w jaki sposób tych pięciu mądrych ludzi dotarło aż do tego momentu w historii. Uderzyło mnie, że odkąd zostali kardynałami, w karierze każdego widać było twoją rękę. Przeprowadzałeś ich nominacje w różnego rodzaju komisjach, dbałeś, by podróżowali i byli znani wśród członków kolegium. Dzięki swojej pozycji w kurii opiekowałeś się nimi, ale twoje działania, kiedy spojrzałem na nie oczami Caina, wydały mi się wyrachowane. Czy odebrałeś już swoje trzydzieści srebrników?

•O co ty mnie oskarżasz? - wykrztusił Gagliardi.

•O zdradę. Spiskowałeś, żeby ingerować w przebieg wyborów.

Złamałeś przysięgę złożoną uroczyście przed konklawe. Zdradziłeś bi-

skupa Yina, narażając życie jego oraz ludzi, których wysłałem z misją jego uratowania. Dlaczego? Dla pieniędzy?

275

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Jedynym celem działalności mafii jest zarabianie pieniędzy, a jej członkami mogą być wyłącznie Włosi. Chińczycy dowiedzieli się o adresowanej do elektorów wiadomości papieża Leona od rzymskiej mafii, a ty byłeś jedynym włoskim kardynałem, który opuścił konklawe. Czy ogłoszenie Magniego papieżem było dla ciebie aż tak ważne, że zabiegając o nie, dopuściłeś do rozlewu krwi? Biskup Yin oraz ludzie, których po niego wysłałem, są teraz ścigani. Wśród tych, których życie znalazło się przez ciebie w niebezpieczeństwie, jest syn mojego najbliższego przyjaciela. Ochrzciłem go, a ledwie parę miesięcy temu udzieliłem mu ślubu oraz odprawiłem pogrzeb jego młodej żony i nienarodzonego syna. Ten dzielny młody człowiek jest dla mnie rodziną. W dodatku w Chinach mamy dzisiaj z powodu twojej zdrady dziesiątki nowych męczenników. Wiara tych ludzi jest większa niż twoja czy moja, a oni sami oddali życie, by chronić człowieka, którego zdradziłeś. Masz na rękach ich krew i będziesz musiał odpowiedzieć przed Wszechmogącym za ich śmierć.

Gagliardi zacisnął powieki, słuchając wzburzonej, oskarżycielskiej przemowy kamerlinga. Wyobraził sobie zbliżający się nieuchronnie dzień, w którym zostanie osądzony przez Stwórcę. Stał nagi i samotny przed niewyobrażalnie jasną światłością, a jego ręce ociekały krwią.

Gniew i odraza wywołały rumieńce na twarzy Donohera. Kamer-ling odchylił się w krześle. Podążył wzrokiem za rurkami i przewodami, za pomocą których Gagliardi był podłączony do różnych urządzeń medycznych, i zaczął się zastanawiać, czy pociągnięcie za wtyczkę któregoś z nich przyspieszyłoby koniec zdrajcy. Po raz pierwszy w życiu Donoher miał ochotę zabić.

- Wybacz mi - wyszeptał z trudem Gagliardi.

•Co takiego? - zapytał kamerling, starając się stłumić w sobie chęć mordu.

•Wybacz mi.

•Nie wiem, czy potrafię - odparł, zupełnie nieprzygotowany na prośbę Gagliardiego.

•Przyznaję się - błagalnym szeptem kontynuował Sycylijszyk. -

Wszystko co powiedziałaś, jest prawdą. Mamona, wszystko dla mamony. Instytut, pranie pieniędzy.

276

Donoher przypomniał sobie aferę Banco Ambrosiano, która na początku lat osiemdziesiątych wstrząsnęła Watykanem. IOR był zaplątany w upadek włoskiego banku, w którym przestępcze syndykaty prały brudne pieniądze.

- Czy Magni brał w tym udział?

Gagliardi pokręcił głową.

- O niczym nie wie. Jest dobrym człowiekiem, chociaż nie ma głowy do cyfr. Łatwo byłoby ukryć przed nim szczegóły.

Donoher wiedział, że Magni w swojej pobożności nie jest w stanie zapanować nawet nad własną książeczką czekową, a przecież nawet najlepsi księgowi mieliby kłopot z wykryciem w skomplikowanych watykańskich księgach rachunkowych dobrze przemyślanego finansowego przekrętu.

- W jaki sposób poinformowałeś swoich współpracowników ze świata przestępczego o sprawie biskupa Yina? - zapytał.

- Mój siostrzeniec. Jest ich zaufanym. Wiem, że na to nie zasługuję, ale proszę... błagam! Przebacz mi.

Gagliardi wyciągnął w kierunku Donohera trzęsącą się rękę. Z jego zboliałych oczu wypłynęły łzy i potoczyły się po kaniuli tlenowej z twarzy starca na prześcieradło. Siła wyrzutów sumienia Sycylijczyka sprawiła, że gniew kamerlinga zamienił się w litość. Złapał Gagliardięgo obiema dłońmi za rękę i przytrzymał ją nieruchomo.

- Wybacz mi - zaskomlał jeszcze raz kardynał.

- Wybaczam ci - powiedział łagodnie Donoher - ale nie mogę odpuścić ci grzechów.

- Odmawiasz mi sakramentów?

- Nie mam takiej władzy. Od chwili gdy zdradziłeś konklawe, ciąży na tobie ekskomunika *latae sententiae*. Tylko nowy papież może odpuścić twoje śmiertelne grzechy.

Gagliardi, który swymi machinacjami doprowadził konklawe do impasu, wiedział doskonale, że zanim zostanie wybrany nowy papież, może minąć wiele tygodni - tygodni, których nie miał. Monitor przy łóżku

zaczął brzęczeć jak oszalały, a na ekranie linie odzwierciedlające funkcję serca pacjenta nagle straciły rytm i stały się nierówne. Gagliardi zaczął gwałtownie łapać powietrze, ale jego oddech był płytki i wymuszony, tak jakby ktoś zaciskał mu na piersi imadło.

277

Do pokoju wbiegły natychmiast z wózkiem do reanimacji trzy siostry i chirurg. Donoher puścił rękę kardynała i odsunął się w stronę okna, schodząc medykom z drogi, ale ciągle pozostając w zasięgu wzroku umierającego. Lekarz przy pomocy pielęgniarek sprawdził choremu drogi oddechowe i podstawowe oznaki życia, wykonał RKO i potraktował go serią coraz mocniejszych wstrząsów elektrycznych, starając się zahamować nieregularne drgania włókienkowe serca. Organ był już jednak nie do odratowania.

Z każdym uderzeniem serca krew krążyła w ciele Sycylijczyka nieco wolniej, aż wreszcie się zatrzymała. Gdy nadeszła śmierć, Gagliardi nie poczuł obecności ukochanych osób, które przed nim udały się w ostatnią drogę, nie został też wciągnięty w falę promieniejącego światła. Zamiast tego świadomość zapadła się wokół niego, skurczyła niczym czarna dziura. Ciemność, która ogarnęła kardynała, wydawała się nieskończona - i pusta w swojej nieskończoności.

Dyżurny chirurg zanotował czas zgonu. Siostry zaczęły wyłączać monitory.

- Nic nie mogliśmy dla niego zrobić - powiedział Donoherowi lekarz.
- Dziękuję, że ulżyliście mu w ostatnich dniach życia. Powiadomię o

jego śmierci Watykan. Jeżeli nie jest to wbrew przepisom, chciałbym

też poinformować o niej jego najbliższego krewnego.

•To bardzo miło ze strony księdza kardynała - stwierdził chirurg. -

Tego rodzaju wieści najlepiej przekazywać osobiście.

TYBET**PRZESYŁANIE WIADOMOŚCI ZAKOŃCZONE**

- Zamknij połączenie satelitarne - powiedział Kilkenny.

Przezierny ekran zniknął i Kilkenny zdjął hełm. Gates rozparł się obok niego w fotelu drugiego pilota, próbując wypocząć przed ostatnim etapem lotu.

•Myślisz, że twój kumpel Grin się w tym połapie? - zapytał, nie otwierając oczu.

•Bez problemu.

•Byłoby niezmiernie miło, gdyby po drugiej stronie czekał na nas ktoś przyjaźnie nastawiony.

•Bardziej martwię się tymi nieprzyjaźnie nastawionymi, którzy będą się starali nam przeszkodzić w dotarciu na drugą stronę.

Kilkenny wygramolił się z BAT-a i przeciągnął. Po dwóch długich lotach jego stawy całkiem zeszywniały. Kiedy wznieśli się nad płaskowyż Tybetu, temperatura znacznie spadła i z każdym oddechem z nosa agenta wydobywały się kłęby pary. Znajdowali się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, a więc dziesięć razy wyżej niż w Michigan, gdzie mieszkał. Czuć było, że powietrze jest rozrzedzone, ale na szczęście Kilkenny nie miał większych problemów z aklimatyzacją.

Zostawił Gatesa i podszedł do Tao, która rozmawiała z sanitariuszem.

Wszyscy trzej piloci stali obok jednego z BAT-ów, przeglądając

plan nocnego lotu i jedząc wieczorny posiłek, który z przekąsem nazywali proszoną kolacją. Jedzenie było wśród żołnierzy tradycyjnym powodem do narzekań - Kilkenny podejrzewał, że gdyby nawet oddziałom w polu kazano zaserwować soczyste steki, w dodatku podawane przez kelnerki w bikini, i tak by psioczyli, na czym świat stoi. Pozostali członkowie drużyny pełnili straż, sprawdzali sprzęt lub - jak Gates - próbowali się chociaż przez chwilę zdrzemnąć.

Yin siedział z podwiniętymi pod siebie piętami i rozstawionymi szeroko kolanami. Pozycja ta przypominała Kilkenny'emu sztuki walki, którymi się niegdyś parał. Biskup wyprostował górną część ciała, a otwarte dłonie położył na udach. Tkwił w oddaleniu od pozostałych, na porośniętej rzadką trawą ziemi, z twarzą zwróconą w stronę horyzontu na zachodzie. Słońce właśnie minęło najwyższe szczyty, zalewając górskie pasmo ciepłą złocistą poświatą. Siwymi włosami Yina targał delikatnie wiatr, nie przeszkadzając mu jednak w medytacji.

•Co z nim? - zapytał Kilkenny. Byli na tyle daleko, że Yin nie mógł ich usłyszeć.

•Ma silny organizm - stwierdził Jing. - Niezłe serce, jak na faceta w tym wieku. Tętno jak z podręcznika. Jeżeli rzeczywiście coś mu dolega, ja tego nie znajdę.

•Jakieś problemy z dostosowaniem się do wysokości?

•Moim zdaniem radzi sobie lepiej niż większość z nas. Wszyscy są nawodnieni, a w razie potrzeby w każdej chwili mogę rozdać nie-

zbędne leki.

- Świetnie.

Jing oddalił się, chcąc zdążyć spakować medyczny sprzęt w świetle zapadającego zmierzchu. Kilkenny i Tao przyglądali się mężczyźnie, któremu pospieszyli na ratunek do Chin, zastanawiając się, czy ich akcja nie przyczyni się do jego śmierci na wolności.

- Co o tym wszystkim sądzisz? Wytrzyma? - zapytał Kilkenny.

- Coś jest z nim nie tak, ale może nie chodzi wcale o fizjologię. Szok odnalezienia się na nowo w świecie po tym, co przeszedł, musi być niewyobrażalny.

- Człowiek zniewolony.

- Słucham? - zapytała Tao.

280

- Człowiek zniewolony. W „Skazanych na Shawshank” użył tego określenia bohater grany przez Morgana Freemana. Chodzi o człowieka, który przebywał w więzieniu tak długo, że nie jest w stanie funkcjonować na zewnątrz, który potrzebuje więziennych murów, żeby czuć się bezpiecznie. Kiedy jednak patrzę na biskupa Yina, wydaje mi się, że jest raczej zadowolony z przebywania znowu na otwartej przestrzeni.

- Źle sypia.

- Byłem w tej celi tylko przez jedną noc, a nadal mi się śni. Cokolwiek mu dolega, może mieć pewność, że zajmą się nim najlepsi specjaliści.

Pod warunkiem że wydostaniemy się z Chin.

•Martwię się o niego - powiedziała Tao.

•Nie ty jedna.

YiN MODLIŁ SIĘ w PROMIENIACH zachodzącego słońca, a jego myśli raz za razem odrywały się od wyuczonych na pamięć formułek i zamieniały w osobistą rozmowę z Wszechmogącym. Biskup prosił Boga, by ochronił tych, którzy ryzykowali dlań życie, i by wybaczył jego prześladowcom. Dla siebie nie chciał niczego, wiedząc, że każdy dzień jest dla niego bezcennym darem.

Poczuł w piersiach przyływ ciepła, promieniujący od strony serca i stopniowo ogarniający go całego. Wrażenie to wkrótce dotarło do najdalszych zakamarków ciała biskupa, a jego umysł wydawał się wykraczać poza cielesną powłokę i płynąć w stronę horyzontu. W pewnym momencie Yin odniósł wrażenie, że jego policzka i krzyżyka na piersi dotyka para drobnych dłoni. Zrozumiał, że małeńka Ke Li jest już teraz z Bogiem.

S2

WATYKAN

GRIN ZAKOPAŁ SIĘ AKURAT GŁĘBOKO W SIECI SIL LOTNICZYCH ARMII Ludowo-

Wyzwoleńczej, gdy na środku monitora pojawiło się znowu logo Rolling;

Stonesów, a w głośnikach zabrzmiały znajome pierwsze takty „Gimme

Shelter". Ledwie Jagger zdążył zaśpiewać pierwszy wers piosenki, Grin

już kliknął w okienko, żeby odebrać nową wiadomość od fCilkenny'ego.

GÓRY MGLISTE HOP 111 Z0S0

PANY41

- Nolan, człowieku, czy *to* jakiś egzamin?

Zapisał wiadomość dużymi literami wzdłuż górnej krawędzi kartki z notatnika, po czym pozwolił swobodnie płynąć myślom. Przede wszystkim przyszedł mu do głowy tytuł przeboju Led Zeppelin - „Mi-sty Mountain Hop”. Treść wiadomości zbyt dosłownie się z nim pokrywała, żeby uznać to za przypadek. Autor tekstu nawiązywał do pasma gór z Tolkienowskiego Śródziemia, choć właściwie większą rolę odegrały one nie w trylogii, ale w „Hobbicie”. Grin pomyślał o wcześniejszym komunikacie, w którym agent zawiadamiał go, że drużyna podróżuje na zachód przez Chiny.

- Włącz komorę obrazową. Obraz Ziemi plus siatka geograficzna.

Komora wyrwała się z trybu drzemki, rozjarzyła i wkrótce w powietrzu zawisł szkielet przedstawiający Ziemię. Jasnozielone linie odzwierciedlały kontury lądów, a białe, oznaczone numerkami - współrzędne geograficzne.

- Szczegóły regionu między piętnastym a pięćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej oraz sześćdziesiątym a sto dwudziestym długości geograficznej wschodniej.

Pojawiły się kolejne linie, które oznaczyły wskazany przez Grina obszar. Wirtualny globus powiększył się, jakby miał przeniknąć przez dno komory, dzięki czemu wyraźnie widoczny stał się podświetlony region.

Przypominający kopułę fragment Ziemi zajmował teraz całą spodnią część cylindrycznego urządzenia.

- Wyświetl granice państwowe.

Przez widoczną na obrazie część Azji przebiegły natychmiast żółte linie, tworząc znajomą układankę mapy politycznej.

- Wyświetl topografię i renderuj.

Komputer sterujący holograficznym obrazem założył dla potrzeb renderingu, że słońce znajduje się dokładnie nad równikiem - jak w pierwszy dzień wiosny lub jesieni - a w środkowej części zaznaczonego terenu jest południe. W miejscach, w których eony temu zderzyły się płyty tektoniczne, wyrosły nagle górskie łańcuchy. Dolinami przebiły się rzeki, rozlewając się ostatecznie w delty. Płaski i błękitny ocean kontrastował z pomarszczoną zieloną powierzchnią lądów. W tej skali ciągle dawało się zauważyć zakrzywienie skorupy ziemskiej, a Azja pojawiła się bez

kartograficznych zniekształceń właściwych dla map.

Grin przyjrzał się zachodniej granicy Chin i zauważył, że niemal na całej długości biegnie ona przez tereny górzyste. Chińskie „Góry Mgliste” ciągnęły się przez ponad trzy tysiące kilometrów. Niektóre z ich szczytów należały do najwyższych na Ziemi. Gdzieś na tych postrzępionych terenach Kilkenny miał zamiar przekroczyć granicę.

- *Mi hermano*, masz parę twardych, mosiężnych *cojones* rozmiaru grejpfrutów.

Ponieważ był już prawie pewien, co Kilkenny rozumiał przez „Góry Mgliste Hop”, mógł przejść do liczby, którą agent przyozdobił tę część wiadomości.

283

- Wyświetl sto jednaście stopni długości geograficznej wschodniej.

Wschodnią połowę Chin, zaledwie kilkaset kilometrów od Pekinu, przecięła z północy na południe biała linia.

- Jakież trzy strefy czasowe za daleko, jeżeli takowe w Chinach istnieją. Skasuj sto jednaście stopni długości geograficznej wschodniej.

Biała linia zniknęła. Grin odchylił się w krześle z notatnikiem w rękę i zaczął bawić się w myślach cyframi, próbując ustalić ich znaczenie.

Przypomniawszy sobie początek „Władcy pierścieni”, w którym opisana była uczta wyprawiona przez Bilba Bagginsa z okazji jego sto jedenastych urodzin.

- Jeden jedenaście - powiedział, próbując rozdzielić cyfry. - Jedenaście jeden.

Postawił między drugą a trzecią ukośnik - 11/1 - i zrozumiał.

- Pierwszego listopada. Jutro przekroczą granicę.

Zadowolony, że złamał pierwszą część kodu, zajął się drugą.

Uznawszy, że słowo „zoso” to kolejne odniesienie do Led Zeppelin, naszkicował logo kojarzone z pierwszym gitarzystą grupy, Jimmym

Page'em:



Nie od razu przypomniał sobie dokładny zarys logo - ostatnio rysował je jeszcze na marginesie zeszytu w szkole średniej. Gdy biedził się właśnie nad rysunkiem, zabrzączał telefon.

- Naszym Judaszem okazał się Gagliardi - powiedział Donoher. Był wyraźnie zmęczony i przygnębiony. - Plan polegał na tym, żeby mafia znowu mogła położyć łapska na banku watykańskim. Ale się

284

porobiło! Zanim wrócę do Watykanu, mam zamiar złożyć wizytę siostrzeńcowi kardynała, żeby go poinformować o śmierci wuja i być może przekazać własną wiadomość.

•Gagliardi nie żyje? - zapytał Grin.

- Zmarł na moich oczach - odparł kamerling. - Poszedłem rano do szpitala. Byłem tak wściekły, że o mały włos sam go nie zabiłem, ale ostatecznie poczułem dla niego tylko litość.
 - W takim razie pewnie Wasza Eminencja jest spragniony pomyslnych wieści.
 - Jak kania dżdżu!
 - Nolan najprawdopodobniej ma zamiar przekroczyć chińską granicę jutro, czyli według tamtejszego czasu za kilka godzin.
 - Wiesz może gdzie?
 - Pracuję nad tym... Druga część wiadomości jest trudniejsza niż pierwsza. Powiadomię księdza, jak tylko będę coś miał.
 - W takim razie z Bożą pomocą jutro czeka nas radosny i zwycięski dzień.
 - Skoro już mowa o dobrych wieściach, obiło mi się o uszy, że ostatni dzień miał fatalny wpływ na środowisko - dodał Grin. - Cały ten czarny dym kłębiący się nad Kaplicą Sykstyńską ponoć niebezpiecznie zwiększył i tak uciążliwy w mieście smog, o globalnym ociepleniu nie wspominając.
- Donoher roześmiał się, zapominając na chwilę o krzyżu, który przypadło mu dźwigać.
- Zaczynam rozumieć, dlaczego tak dobrze się dogadujecie z Nolanem. Macie takie samo pokręcone poczucie humoru.
 - Czasem przez te wszystkie kalambury ledwo się dogadujemy.
 - Pracuj dalej nad wiadomością. - Kamerling spoważniał. - Kiedy Nolan

i reszta przekroczyć już granicę, chciałbym być gotowy do wywiezienia
ich do miejsca tak oddalonego od Chin, jak to tylko możliwe.

RZYM

KIEROWCA WYSADZIŁ DONOHERA PRZED TRZYPIĘTROWĄ MIEJSKĄ rezydencją w Trastevere, dzielnicy Rzymu. Podobnie jak inne budynki w okolicy, również ten był w doskonałym jak na swój wiek stanie. Na wysokości parteru zdobiły go rustykowane bloki z ciosanego kamienia, piętra obłożono jasnobrązowym tynkiem, a okna były obramowane zdobnymi występami z gładkiego wapienia. Łukowato sklepione zagłębienie w środku symetrycznej fasady służyło za wejście. Obok, na wysokości ramienia, zawieszony był wypolerowany szyld z brązu.

G. CUSUMANO LIBRAIO ANTIQUARIO

Kamerling zadzwonił i czekał. Niewielka kamera przemysłowa przymocowana z boku drzwi jakieś trzy i pół metra nad ziemią sfilmowała go i przekazała obraz do środka. Chwilę później pojawił się sam Guglielmo Cusumano.

- Czym mogę służyć, Wasza Eminencjo? - zapytał.
- Obawiam się, że mam nie najlepsze wieści. -Wuj?

Donoher skinął głową.

- Przed chwilą zmarł. Byłem z nim do końca.

286 Cusumano na chwilę zatopił się w myślach, ale szybko się opamiętał.

- Gdzie moje maniery! Proszę wejść. Napije się ksiądz czegoś?
- Może kieliszek wina.
- Myślę, że znajdę coś odpowiedniego, żeby uczcić pamięć wuja -

powiedział gospodarz.

Na parterze rezydencji znajdowało się kilka dużych czytelni; najwyraźniej poziom ten służył właścicielowi - antykwariuszowi - jako miejsce pracy. W powietrzu czuć było czysty zapach starej skóry i pergaminu; nowoczesny sprzęt monitorujący nawilgocenie utrzymywał w domu idealne dla woluminów warunki. Sądząc po umeblowaniu sklepiku i liczbie wystawionych tomów, Cusumano nie narzekał na brak klientów.

Wspięli się spiralnymi schodami na piętro, gdzie antykwariusz zaprowadził gościa do prywatnej biblioteki, po czym wyruszył na poszukiwanie rocznika, który miał na myśli. Po chwili wrócił z butelką barolo i parą ogromnych lampek. Napełnił je szczerze i jedną podał kamerlingowi.

- Za mojego wuja, człowieka oddanego wierze i rodzinie przez wszystkie lata swego życia.

Siostrzeniec usiadł na luksusowej skórzanej kanapie.

- Za kardynała Gagliardiego - dołączył do toastu Donoher. - Niech jego dusza znajdzie spokój, na jaki zasługuje.

Okazało się, że barolo słusznie uznawane jest za jedno z najlepszych włoskich czerwonych win. Dojrzały rocznik oferował bogaty bukiet oraz złożony, głęboki smak. Z czasów młodości spędzonej w Cork-town Donoher zapamiętał tradycję wznoszenia toastów za zmarłych dobrą whisky. Polacy z enklawy Hamtramck w Detroit również pielęgowali ten zwyczaj, tyle że używali wódki. Widać słowo „spirit” nie przypadkiem w ojczystym języku kardynała mogło oznaczać zarówno alkohol, jak i

ducha.

- Śmierć przyszła szybko - powiedział Donoher. - Jego serce dłużej nie wytrzymało.

- Jestem wdzięczny, że był z nim ksiądz w ostatnich chwilach.

Człowiek nie powinien umierać w samotności.

- Zgadza się. U kresu życia pański wuj zdołał jeszcze wyznać grzechy i zrzucić z siebie wszystkie ciężary tego świata.

287

- W takim razie spotyka się z Bogiem z czystym sumieniem.

- Doskonałe wino - zmienił temat Donoher - i bez wątpienia bardzo drogie. Dziękuję, że zechciał się pan nim ze mną podzielić.

- Wuj twierdził zawsze, że winem, podobnie jak talentem, należy się dzielić. Czy pierwszym cudem Chrystusa nie była zamiana wody w wino w czasie wesela w Kanie Galilejskiej?

- Dzielił się nim również z najbliższymi przyjaciółmi podczas Ostatniej Wieczerzy, choć nie sądzę, by częstował ich barolo. Wuj był z pana bardzo dumny. Widzę, że słusznie, bo doskonale pan sobie radzi. - Kardynał rozejrzał się po pokoju. - Nigdy bym nie podejrzewał, że handel starymi księgami jest aż tak dochodowym zajęciem.

- Specjalizuję się w rzadkich, cennych woluminach. Właśnie dzisiaj rano sfinalizowałem sprzedaż wyjątkowej pierwszej edycji „/ *Quattro Libri deWkrchitettura*” Palladia. Nabywcą był amerykański kolekcjoner. Rzadkie księgi to z jednej strony prawdziwe dzieła sztuki, ale z drugiej doskonała inwestycja.

•Prowadząc tego rodzaju zyskowe, jedyne w swoim rodzaju przedsiębiorstwo z pewnością musi pan korzystać z wyspecjalizowanych usług księgowych i bankowych. Wuj wspomniał o pańskim zainteresowaniu watykańskim bankiem.

•Naprawdę?

•Owszem. Z pewnością ucieszy pana wiadomość, że niezależnie od tego, kto zostanie następnym papieżem, IOR zostanie objęty jak najściślejszym nadzorem. Wiele przepisów regulujących pracę naszego banku, choć gwarantuje odpowiednią dozę prywatności, utrudnia również monitorowanie rachunków pod kątem działalności przestępczej. A przecież IOR nie jest zwykłym bankiem, jest bankiem Kościoła i musimy zadbać, by zachowywał najwyższe standardy. W przeciwnym razie ktoś pozbawiony skrupułów mógłby próbować prac brudne pieniądze na naszych kontach lub uzyskać kredyty na potrzeby działalności przestępczej. Nie pozwolimy nikomu wykorzystywać banku Kościoła do niecnym celów.

Cusumano rozsiadł się na kanapie, delikatnym ruchem dłoni wprawiając ciemnoczerwony płyn w wirowanie wokół ścianek lampki i spod przymrużonych powiek przyglądając się kamerlingowi. W kąciku ust Donohera pojawił się cień uśmiechu: wiadomość przekazana.

288

•Czy jest pan człowiekiem religijnym? - zapytał.

•Na swój sposób tak.

•W takim razie musi pan wiedzieć, co to ekskomunika. Czy jednak

zdaje pan sobie sprawę, że spośród śmiertelnych grzechów, skutkujących tą formą potępienia, dwanaście może odpuścić wyłącznie papież? Atak na hierarchę, zamordowanie go lub pomoc tym, którzy mają zamiar to zrobić, jest jednym z takich grzechów. Gdyby na przykład pan popełnił tak potworny czyn, to nawet ja, będąc kamerlingiem, nie mógłbym dać panu rozgrzeszenia.

- W takim razie najrozsądniej byłoby unikać takiego grzechu, zwłaszcza teraz gdy nie mamy papieża.

-W rzeczy samej.

Donoher dopił wino i odstawił pustą lampkę na stolik obok fotela.

Cusumano nie zaproponował kolejnego.

- Zanim pójdę, chciałbym podkreślić jeszcze jedno - zaczął się żegnać kamerling. - W Watykanie obowiązują inne przepisy prawa niż poza jego granicami. A w wypadku zbrodni morderstwa, wymierzonej przeciw Kościołowi, Włochy raczej nie należałyby na ekstradycję.

WATYKAN

- DOWIEDZIAŁEŚ SIĘ CZEGOŚ? - ZAPYTAŁ DONOHER PO POWROCIE do katakumb.

Grin stał przy komorze obrazowej, przyglądając się kilkusetkilotonowemu pasowi górzystego terenu.

- W ostatniej wiadomości Nolan wchodzi już na niewyobrażalny poziom abstrakcji. Pierwszy wers brzmi: GÓRY MGLISTE HOP 111, co rozszyfrowałem jako informację, że przeskoczy przez góry pierwszego listopada. Ale „Misty Mountain Hop” to również piosenka z czwartego albumu Led Zeppelin. W drugiej części: ZOSO to symbol graficzny używany przez Jimmy'ego Page'a, pierwszego gitarzysty grupy. Pojawia się na okładce płyty wspomnianego albumu.

- Rozumiem, że Nolan chce zwrócić twoją uwagę na to właśnie nagranie.

- Powtarzając to w kółko jak przekupka. Fani Zeppelinów uważają ich czwarty album za najlepszy, podobnie jak wielu znawców rocka.

Osobiście wolę „Physical Graffiti”, ale to tylko moje zdanie. Kiedy Nolan pisze mi, że „ZOSO PANY 41”, chodzi mu pewnie nie tylko o to, że czwarty album jest numer jeden... „pany”, czyli najlepszy... ale również o to, że powinienem zwrócić uwagę na czwartą piosenkę na jego pierwszej stronie. Wprawdzie w epoce CD może to być trochę mylące, ale przeżyłem na tym łez padole wystarczająco wiele lat, żeby mieć jeszcze winylową płytę. Czwarty numer na jej pierwszej stronie to

„Stairway to Heaven". Klasyka!

- Rozumiem. Ale co to znaczy?

- Jako *Stairway to Heaven*, czyli „schody do nieba", w czwartym wieku hinduski poeta Kalidasa opisał Himalaje - wyjaśnił Grin. - Wyświetl widok numer jeden.

Hologram w komorze obrazowej zniknął i natychmiast zastąpił go widok znacznie większego fragmentu terenu.

- Himalaje mają jakieś trzy tysiące kilometrów długości. Ciągną się od Afganistanu na zachodzie aż do indyjskich gór Arunachal Pra-desh na wschodzie.

- Nie zawęża nam to zbyt obszaru poszukiwań.

-Ani trochę. Kiedy jednak większość z nas używa określenia „schody do nieba" w odniesieniu do Himalajów, ma na myśli Tybet i Nepal.

- I tam właśnie Nolan ma zamiar się przedostać! - ucieszył się Donohar.

- Nie. Ponieważ BAT-y zaprojektowano do lotów na niskim pułapie, nie wytrzymałyby wysokości tego rzędu. A nawet gdyby, to nasi ludzie potrzebowaliby butli z tlenem. Poza tym warto pamiętać o pogodzie: jest już trochę za późno na wycieczki w Himalaje, piesze czy na pokładzie latawca z silniczkiem. Próbowałem na różne sposoby porabrac w myślach ten scenariusz, ale ostatecznie odrzuciło mnie od niego przede wszystkim to, że tak bezpośrednia wskazówka nie byłaby w stylu Nolana. Musiałem wgrzyźć się głębiej w jego tok myślenia i wreszcie mi się udało. Czy Wasza Eminencja widział film „Beztrioskie lata w Ridgemont High"?

•A powinienem?

•Tylko jeżeli lubi ksiądz niezłe napisane komedie, przeplatane problemami nastolatków i traumami okresu dojrzewania, a wszystko to w scenerii początku lat osiemdziesiątych.

•Niezupełnie odpowiada to moim filmowym preferencjom - przyznał Donoher. - Kontynuuj, proszę.

-W filmie tym Sean Penn zagrał, moim skromnym zdaniem, jedną ze swoich najlepszych ról, choć jako świeżo upieczony duchowny nagle zacząłem cenić również jego późniejsze dokonania w „Nie jesteśmy aniołami”. Ale zbaczam z tematu.

291

•I to nie pierwszy raz - zgodził się Donoher, powstrzymując zniecierpliwienie. - W jaki sposób ten film odnosi się do wiadomości Nolana?

•W „Beztroskich latach” kujon o przywisku Szczurek załapuje się na porady luzaka Damone'a dotyczące randkowania. Jedną z cennych podpowiedzi tego ostatniego jest sugestia, że strona pierwsza czwartego albumu Led Zeppelin to najlepszy podkład do obściskiwania laseczek. I w ten sposób wracamy do ZOSO PANY 41.

•Przecież to album, który wskazuje po prostu na całe Himalaje!

•Owszem, ale wskazówka nie sprowadza się do tego. Szczurek próbuje skorzystać z rady Damone'a, ale jest takim fajtłapą, że wszystko mu się myli. W czasie niefortunnej randki z niewinną Stacy... nawiasem mówiąc, graną przez uroczą Jennifer Jason Leigh... puszcza nie tę

stronę nie tej płyty.

- Czy to w ogóle dokądkolwiek zmierza?
- To nawiązanie zmusza mnie do przyznania, że Nolan jest geniuszem.

Szczurek puszcza nie czwarty album Zeppelinów, ale „Physical Graffiti”. A piosenka, której dziewczę wysłuchuje w czasie randki, to nie przytulanka „Stairway to Heaven”, ale o wiele lepszy „Kashmir”.

Nolan leci do Kaszmiru.

- Możesz mi pokazać gdzie? - poprosił Donoher. Grin skinął głową.
- Wyświetl poprzedni widok.

Hologram zniknął, a po chwili w komorze pojawił się trójwymiarowy widok targanego konfliktami indyjskiego stanu Dżammu i Kaszmir. Przez górzysty teren wiły się czarne linie, oznaczające granice uznawane przez wspólnotę międzynarodową. Cieńsze, przerywane, wskazywały granice kontroli wojskowej narzucone na spornym terytorium przez Pakistan i Chiny. Począwszy od źródeł w zachodnim Tybecie, płynęła tamtędy na północny zachód w stronę Pakistanu rzeka Indus.

- Spogląda ksiądz na obszar mniej więcej wielkości Michigan - wyjaśnił Grin - którego granica z Chinami odpowiada linii wybrzeża od Toledo do Mackinaw City. Różnica, może z wyjątkiem braku naszego lokalnego przysmaku w postaci czekoladowych krówek, sprowadza się oczywiście do ukształtowania terenu. Chiny stykają się z Kaszmiem w regionie zwanym Ladakh.

•Jak myślisz, gdzie przekroczą granicę?

•Z Tybetu przez Ladakh biegnie ukośnie kilka szerokich dolin.

Środkiem największej z nich płynie Indus. Gdybym miał strzelać, moim zdaniem pozwolą, żeby z Chin wyprowadziła ich po prostu geografia.

•A czy w pobliżu jest jakieś miejsce, w którym może wylądować samolot?

•W Lehu - odpowiedział Grin. - Miasto leży w samym sercu La-dakhu i tylko tam znajduje się otwarty dla cywilów port lotniczy.

•Kiedy już przekroczą granice, znajdą się w Indiach, tyle że nielegalnie i bez dokumentów - zamyślił się Donoher. - Poza tym, z wyjątkiem Nolana, wszyscy przypominają chińskich żołnierzy.

•Lub zbiegów. Czy zdaniem księdza władze Indii odeślą Yina z powrotem?

•Wątpię. Indie i Chiny raczej nie są zgodnymi sąsiadami. Tyle że nie chcielibyśmy, żeby Hindusi wtrącili naszych ludzi do własnego więzienia. Musimy wysłać kogoś do Kaszmiru z misją przygotowania władz na ich przybycie. Powinniśmy też chyba zamienić słowo z naszym nieformalnym przyjacielem w Waszyngtonie, który z pewnością spróbuje polepszyć naszą sytuację.

- Z Barnettem?

Donoher skinął głową.

- Poproś, proszę, siostrę Deborahę o przygotowanie wideokonferencji. Może być za godzinę. Tymczasem zwrócę się o pomoc do kar

dynała Velu.

TYBET

1 LISTOPADA

ZAPOWIEDŹ JUTRZENKI OZDOBIŁA HORYZONT NA WSCHODZIE PASEM ciemnego błękitu, wymazując zarazem z nieba najbłedsze światło gwiazd.

Powiększający się każdej nocy sierp księżyca zawisł na zachodzie nad postrzępionymi górami, tak jakby nie chciał rozpląnąć się przed ostatecznym wschodem słońca. Kilkenny pilotował BAT-a, sunąc nad zapierającym dech w piersiach krajobrazem i żałując, że może go podziwiać jedynie przez zielono-czarny tryb nocny ekranu.

- Mam uaktualnione dane - zameldował Han.

- Jak złe? - zapytał Kilkenny.

- Nieźle oberwaliśmy od tego wiatru przeciwnego nad płaskowyżem.

- Wiem. Powinniśmy już być w Indiach... Jakieś dobre wieści?

- Zaczynamy nadrabiać stracony czas.

- Wystarczająco, żeby przekroczyć granicę przed świtem?

- Będziemy blisko. Jeżeli złapiemy dobry wiatr w ostatniej dolinie, powinno się udać.

- Jesteś już gotowy przejąc drążek? - zapytał Kilkenny.

- Jasne, dzięki za przerwę - odpowiedział Han. - Po tej walce z wichurą mam obolałe ramiona.

- Przeprowadź nas przez granicę, a załatwię ci milutką hinduską masażystkę. Już ona doprowadzi cię do porządku - obiecał komandos.

- Dobra motywacja to klucz do sukcesu.

•A czy ja też dostanę Hinduskę? - zaskrzeczał lecący w BAT 2 Gates.

Po chwili pozostali żołnierze zaczęli powtarzać za nim jak papugi błagalną prośbę.

•Panowie, skoro otrzymaliśmy jak najdosłowniej „misję od Boga” -

powtórzył Kilkenny za Danem Aykroydem kwestię z „The Blues Brothers” - nie mogę ze spokojnym sumieniem obiecać wam wycieczki *allinclusive* do Kama Sutra Spa, wy cudzołóżnicy!

W odpowiedzi dowódca usłyszał w słuchawkach zgodny chór jęków.

•Z radością załatwię wam za to prawdziwą masażystkę, która zapewni ulgę waszym obolałym po długim locie mięśniom i stawom, oraz otwarty bar, dzięki któremu znajdziecie również bardziej spirytualną pociechę.

•Juhuuu! - wrzasnęli Gates, Chun i Chow, zagłuszając inne pełne aprobaty, a może nawet lubieżnej uciechy głosy.

Kilkenny znał to uczucie. W miarę zbliżania się końca misji jego ludzi ogarniało podniecenie.

•Połączenie dwustronne z Kilkennym - poprosiła Tao. Głosy w słuchawkach Amerykanina ucichły.

•Nolan - powiedziała agentka - popatrz na Yina.

Kilkenny odwrócił się przez ramię. Biskup siedział oparty w fotelu z zamkniętymi oczyma i rękami skrzyżowanymi na piersi i w ogóle się nie ruszał.

-Czy on...?

•Spi - przerwała mu Tao. - Sprawdziłam. Od kilku godzin śpi.

•To chyba dobrze.

•Jesteśmy już blisko granicy? - zapytała agentka.

-Tak, mam nadzieję, że przed świtem ją miniemy. W przeciwnym razie będziemy musieli wylądować.

- Kiedy będziesz wiedział na pewno?

- W ciągu godziny. Gdyby się obudził, poproś go, żeby pomodlił się o pomyślne wiatry.

Woo SUN PRZECZESYWAŁ WZROKIEM ROZCIĄGAJĄCY SIĘ PONIŻEJ krajobraz, na który składały się to ostre szczyty, to znów falujące zbocza, wyglądające jeszcze bardziej nierealnie z powodu zniekształceń wywoływanych przez przełączone na tryb nocny gogle, pozwalające mu lecieć w ciemnościach tuż przy ziemi. Jego prawa ręka spoczywała na bejcowanym drążku helikoptera szturmowego harbin WZ-9 - chińskiej wersji Eurocoptera Dauphin II. Korpus Lotnictwa Armii Ludo-wo-Wyzwoleńczej dysponował sześćdziesięcioma takimi maszynami; prawie wszystkie z nich poprzedniego dnia zagoniono do patrolowania zachodniej granicy.

Po prawej stronie Woo siedział strzelec pokładowy, Gong Yuan. Obaj szkolili się razem przez trzy lata i mieli na koncie tysiące godzin lotów w różnych warunkach. Znali każdy odgłos wydawany przez WZ-9 i byli w stanie określić, jak radzą sobie oba jego silniki turbowałowe na podstawie odczuwalnych w kadłubie wibracji.

Uważnie przyglądali się dolinie, szukając trzech lecących na niskim pułapie obiektów ze skrzydłami przypominającymi nietoperza. Woo wybuchnął śmiechem, gdy usłyszał opis ich ofiary, ale natychmiast spoważniał, kiedy dotarły do niego rozkazy określające ich postępowanie, gdyby udało im się na nią trafić. Nieprzyjacielskie samoloty miały zostać zestrzelone, a wszystkie znajdujące się na ich pokładach osoby - zlikwidowane.

Oficer wywiadu, który pokrótce wprowadził członków oddziału Woo w

szczególne, podkreślił, że wrogi obiekt został zaprojektowany po to, by ukradkiem przewozić na teren danego kraju i wywozić z niego żołnierzy sił specjalnych. Był to lekki, niezbyt szybki samolot o otwartym kadłubie i przekroju trudnym do wychwycenia przez radar. Ku zadowoleniu Woo i Gong wszystko wskazywało na to, że nie jest uzbrojony.

Woo i Gong wystartowali z Tianshuihai i mieli patrolować fragment granicy przebiegającej między Chinami a indyjskim stanem Dżammu i Kaszmir, w tym sporny region Aksai Chin, który znajdował się pod kontrolą Pekinu.

- Możesz sobie wyobrazić, że dostajesz tutaj przydział? - zapytał Gong.

- Dałbym takiemu mieszczuchowi jak ty tydzień; potem zacząłbyś ssać własny pistolet.

- *Qin wodepigu* - odpowiedział Gong, niedwuznacznie sugerując, by Woo pocałował się w siedzenie.

Woo leciał doliną rozciągającą się na południowy zachód od Changmaru w kierunku Baru - wioski na północnym wybrzeżu tybetańskiego jeziora Bangong Co. Górskie strumienie zbierały się tam w wąski, stutrzydziestokilometrowy pas słonej wody. Zachodnia część długiego jeziora leżała po indyjskiej stronie granicy, gdzie zbiornik nazywano Pangong Tso. Woda spływała z Bangong Co do rzeki Shyok, a potem do Indusu, kierując się ostatecznie na południe przez Pakistan w stronę morza.

- PRZEKRACZAMY OSIEMDZIESIĄTY stopień długości wschodniej - ogłosił Han. -

Za chwilę powinniście zobaczyć wschodni brzeg Bangong Co. Szanowni

państwo, podchodzimy do lądowania. Przypominam, że palenie tytoniu na pokładzie samolotu jest surowo zabronione. Proszę zapiąć pasy i ustawić fotele w pozycji wyprostowanej. Jeszcze raz dziękujemy za wybranie linii lotniczych Nocny Łowca Air.

Yin rozejrzał się, szukając jakiejś dźwigni, za pomocą której mógłby spełnić prośbę Hana i wyprostować oparcie.

297

•To żart - wyjaśniła Tao. - Coś takiego słyszy się zawsze w czasie lotu samolotem pasażerskim. Mają tam trochę więcej udogodnień niż w naszych BAT-ach.

•Może i tak, ale my zapewniamy lepsze widoki - zaprotestował Han.

Zbliżał się świt. Z nieba znikwały kolejne gwiazdy, a księżyc to pojawiał się, to znikał za kolejnymi szczytami gór, które mijali, lecąc nisko nad doliną. Na ekranie Kilkenny'ego zmieniały się cyferki - prędkość, pozycja, odległość do punktu orientacyjnego. Przyszedł czas na podjęcie decyzji.

- Połączenie z całą drużyną - powiedział. - Panie i panowie, złe wieści. Wygląda na to, że spędzimy w Chinach jeszcze jeden dzień.

Mamy czyste niebo i jakąś godzinę lotu do granicy. Słońce wschodzi za dwadzieścia minut i szybko robi się jasno.

Odpowiedział mu chór zawiedzionych jęków.

•Słyszeliście - warknął Gates, uciszając kolegów. - Ta sama procedura co poprzednio. Znajdźmy jakieś miłe miejsce, gdzie będziemy mogli się zaszyć. Bez sensu byłoby dotrzeć aż tutaj po to tylko, żeby przyjąć kulkę w dupę, próbując przeskoczyć przez granicę w prażącym

słoneczku.

- Sprawdź teren - powiedział Han.

Rozpostarta przed nimi dolina zwężała się, tworząc nieckę lodowcowego jeziora. Nad jego spokojną powierzchnią unosiła się gęsta, biała mgła. Skłębiona, wyraźnie rysująca się w powietrzu masa wyglądała jak chmura, która opadła na ziemię z nieba.

- Przebijmy się przez to i poszukajmy jakiegoś lądowiska na południowym wybrzeżu - powiedział Kilkenny.

- Mówisz i masz, szefie!

Woo SKIEROWAŁ HELIKOPTER na południowy wschód w stronę kanionu, którego ściany otaczały z dwóch stron wąskie jezioro. Leciał ponad mgłą, a ciąg wywołany przez cztery główne łopaty wirnika wzburzał jej górne warstwy. Kanion przy wschodnim brzegu zbiornika rozszerzał się w misę, w której mgła otulała powierzchnię wody niczym koc.

298

- Mam coś - powiedział Woo.

- Gdzie? - zapytał Gong.

- Na pierwszej.

Gong przebiegł szybko wzrokiem horyzont i zauważył trzy wyraźne kształty błyszczące ponad mgłą.

- Zbyt statyczne jak na stado ptaków. - Gong włączył radio. - Dragon jeden pięć do bazy.

- Dragon jeden pięć, tu baza, odbiór.

- Melduję możliwy kontakt. Zero trzy trzy koma pięć północ na zero

osiem zero koma dwa wschód. Rozpoczynam operację przejęcia.

- Przyjąłem, Dragon jeden pięć. Bez odbioru.

- CHYBA SŁYSZĘ HELIKOPTER - powiedział Han. - Przyssał nam się do dupy.

- Potwór na trzeciej - zameldował Gates z BAT-a 2.

- Odwołuję lądowanie - zawołał Kilkenny. - Nurkujemy w mgłę i pełną parą do granicy!

Han zanurkował ostro w stronę białego kłębu, a drugi BAT ruszył jego śladem. Harbin szybko zmniejszał do nich dystans.

- Szlag! - zaklął Gates, po czym oderwał skrzydełko zapinanej na rzep kieszeni i wyszarpnął pistolet.

- A ty co masz zamiar z tym zrobić? - zapytał Shen, ściskając z całej siły drążek sterowniczy.

- Co tam, może trafi mi się szczęśliwy strzał?

- BAZA, POTWIERDZAMY identyfikację celu. Rozpoczynam atak.

- Przyjąłem, Dragon jeden pięć. Pomyślnych łowów.

Jak tylko Gong wszedł w zasięg, aktywował uzbrojenie i spróbował przechwycić cel.

- Nie mogę go namierzyć - zameldował Gong. - Muszę strzelać ręcznie.

- Zdejmujemy tego w środku, reszta rozproszy się jak ptaki.

299

Woo poszybował w dół, zanurzając spód harbina głęboko we mgle.

Gong wybrał zamontowane w śmigłowcu działko kaliber dwadzieścia trzy milimetry i otworzył ogień. Pociski smugowe wyrysowały w powietrzu białe linie, umożliwiając Woo korektę kąta ataku.

BAT 2 zadrżał, gdy pierwsze kule przebiły jego skrzydła. Gates z

pistoletem ściśniętym kurczowo w obu dłoniach namierzył cel i nacisnął spust. Pocisk odbił się od harbina, nie czyniąc mu żadnej szkody.

Przeciwnicy w żadnym razie nie mieli równych szans.

Harbin zwolnił i kiedy zawisł, niemal unosząc się już tylko w po-

wietrze, Gong ponownie otworzył ogień. Jedna kula przecięła kadłub,

roztrzaskując lekki silnik turbinowy. Drobne kawałki ceramiki eks-

plodowały we wszystkich kierunkach, zalewając przedział dla załogi falą szrapneli.

- Skurwysyn! - zaklął Chun, gdy ostre jak brzytwa szczątki przecięły niewzmocnione części jego kombinezonu.

Część kawałków wbiła się w nogi i ręce żołnierzy, inne utkwily w ich hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Najmocniej oberwali Shen i Gates,

którzy siedzieli z przodu i których ciała momentalnie pokryły się setkami

drobnych ran. Pozbawiony dopływu energii BAT 2 runął w dół. Shen -

walcząc z bólem - starał się posadzić uszkodzony samolot bezpiecznie na ziemi.

- Uwaga, chłopaki! - wrzasnął Gates. - Jak tylko dotkniemy gruntu, dupy w troki i szukać osłony.

BAT 2 uderzył ciężko o podłoże w tym samym momencie, gdy

pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły szczyty gór. Wy-

ładowali na skalistym zboczu. Wszyscy czterej komandosi uwolnili się

szybko z uprzęży i pobiegli w stronę mgły. Harbin zanurkował, odcinając

im drogę. Gong przerzucił się na podwieszane zasobniki z działkami 12,7

milimetra i otworzył ogień.

Xaio zawrócił BAT-a 3 i zbliżył się do helikoptera od tyłu. Wszyscy trzej żołnierze wzięli na cel tylny wirnik harbina, ale wywołana przez niego turbulencja odepchnęła samolot i strzały trafiły w powietrze.

•Skurwiel wykasza tam na dole naszych! - krzyknął Jing.

•A my będziemy następni - dorzucił przez zaciśnięte zęby Xaio. - Tak czy siak jesteśmy martwi. Ale jeżeli zaraz zdejmujemy tego sukinsyna, Yin wyjdzie z tego żywy.

300

- Zrób to! - zawołał Jing.

Komandosi po kolei szybko wyrazili zgodę i Xaio skierował BAT-a 3 w górę, prosto nad harbina.

- Wiecie, jaki dźwięk wydaje gówno, kiedy trafia w wentylator?

- zawołał Xaio.

Sung i Tsui, dumni członkowie korpusu piechoty morskiej, znali doskonale stary dowcip. Krzyknęli jak jeden mąż:

- *Marrrrmiiiiiiine!*

BAT 3 zanurkował jak orzeł rzucający się na pływającego w rzece łososia. Xaio, wycelowawszy samolot w sam środek głównego wirnika harbina, przełączył silnik na pełną moc. Komandosi na pokładzie zdążyli tylko stwierdzić, że rzeczywiście udało im się uratować życie kolegom, po czym ich samolot zanurzył się w niewyraźnej plamie obracających się łopat wirnika i rozpadł w drobny mak.

Zderzenie urwało główny wał harbina tuż poniżej piasty, przechylając

cały układ wirnika do przodu. Po kolei cztery długie łopaty wbiły się w bok śmigłowca. Gong, gdy tylko pierwsza z nich wgryzła się w kabinę, stracił ręce i nogi. Łopaty spowolnione przez opór, który stawiał materiał, połamały się i zamieniły w ogromne śmiercionośne pociski. Gong i Woo zginęli natychmiast - ich ciała zostały rozerwane na strzępy.

Pozbawione ciągu, splątane w śmiertelnym uścisku oba latające pojazdy poddały się grawitacji i runęły na ziemię. Masa metalu uderzyła w gołe, skaliste zbocze i potoczyła się w dół. Silniki, wciąż pracujące z mozołem, wyrwały się z mocowań, uwalniając przewody paliwowe. Opary i ciecz natychmiast się zapaliły, wywołując w do połowy pustych zbiornikach potężny wybuch. Przez mgłę przebiła się wzbierająca kula ognia, wznosząc się ku niebu niczym latarnia morska.

-RAPORT! – ZAŻĄDAŁ LIU.

- Straciliśmy kontakt zameldował oficer komunikacyjny, -Po naszej stronie wszystko działa. Dragon jeden pięć nie odpowiada.

Gou shi Peng Gdzie oni są?

Peng stał przy dużej ściennej mapie regionu, starając się określić współrzędne miejsca, w którym załoga harbina nawiązała kontakt wzrokowy z celem.

Ostatnia pozycja według meldunku to zachodni Tybet – odpowiedział .

– Niedaleko Bangong Co. Najbliższa miejscowość to Rutog.

Kapitanie czy mamy tam jakieś inne śmigłowce?

Najbliższemu kończy się zasięg. Nie wystarczy im paliwa, żeby dolecieć do Rutogu i z powrotem. Mamy jeden, który jest właśnie tankowany i może tam być za niecałą godzinę.

Peng i ja będziemy na jego pokładzie.

HAN POPROWADZIŁ BAT-A 1 szerokim łukiem wokół wraku, uważając na wiatr wywołany przez pióropusz oleistego dymu. Kilken-ny i Tao przebiegli wzrokiem grunt poniżej, podczas gdy Yin modlił się żarliwie za zmarłych. Dwie trzecie ich drużyny albo nie żyło, albo dogorywało obok płonącego kadłuba chińskiego helikoptera.

- Powinniśmy byli wylądować wcześniej - wyrzucił sobie Kil-kenny.
- To nie twoja wina - pocieszyła go Tao. - Każda minuta w Chinach to dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo.
- Gdybyśmy byli na ziemi, nie zauważyliby nas.

•Być może, ale równie dobrze moglibyśmy być już wszyscy martwi.

•Znalazłem miejsce do lądowania - wtrącił Han, z ulgą zmieniając temat.

•Ląduj! - rozkazał Kilkenny.

Jak tylko BAT dotknął ziemi, agent odpiął pasy, zdjął hełm i pobiegł z boczem w stronę powykrzywianego kadłuba samolotu. Obok leżały ciała czterech mężczyzn. Wokół pełno było śladów po kulach. Shen i Chun nie żyli - ich zwłoki przypominały sito.

Przy sporym głazie Kilkenny znalazł Chowa. Przycisnął palce do jego szyi, ale nie wyczuł pulsu. Kiedy przewrócił ciało żołnierza na wznak, zauważył, że pod spodem zgromadziła się już kałuża krwi. Fragment ceramicznej łopaty silnika przeszył młodemu komandosowi szyję. Dzieła dopełnił wysiłek, z jakim wiązała się ucieczka w poszukiwaniu osłony.

- Znaleźliśmy Maxa - zawołała Tao. - Żyje.

Kilkenny podbiegł do niej i Yina. Oboje klęczeli obok jego byłego bosmana. Zdjęli mu już hełm. Gates był przytomny i najwyraźniej cierpiał.

- Wiem, że to głupie pytanie - zagaił Kilkenny - ale gdzie cię boli?

- Łatwiej byłoby powiedzieć, gdzie nie boli. Ktoś jeszcze przeżył?

Kilkenny pokręcił głową.

•Gdyby nie BAT 3, tobyśmy prowadzili tę rozmowę w lepszym świecie.

•Widziałem. Odważni skubańcy zdjęli tego skurwysyna w momencie, gdy we mnie golnął.

Gates potarł tarczę z kevlaru, skrywającą jego posiniaczoną klatkę piersiową, i wyłuskał z niej spłaszczoną kulę. W kamizelce utkwіło jeszcze kilka.

303

- Przypomnij mi, żebym po powrocie do domu wysłał do DuPon-ta list z kilkoma naprawdę ciepłymi słowami.

- Przypilnuję, żebyś dołączył do niego jedną z tych kulek.

- Przyniosłem apteczkę - powiedział Han. - Sprawdzę zaraz RITEG-a na BAT 2. Mam nadzieję, że się wyłączył.

- Dobry pomysł - pochwalił go Kilkenny. - I wyciągnij go z ramy.

Wolałbym nie zostawiać tutaj atomówki.

- Jak to wygląda? - zapytał Gates, gdy jego towarzysz razem z Tao opatrzyli mu rany.

- Niektóre z tych zadrapań będą wymagały szwów, ale większość to powierzchowne rany. Podejrzewam też, że masz kilka złamanych żeber, ale dla takiego starego foczyska to przecież nic takiego - odpowiedział Kilkenny. - Oczywiście niniejszym podwoiłeś swoją kolekcję blizn.

- Tego mi tylko było trzeba - jęknął ponuro Gates.

- A co? - zdziwiła się Tao, zakładając bandażę. - Myślę, że kilka blizn tu i tam dodaje mężczyźnie charakteru.

Kiedy Kilkenny opatrywał Gatesa, Yin zajął się trzema poległymi komandosami. Ostrożnie ułożył ich ciała równo na ziemi i zdjął im hełmy, wszystkich traktując z najwyższym szacunkiem. Odmówił modlitwę o

wieczny odpoczynek dla ich dusz. Choć nie mógł w podobny sposób oddać ostatniej posługi pozostałym, nie zapomniał również o tych żołnierzach, których ciała strawił ogień.

Skończywszy z Gatesem, Kilkenny dołączył do Yina przy płonącym wraku i również zmówił modlitwę za żołnierzy, którzy poświęcili się dla drużyny.

- Byli odważnymi ludźmi - powiedział. - Zrozumieli, co trzeba zrobić, i zrobili to.

- A co z tamtymi? - zapytał Yin.

- Dostali, na co zasłużyli.

- Doprawdy? Przecież gdyby przypadkiem urodzili się gdzie indziej, równie dobrze mogliby być twoimi ludźmi. Czy nie żywili tych samych nadziei, co twoi towarzysze? Nie raduje mnie żadna z tych śmierci i wybaczam tym, którzy chcieli nas skrzywdzić.

- Ze wszystkich lekcji, które starał się wbić mi do głowy katecheta, ta właśnie nadal jest dla mnie najtrudniejsza.

304

- Prawda jest jak woda - wyjaśnił Yin. - Obie są niezbędne do życia, ale bywa, że występują w formie, jaka jest trudna do uchwycenia. Trudno się zdobyć na przebaczenie, a czasem jeszcze trudniej je przyjąć.

Prawdziwy paradoks polega jednak na tym, że przebaczenie, którego najbardziej potrzebujemy, powinno pochodzić od nas samych. To lekcja, która i mnie wydaje się niezwykle trudna.

- Dlaczego ksiądz miałby potrzebować przebaczenia? - zapytał

Kilkenny. - Przecież to właśnie ksiądz z nas wszystkich zasłużył na największe przeprosiny.

•Wszyscy potrzebujemy przebaczenia. Ty i twoi towarzysze ryzykowaliście życie, żeby zapewnić mi wolność, i niektórzy z was przez to zginęli. - Yin dotknął ukrytego na piersi krzyżyka. - Obawiam się, że również moje owieczki, które pomogły mi w ucieczce, zapłaciły straszliwą cenę. A wszystko przeze mnie.

•Cokolwiek się stało, to nie księdza wina - stwierdził lekceważąco Amerykanin.

•Gdybym wybrał dla siebie inne powołanie, wielu ludzi ciągle by żyło, a my nie rozmawialibyśmy teraz - wyjaśnił mu spokojnie biskup. - A ciebie doprowadziły do miejsca, w którym się znajdujemy, twoje decyzje niezależnie od tego, czy były dobre czy złe.

-Jeżeli to księdza pocieszy, wybaczam księdzu, że okazał się ksiądz człowiekiem wartym ocalenia.

•Wszyscy jesteśmy warci ocalenia. - Yin zamilkł na chwilę. - Miałeś zostać ojcem, prawda?

•Tak, miałem.

•Co się stało z twoją żoną i dzieckiem?

Bezpośredniość pytania zirytowała Kilkenny'ego, ale mimo to poczuł wszechogarniającą chęć, żeby na nie odpowiedzieć.

- Chcieliśmy z Kelsey założyć rodzinę zaraz po ślubie. W lutym zaszła w ciążę. Wiosną dowiedzieliśmy się, że ma raka. Choroba była uleczalna, ale wymagała straszliwej ofiary.

- Życia waszego dziecka.

Kilkenny skinął głową.

- Ponieważ była w ciąży, jej rak był bardzo agresywny i wymagał równie agresywnych metod leczenia. Lekarze dali nam trzy możliwości: przerwać ciążę i leczyć raka, zaatakować raka, kiedy jeszcze była 30S

w ciąży, ryzykując, że terapia zabije lub poważnie zaszkodzi dziecku, wreszcie zawiesić leczenie aż do porodu, mając nadzieję, że rak nie rozszerzy się zbyt szybko.

•Trudny wybr - zgodził się Yin. -1 co zdecydowaliście?

•Oboje chcieliśmy Toby'ego i nie zrobilibyśmy niczego, co zagroziłoby jego życiu. Postanowiliśmy odwlec leczenie do momentu, gdy dziecko będzie mogło się urodzić. Wiedzieliśmy, że to najbardziej niebezpieczna opcja, ale Kelsey myślała już jak matka i była gotowa poświęcić się dla dziecka. To był wyścig z czasem, niestety przegraliśmy. Kelsey umarła, gdy lekarze pomagali urodzić się naszemu synowi. Był tak mały - Kilkenny'emu załamał się głos, kiedy wspominał tę chwilę - że mieścił mi się na dłoni. Umarł kilka godzin po matce.

•I teraz nosisz w sobie żal z powodu tej potwornej straty oraz gniew. To nieodłączni towarzysze czający się gdzieś na skraju twojej świadomości. Możesz się przed nimi ukryć, ciężko pracując, lub zagłuszyć ich alkoholem albo opium, lecz żal i gniew nadal będą cię podgryzać niczym szczury, chyba że zmierzysz się kiedyś z ich

źródłem. Kochałeś swoją żonę, prawda?

- Oczywiście.

- Ale postanowiłeś nie namawiać jej do podjęcia leczenia mimo świadomości, że skutkiem bezczynności może być jej śmierć. Dlaczego?

- Ponieważ uważaliśmy, że uczynienie czegokolwiek, co mogłoby zabić nasze dziecko, byłoby czymś moralnie złym.

- Ale twoje dziecko i tak umarło, podobnie jak żona. Czy wiedząc, że tak się stanie, postąpiłbyś inaczej?

- Rozmawialiśmy o tym z Kelsey i doszliśmy do wniosku, że nie możemy wymienić jego życia za jej. Dokonawszy wyboru, ciągle mieliśmy nadzieję.

- Zrobiłeś więc to, co uważałeś za słuszne. Zachowałeś się zgodnie ze swoją wiarą.

-Tak.

- Modlisz się? - zapytał Yin.

- Od czasu do czasu.

- Czy pod koniec proponowałeś własne życie za żonę i syna?

- Tak - przyznał Kilkenny.

306

- A mimo to zostali ci odebrani. Kto ich zabrał?

- Nikt! - zaprotestował Amerykanin. - Umarli, ponieważ moja żona miała raka.

- Ale kiedy proponowałeś swoje życie za ich, kto twoim zdaniem mógł

zgodzić się na taką wymianę? - naciskał dalej biskup. - A gdy tego nie zrobił i straciłeś rodzinę, kogo obwiniałeś?

•Boga - poddał się Kilkenny.

•A przecież to nie Bóg podjął decyzję, która doprowadziła do ich śmierci. To tyją podjąłeś. - Yin mówił całkowicie spokojnym głosem, w którym nie było nawet cienia oskarżenia. - Nie wierzę, że Bóg wywołuje trzęsienia ziemi i powodzie ani że doświadcza ludzi chorobami czy pozwala im na czynienie zła. Wszystko to jest częścią Jego stworzenia, w tym dar wolnej woli. Razem z żoną podjęliście decyzję, opierając się na wierze i nadziei, ale mimo to spotkała was ogromna tragedia. Wierzę, że Bóg jest jej świadomy i na własny sposób stara się przywrócić harmonię. Przypomina to chińskie przekonanie, że kryzys i szansa to dwie strony tej samej monety. Bóg jednak, pamiętając o naszej wolnej woli, nie wymusza na nas harmonii. Przeciwnie, daje nam szansę, lecz to my musimy ją rozpoznać. Aby pokonać swój żal i gniew, aby pogodzić się ze stratą, musisz więc wybaczyć samemu sobie.

•Mamy towarzystwo! - zawołał Han.

Zboczem schodziło ku nim pięciu mężczyzn, najwidoczniej przyciągniętych przez wysoką kolumnę czarnego dymu. Poruszali się po nierównym terenie niczym wszechobecne w tym regionie jaki. Wszyscy mieli na sobie wysokie filcowe buty i bogato haftowane kapelusze. Kilkenny stwierdził, że z wyjątkiem dwóch najmłodszych, którzy wyglądali na kilkanaście, może nieco ponad dwadzieścia lat, trudno jest określić ich wiek.

Ich twarze połyskiwały głęboką, brązową patyną, której cera nabyła przez lata spędzone w surowym klimacie i jasnym świetle słonecznym.

Kilkenny i Yin dołączyli do BAT-a 1 oraz pozostałych. Przybysze zatrzymali się jakieś pięć metrów od nich i zaczęli uważnie przyglądać się grupie.

-Myślicie, że przyszli tutaj obrabować ciała? - zapytał Gates.

- Raczej są po prostu ciekawi - stwierdziła Tao.

Mężczyźni rozmawiali ze sobą ściszymi głosami, ciągle uważnie obserwując pięcioro obcych, którzy wtargnęli na ich ziemię.

307

•Tych młodszych zaciekawiłaś przede wszystkim ty - powiedział Kilkenny do Tao. - Założę się, że jesteś ubrana bardziej prowokacyjnie, niż są do tego przyzwyczajeni.

•Intrygują ich nasze ubrania - wyjaśnił Yin. - Zastanawiają się, dlaczego nie jest nam zimno w czymś tak cienkim.

•Rozumie ksiądz, co mówią? Yin skinął głową.

•Tyle że trochę wyszedłem z wprawy.

Kilkenny podszedł do mężczyzn, uśmiechając się i trzymając dłonie na widoku. Wyciągnął rękę i potarł materiał, pokazując, że jeśli tylko chcą, oni również mogą to zrobić.

Początkowo podszedł do niego tylko jeden, lecz wkrótce dołączyła także reszta. Nastąpiła krótka wymiana zdań, po której rzecznik grupy zapytał o coś, najprawdopodobniej o kombinezon.

- Księżę biskupie? - poprosił o pomoc Kilkenny.

- Nasze kostiumy nie wyglądają ani na jedwabne, ani na filcowe.

Zastanawiają się, czy jest nam w nich ciepło i jakie zwierzę produkują ten materiał.

Kilkenny uśmiechnął się.

- Proszę im powiedzieć, że jest w nich całkiem wygodnie, a materiał wytworzył maleńki robaczek zwany nanotech.

Yin przełożył jego wyjaśnienia. Mężczyźni skinęli głową, zadowoleni z nowo zdobytej wiedzy.

- Na-no-tek - powiedział jeden z nich do Kilkenny'ego, starannie wymawiając sylaby.

Amerykanin skinął głową. Przywódca zadał Yinowi kolejne pytanie, tym razem poważniejszym tonem.

- Troje z nas jest Chińczykami, a dwóch nie - przełożył biskup.

- Zastanawia się, skąd jesteśmy.

Kilkenny zastanowił się nad odpowiedzią. Wprawdzie wszyscy oprócz Yina pochodzili ze Stanów Zjednoczonych, ale ich obecność w Chinach nie była oficjalnie zarejestrowana i Waszyngton w razie konieczności zapewne by się ich wyparł. Mówiąc Tybetańczykom prawdę, komandos mógł ich narazić na represje ze strony chińskiego rządu.

-1 znowu mamy kłopot, bo wolałbym nie mówić im prawdy - wyjaśnił

Yinowi. - Jeżeli Pekin dojdzie do wniosku, że ci ludzie wiedzą,

308

skąd pochodzimy, i zaczną podejrzewać, że nam pomogli, może się to dla nich skończyć nie najlepiej.

- Myślę, że wiem, co odpowiedzieć - stwierdził Yin.

Minął Kilkenny'ego, podszedł do mężczyzn i coś im wyjaśnił. Ty-

betariczycy skinęli głowami i zaczęli gorączkowo dyskutować.

- Co im ksiądz powiedział? - zapytał Amerykanin.

- Że jestem duchownym i że pan oraz pańscy towarzysze przyjechali do

Chin, żeby towarzyszyć mi w drodze na Zachód.

Przywódca zadał kolejne pytanie. Kilkenny zauważył, że jedno słowo

wymówił ze szczególnym szacunkiem: „*Kundun*”. Yin złożył dłonie i

skłonił się, zanim odpowiedział - najwyraźniej słowo to było bardzo

ważne.

- Pytają, czy jestem lamą, świętym mężem, i czy udaję się na Zachód,

szukając tam schronienia, jak ich ukochany Kundun.

- Kundun?

- To tybetańskie imię - wyjaśniła Tao. -Oznacza „obecność”. Mówią o

Tenzinie Gjatso. Na Zachodzie znany jest lepiej jako XIV Dalajlama.

- Trafna analogia - stwierdził Kilkenny.

Tybetańczycy ciepło przyjęli odpowiedź Yina i zbliżyli się, otaczając

go ciasno i zadając kolejne pytania. Kilkenny, niemal zignorowany,

odsunął się i zostawił biskupa z jego zafrapowaną publicznością.

- Wydaje się, że miejscowi polubili naszego świętego męża - za

uważył Gates.

- Nie można mu odmówić łatwości nawiązywania kontaktów

- zgodził się Kilkenny.

- I co robimy? Wiecie doskonale, że Chińczycy po niego przyjdą

- powiedziała Tao, wskazując głową na płonący helikopter.

• Mogę się założyć, że zameldowali o nas, zanim przystąpili do ataku - dodał Han.

• A co z ciałami naszych chłopców? - zapytał Gates. - Nie możemy ich rzucić rycerzom Mao na żer.

• Też się nad tym zastanawiałem - powiedział Kilkenny - i wcale nie mam zamiaru ich tutaj zostawić.

• Przecież nie możemy ich ze sobą zabrać - stwierdził Han. - I tak mamy więcej pasażerów niż miejsc.

309

• Zajmijmy się najpierw jednym problemem. Po pierwsze, myślę, że musimy urządzić z naszych poległych towarzyszy hekatombę.

• Heka co? - zapytał pilot.

• Udaje Greka - przewrócił oczami Gates. - Nie pierwszy raz. Tak to już jest, jak człowiek za dużo czyta.

• Czy urazimy naszych tybetańskich przyjaciół, jeżeli skremujemy ciała zmarłych? - zapytał Kilkenny Yina. - Nie chcielibyśmy, żeby chińscy żołnierze je zbezczescili.

Biskup przekazał tubylcom pytanie Kilkenny'ego. Po krótkiej rozmowie uzyskał odpowiedź.

• Tybetańscy buddyści chowają swych zmarłych w ziemi, wodzie lub w powietrzu.

• W powietrzu? - zdziwił się Amerykanin. - Chodzi księdzu o kremację?

•Nie. Podniebny pochówek to stara i piękna tybetańska tradycja. Gdy duch opuszcza ciało, ćwiartuje się je na kawałeczki i karmi nimi gromadzące się sępy. Następnie kości mieli się na proszek i miesza z mąką. Piecze się z niej chleb, który rzuca się ptakom. W ten sposób zabierają one ciało w powietrze.

•Niezbyt chrześcijański obyczaj - oburzył się Gates, zniesmaczony pomysłem.

•Być może, ale symbolika tej ceremonii jest niezwykle poruszająca. Wzmacnia wiarę w jedność. Byłem świadkiem paru takich pogrzebów. Moim zdaniem są bardzo poetyckie.

•A co z kremacją? - zapytał Kilkenny.

•Palenie szczątków zmarłych to dopuszczalna praktyka, choć w krainie, w której brakuje materiału na podpałkę, rzadko się ją stosuje.

•Chwilowo mamy mnóstwo paliwa. - Kilkenny spojrzał na Hana. - Pomożesz mi?

Podeszli razem do ciała Boba Shena. Najostrożniej jak tylko mogli, przenieśli je do płonącego helikoptera i wrzucili w sam środek płomieni.

Następnie zrobili to samo ze zwłokami Gene'a Chuna i Jima Chowa.

Wreszcie wrzucili do ognia hełmy poległych towarzyszy oraz rozmontowane części wraka BAT-a 2, nie chcąc dopuścić, by technologia, której użyto przy jego produkcji, wpadła w ręce Chińczyków.

310

Yin dołączył do Tybetańczyków, którzy odmawiali buddyjską modlitwę za zmarłych. Kilkenny nie rozumiał ani słowa, ale i tak był wzruszony.

•Doceniamy ofiarę naszych poległych towarzyszy - ogłosił na koniec -
i powierzamy ich prochy wiatrom. Niech zaprowadzą ich do domu.

•Niezła hekatomba, Nolan - powiedział poważnym tonem Gates.

•Co to jest ta hekatomba? - zapytał Han.

•Początkowo słowem tym starożytni Grecy i Rzymianie określali
ofiarowanie setki krów lub wołów w celu upamiętnienia znaczącego
wydarzenia i przypodobania się bogom - wyjaśnił Kilkenny. - Dzisiaj
mówi się tak również o masowym morderstwie lub niezliczonych
ofiarach.

•Moim skromnym zdaniem nasi chłopcy są warci o wiele więcej niż
sto sztuk bydła - dodał Gates.

•Po zwycięstwie pod Troją - kontynuował Kilkenny - wielu Achajów,
niecierpliwiąc się, by wrócić do domów, odstąpiło od należnej bogom
ofiary. Bogowie byli niezadowoleni i Achajowie nigdy nie dotarli do
swych rodzin.

Gates nachylił się do Hana.

•Jak już wspomniałem, udaje Greka.

•Mów tak dalej, a wyjaśnię ci jeszcze, co to takiego jesień śre-
dniowiecza.

•Hej! - zawołał podekscytowanym tonem Gates. - Ten film akurat
znam.

- Tak też myślałem. A teraz przejdźmy do kolejnego problemu.

Kilkenny dołączył do Yina i Tybetańczyków, wciąż dyskutujących
nad czymś zawzięcie.

•Księżę biskupie, mam do naszych przyjaciół kilka prośb.

•Tak? - zapytał duchowny.

- Po pierwsze, czy mogliby, kiedy zgaśnie już ogień, zmielić na proszek kości naszych ludzi? Po drugie, musimy się stąd zbierać. Czy nie mają jakiejś łodzi? Niestety nie damy rady jej zwrócić.

Yin skinął głową.

- Nie chcę, żeby spotkały ich represje za okazaną nam pomoc, najlepiej więc, żeby mogli powiedzieć prawdę, gdy będą ich przepytawać Chińczycy. Oczywiście niecałą prawdę.

311

Biskup przetłumaczył pytania Kilkenny'ego. Tybetańczycy przez chwilę rozmawiali, po czym udzielili mu odpowiedzi.

•Norbu, najstarszy z nich, twierdzi, że rozrzucenie prochów będzie dla nich zaszczytem. Mówi też, że mają tutaj łódź, którą zeszłego lata zostawili jacyś turyści. Jego synowie nam ją pokażą.

•To bardzo miło z ich strony.

•Stosunki między Chińczykami a Tybetańczykami nie zawsze bywają dobre - wyjaśnił Yin. - Norbu twierdzi, że on i jego bracia powiedzą najmniej, jak mogą.

•Doskonale. Mogą zeznać, że ci, którzy ocaleli z katastrofy, spalili ciała martwych i że oni widzieli tylko dwóch ludzi odlatujących samolotem: księdza biskupa i mnie.

•A pozostali?

•Mam nadzieję, że nasi przyjaciele „zapomną” o nich wspomnieć.

Yin przetłumaczył uwagi Kilkenny'ego, z czego wynikała kolejna

rozmowa, która zakończyła się jeszcze jednym pytaniem Norbu skierował do Yina.

- Zrobiją, o co prosimy, ale mają też do nas prośbę.
- Mogą prosić, o co tylko zechcą - obiecał Kilkenny.
- Właściwie prośba jest adresowana do mnie. Chcą, żebym po dotarciu na Zachód przekazał ich wyrazy szacunku Kundunowi.

Amerykanin zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że to się da załatwić.

Zostawił biskupa z Tybetańczykami i dołączył do swoich ludzi stojących przy płonącym wraku.

- Jaki jest plan? - zapytał Gates.
- Wy troje i Yin płyniecie łodzią do Indii, a ja ruszam jako przynęta BAT-em.
- Chyba nie mówisz poważnie - stwierdziła Tao.
- To nie jest dobry pomysł - zgodził się Gates. - W horrorach bohater, jak tylko oddala się od grupy, za każdym razem kończy jako truposz.
- Chińczycy wiedzą, że próbujemy uciec samolotem. A skoro strąciliśmy im helikopter, zakładają, że ciągle możemy latać. Nie zmieścimy się wszyscy w samolocie, a jeżeli go tutaj zostawimy, zorientują się,

312

że usiłujemy uciec inną drogą. Oni będą mieli co ścigać, a wy sporą szansę na przemknięcie przez granicę.

•To ja jestem pilotem - sprzeciwił się Han. -1 ja powinienem zabrać

BAT-a.

•Masz żonę i dzieci, prawda? - zapytał Kilkenny.

•Mam.

•A ja nie. Wystarczy już wdów i sierot.

•Skoro kryterium jest posiadanie rodziny, to ja polecę - powiedział

Gates. - Dla ciebie jest jeszcze nadzieja.

•Doceniam to, Max, ale wolę, żebyś był w łodzi. Posłuchaj, nie jestem

kamikaze, naprawdę mam zamiar wydostać się z Chin w jednym

kawałku. Po prostu potrzebujemy czegoś, co odciągnie ich uwagę i

umożliwi wam ucieczkę.

•Ale dlaczego właśnie ty? - zapytał Han.

•Chodzi o czyste sumienie. Jeśli coś pójdzie nie tak, wolę, żebym to

był ja niż którekolwiek z was. Poza tym jestem szefem i musicie mnie

słuchać. A teraz, jeżeli was mogę przeprosić, mam jeszcze atomówkę

do spakowania i wiadomość do wysłania.

Kilkenny umieścił pochodzącego z BAT-a 2 RITEG-a w tyle kabiny

BAT-a 1 i włożył hełm.

- Połączenie satelitarne.

POŁĄCZENIE SATELITARNE URUCHOMIONE

- Wiadomość kodowana, pięć słów: „Początkowo rodzi się co minutę”.

POTWIERDZENIE: POCZĄTKOWO RODZI SIĘ CO MINUTĘ

- Wiadomość potwierdzona.

ADRESAT?

- Bombadil.

WIADOMOŚĆ WYSYŁANA DO: BOMBADIL

Kilkenny zdjął hełm i podrapał się w głowę. Przyjrzał się Yinowi.

Tybetańczycy traktowali biskupa z takim szacunkiem, jakby był lamą ich własnego wyznania.

- Zbiórka! - zawołał.

Wszyscy, łącznie z Tybetańczykami, dołączyli do niego i stanęli przy samolocie.

313

- Wysłałem właśnie parę słów do Rzymu, więc przy odrobinie szczęścia nie powinniście mieć problemów po drugiej stronie jeziora. Musicie się pospieszyć i wykorzystać mgłę, póki się utrzymuje. Ponieważ woda płynie z gór, będzie wam łatwiej. - Spojrzał na Yina. - Czy może ksiądz biskup wyrazić naszym tybetańskim przyjaciołom wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności za pomoc?

Gdy Yin mówił, Kilkenny uklonił się każdemu z mężczyzn, którym wyraźnie spodobał się jego gest. Następnie odwrócił się do swoich towarzyszy.

- Żadnych ckliwych pożegnań - stwierdził. - Spotkamy się po drugiej stronie. Uważajcie na siebie i postarajcie się jak najszybciej przekroczyć granicę.

Yin podszedł do niego, złożył ręce na piersiach i skłonił głowę. Po chwili podniósł ją, wsunął kciuki za kołnierz swojego kombinezону i ostrożnie wyciągnął ręcznie wystrugany krzyżyk. Przytrzymał go z czcią

w dłoniach, po czym z powrotem opuścił na pierś.

- Schyl głowę, pobłogosławię cię - powiedział cicho.

Kilkenny złożył ręce i zgiął szyję.

•Panie Jezu, opiekuj się tym człowiekiem, tak jak on zaopiekował się mną. Chron go od wszystkiego złego i pozwól mu wrócić bezpiecznie do domu. Amen.

•Amen - odpowiedział Amerykanin.

Podniósł głowę, zaś Yin wyciągnął ku niemu drobną, smukłą dłoń.

Kilkenny uścisnął ją i wyczuł w niej stalową siłę i ciepło. Z kolei w oczach biskupa odnalazł tę samą głębię i jasność, co w spojrzeniu zmarłego papieża Leona.

•Tylko Bóg wie, co czeka ciebie i mnie - powiedział Yin. - Jeżeli przyszłość różni się od naszych nadziei, chciałbym już teraz wyrazić ci swą wdzięczność.

•Nie ma za co - odparł Kilkenny. - Niech was Bóg prowadzi.

WATYKAN

ROZBRZMIEWAJĄCE Z GŁOŚNIKÓW KOMPUTERA RIFFY „GIMME SHELTER” obudziły Grina. Poprawił okulary, kliknął w środek logo i otworzył wiadomość od Kilkenny'ego.

POCZĄTKOWO RODZI SIĘ CO MINUTĘ

- Tylko nie zadanie z treścią - zawył. - Nie cierpię zadań z treścią.

Pożegnał się z tą myślą tak szybko, jak się pojawiła, przypisując ją naturalnemu pragnieniu niezakłóconego cyklu snu - czegoś, czego przez ostatnie dwa tygodnie zdecydowanie mu brakowało.

Potem pomyślał o oryginalnym cytacie: „Go minutę rodzi się frajer”.

Stwierdzenie przypisywane P. T. Barnumowi było bez wątpienia cyniczne i choć nie padło z jego ust, doskonale wyrażało zapatrywania wielkiego showmana. Grin wiele by dał, aby wiedzieć, co takiego Kilkenny miał na myśli.

„Skoro każdy rodzi się co minutę początkowo” - zaczęło mu chodzić po głowie - „to co dzieje się później?”

Zastanawiał się, jak do tego pasuje czas i co sprawia, że początkowa minuta się zmienia. Szybko zapełnił czystą kartkę notatnika przypadkowymi skojarzeniami, które przemykały przez jego ciągle domagający się snu mózg. Umysł informatyka wreszcie się poddał - studnia była pusta.

własny głos pozwoli mu uruchomić na nowo synapsy.

- Początkowy - powtórzył. Słowo to zamieniło się nagle w istną mantrę.

A potem spojrział na pierwszy zapisany na kartce wers.

„Jeżeli nie chodzi o czas” - myślał - „to może o początkowe litery, na przykład inicjały”.

Zakreślił kółkiem inicjały pierwszego i drugiego imienia Barnu-ma, po czym otworzył mapę regionu, w którym najprawdopodobniej znajdował się Kilkenny. W środku jednej z biegnących przez Tybet w Ladakhu dolin zauważył długie, wąskie jezioro o kształcie spłaszczonej litery N. Po tybetańskiej stronie nazywało się Bangong Co, ale po drugiej stronie granicy nosiło już nazwę Pangong Tso.

„P. T. No tak. Pangong Tso!”

Udało się.

Włączył telefon i zadzwonił do Donohera. Kamerling odpowiedział już po pierwszym dzwonku.

- Jakieś wieści od Nolana? - zapytał.

- Tak. Coś się stało. Dostałem bardzo konkretną wiadomość, wskazującą na jezioro rozciągające się po obu stronach granicy między Chinami a Indiami. Leży w jednej z dolin, którymi moim zdaniem Kilkenny zamierzał lecieć.

- W takim razie miałaś rację.

- Owszem, jeśli chodzi o dolinę, ale Nolan wskazuje nam teraz jezioro lub ściśle biorąc, indyjską stronę jeziora. Myślę, że nie są już w powietrzu. Podróżują wodą.

•Co oznacza, że kiedy dotrą do Indii, będą się poruszać pieszo.

Przekażę, co trzeba, naszym ludziom na miejscu - powiedział Dono-

her. - Daj mi znać, jak będziesz miał jakieś nowe informacje.

TYBET

CZARNY PIÓROPUSZ DYMU RYSUJĄCY SIĘ NA JASKRAWOBŁĘKITNYM niebie w nieomylny sposób wskazywał miejsce katastrofy harbina. Liu wiercił się niecierpliwie na tylnym siedzeniu za strzelcem pokładowym, zirytowany rozległością terenu, z której powodu wszelkie szacowanie odległości okazywało się zwodnicze.

- Daleko jeszcze? - gorączkował się.
- Tylko kilka minut, proszę pana - poinformował go spokojnie pilot.

Nieraz już miewał na pokładzie VIP-ów.

Gdy dolecieli do punktu docelowego, pióropusz zamienił się z cienkiej wstęgi w gęstą czarną kolumnę. Płomienie wściekle lizały szkielet ramy helikoptera, stapiając miękki metal i pochłaniając wszystko, co nie było zrobione z materiałów ognioodpornych.

Na ziemi, w bezpiecznej odległości od ognia, siedziało trzech Tybetańczyków. Przyglądali się krążącemu w poszukiwaniu miejsca do lądowania helikopterowi, ale żaden z nich nie wykonał najmniejszego ruchu - nie uciekał ani nie witał nowo przybyłych.

Harbin zawisł nad względnie płaską połącią gruntu, wysunął podwozie i wylądował. Pilot nie wyłączył wirnika, obawiając się, że teren może być niestabilny. Liu i Peng, obaj w kombinezonach lotniczych i hełmach, wyszli tylnymi drzwiami. Schylili się, biegnąc pod niemal niewidzialnymi łopatom rotora.

•Hej, wy tam! - zawołał Liu, podchodząc do Tybetańczyków. - Co tu robicie?

•Patrzemy na pożar - wyjaśnił łamanym chińskim Norbu.

•Widzieliście, co się stało? - zapytał spokojnie Peng.

•Zobaczyliśmy dym i przyszliśmy zobaczyć, co się pali. Duży pożar.

•Widzieliście coś jeszcze, jakieś samoloty?

•Widzieliśmy dwa. Jeden był uszkodzony, a drugi nie. Mężczyźni w szarych ubraniach wrzucili ten pierwszy do ognia. Chyba nie chcieli, żebyście go znaleźli. Wrzucili też do ognia swoich zmarłych.

•Opiszcie, proszę, tych mężczyzn - poprosił Peng. - Ilu ich było i jak wyglądali?

•Dwóch. Starszy, Chińczyk jak wy, i wysoki cudzoziemiec.

•Ktoś jeszcze? - zapytał natarczywym tonem Liu.

•Inni byli martwi.

•Co się stało, kiedy już spalili zmarłych? - przesłuchiwał dalej Peng.

•Obaj mężczyźni odlecieli na dziwnej maszynie.

•Gdzie polecieeli?

Norbu i pozostali wskazali na zachód, w kierunku wioski Rutog.

•Dlaczego ich nie zatrzymaliście? - zapytał wściekłym głosem Liu.

•Starszy z nich był świętym mężem - wyjaśnił Norbu.

- Rozmawialiście z nimi?

-Tak.

Liu odsunął się wściekły, starając się zebrać myśli. Pokazał ręką na płonący wrak.

•To wojskowy helikopter. Bronił Chin przez obcą agresją. Kiedy spotkaliście tutaj, w Chinach, cudzoziemca, w dodatku obok zniszczonego chińskiego helikoptera, czy nie pomyśleliście, że to on mógł spowodować katastrofę?

•Nie widzieliśmy, co się stało - odparł spokojnie Norbu. - Nie wiemy, co spowodowało katastrofę.

- Wy tępe błazny! - wrzasnął Liu. - Cudzoziemiec go zestrzelił!

Nagle wyciągnął pistolet i strzelił Norbu prosto w czoło. Bracia

Tybetańczyka rzucili się do ucieczki, ale zanim zdążyli zerwać się na nogi,

Liu zastrzelił również ich.

318

•Dlaczego pan to zrobił? - zapytał Peng zszokowany brutalnością przełożonego.

•Byli przestępcami - wyjaśnił Liu, uzupełniając w pistolecie zużyte kule.

•Przecież nic nie zrobili.

•Pomogli agresorom oraz zbiegłemu wrogowi ludu. Ich brak działań był czynem zarówno przestępczym, jak i niepatriotycznym.

•Ale to sąd powinien o tym decydować.

•Ministerstwo Sprawiedliwości doszłoby do tych samych wniosków co ja, oszczędziłem więc mu właśnie czasu i pieniędzy - odparł pewnym

siebie głosem Liu. - Idziemy, ciągle jeszcze mamy szansę dorwać

Yina.

Weszli z powrotem do helikoptera i podłączyli hełmy do systemu

komunikacji.

- Proszę pana - powiedział pilot - dostaliśmy właśnie meldunek: jakiś dziwny samolot dwadzieścia pięć minut temu przeleciał nad obrzeżami Rutogu.

- Jak daleko jest stąd do Rutogu?

- Niecałe pięć minut lotu.

- No to na co jeszcze czekasz?

- COŚ NIE BARDZO TA PLAŻA - SKRZYWIŁ SIĘ GATES. SYNOWIE
NORBU,

Rinzen i Tashi, prowadzili ich wzdłuż skalistego brzegu jeziora.

Han zanurzył palce w zimnej wodzie, skosztował jej i również się
skrzywił.

- Na ryby też się nie da pójść. Za słono.

Nad ich głowami rozległ się odgłos helikoptera, choć z powodu mgły
ani oni nie byli w stanie go dostrzec, ani jego załoga nie mogła ich
zauważyć.

•Mam nadzieję, że Nolan zdążył zdobyć sporą przewagę - powiedziała
Tao.

•Również moje modlitwy przez cały czas mu towarzyszą - dodał Yin.

Rinzena i Tashiego ogarnęło nagle podniecenie. Obaj popędzili
naprzód, zachęcając pozostałych, by również przyspieszyli kroku. We
mgle przy brzegu majaczyło sporo mniejszych i większych kształtów.

Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to łodzie.

- O, przystań! To stąd polują na potwora z Loch Ness - ucieszył
się Gates.

Podszedł do jednej z łodzi. Przypominała ponton: miała płaski
drewniany pokład, umieszczony na kilku dużych napompowanych
pęcherzach. Przyjrząwszy się bliżej, bosman zauważył ciasno splecione
szwy oraz kikuty wystające z worków.

•Go to ma być?

•Koza, oczywiście - wyjaśnił Yin. - Jak się ją odpowiednio szczelnie zaszyje, staje się całkiem przyzwoitym zbiornikiem na powietrze.

•A ja myślałem, że w życiu widziałem już wszystko.

•Na drewnianym szkielecie rozciąga się skórę jaka - dookreślił biskup.

- Elastyczne i wodoszczelne.

•I na tym mamy popłynąć do Indii? - zapytał sceptycznym tonem Han.

•Nie - odparł Gates. - Żeby udźwignąć naszą czwórkę, potrzebowalibyśmy czegoś większego, na przykład zrobionego z yeti.

Synowie Norbu minęli tradycyjne tybetańskie łodzie i zatrzymali się w końcu przy tej, której szukali. Wyglądała zupełnie inaczej niż pozostałe: była wysmukła i miała twarde burty. Gatesowi zaświeciły się oczy.

Przebiegł dłonią po gładkim granitowoszarym kadłubie, docierając wkrótce do uformowanej w polietylenie nazwy: „Windrider Rave”.

- Co to jest? - zapytał Han.

-Trimaran - wyjaśnił bosman, nie mogąc wyjść z podziwu, że znalazł taką łódź w najdalszym zakątku Tybetu. - Skąd to się tu wzięło?

Yin zapytał synów Norbu, którzy na zmianę zaczęli opowiadać historię.

- Latem pojawia się tutaj wielu turystów, którzy chcą zobaczyć jeziorko - tłumaczył biskup. - W tym roku znalazł się wśród nich pewien cudzoziemiec, bogaty Japończyk, który przyjechał z grupą przyjaciół. Przywiózł ze sobą łódkę, żeby pożeglować na jeziorze. Kiedy już zbierał się do domu, Chińczycy powiedzieli mu, że jeśli chce ją zabrać ze

sobą, musi opłacić licencję. Kosztowała bardzo dużo. Japończyk od mówił zapłaty i zostawił łódkę.

- Cudowny zbieg okoliczności, znaleźć tutaj taką łajbę - zadumał się bosman.

- Mieszkańcy zachodnich prowincji mają takie powiedzenie: Allach o to zadbał —zapropomował Yin.

- Widzę tylko dwa siedzenia - skrzywił się Han.

- No tak - przyznał Gates. - Co oznacza, że dwoje z nas usadowi się na siatkach zabezpieczających, zakładając, że gdzieś je tutaj znajdziemy.

321

Odłonił nakrycie kokpitu i znalazł worek z różnymi akcesoriami. Przy pomocy synów Norbu rozciągnął siatki zabezpieczające między głównym kadłubem a pływakami, zamocował liny i odwinął żagle. W dolinie wiała bryza o stałej sile, którą półprzezroczysty materiał koloru morskiego natychmiast złapał, łopotem obiecując pomyślny rejs na zachód.

- A teraz zajmijmy się tym, kto z kim siedzi - ogłosił Gates. - Roxanne, umiesz pływać?

-Tak.

- Świetnie, w takim razie zajmiesz miejsce na siatce zabezpieczającej na sterburcie. Terry, ciebie zapraszam na bakburtę. Padre, siędzie ojciec przede mną, a ja pewną ręką, czy raczej w tym wypadku stopą, złapię za ster.

Tao sceptycznie przyjrzała się naprężonej siatce, zawieszanej zaledwie kilka centymetrów nad wodą.

•A co byś zrobił, gdybym powiedziała: nie?

•Zapytałbym, czy potrafisz żeglować. A gdybym i tym razem uzyskał odpowiedź przeczącą, poradziłbym, żebyś trzymała się naprawdę mocno, ponieważ nie ma mowy, żebym posadził Yina na siatce. Nolan skopałby mi tyłek na sino, gdyby się dowiedział. Skoro więc wyjaśnienia mamy już za sobą, to hełmy włóż i zepchnijmy naszą tratwę do wody.

W szóstkę bez problemu podnieśli błyszczącą łódkę i wrzucili ją do głębokiego w tym miejscu po kolana jeziora. Tybetańczycy szybko wycofali się na brzeg, żeby lodowata woda nie przesiąkła przez ich filcowe buty. Tao i Han przytrzymali kadłub, pozwalając Gateso-wi i Yinowi wskoczyć na pokład. Bosman ostrożnie podciągnął się do kokpitu, wyregulował siedzenie i znalazł pedały. Tao i Han wskoczyli na swoje miejsca. „Windrider” szybko zareagował, idealnie łapiąc wiatr w żagle. Kliwer i grotzagiel wydeły się, po czym łódka zaczęła nabierać prędkości. Gates pomachał Tybetańczykom, którzy wkrótce rozplynęli się we mgle.

- Wyświetl GPS - zakomenderował.

Na przeziernym ekranie pojawiła się mapa terenu. Punkt w środku oznaczał ich obecną pozycję. Odczyty w kątach wskazywały prędkość, kierunek i wysokość nad poziomem morza.

322

- Wyświetl topografię.

Cienkie linie szybko przebiegły po zarysach gór, dolin i grzbietów otaczającego załogę terenu.

- Zidentyfikuj i wyświetl obwód jeziora.

Obraz rozszerzył się, a jasnoniebieskie linie podświetliły kontur całego zbiornika.

- Zaznacz linię środkową jeziora wzdłuż długiej osi, z zachodu na wschód.

Przez środek jeziora z Tybetu do Ladakhu przebiegła linia.

- Wyznacz kurs linią środkową przez wszystkie punkty orientacyjne. Włącz alarm w wypadku zboczenia o zero koma pięć kilometrów z kursu.

KURS ZDEFINIOWANY ALARM

WŁĄCZONY

-

Wiesz, dokąd płyniemy? - zapytał zaniepokojony nieco Han.

-Jasne! Przynajmniej dopóki nie wyczerpią mi się baterie w helikopterze.

KILKENNY PRZELECIAŁ NAD OBRZEŻAMI RIITOGU,

TRZYMAJĄC SIĘ

niecałe dwadzieścia metrów nad ziemią. Wycie silnika turbinowego przstraszyło nieobeznane z tak wysokimi dźwiękami bydło i przyciągnęło ciekawskich, którzy powychodzili ze skromnych budynków mieszkalnych.

Amerykanin pomachał do roześmianych dzieci, pędzących za BAT-em i starających się go dogonić; wiele z nich po raz pierwszy w życiu widziało z tak bliska samolot. Kilkenny zauważył, że kilku dorosłych biegnie w stronę centrum wioski, bez wątpienia pragnąc zameldować o pojawieniu się dziwnego obiektu. Jego wizyta w Rutogu, choć krótka, okazała się na tyle sensacyjna, by skutecznie przyciągnąć uwagę.

Z wioski poleciał na północny zachód, w stronę miejscowości Bar, przez cały czas ostrożnie trzymając się trochę ponad rzedniejącym dywanem mgły. Gdy pędził przez dolinę, wokół niego roztaczały się zapierające dech w piersiach widoki. Po obu stronach samolotu ciągnęły się pofałdowane lekko góry koloru czekolady, a teren poniżej układał się w fantastyczne kształty, uformowane przez tysiąclecia wywołanej lodowcem erozji. W dali pięli się w górę giganci - ostro zakończone szczyty Himalajów. Granitowe błękity i czyste biele najwyższych gór świata połyskiwały w porannym słońcu.

W pobliżu Baru Kilkenny skręcił na zachód i obrał kurs wzdłuż wąskiego kanionu, wijącego się w kierunku chińsko-indyjskiej grani-

cy. Kiedy zbliżał się do pierwszego punktu orientacyjnego na zachodzie, usłyszał łoskot wirnika. Spojrzawszy przez ramię, zauważył har-bina, który z wzniesionym ogonem pędził w jego stronę z prędkością trzykrotnie przekraczającą osiągi BAT-a. Zerknął na siedzenie obok, sprawdzając, czy spory tobołek z maskującą plandeką jest na nim bezpiecznie umocowany. Następnie zaczął wykonywać wymijające manewry, by jego BAT stał się trudniejszym celem dla uzbrojonego helikoptera.

- ZDMUCHNIJ GO! - ROZKAZAŁ LIU.

Strzelec pokładowy otworzył ogień i zamontowane pod dziobem lufy zaczęły pluć kulami kaliber 12,7 mm. Tor lotu pocisków smugowych znaczyły jasnopomarańczowe pasma. Pilot zwolnił, żeby nie przelecieć nad nieprzyjacielskim samolotem, i skorygował linię ataku, próbując nadążyć za rzucającą się na wszystkie strony ofiarą.

KILKENNY POCZUŁ ZAPACH KORDYTU wydzielany przez przelatujące obok pociski - to jego umysł przywołał wspomnienia nieodłącznie związanego z walką swądu. Skierował dziób BAT-a w dół, jednocześnie wykonując półboczki w prawo. Zwrotność samolociku, zdecydowanie ułatwiająca życie jego pilotom, zrekompensowała do pewnego stopnia brak wprawy Kilkenny'ego, dzięki czemu udało mu się wykonać całkiem przyzwoity wywrót. Kiedy BAT zanurzył się w mgłę, Amerykanin zmienił kierunek beczki o sto osiemdziesiąt stopni. Zobaczył, jak nad głową przemyka mu cień harbina, zwalniającego w miarę zbliżania się do punktu, w którym przed chwilą zniknął we mgle. Sięgnął na siedzenie obok i odpiął pięciopunktową uprząż. Ścisnąwszy mocno prawą dłońią kamuflującą

plandekę, pociągnął za drążek i zmusił BAT-a do pętli.

- Ha! A mama mówiła, że te wszystkie godziny spędzone przy „Air Combat” to strata czasu!

325

- TRAFIŁEŚ GO? - KRZYKNAŁ LIU.

•Chyba nie - odpowiedział strzelec pokładowy.

•Facet pewnie próbuje zawrócić i zaskoczyć nas od tyłu - stwierdził pilot. - Wszyscy niech mają oczy otwarte.

Harbin zwolnił, a pilot zaczął ostrożnie skręcać w prawo. Peng, który siedział za nim po prawej stronie śmigłowca, przeczesywał wzrokiem gęste opary mgły, szukając jakiegokolwiek śladu czającego się gdzieś poniżej wroga. Nie zauważył nic, ale hełm zawęził mu pole widzenia, nie do końca może zamieniając go w ślepcę, ale zmniejszając po bokach widoczność o jakieś dziesięć procent. Nie wiedział, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie, ale gdy wreszcie wypatrzył BAT-a, ten walił już prosto na nich z mgły niczym pocisk.

- Za nami! - zawołał.

Pilot przechylił drążek ostro na prawo, obracając działka, ale BAT był już ponad nimi. Kilkenny, odwrócony do góry nogami, zerwał z siedzenia plandekę i cisnął ją daleko za skrzydła. Główny wirnik harbina zassał i pochłoniął zwinięty lekki materiał, który po chwili trzepotał już jak oszalały w śmigłach, przypominając flagę na wietrze i spowijając helikopter od góry maskującą zieloną aureolą.

•Coś jest na wirniku! - krzyknął Peng.

•Czuję to! - zawołał pilot. - Zakłóca mi przyrządy.

Skręcił w stronę miejsca, gdzie BAT wyłonił się z mgły, i popędził przed siebie na pełnych obrotach. Strzelec pokładowy wypatrzył unoszący się im nad głową czarny kształt i natychmiast pociągnął za spust karabinków. Harbin wypuścił z bliska w stronę kruchego BAT-a morderczą kanonadę. Ciężkie kule poprzecinały jego wykrzywione skrzydła i wyrwały z mocowań gondolę.

BAT zadrzał pod zaporą ognia. Kilkenny poczuł, że włoski jeżą mu się na karku: kiedy dał nura przez ścianę ognia, pociski przelatowały tuż obok, niektóre zaledwie o kilka centymetrów od niego. Gondolę zaczął trawić od środka ogień, wyrzucając w powietrze chmurę ceramicznych odłamków.

Podobnie jak wcześniej jego koledzy w BAT 2, Kilkenny poczuł, że deszcz igiełek przecina mu skórę. Rozpaczliwie próbował opanować samolot, który z powrotem zanurzył się we mgłę.

326

WIRNIK NAD KABINĄ HARBINA poszatkował jedyną broń Kilkenny'ego, zamieniając wielką płachtę plandeki w setki postrzępionych pasków.

•Rozrywa się - zauważył Peng.

• *Wa cao!* - zaklął pilot. - Zniszczy nam silniki.

Oba turbowałowe silniki wciągały fruujące szczątki, przez co kolejne warstwy maskującego materiału dławiliły wlot powietrza do kompresorów.

Te, zdestabilizowane przez nierównomierny dopływ powietrza, zaczęły się rozpadać. Gdy pilot pospiesznie usiłował uchronić silniki przed uszkodzeniem,abinę wypełniły trzaski przypominające odgłos

wystrzałów. Z kompresorami było coraz gorzej.

- Przygotować się na uderzenie! - zawołał pilot. - Spróbuję lądowania awaryjnego!

Odłączył wirnik od zepsutych już silników, pozwalając łopatom obracać się tylko siłą rozpędu. Opuścił maksymalnie dźwignię skoku ogólnego i mocy, starając się utrzymać odpowiedni obrót na minutę wirnika, i wcisnął mocno prawy pedał, żeby kadłub nie obracał się pod śmigłami. Harbin popędził dziobem w dół, tracąc energię i zagłębiając się we mgłę. Pilot pociągnął drążek sterowy, korygując kąt opadania i starając się, by powietrze przechodziło przez główny wirnik stałym strumieniem. Łopaty ponad kabiną obracały się nadal niczym wirujące w powietrzu nasionko klonu, spowalniając upadek na ziemię śmigłowca. Pilot manewrował helikopterem jak szybowcem.

- Utrzymam nas w górze jak długo się da, ale musimy szybko lądować - ostrzegł. - Znajdźcie jakieś płaskie miejsce!

BAT POSZYBOWAŁ w DÓŁ niczym ranna gęś, bezsilnie trzepocząc skrzydłami.

RITEG się wyłączył, wskaźniki zdechły. Kilkenny zastanawiał się, czy jego wkrótce nie czeka to samo. Próbował rozluźnić napięte mięśnie - czekało go twarde lądowanie.

Samolot wpadł do jeziora odwrócony do góry nogami. Jego skrzydła wbiły się w wodę jak dłuto, wciskając Kilkenny'ego w siedzenie. Wrak prawie natychmiast zaczął tonąć. Amerykanin, ciągle mając nogi przypar-

zwalniający pięciopunktowe mocowanie. Złapał za ramę w miejscu, w którym rurkowane segmenty łączyły się z górną częścią konstrukcji, podciągnął nogi, uwalniając je z siedzenia, i wpadł do wody.

Chociaż kombinezon chronił większość jego ciała przed wyziębieniem, lodowata woda natychmiast przedostała się przez wszystkie najdrobniejsze nawet nacięcia spowodowane przez odłamki gondoli. Atakujący każdą ranę słony roztwór zwiększył liczbę jonów przepływających przez jego system nerwowy, przekazując sygnały bólu do mózgu. Niemal w tej samej chwili chłód wywołał odrętwienie wokół odsłoniętych ranek, w rezultacie znieczulając je i wprawiając w konsternację umysł, który musiał przeanalizować dane i zdecydować, jakie bodźce uznać za dominujące.

Pływał przez chwilę w miejscu, starając się odzyskać czucie w członkach i ocenić sytuację. Woda zalała układy elektroniczne w hełmie i ekran zamigotał - w odróżnieniu od kombinezonu kask nie został zaprojektowany z myślą o zanurzeniu. Zanim jednak wskaźniki zniknęły, Kilkenny zdołał określić, w którą stronę powinien płynąć, żeby najszybciej znaleźć się na brzegu. Zdjął hełm, który napętnił się wodą do wysokości ust, i wrzucił go do jeziora. Amerykanin sprawdził, czy ma przy sobie pistolet i nóż bojowy, a następnie jak najszybciej popłynął w stronę lądu.

Powierzchnia Bangong Co była gładka jak tafla szkła. Woda pod płaszczykiem mgły okazała się błękitna. Dzięki miarowym ruchom ramion i nóg w kończynach Kilkenny'ego żwawo pulsowała krew. Pływanie

ułatwiał mu wysoki poziom zasolenia jeziora, dzięki któremu jego ciało wydawało się lżejsze, ale zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę życie ocalił mu kombinezon. Bez niego na długo przed dotarciem do brzegu uległby hipotermii.

„Zastanawiam się, jak zareaguje Gates” - pomyślał - „kiedy opowiadając mu o wszystkim, wspomnę o Ikarze”.

PILOT STARAŁ SIĘ UTRZYMAĆ podskakującego harbina na odpowiedniej wysokości. Wszyscy czterej mężczyźni zawzięcie wpatrywali się

328

w przednią szybę, tak jakby siłą woli chcieli przebić się przez zasłonę mgły i znaleźć bezpieczne miejsce do lądowania. W miarę jak zbliżali się do brzegu, opary zaczynały rzednąć, rozpędzane przez słońce i wiejący od strony gór wiatr. W południe po mgle mogło już nie być śladu.

- Widzę coś - powiedział strzelec pokładowy.

Z przodu zamajaczyła góra, pilot skręcił więc, kierując się równoległe do wybrzeża. Zbocze opadało niemal pionowo do wody.

Pilot leciał nadal skrajem zbiornika, obserwując, jak woda okrąża górę, spływając tam, gdzie opór jest najmniejszy. Po drugiej stronie wzniesienia linia brzegowa prostowała się, tworząc jedno z dłuższych ramion jeziora.

- Szukajcie doliny albo zatoczki - polecił pilot.

Ledwo zdążył zamknąć usta, wyłonił się przed nimi płytki rów między wzniesieniami. Chińczyk szerokim łukiem ustawił harbina prostopadle do wybrzeża, dziobem w stronę wiatru. Następnie wysunął podwozie i

poderwał w górę dziób, zmniejszając tempo opadania i prędkość.

Śmigłowiec wydawał się unosić w powietrzu, ale ziemia nadal zbliżała się bardzo szybko. Pilot wyrównał lot i posadził harbina. Lądowaniu towarzyszył zgrzyt, a śmigłowiec rzucił się do przodu i przechylił o jakieś dziesięć stopni na lewo.

- Wszyscy na zewnątrz! - rozkazał pilot.

Załoga i pasażerowie wyszli z prawej strony. Z wlotów silników wydobywał się dym, a w powietrzu czuć było ostry zapach. Pilot zeskokczył na ziemię, żeby sprawdzić stan maszyny. Harbin był wyposażony w wysuwane trójkołowe podwozie. Prawe tylne koło uderzyło w dużą skałę i się złamało.

•Pilot! - warknął Liu. - Zamelduj o naszym położeniu i natychmiast sprowadź pomoc.

•Zrobię to - mężczyzna starał się kontrolować głos - ale najpierw muszę ocenić stan śmigłowca.

Peng odłożył na ziemię hełm i stanął przy krawędzi wody. Jezioro było spokojne, fale bezdźwięcznie chlupotały o brzeg. Znalazł gładki kamień i cisnął nim z ukosa w wodę. Podskoczył dwa razy na powierzchni, po czym zatonął. Dźwięk odbił się w górach dziwnym echem. Chińczyk podniósł jeszcze jeden kamień i już miał nim rzucić w ślad za pierwszym, gdy nagle usłyszał plusk. Odgłos był słaby, ale miarowy i powoli narastał.

329

•Słyszysz pan? - zapytał.

•Co? - zdziwił się Liu.

•Proszę słuchać.

Liu zdjął hełm i przechylił głowę, kierując ucho w stronę jeziora.

•Pewnie ptaki.

•Raczej nie - stwierdził Peng. - Dźwięk jest zbyt regularny. Jego

przełożony wsłuchał się uważniej i rzeczywiście wychwycił

jakiś stały rytm, jakby uderzeń.

- Myślisz, że ktoś przeżył?

Peng zanurzył dłoń w wodzie, ale cofnął ją natychmiast.

•Lodowata. Nie sądzę, żeby ktoś urządzał sobie kąpiel, a Kilken-ny był

kiedyś w Fokach. Oni przechodzą trening w zimnej wodzie.

• *Cao!* - zaklął Liu, wpatrując się we mgłę. - Jeżeli to pływak, gdzie on

jest?

•Trudno powiedzieć. Dźwięk odbija się od otaczających nas skał. Ale

zdecydowanie zbliża się do brzegu.

•Ty idź tędy - rozkazał Liu, wskazując na wschód. - Jeżeli go

znajdziesz, zabij go.

Peng skinął głową i mężczyźni się rozdzielili.

Liu szedł ostrożnie wzdłuż skalistego wybrzeża, starając się określić

źródło ulotnego dźwięku. Jego intensywność ciągle się zmieniała, ale

ogólnie wydawał się dobiegać z coraz mniejszej odległości. Po dziesięciu

minutach Chińczyk stwierdził, że dzieli go od miejsca wymarszu prawie

pięćdziesiąt metrów trudnego terenu, a dźwięk rozbrzmiewa gdzieś w

pobliżu.

Wreszcie wypatrzył w oparach samotnego pływaka, który długimi

pociągnięciami ramion przebijał się przez spokojną powierzchnię wody.

Liu rozejrzał się i zauważył sporych rozmiarów głaz, za którym postanowił się schować. Doszedł do wniosku, że gdy pływak wynurzy się z wody, zmarznięty i zmęczony, będzie dziecinnie łatwym celem.

Mężczyzna zwolnił, po czym dotarł do płycizny i zatrzymał się. Ponad powierzchnią trzymał tylko górną część głowy oraz lufę pistoletu - i w takiej pozycji zlustrował okolicę. Nie dostrzegłszy zagrożenia, wstał, zdjął kominiarkę i brodząc, zaczął pokonywać odległość dzielącą go jeszcze od lądu. W tym momencie Liu strzelił ostrzegawczo w wodę tuż obok jego nóg. Nie miał wątpliwości, że to Kilkenny.

330

- Rzuć broń za siebie do jeziora! - wrzasnął Chińczyk, wychodząc zza głazu.

Kilkenny zatrzymał się i pokręcił głową w zdumieniu.

•To chyba nie jest mój dzień.

•Broń! - zawołał ponownie Liu.

Kilkenny cisnął pistolet przez ramię. Usłyszał, jak z pluskiem wpada do wody.

- A teraz nóż - rozkazał Chińczyk.

Trzymając dłonie na widoku, Amerykanin odpiął zamocowaną przy nogawce pochwę z nożem i również ją wrzucił do jeziora.

- Nogi szeroko! Ręce za głowę! Już!

Kilkenny spełnił rozkaz, rozstawiając nogi i lekko uginając kolana. Liu podszedł do niego.

- Gdzie jest Yin Daoming?

Kilkenny zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, po czym doszedł do wniosku, że jest zbyt obolały i zmęczony, żeby się opierać.

- Odszedł.

•Odszedł? - powtórzył wściekle Liu. - Dokąd? Kilkenny przechylił głowę, wskazując na wodę.

•Jest w jeziorze.

•Nie żyje?

•Nie sędzę, żeby dopłynął do brzegu.

Liu uśmiechnął się na myśl o ciele Yina tonącym w lodowatych odmętach jeziora. Zbliżył się jeszcze trochę.

•Powinienem być cię zabić wtedy w Rzymie.

•To samo właśnie pomyślałem o tobie.

•Dlaczego to zrobiłeś? Czemu ten księżulo jest dla ciebie taki ważny?

•A rozmawiałeś z nim? - zapytał Amerykanin.

•Jasne. To stary głupiec.

•W takim razie nie słuchałeś.

•Słuchałem, i to jeszcze jak. Ty i ci, którzy cię wysłali, wszyscy jesteście głupcami omamionymi przez religię.

Liu podszedł do Kilkenny'ego i przycisnął mu koniec lufy do brzucha.

Obaj mężczyźni stali teraz twarzą w twarz. Amerykanin spojrzał przeciwnikowi w oczy i ogarnęło go obrzydzenie.

- Patrzycie na niebo i widzicie tam coś, co nie istnieje - kontynu

ował Chińczyk. - Wasza religia to tylko obłęd na skalę masową. Boga

nie ma i zaraz ci to udowodnię.

Kilkenny jednym ostrym, płynnym ruchem przekręcił się na prawo, równocześnie zataczając łuk lewą ręką w dół niczym łopata wiatraka.

Otwartą dłonią uderzył w nasadę dłoni Liu, w której ten trzymał pistolet.

Siła ciosu odsunęła broń od brzucha Amerykanina i złamała trzy kości śródrezcza Chińczyka. Zanim jednak pistolet pofrunął w stronę jeziora, Liu udało się pociągnąć za spust i kula wbiła się Kilken-ny'emu w bok.

Amerykanin zamachnął się do drugiego uderzenia, ale otrzymany strzał pozbawił jego cios siły i prędkości. Liu odchylił się i prawą ręką z łatwością go sparował, podbijając napastnikowi łokieć i przedramię. Jak maszyna odwrócił się i przejął kontrolę. Lewą dłonią zablokował prawą pięść komandosa, a gdy ta przemknęła obok, złapał go za nadgarstek i wbił mu kolano w bok.

Ból oślepił Kilkenny'ego, sprawiając, że niemal stracił czucie w ręce, którą Chińczyk wykręcił mu za plecami, zmuszając go do zgięcia się wpół, a następnie zakręcił nim, obezwładniając unieruchomione przedramię między łopatkami i odwracając go w stronę jeziora.

- Ruszaj się! - wrzasnął, wbijając Kilkenny'emu kciuk zranionej dłoni prosto w ranę po kuli.

Ciało Amerykanina przeszył grot bólu. Poczuł, że uginają się pod nim kolana i niemal zemdlał. Zatoczył się przed siebie, prawą nogę postawił pewnie na ziemi, lewą podciągnął do piersi i zbierając wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały, obrócił się wokół własnej osi. Wyrwał ramię z uścisku Chińczyka i złapał go za nadgarstek. Przeniósł środek ciężkości na prawą

stopę, używając Liu jako przeciwwagi. Poczul, że Azjata próbuje się oswobodzić i cofnąć przez morderczym ciosem zbliżającej się w jego stronę pięści. Kiedy niemal mu się to udało, Kilkenny go puścił. Liu odskoczył, unikając ręki przeciwnika, ale nie jego nogi.

Stopa Kilkenny'ego wylądowała idealnie na środku klatki piersiowej Liu, łamiąc mu mostek. Chińczyk przewrócił się na skalistą plażę, a Amerykanin wylądował w głębokiej na jakieś trzydzieści centymetrów wodzie. Liu ledwo był w stanie złapać oddech, ale wiedział,

332

że nie może czekać na następny cios. Wyszarpnął z buta składany nóż i otworzył go wprawnym ruchem nadgarstka. Jako nożownik był oburęczny.

Obaj mężczyźni powoli podnosili się z ziemi. Liu z trudem oddychał, a Kilkenny poczuł nagle spotęgowany ból, ponieważ słona woda opłukała mu ranę postrzałową. Azjata zaatakował. Komandos wycofał się do jeziora. Kombinezon izolował go od chłodu, za to Liu natychmiast przemarzł do kości, gdy lodowata woda wlała mu się do czarnych skórzanych butów. Kilkenny ustawił się lewą stroną do napastnika, uniósłszy lewą rękę do bloku i osłaniając prawym ramieniem ranę.

Chińczyk stanął tak, że wyglądał jak jego lustrzane odbicie, pogruchotaną ręką chroniąc klatkę piersiową i wysuwając przed siebie dłoń uzbrojoną w nóż.

Dno, podobnie jak powierzchnia na brzegu, było skaliste i nierówne, a Liu z powodu zimna z każdą sekundą tracił czucie w stopach. Zamachnął

się nożem, lecz Kilkenny sparował uderzenie. Obaj mężczyźni byli ranni i obydwóm brakowało solidnego oparcia pod stopami, przez co żaden nie mógł wymierzyć silnego ciosu.

Chińczyk ponownie zaatakował nożem, a kiedy Kilkenny zablokował cios, odwrócił dłoń i ciął ostrzem w dół. Klinga wbiła się Amerykaninowi w udo. Komandos uderzył sierpowym z dołu, trafiając Liu w podbródek. Azjata cofnął nóż, zataczając się od ciosu, ale odzyskał równowagę i przypuścił kolejny atak. Rzucił się na przeciwnika całym ciałem, jednakże Kilkenny przekręcił się i ostrze przecięło powietrze. Mimo to Chińczykowi udało się zderzyć z Amerykaninem i obaj przewrócili się, wpadając do lodowatej wody.

Pięść Liu zagłębiła się w płytką wodę i trafiła na ostrą skałę. Nóż wypadł mu z ręki i zniknął. Kilkenny wylądował na brzuchu, z Liu na plecach. Chińczyk zorientował się, że ma przewagę - usiadł i wbił przeciwnikowi kolano w obolały bok. Z płuc Kilkenny'ego uciekło powietrze. Mało nie stracił przytomności i ledwie udało mu się utrzymać głowę ponad wodą. Azjata złapał go za włosy i zanurzył mu twarz w jezioro.

Kilkenny poczuł, że słona woda pali go w nozdrza, wdziera się do ust i że twarz mu drętwieje. Chińczyk wyciągnął jego głowę na powierzchnię, pozwalając złapać powietrze i odwlekając finał walki.

333

- *Wo xi wang ni tnan man si, dan kuai dian xia diju!* - zaryczał. Jego gardłowy głos był prymitywny i przerażający.

Zanurzył znowu głowę Kilkenny'ego, przyciskając mu twarz do skał.

Resztkę powietrza uciekła Amerykaninowi z płuc, a kiedy zaczął się krztusić, Azjata jeszcze raz wyciągnął go nad powierzchnię.

- W twoim barbarzyńskim języku - syknął - życzę ci powolnej śmierci, ale szybkiej podróży do piekła!

Lodowate jezioro znowu pochłonęło Kilkenny'ego. Wiedział, że Liu nie wyciągnie go po raz kolejny. Sięgnął za siebie, starając się znaleźć cokolwiek, czym mógłby zaatakować napastnika, ale Liu przeniósł ciężar ciała na drugą stronę i wbił kolano jeszcze mocniej w bok Amerykanina. Kilkenny zduszonymi spazmami zaczął nabierać w usta słonawej wody. Oparł dłonie o dno jeziora i spróbował się podnieść, ale nierówna skała ustąpiła pod jego ciężarem. Dłonie straciły oparcie, a pierś znowu osunęła się na kamienie. Z jego ust wydobyły się kolejne pęcherzyki powietrza, w gardle gromadziło się coraz więcej wody.

Zaczął tracić przytomność. Myślami uczepił się Kelsey, dziecka, które stracili, rodziny, której nigdy nie będzie miał. A potem ogarnęła go ciemność.

CIEMNOŚĆ, KTÓRA POCHŁONEŁA KILKENNY'EGO, USTĄPIŁA TAK nagle, jakby wydobywał się z otchłani wody na skąpaną w słońcu powierzchnię. Przez przymknięte powieki wyczuł ciepło coraz intensywniejszego światła.

Świadomość wracała powoli, przesączaając się do mózgu przez spowijające go mgliste opary.

Po twarzy przebiegła mu ciepła bryza, poczuł delikatny chlupot fali rozbijającej mu się o policzek. Odruchowo zlizął niesforną kroplę z ust.

„Woda”.

Jednoczesne podrażnienie zmysłu dotyku i smaku sprawiło, że odzyskał orientację, a przez jego umysł zaczęła się sączyć strużka świadomych myśli.

„Jestem w wodzie” - rozumował - „ale gdzie?”

Pamięć go zawodziła. Wszystko co było, wydawało się w tej chwili niewyraźną plamą, a obrazy okazały się zbyt migotliwe, żeby je uchwycić.

Nolan pamiętał wodę, ale nie przypominał sobie ciepłej cieczy, która kołysała teraz jego bezwładnym kształtem. W tym odległym wspomnieniu czaiła się słona otchłań, zimna jak śmierć.

Na jego twarz padł cień, zasłaniając słońce. Poczul, że ktoś kładzie mu delikatnie dłoń z tyłu głowy, a potem czyjeś usta na swoich wargach.

Pocałunek był powolny i trwał w nieskończoność, wiele mówiąc o namiętności, którą kobieta odczuwała do miłości swojego życia.

zaledwie odrobinę odsuwając usta od jego warg. Jej głos był melodyjny i brzmiał znajomo.

•Może.

Roześmiała się i pocałowała go ponownie, po czym oderwała się od niego i zaczęła brodzić przez wodę w stronę brzegu. Nolan pozwolił zanurzyć się nogom głębiej. Po chwili jego stopy trafiły na piaszczyste dno. Wstał i stwierdził, że jest zanurzony po pierś w spokojnym jeziorze, że słońce świeci mu nad głową i że przed nim rozciągają się łagodne krzywizny falujących wydm wybrzeża jeziora Michigan.

Kelsey wynurzała się powoli niczym Wenus. Nolan stał oniemiały, patrząc, jak jego żona wychodzi z wody, nawet nie marszcząc jej powierzchni. Długie jasne włosy, związane w warkocz, kołysały się jej między łopatkami. Na opalonej skórze giętkiego ciała połyskiwała woda.

Uśmiechnął się, rozpoznając jaskrawe bikini, które kupiła sobie na miesiąc miodowy.

Nie widział nikogo więcej, ale wyczuł, że nie są sami. Patrzył, jak Kelsey idzie plażą w stronę ogromnego parasola rzucającego cień na stary plażowy kocyk, który uwielbiała od dzieciństwa. Coś poruszyło się w cieniu i Kelsey nachyliła się, po czym wzięła na ręce chłopczyka. Nolan wiedział, że to ich małe dziecko. Kiedy wróciła do męża, nagi Toby tulił się z zadowoleniem do jej piersi.

Zabolało go serce - zobaczył przyszłość, o której marzył i która była kiedyś tak kusząco blisko. Ale siła pragnienia nie wystarczyła, by zmusił się do wyjścia z wody na plażę.

•Wiesz, że musisz wrócić - powiedziała Kelsey tonem, którego używała, przymilając się do niego rano, żeby wyciągnąć go z łóżka.

•Nie mogę was obojga znowu stracić.

•Nolan, nigdy nas nie straciłeś. Tobie i ja jesteśmy w domu. I będziemy tutaj czekać, aż nadejdzie twój czas. Nie przestawaj pływać, ukochany. Pływaj.

„Pływaj?” Nolan spróbował poruszyć rękami i nogami, ale były jak z ołowiu. Lodowaty prąd odepchnął go od lądu, a światło zamieniło się w totalną ciemność.

GDY PENG USŁYSZAŁ STRZAŁ, RZUCIŁ SIĘ PĘDEM PRZEZ SKALISTE wybrzeże w stronę, którą poszedł sprawdzić Liu. Dotarł tam w momencie, gdy agent wyrzucił z siebie ostatni obraźliwy epitet pod adresem Kilkenny'ego, po czym zanurzył mu głowę pod powierzchnię wody. Młody oficer stanął w miejscu, wycelował, ściskając mocno w obu dłoniach broń, i wypalił. Z lewego łokcia Liu wytrysnęła fontanna krwi zmieszanej z kawałkami kości. Dwie kule kaliber dziewięć milimetrów roztrzaskały mu staw. Azjata instynktownie przycisnął zranioną rękę do piersi, zwalniając uścisk na głowie Amerykanina. Spojrzał w kierunku, z którego strzelano, i zobaczył Penga.

•Idiota! Co ty robisz? - zawył.

•Kończę to szaleństwo - wyjaśnił spokojnie jego podwładny.

Gdy raz za razem naciskał spust, opróżniając ostatecznie magazynek, przed oczami miał obrazy torturowanej w Chifengu rodziny. Strzelał, żeby zabić. Na czole i piersi Liu wykwitły rany. Po chwili upadł martwy do wody.

Peng, chowając po drodze broń do kabury, ruszył biegiem w stronę dwóch kształtów unoszących się bez życia na powierzchni jeziora. Zdjął z pleców Kilkenny'ego ciało Liu i wepchnął je głębiej w wodę. Amerykanin nie wypłynął. Młody Chińczyk stanął okrakiem nad jego

337

nogami, sięgnął pod wodę, objął ramionami brzuch topielca i zaczął szybko ciągnąć go w stronę brzegu.

Ciało Kilkenny'ego ugięło się w ramionach Penga, głowa i ręce dyndały w okolicach jego kolan, ale przez cały czas ponad powierzchnią wody. Chińczyk odchylił się mocno, napiął mięśnie, starając się znaleźć przeciwwagę dla przemoczonego półtrupa, i ciągnął go uparcie w stronę brzegu. Z każdym ostrożnym krokiem wzmacniał uścisk. Z ust i nosa Amerykanina wyciekała słona woda, najpierw kroplami, potem stróżką. Wreszcie Pengowi udało się wywlec go na brzeg.

Ostrożnie ułożył topielca na względnie płaskim fragmencie kamienistej plaży i przypominając sobie szkolenie z udzielania pierwszej pomocy, przechylił jego głowę do tyłu, po czym zaczął sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Klatka piersiowa Amerykanina, pozbawiona wody, uniosła się. Peng odsunął usta, pozwalając, by z płuc ofiary wyszło powietrze i chcąc się przekonać, czy jego organizm sam zacznie oddychać. Nic z tego jednak się nie stało.

Na szyi Kilkenny'ego wyczuł słaby puls. Powtórzył sztuczne oddychanie. Za trzecim razem komandos zacharczał i zaczął kaszleć.

- Spokojnie, przyjacielu - powiedział Chińczyk.

Delikatnie obrócił Kilkenny'ego na bok. Obolały mężczyzna zaczął gwałtownie łapać powietrze, starając się zwalczyć ataki silnego kaszlu. Wreszcie udało mu się wyrównać oddech. Wyczerpany opadł z powrotem na plecy.

- Otwórz oczy - polecił Peng.

Kilkenny starał się skupić. Głos Chińczyka wydawał się odległy i nierzeczywisty.

- Słyszysz mnie? - dopytywał młodzieniec. - Otwórz oczy.

Amerykanin zatrzepotał powiekami, usiłując spełnić prośbę. Wydawało mu się, że ma pod nimi pełno żwiru. Światło go raziło. Mrugał, starając się przyzwyczaić wzrok do jasności.

- Bardzo dobrze. Nie możesz stracić przytomności. Jak się czujesz?

Miał spierzchnięte usta i obolałe gardło, a niezliczone rany na jego ciele teraz nagle zaczęły boleśnie o sobie przypominać.

- Kula? - zacharczał.

338

Peng szybko zbadał Kilkenny'ego i zauważył liczne bardziej lub mniej poważne rany. Amerykanin skrzywił się, kiedy wyciągnął mu niewielki kawałek ceramiki, wystający z kamizelki kuloodpornej.

- Tak, jest kula. Poza tym rana kłuta, no i widzę, że chyba do stałeś się pod deszcz odłamków. - Peng zaśmiał się. - Wyglądasz jak Bruce Willis.

Kilkenny również się roześmiał. Zabolało.

- Jeśli tak u was wygląda Boże Narodzenie, to ja chcę zobaczyć sylwestra.

-Co?

•Cytat ze „Szkłanej pułapki”.

•Ach, dowcip. Bardzo dobrze. Chyba przeżyjesz.

Świat zaczął nabierać konturów. Kilkenny uniósł nieco głowę, ale zakręciło mu się w niej, opadł więc z powrotem, zwracając twarz w stronę

jeziora. Na jego spokojnej powierzchni unosiło się ciało mężczyzny.

•Co się stało? - zapytał.

•Walczyliście.

-1 przegrałem - stwierdził Amerykanin. Szczegóły zaczynały mu się rysować w świadomości, początkowo mgliście, potem coraz wyraźniej. -

Tonałem.

- Liu właśnie miał zamiar cię zabić, gdy się pojawiłem.

Kilkenny odwrócił się w stronę mężczyzny, którego głos brzmiał dla niego znajomo. Po chwili sobie przypomniał.

- Peng?

Chińczyk skinął głową.

- Uratowałeś mnie?

•Po prostu niechcący wypaliła mi broń - wyjaśnił z cieniem uśmiechu na ustach Peng. - Coś takiego często się zdarza. Pamiętasz na przykład Kiritimati? Nazwałeś to przypadkowym wystrzałem. Powinienem być naprawić pistolet.

•Coś mi się wydaje, że działa całkiem prawidłowo. Dlaczego go zabiłeś?

- Honor.

-Twój?

Peng skinął głową.

339

-1 mojego kraju. W zeszłym roku zdemaskowałeś mordercę i zwróciłeś nam naszych zaginionych bohaterów. Przywróciłeś Chinom honor.

Pozwolić ci umrzeć tutaj z rąk tego potwora... To nie byłyby Chiny, w które wierzę.

- Ale ostatnio złamałem więcej przepisów prawa twojego kraju, niż jestem w stanie zliczyć.

- Dlaczego?

Kilkenny zamknął oczy i pomyślał o tym wszystkim, co się wydarzyło - wszystkim, co przywiodło go aż do tego miejsca.

- Wiara.

- Twoja? - zapytał Peng.

- I Yina - odparł Amerykanin. - Zasługiwał na wolność.

- Wiem. Moi rodzice i dziadkowie wierzyli w to samo co ty.

- A ty nie?

- Byłem bardzo mały, gdy ich zabrano. Wiara ich nie ocaliła. W każdym razie aż do tej chwili tak uważałem.

- Pamiętasz coś jeszcze? - zapytał Kilkenny.

- Urywki opowieści opowiadanych wieczorami szeptem. I *baijiu*.

- *Baijiui*

- Mocny alkohol, którego nigdy nie lubiłem. Pędzi się go w większości wiosek. Pamiętam mężczyznę, który przychodził do mojego rodzinnego domu. Wszyscy się modlili, a on opowiadał niektóre z tych historii, które szeptali mi rodzice. A potem podawał nam kawałki chleba i *baijiu*. Nie myślałem o tym przez całe lata, odkąd ojciec i matka zostali aresztowani. Aż do teraz, kiedy włączono mnie w tę sprawę.

W powietrzu rozbrzmiał warkot helikoptera, odbijając się echem od

otaczających ich skał. Powoli zaczął narastać.

- Nie mógłbyś podrzucić mnie gdzieś na drugą stronę granicy?
- Gdyby to zależało ode mnie - zaczął Peng, ale nie skończył myśli. - W tej chwili jesteś moim jeńcem. Zaopiekuje się tobą lekarz, ale trudno mi stwierdzić, co będzie potem.
- No cóż, przynajmniej na egzekucję stawię się jak nowo narodzony.

LADAKH, INDIE

CZTERY GODZINY MINEŁY OD CHWILI, GDY „WINDRIDER” ZEŚLIZGNAŁ się do wody ze wschodniego wybrzeża Bangong Co. W tym czasie elegancka łódź pokonała ponad sto kilometrów, mijając granicę oraz kawałeczek spornego terytorium. Przez całą podróż mogli się cieszyć stałym wiatrem, a kiedy zagłębili się już w indyjską część jeziora, wreszcie podniosła się mgła, odsłaniając wyrzeźbione przez lodowiec góry Pangong na południu oraz łańcuch Changchenmo na północy.

Słońce wisiało już podróżnikom wysoko nad głowami, gdy Gates zmienił kurs na północno-zachodni, w stronę najodleglejszego krańca zbiornika. „Windrider” mknął przez wodę. Jego bliźniacze żagle łapały wiatr na tyle mocno, że pływaki umieszczone nad trzema aluminiowymi podwodnymi skrzydłami wynurzały się z wody. Płynęli gładko i szybko.

•Mój Boże, ale tu pięknie - powiedział Gates zachwycony otaczającymi ich widokami.

•Tak, cudowne są Jego dzieła - zgodził się Yin.

-I jak księdzu smakuje pierwszy łyk prawdziwej wolności? - zapytała Tao.

- Ciągle się nią delectuję - odparł biskup - i mam nadzieję, że moja trzódka w Chinach wkrótce również będzie mogła się nią rozkoszować. Na własnej ziemi.

Gates zluzował żagle, kierując łódź łagodnym łukiem w stronę wy-

brzeża. Zbliżali się do lądu, więc bosman, ciągle jeszcze pędząc trzydzieści mil na godzinę, zwolnił bolce przytrzymujące w miejscu podwodne skrzydła. Trimaran opuścił metrowe zastrzały na powierzchnię. Gates zablokował skrzydła, przygotowując się do cumowania. Zmiana prędkości i odgłos wody przepływającej pomiędzy kadłubami wyrwały Hanę z dwugodzinnej drzemki na siatce zabezpieczającej.

- My ciągle tu? - zapytał rozespanym głosem.

- Tętniący życiem port Spangmik majaczy już nam tuż przed nosem - poinformował go Gates.

Szumnym mianem portu bosman nazwał kilka niewielkich prymitywnych budynków z betonu i wydobywanego na miejscu kamienia, w większości pomalowanych na biało. Mała osada leżała między paroma innymi wioskami, rozrzuconymi wzdłuż południowego brzegu jeziora, na które składały się letnie domostwa niewielkiej społeczności Changpa, koczowniczych pasterzy pochodzących z Tybetu i południowo-wschodniej części Ladakhu". Teraz, po sezonie, wycofali się już oni na zimowe pastwiska, zostawiając na miejscu w Spangmiku jedynie niewielki oddział indyjskiej armii, który miał ochraniać granicę.

Gates zwolnił żagiel i „Windrider” zmniejszył prędkość. W porównaniu do tego, jak szybko mknęli wcześniej przez długie górskie jezioro, ostatnie metry pokonali w żółwym tempie. Kiedy łódź podpłynęła do nabrzeża, z jednego z budynków wyłoniło się kilku mężczyzn, którzy truchtem podbiegli na skalistą plażę.

- Mamy towarzystwo - zauważył Han.

•Komitet powitalny - skomentował śmiało bosman, przez cały czas

skupiony na refowaniu żagli. -Założę się, że Nolan zdążył-już

oczarować tych miłych ludzi i czeka na nas garniec gorącego *vindaloo*

z kurczaka.

•Max - powiedziała Tao - oni raczej nie wyglądają na uszczęśliwionych

z powodu naszej wizyty.

Gates rozejrzał się po nabrzeżu i zauważył, że ich komitet powitalny

jest uzbrojony po zęby, a wszyscy jego członkowie celują z karabinów

prosto w trimaran.

- Nie przypuszczam, padre, że mówi ksiądz którymś z miejsc

wym dialektów - powiedział do Yina.

342

•W młodości pewien hinduski znajomy nauczył mnie kilku zdań w

swoim języku. Niestety, od tego czasu minęło wiele lat.

•No cóż, byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby udało się księdzu

wysilić szare komórki, tak na wszelki wypadek - stwierdził bosman. -

Pozostali trzymają rączki tak, żeby ci mili panowie dobrze je widzieli.

Módlmy się, żeby żadnego z nich nie zaswędziało palec na spuście.

Gdy dziób „Windridera” dobił do nabrzeża, żołnierze podeszli do łodzi

i otoczyli ją. Dowódca, kapitan z gęstą czarną brodą, wąsem i turbanem

Sikhów na głowie, krzyknął jakiś niezrozumiały rozkaz, który na

szczęście podkreślił bardzo wyrazistym gestem. Mieli zejść z łodzi.

Najpierw na brzeg zeskoczyli Tao i Han, potem Yin, a na końcu Gates.

Kilku żołnierzy wyciągnęło „Windridera” z wody i zaniósł na brzeg.

Kapitan wydał kolejny rozkaz, któremu tym razem nie towarzyszył -

niestety - żaden gest.

•Padre, czy ma ksiądz jakiś pomysł, czego on może chcieć? - zapytał Gates.

•Chyba chce, żebyśmy zdjęli czapki - wyjaśnił Yin.

Gates wskazał na swój hełm, po czym udał gestem, że chce go podnieść. Kapitan skinął głową. Spojrzał krzywo na Hana, Tao i Yina, kiedy odsłonili twarze, natomiast gdy hełm ściągnął Gates, jego mina świadczyła o bezgranicznym zaskoczeniu.

- Anglik? - zapytał tonem, który mógł się kojarzyć raczej z Londynem niż Pendżabem.

•Amerykanin - odparł bosman. - Podobnie jak dwoje moich współpracowników. Sytuacja trzeciego jest nieco bardziej skomplikowana.

•Co za ulga. Gdy was zobaczyliśmy w tych strojach, pomyśleliśmy, że jesteście z chińskiej armii.

•To znaczy, że nie widzieliście Amerykanina ubranego tak jak my?

•Nie, a powinniśmy?

•Myśleliśmy, że już tu jest.

•Przykro mi, nikogo tutaj nie było. Macie jakieś dokumenty?

•Niestety nie - wyznał Gates. - Opuszczaliśmy Republikę Ludową, jak by to powiedzieć, w lekkim pośpiechu. Możecie przeszukać

343

nas i łódź, nic nie przemycamy. Tak naprawdę mamy ze sobą tyle, co na

sobie. Jestem za to pewien, że kilka telefonów pomoże wyjaśnić sprawę.

W tym samym momencie z posterunku wybiegł w ich stronę młody rekrut. Stał przed kapitanem i wręczył mu złożoną we dwoje kartkę.

Dowódca, czytając meldunek, zasznurował wargi; po chwili oddał depezę żołnierzowi i kazał mu się odmeldować.

- Sądzę, że uda nam się dogadać nawet szybciej - powiedział.

Założył ręce za plecy, wyprężył się jak struna, po czym podszedł do Yin Daominga.

•Przepraszam pana, ale czy może się pan przedstawić?

•Nazywam się Yin Daoming.

•Czy jest pan rzymskokatolickim biskupem Szanghaju? -Tak.

•W takim razie w imieniu mojego rządu oraz kardynała Velu z

Bombaju, który śle najserdeczniejsze pozdrowienia swemu drogiemu przyjacielowi, mam zaszczyt powitać Waszą Ekszelencję w Republice Indii.

•Dziękuję. Przez wiele lat nie mogłem się doczekać spotkania z moim serdecznym przyjacielem.

•Powiadomię Delhi o państwa przybyciu i załatwię transport do Lehu.

Jestem pewien, że wysłannik kardynała Velu już tam na państwa czeka.

NIECAŁĄ GODZINĘ PÓŹNIEJ na lądowisku w Spangmiku wylądował cywilny

śmigłowiec transportowy Sikorsky S-92. Jediną ozdobą jego białego

kadłuba było godło - herb składający się z papieskiej tiary oraz

skrzyżowanych kluczy świętego Piotra. Na pokładzie przybył na miejsce

niewielki oddział Gwardii Szwajcarskiej, który oficjalnie przejął od żołnierzy zadanie opieki nad Yinem i pozostałymi. Gdy wszyscy byli już gotowi do odlotu, Yin podszedł do hinduskiego dowódcy.

- Kapitanie, chciałbym podziękować panu za gościnność, jaką okazał nam pan w czasie naszego krótkiego pobytu.

344

- Wasza Ekscelencjo, przybycie tak znamienitych gości przełamało monotonię naszej służby w tym miejscu. Dzięki temu nasi żołnierze przez całe lata będą mieli o czym opowiadać.

- Jeżeli mogę pana prosić o przysługę, proszę zaopiekować się naszym ostatnim towarzyszem.

- Zrobimy dla niego wszystko co w naszej mocy - obiecał kapitan.

WATYKAN

- NAJCZCIGODNIEJSI BRACIA W CHRYSZTUSIE! -ZAWOŁAŁ SPRZED ołtarza Donoher. W

Kaplicy Sykstyńskiej zapanowała cisza i uwaga wszystkich skupiła się na

kamerlingu. - Przepraszam, że byłem wczoraj niedostępny, ale jestem

pewien, że dobrze spożytkowaliście czas przerwy w obradach. Niech

Duch Święty nadal nas prowadzi. Mam wam do przekazania dwie wieści.

Po pierwsze, wczoraj po długiej chorobie zmarł na serce kardynał

Gagliardi. Byłem z nim, gdy przyszedł na niego czas. W tym trudnym

momencie myślami i modlitwą pozostawał z nami. Chciałbym, żebyśmy

teraz uczcili jego pamięć chwilą cichej refleksji.

Musiał się zmusić do odmówienia modlitwy za człowieka, który

zdradził Kościół, postanowił jednak osąd nad Gagliardim zostawić

Wszechmogącemu. Po chwili uroczystego milczenia spojrział ponownie na

zgrupowanych kardynałów.

- Jeśli chodzi o biskupa Yina, to z radością mogę ogłosić, że dziś, w

dzień Wszystkich Świętych, nasz brat jest już wolny. Otrzymałem

niedawno wiadomość, że biskup Yin przekroczył granicę indyjską. W tej

chwili jest w drodze do Rzymu.

Kilku kardynałów uśmiechnęło się szeroko, kiwając nawzajem do

siebie głowami niczym kibice, których drużyna odniosła właśnie znaczące

zwycięstwo. Inni pochylili czoła w dziękczynnej modlitwie. Velu, który

siedział mniej więcej w środkowej części kaplicy, wstał i zaczekał, aż

zauważy go kamerling.

- Widzę najczcigodniejszego kardynała Velu - ogłosił Donoher.
- Wasza Eminencjo, wierzę, że wyrażając radość z powodu dobrych wieści na temat biskupa Yina, przemawiam w imieniu wszystkich braci. Niestety czuję się zobowiązany donieść Waszej Eminencji, że nad naszym konklawe zawisły ciemne chmury i że tą sprawą może się zająć wyłącznie Wasza Eminencja. - Słowa Velu odbiły się głośnym echem po kaplicy, w której poza tym zapanowała nagle całkowita cisza. - W czasie naszych wczorajszych nieformalnych spotkań szerzyła się między nami pewna plotka. Zaczęło się od pytania zadanego sobie nawzajem przez kardynałów, czy w naszych pokojach wszystkie rzeczy znajdują się w tych samych miejscach co przedtem. Większość z nas nie zauważyła, by ktokolwiek dotykał ich własności, ale innych pytanie zmusiło do powtórnego zwrócenia uwagi na to, co wcześniej uznali za chwilowe zaćmienie pamięci. W końcu stało się jasne, że znaczna część Domus Marthae Sanctae została gruntownie przeszukana.

Przemawiając, Velu powoli kroczył środkiem kaplicy. Pochwytywał ciemnobrązowymi oczami wzrok innych kardynałów, a jego głos był spokojny i pewny. Przy kracie prezbiterium odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę ołtarza.

- Najczcigodniejsi bracia, skoro znaleźliśmy się znowu w tej odciętej od świata zewnętrznej kaplicy, muszę przełamać milczenie. Przeszukano również mój pokój, co więcej, coś w nim znaleziono.

Kardynał Donoher zapytał mnie o urządzenie, które wzięłem ze sobą na konklawe. Zrobiłem to z przyczyn osobistych, z pełną świadomością, że Konstytucja Apostolska wyraźnie tego zabrania. Za złamanie przysięgi odpowiem przed nowym papieżem. Ale okazało się, że mój grzech, choć ciężki, nie ma związku z tym, czego szukał kardynał Donoher. Teraz, gdy biskup Yin jest już wreszcie wolny, nadszedł czas na prawdę. - Velu stanął tuż przed kamerlingiem. - Najczcigodniejszy bracie, proszę cię, podziel się z nami powodami, dla których za rządziłeś przeszukanie.

Donoher zbliżył się do Velu, tak że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

- Dlaczego? - zapytał szeptem, w którym ledwie udało mu się zamaskować gniew.

347

- Przykro mi, że cię do tego zmuszam - odpowiedział równie cicho Velu - ale żeby chronić Yina, musisz nazwać zdrajcę po imieniu.

Velu pochylił głowę i wrócił powoli na swoje miejsce, dając Donoherowi chwilę na szybkie zebranie myśli.

- Wasze Eminencje, najczcigodniejsi bracia - zaczął kamerling.

- Rzeczywiście, wiele z waszych pokojów zostało na moje polecenie przeszukanych. Uczyniłem to jako kamerling za zgodą kongregacji partykularnej. Najpierw kazałem sprawdzić apartamenty tych czterech z nas, którzy obecnie służą w kongregacji, ponieważ to nam powierzono zadanie utrzymania przebiegu konklawe w tajemnicy. Uspra

wiedliwieniem tych działań jest uzyskany przez nas dowód, że została ona naruszona w części dotyczącej biskupa Yina, co naraziło na niebezpieczeństwo nie tylko jego, ale i tych, których wysłaliśmy z zadaniem uratowania go.

Słowa Donohera zawisły w powietrzu niczym chmura dymu - naruszona została świętość obrad konklawe, a kamerling był przekonany, iż odpowiadał za to jeden z księży Kościoła.

- Przeszukanie pokojów było jednym z działań, które podjęliśmy w celu zdemaskowania osoby odpowiedzialnej za ów nikczemny akt wymierzony w Kościół - ciągnął Donoher - działań, które okazały się, o czym mogę wam, najczcigodniejsi bracia, z radością oznajmić, skuteczne. Nieszczęsny wyłom został już załatany i możemy kontynuować naszą pracę.

- Kto? - zawołał, nie czekając na udzielenie głosu, Magni, którego twarz nagle zrobiła się purpurowa ze wzburzenia. - Kto jest zdrajcą?

- Odpowiedzi na to pytanie - uciął natychmiast Donoher- udzielę wyłącznie następnemu papieżowi.

Magni przez chwilę wbijał wzrok w kamerlinga, po czym poddał się, skinąwszy szorstko głową, i opadł na miejsce. Donoher zastanawiał się, czy nie zrezygnował tak łatwo wyłącznie dlatego, że w swoim czasie spodziewał się i tak poznać odpowiedź.

„Ciekawe, jak byś zareagował” - zadumał się kamerling- „gdybym w odpowiedzi podał imię twojego najbliższego sprzymierzeńca”.

Rozejrzał się po kaplicy i zauważył, że Velu znowu wstał, czekając na

udzielenie głosu.

- Widzę najczcigodniejszego kardynała Velu.

348

Hindus wkroczył na środek kaplicy, po czym złożył ręce, pochylił głowę i odmówił krótką modlitwę. Zebrał się w sobie, wyprostował i zaczął:

- Moi umiłowani, najczcigodniejsi bracia, gdy po raz pierwszy przekroczyłem próg tej wspaniałej kaplicy, prosiliśmy jednym głosem Ducha Świętego, żeby nas prowadził, żeby podzielił się z nami mądrością i pomógł nam dostrzec, który z nas będzie dobrym pasterzem Kościoła powszechnego. Naprawdę wierzę, że nasze prośby zostały wysłuchane. W swym ostatnim przesłaniu Jego Świątobliwość papież Leon podzielił się z nami tajemnicą, którą nosił w swym sercu. I właśnie on... on, który prawie wszystkich nas mianował kardynałami... przypomniał nam swym cierpieniem, dlaczego przybraliśmy szaty koloru purpury. Symbolizuje ona gotowość do oddania życia za Kościół. Jego Świątobliwość w pełni pojął istotę tego zobowiązania, przelewając własną krew, gdy dosięgnęła go kula zamachowca oraz znosząc w imię wiary cierpienia, których nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Żyjemy w zupełnie innym świecie od tego, który powitał świt długiego i świętego pontyfikatu papieża Leona. Szatan atakuje nas ze wszystkich stron, uciekając się do straszliwych, ale i subtelnych metod. Wyzwania, z jakimi musi się dziś zmierzyć Kościół, każą nam wybrać człowieka wielkiej wiary, który będzie potrafił oświetlić drogę Chrystusa, jako że jedynie ta najtrudniejsza z dróg może

poprowadzić wiernych w stronę zbawienia. Jeśli wybierzemy polityka, biurokratę, papieża administratora - Velu, dobitnie podkreślając to określenie, wbił wzrok *wpapabili* - pogněbimy Kościół w czasach najrozpaczliwszej potrzeby. Wielcy przywódcy inspirują swym przykładem i to właśnie było kluczem do wielkości papieża Leona. Z pokorą przyjmuję zaszczyt, jakim jest dla mnie to, iż zdaniem niektórych z was mógłbym zostać papieżem, ale kiedy patrzę w głąb własnego serca - Velu skrzyżował ręce na piersi - wiem, że to nie jest moja ścieżka. W najlepszym razie byłbym dobrym papieżem, lecz Kościół potrzebuje dzisiaj kogoś więcej. A gdy potrzeba jest wielka, Bóg dostarcza rozwiązanie. Zrobił to również teraz. Tylko od nas zależy, czy rozpoznamy Jego Boską rękę, czy wyczujemy w tej kaplicy obecność Jezusa Chrystusa i czy postąpimy zgodnie z naszą wiarą.

Ukloniwszy się uprzejmie kamerlingowi, Velu wrócił na miejsce.

Donoher zaczekał, aż oczy wszystkich zwrócą się w jego stronę.

349

- Najczcigodniejsi bracia, czy ktoś jeszcze chce przemówić do konklawe?

Nikt nie wstał.

- W takim razie już czas.

Każdy z kardynałów w milczeniu położył przed sobą na stole kartę do głosowania i starannie wypisał nazwisko człowieka, który jego zdaniem powinien zostać następnym papieżem. Donoher złożył w pół kartę ze swoim głosem i podniósłszy wzrok, zauważył, że większość pozostałych

elektorów również to zrobiła. Najwyraźniej przerwa na modlitwę i refleksję nie przyczyniła się do zmiany decyzji tych, którzy już ją podjęli.

Na myśl o kolejnym impasie ogarnęło go zniechęcenie. Obrady mogły znowu toczyć się bez rozstrzygnięcia przez tydzień, aż wreszcie kardynałowie dotrą do punktu, w którym trzeba będzie zmienić zasady.

Wtedy zamiast osiemdziesięciu głosów kandydat będzie musiał zgromadzić już tylko większość absolutną - połowę głosów plus jeden. Jeżeli i to nikomu się nie uda, odbędzie się dogrywka między dwoma najsilniejszymi kandydatami. Jako że obecnie w konklawe brała udział nieparzysta liczba kardynałów, w takim głosowaniu musiał zostać wyłoniony nowy papież.

Zgodnie ze znanym już rytuałem pierwszy do ołtarza podszedł kardynał Mizzi i na oczach wszystkich złożył głos w urnie. Następnie po kolei zagłosowali *infirmarii*, a po nich reszta konklawe w porządku starszeństwa.

Gdy Velu, oddawszy głos, przechodził obok kamerlinga, ten wymienił z nim ledwo widoczne skinienie głowy. Podziwiał bezinteresowność Hindusa - nie każdy potrafiłby dla dobra sprawy przyznać się do własnych wad. Czy którykolwiek z pozostałych *papabili* byłby w stanie do tego stopnia poświęcić własne ambicje?

Infirmarii wrócili w momencie, gdy do ołtarza podchodził najmłodszy z kardynałów. Zaprezentowali zamkniętą skrzynię, zawierającą głosy niedołączonych elektorów, trzem skrutatorom, którzy otworzyli ją i przeliczyli karty, sprawdzając ich liczbę. Następnie po kolei umieścili

głosy chorych w urnie.

Donoher położył na stole czystą kartkę papieru. Na samej górze zapisał datę, a po lewej stronie w słupku kolejne nazwiska: Magni, Escalante, Oromo i Yin. Podejrzewał, że na rezygnacji Velu najbar-

350

dziej skorzysta Oromo, co być może pozwoli sudańskiemu kardynałowi wysforować się przed dwóch głównych rywali. Wybory zamieniły się właśnie w hazard.

Przy długim stole przed ołtarzem zasiedli wybrani na ten dzień skrutatorzy. Po chwili zaczęli otwierać głosy. Porter przekazał pierwszą kartę Gensie, który następnie wręczył ją Droletowi.

- Yin - ogłosił Drolet śmiertelnie poważnym tonem, w pełni odzwierciedlającym doniosłość procedury.

Donoher postawił obok nazwiska Yina krótką pionową kreskę. Był ciekaw, czy za nią pojawią się następne.

PEKIN, CHINY

TIAN YI ZNALAZŁ SIĘ ZNOWU W OBREBIE CZERWONYCH
CEGLANYCH

murów kompleksu Zhongnanhai. Siedział w pawilonie z czasów dynastii Qing przed obliczem trzech najpotężniejszych ludzi w Chinach. Był chłodny jesienny wieczór; w powietrzu po całodniowej mżawce czuć było wilgoć. Tak jak wcześniej, premier Wen zajął miejsce w środku, a po obu jego stronach zasiedli prezydent Chong i minister Fu.

•Czy sprawa Yin Daominga została rozwiązana? - zapytał Wen.

•Nie tak, jak byśmy sobie tego życzyli - odpowiedział Tian. -

Otrzymałem potwierdzenie informacji, że Yin i troje innych dotarło dzisiaj rano do Indii. Obecnie są na pokładzie samolotu linii Alitalia w drodze do Rzymu. Większość członków ekipy, która zorganizowała jego ucieczkę, nie żyje. Jeden, dowódca, został schwytany.

•Ale Yin uciekł na Zachód - warknął wściekle Fu. - Jak wyjaśni pan tę porażkę?

•Gdyby w więzieniu Chifeng obowiązywały wyższe standardy bezpieczeństwa, Yin byłby już martwy - zauważył Tian, odbijając piłeczkę do pytającego, którego resort zarządzał krajowym więziennictwem. - Kiedy zbiegowie znaleźli się na wolności, ich wyśledzenie nagle stało się bardzo trudne. Mieliśmy szczęście, że udało się ich przechwycić w Tybecie, ale nie wystarczyło nam go, żeby zapobiec ucieczce Yina.

•Historia lubi się powtarzać, zwłaszcza jeżeli ktoś jest na tyle głupi, żeby nie wyciągać z niej wniosków za pierwszym razem - stwierdził Chong. - Yin leci do Rzymu. Skoro ostatni papież był o nim na tyle dobrego zdania, żeby mianować go kardynałem, możemy założyć, że następny też to zrobi. Ucieczka sprawi, że Yin stanie się na Zachodzie równie znany jak dalajlama. A jeżeli zostanie ogłoszony papieżem, będzie tak głośnym krytykiem naszego rządu, jak papież Leon Sowiec.

•Czy można przechwycić samolot? - zapytał Fu.

•Czy sugeruje pan zestrzelenie cywilnego samolotu nad międzynarodowymi wodami, tysiące kilometrów od naszego terytorium?

- zdziwił się Tian.

•Coś trzeba zrobić! - wybuchnął minister.

•Owszem - przyznał Tian - ale to co pan proponuje, sprawiłoby, że Chiny zostałyby uznane za bandycki kraj.

-I doprowadziłoby do upadku naszego rządu - zgodził się Chong.

- Oczywiście, obecność wolnego Yina na Zachodzie może skończyć się tym samym. Nie biorąc pod uwagę pierwszej sugestii ministra Fu, zgadzam się z nim, że coś trzeba zrobić, i to szybko. W przeciwnym razie, panie premierze, może pan zostać chińskim Gorbaczowem.

„Jeden z was będzie rządził” - przypomniał sobie Wen - „a drugi przewodził”.

•A co z naszymi włoskimi partnerami? - zapytał. - Czy ich interesy w

kwestii Yina nie są zbieżne z naszymi?

- Owszem - przyznał Tian.

- W takim razie proszę im wyjaśnić sytuację, ale tak, żeby wszystko dobrze zrozumieli. Chodzi o wyższą stawkę niż tylko miejsce, w którym mogą bezpiecznie pracować brudne pieniądze. Ryzykują miliardy, które co roku zarabiają na handlu chińskim opium. Kiedy Yin dotrze do Rzymu, ma zginąć.

RZYM

CUSUMANO WSZEDŁ DO WAGONU RAZEM Z PIĘCIOMA ROBOTNIKAMI. Miał na sobie wysokie buty i znoszony szary kombinezon z przypiętym do kieszeni na piersi identyfikatorem ze zdjęciem. Przez ramię przewiesił ciemnozieloną sportową torbę, z której wystawał wysoki metalowy termos.

Zajął miejsce w ostatnim z trzech wagonów, doczepionych do niewielkiej parowej lokomotywy. Jej napęd był wprawdzie nieco anachroniczny w porównaniu z nowoczesnymi szybkimi pociągami spalinowo-elektrycznymi czy koleją magnetyczną, ale parowóz idealnie nadawał się do tej akurat podróży, nie wspominając o tym, że sprawiał wrażenie uprzejmego ukłonu w stronę bardziej eleganckiej epoki. Pociąg stał pod szarym niebem na boczniczy Stazione San Pietro; Cusumano obserwował maleńkie krople deszczu spływające po brudnych oknach wagonu.

Wreszcie staroświecka lokomotywa szarpnęła i ruszyła. Jak zwykle z opóźnieniem. Tory prowadziły na północny zachód od stacji, równoległe do Via Innocenzo III, tuż za murami obronnymi otaczającymi średniowieczny Rzym.

Cusumano siedział cicho, starając się nie przyciągać uwagi współpasażerów. W tym składzie nie było stałej ekipy; gdy docierali na miejsce przeznaczenia, zarządca stacji wybierał po prostu tylu mężczyzn, ilu potrzebował do uporania się z ładunkiem. Na szczęście dla Sycylijczyka pociąg tego dnia miał zaplanowany kurs.

Niebo na zewnątrz doskonale pasowało do nastroju Cusumana. Po południu niespodziewaną wizytę złożył mu w antykwariacie pan Ghin. Spotkanie było krótkie i konkretne. Yin uciekł z Chińskiej Republiki Ludowej i był w drodze do Rzymu. W odróżnieniu od słów, które padły podczas ich pierwszej rozmowy, tym razem Chin wyjaśnił, że mafia ma rozwiązać problem biskupa. Porażka, mówiąc ogólnie, silnie zaciążyłaby na ich relacjach biznesowych. Bossowie spiskujący z Ga-gliardim szybko zajęli się problemem i Cusumano - zaszczyt zawdzięczał swej reputacji, obecnemu zaangażowaniu w sprawę oraz temu, że po prostu był pod ręką - nagle „awansował” na zabójcę, obarczonego w dodatku właściwie niewykonalnym zadaniem. Jak określiłby to autor „Ojca chrzestnego”, Mario Puzo, bossowie złożyli Sycylińczykowi propozycję nie do odrzucenia.

Kilometr od stacji pociąg skręcił ostro w prawo, wjeżdżając na bocznice zbudowaną na polecenie Mussoliniego w ramach traktatów laterańskich, zawartych w 1929 roku między Stolicą Apostolską a królestwem Włoch. Lokomotywa sunęła powoli - bez sensu było nabierać prędkości na zaledwie kilkukilometrowej trasie.

Maszynista głośnym gwizdem zasygnalizował, że dojechali do otaczających Watykan dwunastometrowych Murów Leoniańskich. Żelazna brama zabezpieczająca łukowato sklepiony wjazd zaczęła się powoli otwierać. Mijając mur, pociąg przekroczył granicę Włoch i znalazł się w suwerennym Państwie-Mieście Watykan. Tory miały tam długość zaledwie paruset metrów - była to najkrótsza sieć krajowej kolei na świecie. Gdy

bramę minęły również wagony, jej skrzydła zaczęły się zamykać.

Na końcu torów stał zaprojektowany przez papieskiego architekta Giuseppe Momo cukierkowy budynek watykańskiego dworca kolejowego, wyłożony zielonym, różowym i żółtym marmurem oraz ozdobiony rzeźbami Eduarda Rubina. Choć stację zaprojektowano jako miejsce, w którym papież miał witać odwiedzających go dygnitarzy, rzadko obsługiwała pasażerów i jej zwieńczona wysokim sufitem galeria zamieniła się właściwie w bogato zdobiony magazyn. Cusumano wiele razy odwiedzał wujka, ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek postawił nogę na dworcu. Gagliardi określał lekceważąco budynek stacji jako pretensjonalną rupieciarnię i omijał szerokim łukiem, skupiając się na bardziej interesujących budowlach.

355

Pociąg podjechał do peronu i Cusumano wyskoczył razem ze współpasażerami, jeszcze zanim na dobre stanął. Deszcz zamienił się w mżawkę. Robotnicy, uzbrojeni w dworcowe wózki, zaczęli rozładowywać wagony. Większość towarów, które wwożono do Watykanu, lądowała na stoiskach z pamiątkami i w sklepach wolnocłowych. Jakiś urzędnik obserwował wynoszone skrzynie, odhaczając je po kolei na liście. Całą procedurę uważnie nadzorowali dwaj Szwajcarzy w kolorowych mundurach.

W czasie przerwy Cusumano siedział pod dachem dworca i sączył z termosu espresso. Słuchał, jak inni robotnicy spekulują z załogą lokomotywy i watykańskim urzędnikiem na temat tego, co może dziać się w

Kaplicy Sykstyńskiej. W wiadomościach powiedziano, że konklawe od porannej sesji ciągle tkwiło w impasie. Tego dnia trzy razy z komina wydobył się czarny dym.

Robotnicy po przerwie wzięli się znowu do pracy, ale nie spieszyli się, przeciągając rozładunek do końca zmiany. Mieli nadzieję, że będą ciągle w Watykanie, kiedy - jeśli Bóg da - zostanie wybrany nowy papież.

Skrzynie powoli zniknęły z wagonów, aż wreszcie Cusumano odstawił na stację ostatnią z nich.

Urządник zamknął dworzec, a robotnicy weszli z powrotem do pociągu. Sycylijczyk usiadł samotnie z przodu wagonu, gdzie zostawił wcześniej torbę.

- *Stu cazzo!* - zaklął nagle. - Kawa mi się wylała.

Dwaj robotnicy roześmiali się, słysząc o jego nieszczęściu; inni siedzieli oparci obojętnie z zamkniętymi oczami. Cusumano wyciągnął z kieszeni na piersi chusteczkę i wsunął dłonie w torbę, udając, że chce wytrzeć jej wnętrze. Wysoki metalowy termos zawierał trzy komory, z których jednak tylko najwyższa była wypełniona kawą. W dwóch pozostałych pod okiem gwardzistów mafioso przemycił na stację broń.

Teraz zręcznie odkręcił dno pojemnika i ostrożnie wyjął zawartość dolnej komory. Kawałek po kawałku złożył w całość pistolet Beretta Px4 - potrafił to zrobić w ciągu kilku sekund, i to nawet z zawiązanymi oczami.

Rozległ się długi gwizd, po czym pociąg szarpnął i zaczął toczyć się po torach. Cusumano przez boczne okno nie spuszczał z oka obu

Szwajcarów, równocześnie nakładając na pistolet celownik laserowy

i wreszcie tłumik. Łoskot pociągu zagłuszył dźwięk wydawany przez wskakujący na miejsce magazynek z dwudziestoma nabojami. Jak tylko personel watykański zniknął mu z widoku, wstał i otworzył ogień do robotników.

Pięcioma szybkimi, profesjonalnymi strzałami zabił wszystkich mężczyzn. Wsunął pistolet do torby, otworzył tylne drzwi wagonu i zeskoczył z toczącego się powoli pociągu. Poślizgnął się na śliskim żwirze, ale zdołał odzyskać równowagę i szybko zszedł z torów. Używając wagonów towarowych jako parawanu, przeskoczył przez krótki mur oporowy i znalazł się w ustronnym zakątku Ogrodów Watykańskich. Kiedy żelazne wrota zamknęły się, zdążył już się ukryć w gęstym listowiu, gdzie miał zamiar spokojnie zaczekać na przybycie biskupa Yina.

WYCZARTEROWANY SAMOŁOT ALITALIA BYŁ WYPOSAŻONY, JAK APARTAMENT prezydencki w

luksusowym hotelu. Wymęczeni pasażerowie - cała czwórka - zostali dobrze odkarmieni i zadbano o wszystkie ich potrzeby. Do rzymskiego lotniska Leonarda da Vinci zaczęli zbliżać się tuż przed dziesiątą wieczorem. Niebo nad Wiecznym Miastem było pochmurne i deszczowe, ale o zachodzie słońca przejaśniło się i wkrótce zabłysły na nim gwiazdy.

Yin przespał większość długiego lotu, kiedy jednak pilot ogłosił, że wkrótce przystąpią do lądowania, obudził się i zaczął się przyglądać sunącemu poniżej miastu. Natychmiast dostrzegł oświetloną kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Widział ją po raz pierwszy.

Jako biskup miał obowiązek odwiedzać Watykan raz na pięć lat, żeby zdać relację ze stanu swojej diecezji. Ponieważ jednak został aresztowany, nigdy tam nie dotarł. Cieszył się, że wreszcie będzie mógł wywiązać się z tego obowiązku. Wiedział, że jego powrót do Chin jest niemożliwy, i zastanawiał się, jakie nowe zadania zostaną mu przydzielone.

„Ojciec w Niebiosach” - modlił się - „proszę tylko o małą parafię, w której wierni potrzebują księdza”.

Po wylądowaniu samolot, kołując, minął międzynarodowy terminal i wjechał prosto do dużego hangaru, w którym linie lotnicze obsługiwały swoją flotę. Gdy zamknęły się jego drzwi, pasażerowie oraz żołnierze Gwardii Szwajcarskiej mogli spokojnie wysiąść.

Na trapie pojawili się Tao, Gates i Han. Wszyscy mieli na sobie nowe ubrania - w czasie długiego lotu z Indii krawiec na pokładzie zdążył im odpowiednio dopasować stroje. Miał ze sobą garnitury dla jeszcze ośmiu mężczyzn. Yin włożył nowiutką czarną sutannę obszytą amarantową czerwienią. Z szyi zwisał mu krzyżyk Ke Li.

Kiedy czekali na samochód, Tao podeszła do wieszaka krawca i przyjrzała się niewykorzystanym garniturom. Znalazła pokrowiec oznaczony nazwiskiem Kilkenny'ego. Otworzyła go. Wisiał pod nim klasyczny garnitur w prążki z dwurzędową marynarką.

•Co to jest? - zapytał Gates.

•Garnitur Nolana. Spodobałby mu się... - Tao musiała zdusić szloch. -

Nie wierzę, że mówimy już o nim jak o martwym.

•Do chrzaniu z tym brakiem wiadomości - zaklął bosman. - Ale ja jeszcze nie stawiałbym na nim krzyżyka, nie po tym, przez co razem przeszliśmy. A jeżeli trzeba będzie wrócić do Chin, żeby go stamtąd wyciągnąć, piszę się na to pierwszy.

Tao uścisnęła Gatesa i pocałowała go w policzek.

- Jeżeli tylko się przydam, lecę z tobą.

Do hangaru podjechał lotniskowy autobus. Podróżni weszli do niego i ruszyli w stronę sektora zarezerwowanego dla prywatnych samolotów i helikopterów. Wkrótce znaleźli się na pokładzie lśniącego białego sikorsky'ego z wymalowanym na kadłubie godłem Watykanu.

W TERMINALU PASAŻERSKIM obsługującym loty międzynarodowe Luciano

Papiri sączył drinka. Z krzesła przy oknie obserwował lądowanie samolotu

Alitalii oraz jego kołowanie do budynków służbowych, bez przystanku przy terminalu. Kiedy z płyty wystartował watykański helikopter, Papiri wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer za pomocą skrótu klawiszowego.

•Tak? - odebrał Cusumano.

•Miałeś rację. Właśnie wystartowali.

•Świetnie.

Papiri rozłączył się, zapłacił rachunek i wyszedł z baru.

359

SIKORSKY WZNIÓSŁ SIĘ NAD WIECZNE MIASTO i po dziesięciominutowym locie zawisł nad najdalej wysuniętym na zachód bastionem średniowiecznych murów Watykanu. Wygięty na kształt grotu strzały występ ogrodzenia osłaniał płaski teren, na którym były wydzielone dwa utwardzone place. Ominąwszy mniejsze, okrągłe lądowisko niedaleko szczytu grotu, śmigłowiec podleciał do większego, prostokątnego, przy drodze dojazdowej. Zakątek ten leżał między wewnętrznymi a zewnętrznymi murami Watykanu. Dominowała nad nim masywna cylindryczna bryła wieży Świętego Jana.

Od podmuchu helikoptera zaszumiały drzewa i krzewy rosnące wzdłuż starego muru. Z liści opadły na ziemię krople gromadzącej się przez cały dzień wody. W pierwszym z dwóch samochodów zaparkowanych na drodze dojazdowej siedzieli kardynałowie Donoher i Velu. Obu wozów pilnowało dwóch uzbrojonych Szwajcarów.

CUSUMANO, PRZYCZAJONY za gęstą kępą drzew i liściastych krzewów

rosnących wzdłuż średniowiecznych murów, obserwował lądowanie helikoptera. Ciągłe był ubrany w przemoczony kombinezon, włożył jednak rękawiczki, a twarz ukrył pod gryzącą kominiarką, zresztą również wilgotną - od potu. Schował się kilka godzin wcześniej w odległym zagajniku, mając nadzieję, że Yin zostanie przetransportowany do Watykanu powietrzem, a nie lądem - na drogach prowadzących do państwa-miasta wszędzie tłoczyli się czuwający wierni. Kiedy jego współpracownik potwierdził, że biskup przyleci śmigłowcem, Sycylijczyk poczuł ulgę. Po odkryciu w wagonie ciał robotników Szwajcarzy byli w pełnej gotowości, w dodatku Cusumano zdawał sobie sprawę, że z powodu konklawe okolicę osłania ich zwiększona liczba.

Gdy helikopter wylądował, Sycylijczyk ścisnął mocniej w obu dłoniach dwa chińskie granaty Type 86P. Przemycił je w środkowej komorze termosu; pochodziły z czarnego rynku i to właśnie na nich mafia zarabiała krocie, które mogła teraz stracić, jeżeli nie uda mu się zabić Yina. Cusumano poczuł wściekłość, kiedy pomyślał, że Chiń-

360

czycy nie potrafili zlikwidować człowieka, którego przez całe dziesięciolecia trzymali w więzieniu. Dlaczego niedorzeczne, niebezpieczne, samobójcze zadanie sprzątnięcia biskupa w samym środku Watykanu musiało spaść na niego?

„Jeżeli wyjdę z tego żywy” - pomyślał - „Chińczycy będą mi musieli zapłacić tyle, że kupię sobie całą bibliotekę Biblii Gutenberga”.

Główny wirnik zwolnił i drzwi helikoptera zaczęły się otwierać. Sy-

cylijczyk najpierw przez rząd niewielkich okienek z boku kadłuba dostrzegł pasażerów, a potem schodzącego po schodach Szwajcara. Za nim pojawił się Yin. Gwardzista odwrócił się, by pomóc biskupowi. Cusumano wybiegł z ukrycia. Pędząc, wyciągnął kciukami zawleczkę, wykręcił ciało na bok i zatoczył prawym ramieniem do tyłu, po czym cisnął granat niezbyt wysoko przy ziemi, celując poniżej obracającego się wirnika.

W momencie gdy pocisk wyslizgiwał mu się z palców, coś wbiło się ostro w jego lewą nogę. Pocisk kaliber .50 wywiercił w udzie dziurę o średnicy pół cala, rozrywając skórę i mięsień oraz gruchocząc kość. Noga natychmiast ugięła się pod Sycylijczykiem.

Granat poszybował w stronę helikoptera płaskim, niskim łukiem. Zbyt niskim. Uderzył w grunt jeszcze przed lądowiskiem, a miękka, wilgotna ziemia zamortyzowała jego upadek. Odbił się lekko i dotarł na płytę, gdzie potoczył się nierówno niczym piłka, z której wypuszczono powietrze.

Gwardzista przy schodach zauważył wybiegającą z cienia zamaskowaną postać i odwrócił się do Yina. Również Tao, spojrzawszy biskupowi przez ramię, dostrzegła mężczyznę. Objęła księdza ramionami i wciągnęła go z powrotem do środka.

Pierwszy granat Cusumano wybuchł tuż przy krawędzi płyty. Plastikowa osłonka niemal wyparowała, wypluwając we wszystkich kierunkach tysiąc sześćset małych stalowych kulek. Sikorski zachwiał się od eksplozji, której epicentrum znajdowało się jednak zbyt daleko, by siła wstrząsu poważnie mu zaszkodziła. Zabójczy pocisk zbombardował

gradem ognia jego kadłub, przebijając w wielu miejscach cienkie metalowe poszycie. Dziesiątki odłamków utkwily również w ciele osłaniającego drzwi Szwajcara, który przewrócił się i wpadł do wnętrza śmigłowca. Przenosząc ciężar ciała na zdrową nogę, Cusumano zatoczył łuk drugą ręką, by cisnąć kolejny granat. Snajper zajmujący pozycję na

361

szczytce wieży Świętego Jana zdążył jednak wypuścić z karabinu AS50 drugą kulę. Pocisk kulkowy wbił się w sam środek piersi Sycylijczyka. Kawalki ołowiu i kości zmiotły wszystko, co znajdowało się w odległości dziesięciu centymetrów od wlotu, rozrywając na strzępy serce Cusu-mana. Siła uderzenia sprawiła, że mężczyzna upadł na plecy i upuścił granat, który kilka sekund później eksplodował, wyrzucając w powietrze chmurę dymu i pyłu. Z ciała Sycylijczyka nie zostało prawie nic.

- Cel zlikwidowany! - krzyknął Gates. - Roxanne, zostań z Yinem.

Terry, podaj apteczkę. Jak już będziemy na zewnątrz, rzuć okiem na naszego ptaszka i zobacz, jak mocno oberwał. - Spojrzał na pozostałych na pokładzie gwardzistów. - Ktoś mówi po angielsku?

-*Ja* - odpowiedział po niemiecku jeden z nich, młody żołnierz.

- Super. Pomóż mi zabrać waszego człowieka.

Bosman zeskoczył nad leżącym gwardzistą na płytę lotniska, po czym szybko zlustrował teren. Był czysty. Dwaj strażnicy popędzili drogą dojazdową, żeby mu pomóc. Za nimi bardziej statecznym krokiem ruszyli w stronę śmigłowca Velu i Donoher. Ranny żołnierz zaklął, gdy Gates i jego towarzysze ostrożnie dźwignęli go i skierowali się w stronę podjazdu.

- Teren czysty? - zapytał Gates podbiegających Szwajcarów.

-

Tak, był tylko jeden człowiek - potwierdził pierwszy z nich.

Kiedy pasażerowie zaczęli wysiadać, Han razem z pilotem sprawdził kadłub helikoptera. Znaleźli kilka wgnieceń i dziur.

•Jak to wygląda? - zapytał bosman.

•Moim zdaniem nic nam w tej chwili nie grozi - powiedział z silnym włoskim akcentem pilot - ale mimo to wszyscy powinni trzymać się w bezpiecznej odległości.

•Też tak myślę - zgodził się Han.

Powietrze wypełnił jęk pędzących na sygnale karetok pogotowia. Gates podszedł z Tao i Yinem do obu kierujących się w ich stronę duchownych.

Na twarzach kardynałów malował się wyraz troski wymieszanej z radością.

•Najczcigodniejszy bracie - powiedział Velu. - Dobrze cię znowu widzieć.

•Minęło zdecydowanie za dużo czasu - zgodził się Yin i uściskał kardynała.

362

- Przez te wszystkie lata - dodał Hindus - nigdy o tobie nie zapomnieliśmy.

- Kościół zawsze był moim najwierniejszym towarzyszem.

Velu odsunął się, promieniejąc z radości.

- Wielebny księżo biskupie, mam zaszczyt przedstawić księdzu

kardynała Donohera, architekta planu ucieczki księdza.

Yin podszedł do kamerlinga i pochylił się, by ucałować jego pierścień.

Donoher zarumienił się ze wstydu, czując się niegodnym takiego gestu ze strony najczcigodniejszego biskupa Szanghaju.

•Wasza Eminencjo - powiedział Yin - Nolan Kilkenny wiele mi mówił o zaangażowaniu księdza w misję, której celem było wyciągnięcie mnie z więzienia. Dziękuję z całego serca.

•Biskupie Yinie, nie jestem godzien rozmawiać z człowiekiem tak wielkiej wiary - odparł Donoher.

•Były jakieś wiadomości od Nolana Kilkenny'ego? - zapytał Chińczyk.

•Obawiam się, że nie.

•W takim razie pozostaje mi nadal się za niego modlić.

•Ja również nie przestaję. Nolan to dla mnie rodzina i z nadzieją oczekuję jego bezpiecznego powrotu. A teraz, jeżeli mi ksiądz na chwilę wybaczy, chciałbym zamienić słowo z jego współpracownikami.

Donoher wziął Tao, Hana i Gatesa na stronę. Ponieważ na płycie pojawiała się coraz więcej gwardzistów i sanitariuszy, mężczyźni ochraniający kamerlinga zajęli pozycje wokół Yina.

•Musicie zostawić biskupa Yina - powiedział ściszym głosem kardynał. - Zajmiemy się z nim teraz sprawami, które dotyczą wyłącznie Kościoła. W imieniu Stolicy Apostolskiej dziękuję wam z całego serca za poświęcenie, za wszystko, co zrobiliście, żeby zapewnić biskupowi wolność. Zwyczajne słowa nie są w stanie wyrazić naszej

wdzięczności. - Donoher wskazał dłonią dwóch idących w ich stronę
Szwajcarów. - Gwardziści zaprowadzą was do mieszkania, tutaj w
Watykanie. Przepraszam, że nie mogę wam teraz towarzyszyć, ale
obiecuję, że wrócę do was, jak tylko będę mógł.

- Rozumiemy - powiedziała Tao. - To bardzo trudny czas dla Kościoła.
- Dla nas wszystkich - zgodził się kardynał. - Ale nawet najtrudniejsze
czasy kiedyś się kończą.

KIEROWCA DONOHERA ZAPARKOWAŁ NA NIEWIELKIM PLACU NA PÓŁNOC od Bazyliki Świętego Piotra. Kamerling zaprowadził Yina i Velu bocznym wejściem do Pałacu Apostolskiego. W jego korytarzach spotykali wyłącznie członków Gwardii Szwajcarskiej, a w przedsionku Kaplicy Sykstyńskiej, do którego po chwili dotarli, nie było już nikogo.

•Dlaczego Wasza Eminencja mnie tam prowadzi? - zapytał Yin, zdając sobie sprawę, gdzie się znaleźli. - Jestem tylko biskupem.

•W sercu papieża Leona od wielu lat był ksiądz kardynałem - wyjaśnił Donoher. - Lecz chociaż nie może ksiądz głosować, to ma przed sobą ważną rolę do odegrania.

Zapukał do drzwi. Po chwili dobiegł zza nich głos dziekana kolegium kardynałów, który kazał je otworzyć.

Yin zajrzał do kaplicy i zobaczył stu siedemnastu kapłanów ubranych w purpurowe szaty. Wszyscy patrzyli na niego. Pojawili się nawet ci, którzy byli zbyt schorowani, by osobiście brać udział w głosowaniu.

„Bądź wola Twoja” - odmówił krótką modlitwę biskup, po czym przekroczył marmurowy próg.

Velu zajął swoje miejsce, a Donoher zaprowadził Yina do ołtarza.

Najmłodszy z kardynałów diakonów opuścił kaplicę, aby wezwać sekretarza kolegium oraz mistrza papieskich ceremonii liturgicznych.

Donoher i Yin stanęli plecami do zgromadzonych kardynałów, wpatrując się w „Sąd Ostateczny” Michała Anioła.

•Wie Wasza Ekscelencja, dlaczego tutaj jesteśmy? - zapytał cicho

kamerling.

•W czasie lotu do Rzymu słyszałem, że dziś trzy razy unosił się z

komina czarny dym.

•Dziś odbyło się tylko jedno głosowanie, ale musieliśmy czekać na przybycie Waszej Ekscelencji. Wasza Ekscelencja przeszedł przez niewyobrażalną mękę właśnie po to, żeby stawić temu czoło. Chciałbym jednak, żeby Wasza Ekscelencja wiedział, że nie musi przyjmować wyboru.

•Tak jak Chrystus nie musiał przyjąć swego losu w Getsemani - stwierdził Yin. - Ale przecież to zrobił, więc i ja poddam się woli Bożej.

•Głosowanie było jednomyślne- powiedział serdecznym tonem Donoher. - Nigdy jeszcze nie spotkałem się z tak dobitnym Jego znakiem.

Kardynał diakon wrócił z dwoma arcybiskupami, których zaprowadził do ołtarza. Obu mężczyzn zaciekał widok jeszcze jednego biskupa.

Doszli do wniosku, że znalazł się w kaplicy za specjalnym zezwoleniem kamerlinga.

- Już czas - ogłosił Donoher.

Odwrócił się z Yinem do kardynałów, po czym zszedł z ołtarza, zostawiając przy nim samego biskupa.

Podszedł do niego kardynał Scheuermann, dziekan.

- Czy akceptujesz twój kanoniczny wybór na biskupa rzymskiego? - zabrzmiał w kaplicy jego głos.

Yin wziął głęboki oddech i spojrzał na pełnych wyczekiwania kardynałów. Tak wiele różnych twarzy, z tak wielu różnych kultur i narodów.

Yin przypomniał sobie chwilę w celi, kiedy po raz pierwszy rozmawiał z Nolanem Kilkennym, kiedy dowiedział się od swojego wybawcy, że wysłał go następca świętego Piotra.

•Tak - odpowiedział czystym i mocnym głosem.

•Jakie imię przyjmujesz?

•Gousheng, od świętego Piotra Wu Goushenga, męczennika za wiarę.

•Tędy, Wasza Świątobliwość - powiedział Donoher, prowadząc Yina w stronę pomieszczenia z boku ołtarza. Kardynał zatrzymał się

365

przy progu. - To jest sala łez, w której poprzednicy Waszej Świątobliwości w chwili takiej jak ta płakali z radości i smutku. Wasza Świątobliwość wejdzie do niej sam. W środku są białe szaty świętego urzędu.

Donoher pochylił głowę i cofnął się. Yin otworzył drzwi i wszedł do środka. Pomieszczenie było ciasne, a jego ściany czerwone. Na stole znalazł trzy komplety papieskich szat. Każdy był uszyty w innym rozmiarze, ponieważ watykańscy krawcy nie mogli przed wyborem nowego papieża wziąć z niego miary.

Yin zdjął czarną sutannę i ostrożnie ułożył ją na stole. Przez większość posługi biskupiej chodził w więziennym drelichu, a teraz odkładał oficjalne szaty swego urzędu na zawsze. Przymierzył najmniejszy z trzech kompletów - pasował. Potem dobrał sobie białą piuskę. Obok szat leżało kilka wspaniałych krzyży pectoralnych - prawdziwych dzieł sztuki,

wykonanych ze złota i ozdobionych kamieniami szlachetnymi. Były piękniejsze od tego, który miał na szyi, wchodząc do sali łoż, pod każdym względem oprócz jednego.

Podniósł ręcznie wystrugany drewniany krzyżyk, ucałował go i zawiesił z powrotem na szyi. Gdy przypomniał sobie radość Ke Li, kiedy oddawała mu najcenniejszy symbol swej wiary, po jego policzkach zaczęły płynąć łzy. Jeszcze większy smutek ogarnął go, gdy poczuł w sercu, że dziewczynka umarła za wiarę. Zdał sobie sprawę, że krzyżyk tej kilkuletniej męczennicy weźmie ze sobą do grobu.

Do Kaplicy Sykstyńskiej wrócił już jako papież Gousheng. Donoher zaprowadził go do fotela umieszczonego obok ołtarza, poczekał, aż usiądzie, i wsunął na jego palec pierścień Rybaka. Książęta Kościoła po kolei złożyli hołd nowemu papieżowi. Na zewnątrz tłum kłębiący się na placu Świętego Piotra wydał okrzyk radości, bo z komina podniósł się pióropusz białego dymu, a dzwony Bazyliki Świętego Piotra obwieściły radosną nowinę.

Godzinę później Donoher pokazał się na balkonie nad głównym wejściem bazyliki. Tłum na placu uciszył się, wyciągając słuch, by poznać imię nowego papieża.

- Ogłaszam wam radość wielką. Mamy papieża - powiedział po łacinie kamerling. - Najczcigodniejszego Yin Daominga, biskupa Szanghaju, który przybrał imię Goushenga.

366

Tłum zaczął krzyczeć: „*VivaIIpapa*” , wyrażając tym samym aprobatę.

Za to dziennikarze relacjonujący wydarzenie zorientowali się, że brakuje im informacji i zdjęć: poza Chinami niewielu ludzi wiedziało cokolwiek o człowieku, który właśnie został najwyższym zwierzchnikiem Kościoła powszechnego.

Donoher odsunął się na bok i z cienia wyłonił się papież Gousheng, wstępując w światło, by udzielić apostolskiego błogosławieństwa *Urbi et Orbi*. Miastu i Światu.

PEKIN, CHINY 2 LISTOPADA

LOT Z TYBETU W POZBAWIONYM OKIEN KADŁUBIE WOJSKOWEGO transportowca

należał do najdłuższych, jakie pamiętał Kilken-ny. Kiedy już razem z

Pengiem i załogą uszkodzonego helikoptera zabrano go znad Bangong Co,

został przewieziony do bazy wojskowej, w której opatrzono mu rany.

Umieszczono go w izolatce aresztu. Nie licząc rutynowych pytań

zadanych przez lekarza, nawet go nie przesłuchano. Wydawało się, że nikt

nie wie, co z nim począć. Ten krótki okres zawieszenia, który zresztą

Amerykanin przyjął z ogromną ulgą, skończył się, gdy do jego celi

wkroczył oddział żandarmerii wojskowej pod komendą Penga i

odprowadził go do czekającego samolotu. Młody oficer odezwał się do

niego tylko raz, nakazując mu w czasie lotu milczeć. W jego tonie głosu,

choć szorstkim i oficjalnym, Kilkenny wyczuł dobrą radę, że milczenie

leży w jego najlepiej pojętym interesie.

Było ciemno, gdy razem z Pengiem i kontyngentem żandarmerii

wylądowali na wojskowym lotnisku. Strażnicy Kilkenny'ego popędzili go,

żeby wysiadł szybko z samolotu i przeszedł do pobliskiego hangaru. Tam i

jemu, i Pengowi wręczono świeże ubrania - stroje biznesmenów.

Amerykanin ubierał się powoli, uważając na rany i ochraniające je

opatrunki. Peng, zawiązawszy krawat windsorskim węzłem, zbliżył się do

niego z parą kajdanek i ostatnim dodatkiem do garderoby.

- Gdy będziemy w samochodzie, założę ci to na głowę - wyjaśnił,

pokazując Kilkenny'emu czarny kaptur. - W ten sposób zataimy twoją obecność w miejscu, do którego zmierzamy.

Amerykanin skinął głową.

- Przynajmniej nie jest to prezent pożegnalny.

Peng przez chwilę zastanawiał się nad jego komentarzem, po czym potrząsnął głową.

- Mam rozkaz dostarczyć cię tam.

Kilkenny usiadł z nim na tylnym siedzeniu czarnej półciężardwki. Jej okna były grube i przyciemnione, a kiedy trzasnęły drzwi, komandos zorientował się, że wóz jest solidnie opancerzony. Gdy kawalkada była już gotowa do opuszczenia hangaru, Peng nałożył Amerykaninowi na głowę kaptur.

W czasie podróży myśli Kilkenny'ego szybko oderwały się od otaczających go przytłumionych dźwięków i czekającej go niepewnej przyszłości. Pocięchy szukał we wspomnieniach o Kelsey. Gorzki gniew z powodu straty zdążył już z niego opaść, został zastąpiony przez poczucie akceptacji, pogodzenia się z tragedią, która go spotkała, oraz głębokiej wdzięczności za miłość, jaką obdarzyła go żona. Ze wszystkich swoich życiowych osiągnięć największą dumę czerpał z tego, że był jej mężem. „Dzięki Bogu” - pomyślał i nagle zdał sobie sprawę, że właśnie robi dokładnie to: dziękuje Bogu. Nie modlił się za pomocą utartych formułek starego katechizmu, ale szczerze wyrażał swoją wdzięczność za związek, przez który udało mu się określić siebie samego. Po raz pierwszy od dnia straty żony i dziecka potrafił znowu zwracać się do Boga.

Kawalkada zatrzymała się. Wciąż z kapturem na głowie, Kilkenny został wyprowadzony z samochodu. Słyszał szelest suchych liści w chłodnym wieczornym powietrzu oraz ich chrzęst pod stopami, gdy stąpił po wybrukowanym deptaku. Peng prowadził go w milczeniu w stronę celu ich podróży. Wreszcie Amerykanin usłyszał odgłos zamykających się za nim dwóch par drewnianych drzwi. Domyślił się, że są w jakimś budynku. Peng zatrzymał go. Kilkenny usłyszał, że tuż przed nim ktoś wydaje rozkaz. Jego przewodnik odpowiedział coś z szacunkiem i zdjął

369

mu kaptur. Znajdowali się w niewielkim, bogato zdobionym pawilonie. Przed Amerykaninem siedział krępy mężczyzna o siwych włosach i okrągłej twarzy pobrużdżonej zmarszczkami znamionującymi życiowe doświadczenie. Podobnie jak Kilkenny i Peng, miał na sobie garnitur biznesmena. Wszyscy trzej sprawiali wrażenie, jakby mieli właśnie rozmawiać o nieruchomościach lub giełdzie.

- Panie Kilkenny, czy wie pan, kim jestem? - zapytał mężczyzna z ledwie wyczuwalnym akcentem.

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą Amerykanin.

Mężczyzna skinął głową do Penga, który nachylił się do ucha więźnia.

•Rozmawiasz właśnie z Wen Lequanem, premierem Chin. Bądź bardzo ostrożny.

•To dla mnie prawdziwy zaszczyt, panie premierze - przywitał się Kilkenny, pochyliwszy lekko głowę.

•Panie Kilkenny, Peng opisał pana jako człowieka honoru. Czy może mi pan obiecać, że nic mi nie będzie groziło, jeśli każę zdjąć panu więzy?

•Ma pan moje słowo.

Wen wykonał gest dłonią i Peng rozkuł Kilkenny'ego. Premier ponownie ledwo dostrzegalnie skinął ręką i natychmiast ustawiono przed nim okrągły stolik oraz dwa krzesła.

- Proszę usiąść - powiedział Wen. Był to raczej rozkaz niż prośba.

Przyjrzał się Kilkenny'emu, który usiadł na krzesło, i zauważył, że jeniec musi oszczędzać jedną stronę ciała.

•Rozumiem, że w rezultacie pańskich nielegalnych działań na terenie mojego kraju został pan ranny - zaczął. - Czy po zatrzymaniu udzielono panu odpowiedniej pomocy medycznej?

•Pańscy lekarze zajęli się mną bardzo sumiennie, dziękuję.

•Panie Kilkenny, skorzystam ze zwyczaju rozpowszechnionego wśród pańskich rodaków i będę mówił otwarcie. Znalazłem się przez pana w bardzo niezręcznej sytuacji.

•Biorę całkowitą odpowiedzialność za swoje działania i dobrowolnie przyjmuję wszelkie ich konsekwencje.

•Jest pan Amerykaninem powiązany z CIA, prawda?

370

•Owszem - przyznał Kilkenny.

•Ale przypuszczam, że zaprzeczy pan udziałowi pańskiego rządu w

tym... - Wen zamilkł na chwilę, szukając odpowiedniego słowa -
wtargnięciu na terytorium Chin i świadomemu wtrącaniu się w nasze
wewnętrzne sprawy.

- To prawda.

- Prawda jest taka, że niektóre osoby uważają pańskie działania za
wrogi akt wymierzony w rząd w Pekinie. Moi doradcy wojskowi
uznali pański atak na nasze suwerenne terytorium za wypowiedzenie
wojny. Pytanie tylko, z kim znaleźliśmy się w stanie wojny.

- Czy uważa pan, że Stany Zjednoczone ryzykowałyby wojnę z
waszym krajem tylko po to, by uwolnić jakiegoś więźnia politycz-
nego? - zapytał Kilkenny.

-Wprawdzie pański prezydent, podobnie jak jego poprzednicy na tym
stanowisku, ma irytujący zwyczaj nękania nas pytaniami o niektórych
kryminalistów pozostających pod opieką naszego aparatu sprawie-
dliwości, ale jestem pewien, że w tej konkretnej sytuacji Stany Zjed-
noczone rzeczywiście w najgorszym razie są współsprawcą. Wiem, że
znalazł się pan tutaj na osobiste polecenie papieża Leona XIV.

Kilkenny uważnie przyjrzał się Wenowi, ale nie odpowiedział na jego
stwierdzenie.

- Panie Peng - kontynuował premier - w pańskim raporcie na temat
załogi Shenzhou 7 uznał pan Nolana Kilkenny'ego za bohatera.

Dlaczego?

- Ryzykował własne życie, aby doprowadzić osoby odpowiedzialne za
tę tragedię przed oblicze sprawiedliwości. Jeżeli mogę wyrazić swoją

opinię, to uważam, że choć w czasie swojej ostatniej akcji naruszył nasze prawo i terytorium, kierowała nim ta sama motywacja co wtedy.

•Proszę wyjaśnić - polecił Wen.

•Wiele osób uważa umieszczenie w więzieniu Yin Daominga za niesprawiedliwość. Jedyнным celem działań Kilkenny'ego było uwolnienie biskupa i naprawienie tej niesprawiedliwości. Podobnie było w wypadku Shenzhou 7. Jest konsekwentny.

Wen przez chwilę zastanawiał się nad wyjaśnieniami Penga, po czym ostatecznie skinął głową, przyznając mu rację. Następnie pod-

371

niósł ze stolika przy swoim fotelu brązową kopertę i podał ją Kilkenny'emu.

- Proszę otworzyć - powiedział.

Kilkenny wykonał rozkaz i wyciągnął z koperty dwa czarno-białe zdjęcia formatu dwadzieścia jeden na dwadzieścia osiem centymetrów. Na pierwszym z nich - odbitce wyglądającej na bardzo starą - widać było całą klasę dzieci o ponurych twarzach oraz ich nauczyciela. Wszystkie ubrane były w identyczne mundurki, symbolizujące przyszłość chińskiego państwa komunistycznego. Drugie zdjęcie okazało się wzmocnionym komputerowo powiększeniem pierwszego, przedstawiającym twarze dwóch chłopców w wieku nie więcej niż dwunastu lat. Ten z prawej miał nieco szlachetniejsze rysy i był drobniejszy od kolegi, ale uwagę Kilkenny'ego natychmiast przyciągnęła czystość bijąca z jego oczu.

•To zdjęcie ma ponad pięćdziesiąt lat - powiedział Wen. - Jestem

chłopcem z lewej.

- A ten z prawej to Yin Daoming.
- Tak. Yin i ja wychowywaliśmy się w tym samym miejscu, choć gdy dorośliśmy, nasze drogi się rozeszły. Ta, którą wybrał on, doprowadziła go do więzienia w Chifengu. Moja zawiodła mnie tutaj.
- Yin niczego nie żałuje - stwierdził Kilkenny.
- W to nie wątpię - powiedział Wen, skinąwszy lekko głową. - Misja jego uwolnienia okazała się kosztowna dla pana i pańskich kolegów, choć ostatecznie została zwieńczona sukcesem. A teraz ci dwaj chłopcy stoją na czele ponad jednej trzeciej społeczności naszej planety.
- Przepraszam? - zapytał Kilkenny.
- Po przybyciu do Rzymu - wyjaśnił Peng - Yin Daoming został ogłoszony papieżem.

Kilkenny oniemiały zeszywniał w swoim krześle.

- Co tłumaczy, dlaczego znalazłem się w tak trudnym położeniu

- dodał Wen - oraz dlaczego pana tutaj zaprosiłem. W godzinę po ujawnieniu nazwiska nowego papieża otrzymałem osobistą wiadomość od mojego byłego kolegi z klasy. Pytał o miejsce pańskiego pobytu, panie Kilkenny, oraz wyraził dobitnie zainteresowanie pańskim stanem.

- Wynika z tego, że nie wie o moim zatrzymaniu - domyślił się

Kilkenny.

372

- Pańskie aresztowanie jest tajemnicą państwową. W świadomo

ści osób, które współpracowały z panem w ramach tego wtargnięcia, jest pan zaginiony, a najprawdopodobniej martwy. Mógłbym bez najmniejszego problemu sprawić, że pan zniknie. Z drugiej strony moi doradcy podpowiadają mi, żebym postawił pana przed sądem i ujawnił przed Zachodem spisek, który wymagał naruszenia naszego suwerennego terytorium.

-Jeżeli już rozważa pan różne opcje, może mnie pan także po prostu uwolnić - zaproponował ironicznym tonem Kilkenny.

-To właśnie zasugerował pański papież. W ostatnich latach prowadzone były rozmowy na temat normalizacji stosunków między Chinami a Watykanem, choć wszystko sprowadzało się właśnie do rozmów. Historia obu naszych państw jest długa i często skomplikowana. Po obu stronach jest mnóstwo nieufności, a ten incydent może tylko poszerzyć istniejącą przepaść.

- Papież Leon doszedł do podobnych wniosków, dowiedziawszy się prawdy na temat tragicznego w skutkach pożaru teatru - powie dział Amerykanin. - Rozumiem, że ucieczka Yina stanowi afront dla waszej dumy narodowej.

Wen skinął głową.

•Ale w przeciwieństwie do swego poprzednika, panie Kilkenny, nowy papież rozumie znaczenie problemu zachowania twarzy. Zamiast żądać publicznie pańskiego uwolnienia, co poniżyłoby Chiny w oczach całego świata, papież Gousheng zaproponował wykorzystanie siebie samego jako symbolu chińskiej wspaniałomyślności.

- Przybycie Yina do Rzymu jest równie wielką sensacją, jak jego wybór na papieża, i media pewnie wychodzą z siebie, próbując dowiedzieć się czegokolwiek na ten temat - domyślił się Kilkenny. - Zaproponował, żeby Chiny przejęły splendor za jego uwolnienie?
- Jednostronny gest dobrej woli ze strony Chińskiej Republiki Ludowej - wyjaśnił Wen, tak jakby cytował jakieś pismo - w uznaniu dla wieloletnich starań zmarłego papieża i ze szczerą nadzieją na poprawę relacji z Watykanem w przyszłości. Yin to bardzo inteligentny człowiek.
- Nie tylko inteligentny. Mimo że spędził w więzieniu tyle lat, nie ma pretensji do rządu w Pekinie. Wybaczył wam i modli się za was.

373

Aby uzyskać potwierdzenie waszej humanitarnej postawy z ust Ojca Świętego Kościoła rzymskokatolickiego, musicie więc tylko wypuścić mnie po cichu i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało?

- Jest jeszcze kilka drobnych szczegółów: zwrot szczątków pańskich poległych kolegów oraz przekazanie Kościołowi rzymskokatolickiemu terenu po spalonym teatrze w Pekinie.
- Być może nie jestem całkiem obiektywny, panie premierze, ale warunki te wydają mi się całkiem rozsądne.
- Mnie również. Oczywiście umowa wymaga, żeby wszystkie jej strony trzymały się papieskiej wersji wydarzeń.
- Z tego co pamiętam - powiedział Kilkenny - ostatni miesiąc spędziłem w Rzymie, pracując nad mało znaczącym projektem dla Biblioteki

Watykańskiej.

•Świetnie. Peng, wszystko jest już załatwione. Ma pan odwieźć pana Kilkenny'ego do Rzymu.

•Tak, panie premierze.

-Jeszcze jedno, zanim opuści pan Chiny, panie Kilkenny. Wprawdzie przyjąłem ofertę papieża, ale ani trochę nie zmniejsza to mojego oburzenia z powodu tego, co pan zrobił. Kiedy pan wyjedzie, proszę nigdy nie wracać do naszego kraju. A teraz jest pan wolny.

Kilkenny i Peng wstali, po czym obaj z szacunkiem ukłonili się Wenowi, który odprawił ich ruchem dłoni. Kiedy już wyszli z pawilonu, jeden z ludzi premiera wręczył Pengowi kopertę z dokumentami oraz harmonogramem podróży do Rzymu.

•Czy musisz mi znowu nakładać kaptur? - zapytał Kilkenny, gdy wsiedli do półciężarówki.

•Nie, jesteś wolnym człowiekiem.

Zhongnanhai, choć o tej porze w ciemnościach widoczne były jedynie jego kontury, i tak zachwyił Kilkenny'ego. Samochód ruszył krętą drogą prowadzącą wzdłuż krawędzi południowego jeziora w stronę Bramy Nowych Chin. Gdy ją minęli, Kilkenny spojrział przez okno na lewo i zauważył barykady blokujące ulicę, a za nimi ogromny tłum skąpany w jaskrawej łunie z przenośnych wież świetlnych. Sztandary łopotały na lekkim wietrze, a ludzie trzymali wysoko w górze transparenty z różnymi hasłami i rysunkami.

- Co to jest? - zapytał Amerykanin.

- Plac Tiananmen. Tłumy zgromadziły się, żeby świętować wybór

Chińczyka na papieża.

-1 rząd nie próbuje ich powstrzymać?

•Nie - odparł Peng. - Ludzie są spokojni i jest ich bardzo dużo.

•To chyba moja pierwsza i ostatnia wizyta w Chinach. Mogę zerknąć?

Peng skinął głową.

- Ja też chętnie popatrzę.

Polecił kierowcy zaparkować przy chodniku - umundurowani

policjanci pilnujący tłumu nie zwracali uwagi na pojazd z rządową

rejestracją. Kiedy minęli barykadę, Kilkenny'ego przytłoczył ogrom placu

szczelnie wypełnionego teraz ludźmi.

- Muszą tu ich być setki tysięcy!

-Według szacunków ponad milion - powiedział Peng. - Podobne tłumy

wyległy na ulice Hongkongu i Szanghaju, a mniejsze pojawiły się

dosłownie wszędzie.

Tłum falował w rytm hymnów i pieśni, z których część Kilkenny

rozpoznawał. Ludzie wokół nich nagle podchwycili kolejny okrzyk, a

podnieceni młodzieńcy zaczęli wyrzucać pięści w górę, podsycając

wszechogarniający entuzjazm.

•Co oni krzyczą? - zapytał Kilkenny, gdy skandowanie niemal

zagłuszyło rytmiczną pieśń.

•Niech żyje Jezus Chrystus! - zawołał mu prosto do ucha Peng. - Niech

żyje papież Gousheng!

Amerykanin przez chwilę wsłuchiwał się w krzyki, po czym dołączył do tłumu, wznosząc pięść i powtarzając zasłyszane sylaby. Gdy ludzkie gardła się zmęczyły, hymn rozwiął się niczym chmura. Kilkenny i Peng dołączyli do ogólnej radości, weseląc się razem z otaczającymi ich ludźmi.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem - powiedział Peng.

Kilkenny roześmiał się z dumą.

- Kto mógł przypuszczać, że plac Tiananmen stanie się przedłużeniem placu Świętego Piotra?
- Aż do dzisiaj takie zgromadzenie było po prostu niewyobrażalne.
- To napawa nadzieją.

-

OD AUTORA

Powieść ta jest dzieckiem mojej wyobraźni; jednakże napięte stosunki między Stolicą Apostolską a Chińską Republiką Ludową, które stanowią kanwę jej fabuły, są faktem. W trakcie powstawania „Tajnego kardynała” niewiele się w tym względzie zmieniło.

Fakt: Jako jednostka polityczna Chiny funkcjonują w różnej postaci od kilku tysiącleci. Chińska Republika Ludowa (ChRL) powstała w 1949 roku. Jej pierwszym przywódcą był Mao Zedong. Chiny są czwartym krajem świata pod względem wielkości terytorium i jednocześnie najludniejszym państwem na naszej planecie - zamieszkuje je 1,3 miliarda osób.

Fakt: Zasięg świeckiej władzy różnych papieży na przestrzeni ostatnich siedemnastu wieków to poszerzał się, to znowu kurczył, ale od

przybycia do Rzymu Piotra Apostoła w 42 roku n.e. ciągłość sukcesji kolejnych biskupów Wiecznego Miasta pozostaje niezakłócona. Papież, rządząc jako monarcha absolutny, jest suwerenem Państwa-Miasta Watykańskiego - śródlądowej enklawy o obszarze niecałej jednej ósmej nowojorskiego Central Parku, zamieszkaney przez niewiele ponad dziewięćset osób. O wiele większe jest znaczenie papieża jako duchowego, doktrynalnego, prawnego i legislacyjnego przywódcy 1,3-miliardowej rzeszy rzymskich katolików na świecie.

Fakt: ChRL to oficjalnie kraj ateistyczny, a wierzenia religijne uważane są tam za antysocjalistyczne. W latach tuż po przewrocie komunistycznym i później, w czasie Rewolucji Kulturalnej, rząd usiłował wykorzeń wierzenia religijne w Chinach, co mu się jednak nie udało. Mimo okresów intensywnych prześladowań religia w kraju przetrwała; można nawet powiedzieć, że rozkwitła.

Fakt: Nie będąc w stanie wykorzeń religii, rząd ChRL postanowił kontrolować treść przekazu docierającego do chińskich wiernych. Tamtejsi chrześcijanie mogą korzystać wyłącznie z Biblii drukowanych przez rząd; zagraniczne wersje są nielegalne. Władze narzuciły również uciążliwe ograniczenia na kontakty między chińskimi organizacjami a ich zagranicznymi odpowiednikami, co miało zapobiec infiltracji kraju przez obcych pod pozorem utrzymywania więzi religijnych. Paradoksalnie, tajni agenci tamtejszego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego bywali przyłapywani na Zachodzie, gdy prowadzili działalność szpiegowską pod przykrywką księży.

Fakt: Lojalność polityczna postaci życia religijnego w Chinach jest ważniejsza dla władz niż ich duchowe przygotowanie. W czasie wizyty w Pekinie w 2005 roku amerykańska sekretarz stanu Condo-leezza Rice w Niedzielę Palmową wzięła udział w mszy, odprawionej w oficjalnie uznawanym kościele. W kazaniu pastor podkreślił, że Chrystus zstąpił na ziemię nie po to, by obalać rządy, ale by wytrzebić zło z ludzkich serc.

Fakt: Obecna konstytucja Chińskiej Republiki Ludowej gwarantuje obywatelom prawo do przekonań religijnych. Obejmuje ono jednak tylko wyznania uznawane przez rząd: buddyzm, taoizm, islam, protestantyzm i katolicyzm. Praktykowanie innych obrządków jest w Chinach nielegalne. Nie wolno również kierować religijnych nauk do osób poniżej osiemnastego roku życia.

Fakt: Choć obywatele Chin mają prawo być katolikami, nie mogą być rzymskimi katolikami, chyba że mieszkają w Hongkongu, który rządzi się specjalnym prawem. Wykorzystując przykład angielskiego króla Henryka VIII, władze przejęły kontrolę nad Kościołem katolickim w Chinach i uzurpują sobie papieską władzę nad Patriotycznym Stowarzyszeniem Katolików Chińskich (PSKCh). Dzięki tej organizacji

378

rząd nadzoruje kształcenie księży oraz mianowanie biskupów. PSKCh kontroluje wszystkie inne oficjalnie uznawane religie.

Fakt: Wolności religijnej w Chinach nie towarzyszy prawo do zrzeszania się. Wszystkie oficjalnie uznawane Kościoły muszą uzyskać zgodę władz na działalność, a członkostwo w nich podlega ścisłej kontroli.

W rezultacie religię praktykuje się tam często nielegalnie w domach lub w podziemnych kościołach.

Fakt: Chińskie władze uznają sprawowanie praktyk religijnych za swoją wewnętrzną sprawę, nie zezwalając na ingerencję obcych podmiotów w rodzaju misjonarzy czy papieży.

Fakt: W 1951 roku, po wydaleniu z Pekinu ostatniego nuncjusza apostolskiego, zostały zerwane stosunki między Chinami a Stolicą Apostolską. Obecnie Watykan jest jednym z nielicznych państw, które utrzymują pełne stosunki dyplomatyczne z Tajwanem, co ChRL uznaje za ingerencję w wewnętrzne sprawy Chin.

Fakt: Większość biskupów PSKCh podobno starała się uzyskać i uzyskiwała potwierdzenie nominacji przez Watykan, bez negatywnych konsekwencji ze strony chińskich władz. Aż do niedawna stowarzyszenie ogłaszało wybór nowego biskupa dopiero wtedy, gdy Stolica Apostolska dała do zrozumienia, że może go zaakceptować. Kompromis ten załamał się w 2006 roku; obecnie stoi pod znakiem zapytania.

Fakt: Szacuje się, że w Chinach jest około czterdziestu podziemnych rzymskokatolickich biskupów. Spośród nich większość przebywa w więzieniach lub w aresztach domowych; reszta się ukrywa. W przeważającej mierze są to bardzo starzy księża i z każdym rokiem jest ich coraz mniej. Stolica Apostolska w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie mianowała żadnego podziemnego biskupa i wiele diecezji, w tym szanghajska, pozostaje nieobsadzonych.

Fakt: Rzymskokatolicki biskup ma obowiązek co pięć lat udawać się

do Rzymu, by złożyć raport ze stanu swojej diecezji. Chińskie

379

władze zabraniają tego duchownym, a katolickich biskupów i księży często oskarżają o szpiegostwo.

Fakt: Watykan nie dysponuje służbami wywiadowczymi, które w jakikolwiek sposób można by porównać do CIA czy izraelskiego Mos-sadu, a nawet do tak skromnej organizacji, jaką opisano w niniejszej powieści.

Stolica Apostolska zdobywa informacje przede wszystkim przez raporty przesyłane przez członków swego korpusu dyplomatycznego oraz ze źródeł publikowanych. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych Watykan otrzymywał raporty wywiadowcze z CIA dotyczące działalności polskiej „Solidarności”. Co ciekawe, Stolicę Apostolską uznaje się zwykle za najczęściej szpiegowany kraj na świecie, choć najmniej zdolny do szpiegostwa.

Fakt: Spór dyplomatyczny między Chinami a Watykanem toczy się wokół trzech głównych kwestii: uznania Tajwanu, mianowania biskupów oraz co najistotniejsze, uznania władzy papieża nad Kościołem rzymskokatolickim. Chiny domagają się, by Watykan jako warunek wstępny negocjacji zerwał stosunki z Tajwanem. Watykan nie chce zrezygnować z tak cennej karty przetargowej, nie zyskując niczego w zamian. Chiny żądają również, by Watykan powstrzymał się od ingerowania w ich wewnętrzne sprawy, takie jak mianowanie biskupów. Według prawa kościelnego papież dysponuje najwyższą władzą na tym polu.

Fakt: W przeciwieństwie do tytułu księdza lub biskupa, urząd kardynała nie jest sakramentalny. Kardynałowie to przede wszystkim pomocnicy i doradcy papieża. Aż do 1918 roku mogły nimi być osoby świeckie. Od tego czasu, z rzadkimi wyjątkami, kardynałów mianuje się spośród grona biskupów. Papież powołuje tych ostatnich na ten urząd, najpierw ogłaszając to publicznie, a potem nadając im nową rangę w czasie konsystorzu.

Fakt: W wypadku gdy narażone jest życie biskupa, papież może mianować go kardynałem *inspectore*, zachowując jego imię w tajemnicy. Jan Paweł II skorzystał z tej możliwości w 1979 roku odnośnie do pozostającego od wielu lat w więzieniu biskupa Szanghaju Kung Pin-Meia.

Ujawnił tę tajemnicę w 1991 roku, gdy Kung został w końcu zwolniony i przebywał już na wygnaniu w Stanach Zjednoczonych.

Fakt: Kiedy Chiny w 1997 roku odzyskały od Brytyjczyków kontrolę nad Hongkongiem, kardynał Wu Cheng-Chung został pierwszym chińskim kardynałem w państwie komunistycznym. W Hongkongu, w przeciwieństwie do reszty kraju, panuje wolność wyznania i władze pozwoliły Wu pozostać na stanowisku. Po jego śmierci Pekin dał do zrozumienia, że byłby niezadowolony, gdyby Watykan mianował w Hongkongu kolejnego kardynała. W 2003 roku Jan Paweł II powołał swojego czwartego i ostatniego tajnego kardynała.

Fakt: W kwietniu 2005 roku Jan Paweł II zmarł, zabierając do grobu nazwisko swojego ostatniego tajnego kardynała, choć wielu uważało, że

jest nim biskup Hongkongu Zen Ze-Kiun. Rok później papież Benedykt XVI mianował biskupa Zena kardynałem, wywołując oburzenie władz w Pekinie. Podobnie jak Jan Paweł II, Zen jest zagorzałym antykomunistą i stanowczo sprzeciwia się działaniom rządu zmierzającym do ograniczenia praw i swobód obywateli Hongkongu. Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich potępiło mianowanie Zena jako „wrogi akt” wymierzony w chiński rząd.

Fakt: Po ogłoszeniu Zena kardynałem PSKCh mianowało kilku nowych biskupów, których kandydatury były nie do zaakceptowania przez Watykan - wybrano ich raczej ze względu na lojalność polityczną niż przymioty duchowe. Oskarżenia o porwania i wymuszone uczestnictwo w obrządkach zdyskredytowały zapewnienia Pekinu, że święcenia odbyły się zgodnie z prawem. Konsekracja wywołała zresztą sprzeciw międzynarodowej opinii publicznej.

Fakt: 30 czerwca 2007 roku Watykan zamieścił na swojej stronie internetowej list otwarty papieża do chińskich katolików. Zawierał on wezwanie Ojca Świętego do większej jedności między oficjalnymi a podziemnymi katolikami, do wzmocnienia więzi między wiernymi w Chinach a resztą Kościoła rzymskokatolickiego, do poprawienia re-

381

lacji między Chinami a Watykanem oraz do dialogu na temat mianowania biskupów w Chinach. W odpowiedzi Pekin powtórzył swoje stanowisko w kwestii stosunków dyplomatycznych Watykanu z Tajwanem oraz ingerencji w wewnętrzne sprawy Chin. Władze zablokowały również

dostęp do watykańskiej strony internetowej oraz do krajowych domen, w których przedrukowano list papieża.

Fakt: Przywódcy Komunistycznej Partii Chin (KPCh) uznają ruchy prodemokratyczne oraz chrześcijaństwo za największe zagrożenie dla jednopartyjnych rządów i zdają sobie sprawę z roli Watykanu w obaleniu komunizmu radzieckiego. Obawiają się w szczególności, że ktoś obdarzony autorytetem moralnym może w Chinach zmobilizować ludzi do powstania przeciw partii. Zen, jako charyzmatyczny i popularny biskup Hongkongu, który w dodatku mógłby obecnie zostać nowym papieżem, jest idealnym uosobieniem tych lęków.

PODZIĘKOWANIA

Po raz pierwszy usłyszałem o ciężkiej walce toczonej przez Kościół i państwo w Chinach w marcu 2000 roku, kiedy przeczytałem zapis porywającej mowy senatora stanu Connecticut Josepha Liebermana, wygłoszonej przed amerykańskim Senatem na cześć zmarłego kardynała Ignatiusa Kung Pin-Meia. Dzięki wymienionym w niej faktom z życia Kunga oraz opisanym tam fragmentom jego biografii dowiedziałem się o nieustających prześladowaniach religijnych w Chinach i znalazłem ziarno, z którego wyrosła moja opowieść: idea tajnego kardynała. Zmarły kardynał Keng był człowiekiem wielkiej wiary, inspiracją i symbolem dla represjonowanych rzymskich katolików w Chinach. Ale choć niektóre aspekty mojego tytułowego fikcyjnego bohatera mogą odzwierciedlać epizody z życia wspomnianego kardynała, powieść w żadnym razie nie jest jego biografią.

Wszystkich zainteresowanych fascynującą historią prawdziwego tajnego kardynała odsyłam do strony internetowej . Zachęcam również do lektury powieści Malachiego Martina „The Final Conclave”, której autor w mistrzowski sposób zgłębia meandry watykańskiej polityki.

Chciałbym wyrazić głęboką wdzięczność kpt. B. J. Keepersowi (emerytowanemu oficerowi US Navy), ks. Brendanowi Walshowi, dr.

Davidowi Górskiemu, Ricie Thiron z diecezji Lansing, Billy'emu

Downsowi, Jonathanowi Swiftowi, Lorecie Barrett oraz tym, których

383

w tym miejscu nie mogę wymienić. Ich pomoc była dla mnie bezcenna.

Jak zawsze, za wszystkie błędy odpowiadam wyłącznie ja.

Dziękuję również Rogerowi Cooperowi z wydawnictwa Vanguard

Press, mojej agentce Esther Margolis oraz redaktorom Peterowi Guz-

zardiemu i Edowi Stacklerowi za ich cenne porady i wsparcie; mojej

rodzinie i przyjaciołom za miłość i zachętę do pracy; mojemu psu - za to,

że grzał mi stopy, gdy nocami pisałem tę powieść. Wreszcie, z całego

serca chciałbym podziękować mojej piątce dzieci oraz żonie Ka-thy, dzięki

której wszystko w ogóle jest możliwe.